

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

89

**BŁOŃSKI**  
**Herbert**  
**Hartwig**  
**Miłosz**  
**Szuber**  
**Szaruga**

REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny

Barbara Dąbrowa – biuro redakcji

ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, Jan Błoński (1931–2009), Stefan Chwin, Aleksander Fiut,  
Michał Głowiński, Marek Kędziński, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

ZBIGNIEW HERBERT	5	Toni albo formalista
JULIA HARTWIG	9	Cisza spokój
CZESŁAW MIŁOSZ	11	Na urodziny Błońskiego
JAN BŁOŃSKI	12	Listy do Czesława Miłosza
	33	Listy do Krystyny i Stefana Chwinów
	41	Listy do Aleksandra Fiuta
	47	Listy z zagranicy do Jerzego Jarzębskiego
GŁOSY I GŁOSY NA 85 URODZINY JANA BŁOŃSKIEGO		
EWA BŁOŃSKA	63	Żarnowiec
STEFAN CHWIN	67	Jan Błoński. Historia pewnej znajomości
ALEKSANDER FIUT	72	Paradoksy Błońskiego
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	75	Pamiętam
ARTUR SZŁOSAREK	77	W ezoterium
		– wspominając Jana Błońskiego
ŁUKASZ TISCHNER	83	O Janie Błońskim
	87	Jan Błoński i o Janie Błońskim w „Kwartalniku Artystycznym”
JANUSZ SZUBER	89	Hopydryle
	90	To, co kiedyś dla wielu jakoś znaczyło
		• Bliżej nieokreślone
KRZYSZTOF SIWCZYK	91	Biały dzień • Rzecz jasna
	92	Woliera
	93	Niezaistnienie
LESZEK SZARUGA	95	Trwanie
GŁOSY I GŁOSY NA 70 URODZINY LESZKA SZARUGI		
JACEK GUTOROW	96	Nasze rozmowy
PIOTR MITZNER	99	Wszyscy mamy długi wobec Szarugi
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	101	Rejestr Szarugi

ANNA NASIŁOWSKA	103	Leszek
IWONA SMOLKA	104	Leszka Szarugi wielki traktat o istnieniu
LESZEK SZARUGA w rozmowie z PIOTREM MATYWIECKIM	110	„Po swojej stronie”
AUGUST STRAMM	122	Jazda • Przedwiośnie
	123	Burza
RENATA GORCZYŃSKA	125	Pani Helena z „Jedynki”
MAREK KĘDZIERSKI	131	Wspomnienie o Ricku Clucheyu
ZOFIA BESZCZYŃSKA	145	Cień • Skóra • Rozstanie
	146	Tam vs Tu • przedwiośnie • czytanie haiku: • niechętnie
JOANNA JUREWICZ	147	*** ( <i>jestem...</i> )
		*** ( <i>ukryłeś mnie w sercu...</i> )
	148	*** ( <i>urodziłam się...</i> ) • *** ( <i>na przekór...</i> )

#### VARIA

STEFAN CHWIN	149	Dziennik 2015 (3)
MICHAŁ GŁOWIŃSKI	164	Małe szkice
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	167	Addenda (40)
LESZEK SZARUGA	176	Nowa Polska (5)
PIOTR SZEWC	182	Z powodu i bez powodu (41)
ARTUR SZŁOSAREK	185	Fragmenty (5)

#### RECENZJE

LESZEK SZARUGA	193	Wymieranie
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	196	Wybrane fragmenty
KRZYSZTOF LISOWSKI	202	Posłuszna własnej tylko ciekawości
ARTUR SZŁOSAREK	204	Kabała Leca
NOTY O KSIĄŻKACH	207	
NOTY O AUTORACH	227	
„KWARTALNIK ARTYSTYCZNY”		
W 2015 ROKU	229	
NOWE KSIĄŻKI	234	

Pierwszy tegoroczny numer „Kwartalnika Artystycznego” otwiera proza Zbigniewa Herberta odszukana przez Ryszarda Krynickiego i nowy wiersz Julii Hartwig.

Na osiemdziesiątą piątą rocznicę urodzin Jana Błońskiego przypominamy skierowany do niego wiersz Czesława Miłosza, publikujemy wybór jego listów do Czesława Miłosza, Krystyny i Stefana Chwinów, Aleksandra Fiuta i Jerzego Jarzębskiego, w których jak żywy zjawia się przed nami, i głosy osób z bliskiego mu kręgu, między innymi Ewy Błońskiej, Stefana Chwina, Aleksandra Fiuta, Artura Szlosarka i Łukasza Tischnera.

Świętujemy siedemdziesiąte urodziny Leszka Szarugi, prezentując jego nowy wiersz i przekłady wierszy Augusta Stramma, rozmowę przeprowadzoną przez Piotra Matywieckiego oraz głosy zaprzyjaźnionych pisarzy i krytyków, między innymi Jacka Gutorowa, Piotra Mitznera, Anny Nasiłowskiej i Iwony Smolki.

Przedstawiamy nowe wiersze Janusza Szubera, Krzysztofa Siwczyka, Zofii Beszczyńskiej i Joanny Jurewicz oraz wspomnienia Renaty Górczyńskiej o Helenie Liberowej i Marka Kędzierskiego o Ricku Clucheyu.

W *Variach* między innymi Stefan Chwin, Michał Głowiński, Leszek Szaruga, Piotr Szewc i Artur Szlosarek oraz omówienia najważniejszych książek z kwartału.

Życzę ciekawej i miłej lektury.

Krzysztof Myszkowski

Erazm Ciolek



## ZBIGNIEW HERBERT

### Toni albo formalista

Ponieważ Toni jest malarzem, mieszka na poddaszu w izbie dużej i zimnej jak scena opuszczonego teatru. Na ścianach wiszą jego bardzo kolorowe martwe natury i akty, podpisane tylko imieniem. Pod tym imieniem jest on znany także w świecie pozaartystycznym, i wygląda tak, że powszechna zgoda zwolniła go od ciężkiego obowiązku noszenia nazwiska. Nikt też nie zapyta go o metrykę, jakby wszystkim wystarczyły jego dziecinne usta i duże niewinne oczy. I nawet ta najważniejsza rubryka „zawód” pozostaje pusta, jeśli zawód rozumieć jako źródło dochodów, a nie jako jałową pasję.

A jednak kiedy wspomina się jego postawę w czasie wojny, nie można myśleć o nim bez szacunku. Tak, bez wątpienia był to prawdziwy męski protest, chociaż Toni nie był ani dowódcą leśnego oddziału, ani bohaterem zamachów, ani nawet kolporterem gazetek. Kiedy naokoło każdy udawał kogo innego, profesor handlarza, handlarz intelektualistę, Toni pozostał wierny sobie. Na dnie okupacyjnej nocy z niewzruszoną powagą i skupieniem układał na stoliku swoje jabłka, serwetę i flaszkę, i godzinami na płótnie powtarzał te nieważne przedmioty, zatopiony oczami i duszą w medytacji nad tym, aby nie skłamać formy flaszki i aby kolor jabłek był tak samo prawdziwy jak u Cezanne’a.

Ale wtedy także ludzkie uczucie znalazło doń dostęp i Toni zakochał się. O dziewczynie nie mówiono piękna, mądra, ale wspaniała. W miesiąc po zaręczynach złapali ją Niemcy. Zginęła zamęczona, nie wydawszy nikogo.

O narzeczonej mówi Toni skąpo i powściągliwie. Tylko przy okazji oglądania jej portretów i aktów udaje się wyciągnąć go na zwierzenia.

Miała takie czarne włosy – mówi Toni do przyjaciela. Były śliczne – dodaje po chwili – ale ustawić taką czarną intensywną plamę na jasnym tle, to było bardzo trudne. Godzinami nad tym ślęczałem – dodaje z westchnieniem.

A kiedy w akcie przyjaciel kwestionuje karnację ciała, Toni dotknięty do żywego broni się.

– Tu było okropnie zimno – po paru minutach była cała sina. Nie miałem kawałka węgla, ale za to malowałem ciepłe tło. Widzisz te róże.

I kiedy przyjaciel patrzy na Toniego, oczekując uśmiechu, widzi niewinne dziecinne usta.

---

Z rękopisu odczytał Ryszard Krynicki.

© Copyright by Katarzyna Herbert i Halina Herbert-Żebrowska



## Nota

*Toni albo formalista* jest jednym z pięciu zaniechanych utworów Zbigniewa Herberta z cyklu *Charaktery*. Jego jedyny rękopis zachował się w postaci brulionu, zapisanego ołówkiem na dwóch stronach złożonej na pół kartki papieru formatu A4, włożonej luzem do zeszytu szkolnego z pomarańczową okładką (Archiwum Zbigniewa Herberta w Bibliotece Narodowej w Warszawie, akcesja 17 865), w którym znajdują się inne teksty z tego cyklu. Na trzeciej stronie tej składki zapisany jest brulion charakteru *Saturnin*, czwarta pozostaje pusta.

W kilku miejscach, zwłaszcza w pierwszym akapicie, znajdują się skreślenia i nadpisane nad wcześniejszymi sformułowaniami (lub obok nich) inne warianty tekstu. Pamiętając o tym, iż w utworach ukończonych, kiedy zachował się zarówno brulion, jak i czystopis, Herbert zazwyczaj traktował taki nadpisany (lub dopisany) wariant jako ostateczny, gdy próbowałem odczytać *Toniego albo formalistę*, postępowałem (z jednym wyjątkiem) podobnie. Na przykład w pierwszym akapicie, zamiast: „opuszczonego w dużym jak scena teatru nieopalanym pokoju”, wpisałem nadpisany wariant: „w izbie dużej i zimnej jak scena opuszczonego teatru”; zamiast: „w świecie nieartystycznym” – „w świecie pozaartystycznym”; zamiast: „a nie przyjemność / rozrywkę – jako jałową pasję”. Podobnie w drugim akapicie, zamiast: „W czasach najgorszego terroru”, wpisałem dopisane na marginesie: „Na dzień okupacyjnej nocy”, a w końcowym zdaniu tego akapitu zamiast: „tak samo soczysty jak u Bonnard’a” – „tak samo prawdziwy jak u Cezanne’a”. W jednym wypadku odstąpiłem jednak od tej zasady i pozostawiłem w drugim akapicie sformułowanie: „prawdziwy męski protest”, ponieważ nadpisany nad nim wariant: „piękny gest” oznacza działanie jednorazowe. Można przypuszczać, że gdyby poeta chciał *Toniego albo formalistę* opublikować, sformułowałby to jeszcze inaczej.

W trzecim akapicie, po zdaniu: „O dziewczynie nie mówiono piękna, mądra, ale wspaniała” następuje wykreślone ostatecznie zdanie: „Było w niej prawdziwe, duże, ciepłe życie”.

W odróżnieniu od innych tekstów z tego cyklu (pisanego w latach 1950–1951), Herbert wrócił do *Toniego albo formalisty* w 1955 roku, kiedy pracował nad utworami, jakie w większości weszły później do tomu *Hermes, pies*

*i gwiazda*. W jednym z notatników z tego roku (akcesja 17 955 tom 55), zawierającym między innymi takie poematy prozą (czy raczej wiersze prozą) z cyklu *Bajki*, jak: *Od końca*, *Żołnierz*, *Klasyk*, *Kura* – znajduje się również utwór zatytułowany *Formalista*, który w nieco odmiennej postaci (ze zmienionym tytułem, imieniem głównego bohatera oraz bez wykreślonego w rękopisie ostatniego zdania) znalazł się w drugiej części tomu *Hermes, pies i gwiazda* jako *Malarz*:

„*Formalista*

Pod ścianami białymi jak las brzoźowy rosną paprocie obrazów. W zapachu terpentyny i olejów Miron odtwarza dramat cytryny skazanej na życie z zieloną draperią. Jest tu także akt kobiecy.

Moja narzeczona – mówi Miron. Pozowała mi w czasie okupacji. Była zima bez węgla i chleba. Pod białą jej skórą krew zbiegała się w sine plamki. Wtedy malowałem ciepłe różowe tło”.

Ostatnie, wykreślone zdanie w tej wersji brzmiało: „Usta Mirona są niewinne jak oczy” – co jest skrótową syntezą opisu oczu i ust Toniego. Przejmuję z tej wersji określenie: „niewinne” – i wpisuję je w miejsce zapisanego skróto, i w związku z tym nieczytelnego dla mnie (ale, jak się zdaje, także dla samego autora) trzeciego od końca słowa w ostatnim zdaniu utworu *Toni albo formalista*, który, jak sądzę, można jednak potraktować jako tekst autonomiczny, chociaż można go też traktować jedynie jako pierwszą wersję *Malarza*.

Ryszard Krynicki

## JULIA HARTWIG

CISZA SPOKÓJ i zastygłe istnienie  
zapomniałam kształtów i barw  
wszystko było i niczego nie szkoda  
bo tyle wiem że czas to zawsze czas  
*I tak właśnie kończy się świat*  
*Nie hukiem ale skomleniem*  
a miejsce miejscem jest i niczym więcej  
a co się dzieje dzieje się tylko raz

CZESŁAW MIŁOSZ  
Na urodziny Błońskiego

Cześć i chwała, Panie Janie,  
Jubilacie jagielloński!  
Przyjmij moje wieszanie  
Trochę też od całej Polski.

Bo w Krakowie profesorów  
Rozumne się myśli lęgną,  
Przeciwko złudzie pozorów  
Ochroniałeś ład i piękno.

Więc jednak togi, birety  
Mają skutki dobroczynne  
W tych ścianach, które są słynne  
Z kopernikańskiej lunety.

Joanna Hejlander



JAN BŁOŃSKI  
Listy do Czesława Miłosza  
(wybór)

27.XII.1961<sup>1</sup>

Drogi Czesławie!

Bardzo to nieładnie, że tak długo nie pisałem, poprzednio się zapowiadając – więc przyjm najpierw życzenia najlepsze, dla Pani i dla Ciebie, od nas obojga; bowiem wszystko dobrze poszło i już w październiku odnaleźliśmy się we Francji pod następującym adresem: 2, Allée Paul-Verlaine, Sarcelles-Lochères, S-et-o<sup>2</sup> – w całkiem przyzwoitym mieszkaniu, o które wystarał się – cud prawdziwy! – rektor Sorbony<sup>3</sup> (podobno lubił Słowian... z wyjątkiem Rosjan). Jesteśmy tu wszyscy, z dziećmi włącznie, i podczas gdy ja francuzieję, reszta rodziny przeżywa gwałtowny kryzys patriotyzmu. Dzieci, ze wstrętu do Francuzów i do „szkoły-męki” (tak nazywają francuską szkołę), całymi dniami czytają, ni mniej, ni więcej, tylko *Pana Tadeusza*, a nie muszę mówić, że nigdy ich do tego nie namawiałem, przeciwnie, bo i wiek (dziesięć i osiem)<sup>4</sup>, i byłem przekonany, że to ich znudzi; tak to małodusznie nie doceniałem tych rezerw polskości (czy litewskości, drogi Żmudzinie!), jakie w tej książce zawarte. Dodam jeszcze, że początek naszego pobytu był potworny, tak dokuczliwy i trudny pod każdym względem, mimo mojego tu obycia i znajomości, że aż niemiło wspominać. Teraz się to trochę poprawiło i może nawet jakiś wyższy pożytek da się z naszego pobytu wyciągnąć.

---

<sup>1</sup> Data dopisana ręcznie, długopisem.

<sup>2</sup> Jan Błoński mieszkał z rodziną w Sarcelles w latach 1961–1966, z przerwami na wakacje, które spędzał w Polsce.

<sup>3</sup> Mowa o historyku Jeanie Sarrailhu (1891–1964), specjalizującym się w historii Hiszpanii, który był rektorem Sorbony od 1947 do 1961 roku, kiedy przeszedł na emeryturę. Na tym stanowisku zastąpił go Jean Roche (1901–1992), znany później z wydarzeń maja 1968 roku, kiedy zezwolił policji na wejście do Sorbony.

<sup>4</sup> Dzieci Jana i Teresy Błońskich, starszy syn Krzysztof i młodszy – Piotr.

Oczywiście dalej pracuję na Sorbonie, jak wiesz: w tym roku trochę to poważniej wygląda, zatwierdzono *licence*<sup>5</sup> z polskiego, Bourrilly<sup>6</sup> opowiada o *Lilli Wenedzie* i studenci gorączkowo notują: „*qu'est-ce qu'il a dit? La forêt druidique? Slas? C'est quoi, Slas?*”<sup>7</sup> – a mnie zapędzono do mówienia o renesansie i, naturalnie, ćwiczeń gramatycznych. Tu mogłem sprawdzić raz jeszcze Twoją przenikliwość, kiedy poetów namawiałeś do nawiązywania do tych tradycji starych, do Szarzyńskiego, Szymonowicza itd. – jakie to skarby i głęboko współczesne, nie bardzo nawet wiem, dlaczego. Ale to jak do ściany mówić, zwłaszcza młodszymi. Najgorsze, że przekonać nie można, bo nie masz nawet pojęcia, jak się utwierdził irracjonalny stosunek do poezji, może trochę w opozycji do aż nadto „racjonalnego” tłumaczenia, że literatura=ideologia itd. Przy tym – prawdziwa egzasperacja swoją młodością i główny problem, nad wszystkie ważniejszy: postawić się, wykazać, że jest się innym i że ma się rację, co na jedno wychodzi; posiłam Ci książeczkę, którą wydałem niedawno na ten temat<sup>8</sup> – przykro mi było, że nikt z młodszych, o których tam mowa, nic z niej serio nie podjął, a upieram się, że jest dość przenikliwa. Jak Cię polskie rzeczy nie nudzą (tzn. polskie współczesne), to może przeczytaj ją i napisz mi parę słów, najlepiej nieprzyjemnych, naprawdę, bo to pożytecznie i nawet pochlebnie. *À propos* tego kompleksu niższości (czy wyższości), dręczącego młodych, godne uwagi było opowiadanie Czycza w „*Twórczości*” pt. *And*<sup>9</sup>.

Wakacje naturalnie spędziłem w Polsce. Jest to, jak Ci wiadomo, kraj osobliwy i nie bardzo się nawet mogę połapać w przeważającej tendencji. Z jednej strony UB niewątpliwie znacznie wzmogło swoją działalność, Aparat niewątpliwie obawia się ew. nawrotu rewizjonizmu, a gospodarka – po znacznej poprawie poprzednich lat – jak gdyby przystopowana. Z drugiej – lud pozostaje w całkowitym prawie „pozytywizmie” i kupuje telewizory, w czym ma zresztą rację. Kwasili się ostatnio profesorowie, no i Kościół. Ale, jak to

---

<sup>5</sup> *licence* (fr.) – licencjat, we Francji – podobnie jak w dzisiejszej Polsce – pierwszy stopień studiów wyższych.

<sup>6</sup> Jean Bourrilly (1911–1971) – francuski tłumacz i historyk literatury polskiej; znawca twórczości romantyków, między innymi Juliusza Słowackiego, o którym napisał książkę *La Jeunesse de Jules Slowacki (1809–1833)* (Paris 1960). Przekładał poezję, między innymi Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego, za co otrzymał w 1960 roku nagrodę polskiego PEN-Clubu za przekłady literatury polskiej na języki obce.

<sup>7</sup> *Qu'est-ce qu'il a dit? La forêt druidique? Slas? C'est quoi, Slas?* (fr.) – Co on powiedział? Las druidyczny? Slas? Co to takiego Slas?

<sup>8</sup> Jan Błoński, *Zmiana warty*, Warszawa 1961.

<sup>9</sup> Stanisław Czycz, *And*, „*Twórczość*” 1961, nr 3; wydane jako książka w 1980 roku nakładem Wydawnictwa Literackiego.

w Polsce, w miarę i żołądkowi społecznemu udaje się jak dotąd strawić posunięcia, zmierzające do wychowania Nowego Człowieka. I tak polska rozlazłość oddaje nam pewne usługi. W literaturze fale ulg i zaciśnień cenzuralnych wydają się zupełnie irracjonalne.

To mi przypomina, że w lipcu, w Krakowie, na Szczepańskiej ulicy bardzo szeroko otworzyłem gębę, widząc na Klubie Prasy i Książki<sup>10</sup> afisz zapowiadający... wieczór Twoich wierszy. Ale potem się okazało, że odwołane z powodu choroby wykonawców... Osobliwe, nie choroba, ale to, że najpierw puścili. Skądinąd Twój wielbiciel cytują Cię, jak mogą, anonimowo, z dodatkiem „wielki poeta” albo jeszcze więcej, albo z nazwiskiem, jeżeli na gębę. Jeszcze niedawno, pisał mi ojciec, Wyka mnóstwo o Tobie mówił na jakimś odczycie. Piszę to, bo chyba przyjemne te nitki między Wawelem a Kalifornią.

Jeśli możesz, to napisz mi słów parę. Jeszcze raz – Najlepsze Życzenia i dłoń bardzo serdecznie ściskam – Janek Błoński

Sarcelles, 12.6.62

Drogi Czesławie!

Jest mi bardzo wstyd, że tak późno odpisuję, bierze się to częściowo stąd, że obiecuję sobie napisać Ci coś mądrzejszego, zastanawiam się, przez to zwlekam itd.; częściowo zaś stąd, że starałem się trochę nadrobić czas stracony, pisałem jak najwięcej – zresztą z małym rezultatem. Teraz już nie mam złudzeń... i wyjeżdżamy do Włoch, małe wakacje, a potem do Krakowa, koło 15 lipca. Powinienem wrócić pod koniec września, na początku października najpóźniej, wtedy zaraz do Ciebie napiszę. Oczywiście jest ta jedna możliwość na sto, że się coś zatnie i do Paryża nie wrócę. Byłby to jednak skandal, zwłaszcza na Sorbonie, powodów do gniewu Władz na mnie nie ma – słowem, nie przypuszczam, aby się tak stało. Szału bym chyba dostał ze złości, nie dlatego, że muszę żyć w Paryżu, bo wcale nie muszę, im dłużej tu jestem, tym wyłącznie zajmuję się polskimi sprawami;

---

<sup>10</sup> Błoński ma zapewne na myśli Klub Międzynarodowej Prasy i Książki – sieć placówek kulturalno-oświatowych, prowadzących czytelnice prasy i działalność imprezowo-wystawienniczą oraz księgarnie. KMPiK funkcjonowały w większych miastach (w 1974 roku sześćdziesiąt dziewięć tak zwanych salonów KMPiK) w odróżnieniu do Klubu Prasy i Książki „Ruch”, które działały w mniejszych miejscowościach (osiem tysięcy placówek) i na wsiach (sześć tysięcy).



raczej dlatego, że jeśli mam rzeczywiście wyciągnąć jaki pożytek z tego pobytu, to tylko w przyszłym i ewentualnie zaprzyszłym roku: adaptacja, i materialna, i duchowa, przynajmniej żony i dzieci, okazała się trudniejsza, niż myślałem; i ten rok, co minął, gdyby nie to, że przygotował następne, uważałbym w dużej mierze za stracony. Ale jak będzie, tak będzie. Dostyc się tu nabiegałem, nazłościłem, nauczyłem rzeczy mało potrzebnych; tyle że XVI wiek poznałem i w końcu nie jest wykluczone, że – trochę na wariata – napiszę o tej poezji pracę<sup>11</sup>, narażając się na gniewy „specjalistów”; trzeba w końcu trafić na uniwersytet, za Twoim przewodem, a w Polsce to jeszcze bardziej się zaleca, bo, jak Ci wiadomo, profesorowie są ponad prawem; Wyka bardzo zabawnie kiedyś mi to wbijał do głowy. (Zarazem jednak wpakował w pracę doktorską, której tu nie mogę napisać, z braku książek etc.). *À propos*: może Cię to zabawi, że Sandauer został w W-wie docentem<sup>12</sup>; chętnie bym pobiegł na wykład, posłuchać, jak odsądza od wartości wszystko, z wyjątkiem Greków, Gombrowicza, pierwszego tomu Białoszewskiego i Robbe-Grilleta. Czy tam w swoim Berkeleyju<sup>13</sup> musisz zajmować się choć trochę filologią? Zauważ, że w głębi ducha jestem przekonany, że doskonale się na tym znasz; krążą o Tobie rozmaite anegdotki, z których wynika, że umiesz wszystko, starannie to maskując; z Brzozowskiego<sup>14</sup> też by to wynikało, wolałbym jednak napisać Ci o tej książce później, w Polsce chciałbym zajrzeć do jego tekstów; ale zrobię to na pewno i na pewno list na ten temat dostaniesz. W każdym razie, jak Ci wiadomo, jest teraz w Polsce silne zainteresowanie Brzozowskim i Twoja książka niezwykle celnie trafia: u nas to zainteresowanie jest trochę koślawe, bo dopowiadać pewnych spraw – najistotniejszych – nie można, czy trudno. W jednym miejscu piszesz w swojej książce, że nie mogłeś znaleźć przedmowy do Newmana<sup>15</sup> – jak chcesz, to dam ją przepisać i pošlę do Berkeleyju? Jeszcze jedna – wstępna – uwaga: wszystko się w myśleniu kulturalnym trzyma i z chwilą, gdy nastąpi

---

<sup>11</sup> Błoński wspomnianą pracę ukończył i wydał jako książkę *Mikołaj Sęp Szarzyński a początki polskiego baroku*, Kraków 1967. Później stała się też podstawą jego habilitacji.

<sup>12</sup> Artur Sandauer (1911–1989) – krytyk literacki i tłumacz, propagator twórczości Schulza i Białoszewskiego, znany polemista. Po uzyskaniu doktoratu na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1948 roku, habilitował się w 1962 roku na Uniwersytecie Warszawskim. Rok później otrzymał tytuł docenta. Na UW wykładał do 1979 roku.

<sup>13</sup> Czesław Miłosz został wykładowcą Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich na Uniwersytecie Berkeleyy w Kalifornii w Stanach Zjednoczonych w 1960 roku.

<sup>14</sup> Aluzja do książki Czesława Miłosza *Człowiek wśród skorpionów. Studium o Stanisławie Brzozowskim*, która ukazała się nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu w 1962 roku (w nowej edycji *Dzieł zebranych* Miłosza nakładem Wydawnictwa Znak w roku 2000). Fragmenty w „Kulturze” 1961, nr 4 (162).

<sup>15</sup> Chodzi o wybór pism Johna Henry’ego Newmana *Przyświadczenie wiary*, w przekładzie i z przedmową Stanisława Brzozowskiego, Lwów 1915.

prawdziwe przewartościowanie tradycji, dorobku, polska literatura będzie „ocalona”: otóż wysunięcie Brzozowskiego (tak jak Norwida itd.) jest niezbędnym warunkiem. Właściwie marksiści zupełnie przegrali walkę o odnowienie kultury polskiej i rozmiary tej porażki nie przestają mnie dziwić, w końcu nie brakowało im ani środków, ani nawet mózgów. Cała ich taktyka doprowadziła albo do rehabilitacji rozmaitych pozytywistycznych i oświeceniowych nicości (ludzi może godnych szacunku, ale kruchych, ciasnych), albo do przeznakowania tradycyjnych uwielbień (Mickiewicz etc.), tak że w końcu nie ma wielkiej różnicy między Chrzanowskim i Żółkiewskim, z tym naturalnie, że Chrzanowski więcej wiedział, lepiej znał szczegóły. Podobno pojawiło się ostatnio trochę wartościowych prac z historii, historii myśli i kultury; w każdym razie to, co ja widzę w historii literatury, jest międzeniem oczywistości albo chamowatym spłycaaniem, pełnym tej „postępowości” z „Argumentów”<sup>16</sup> czy kawiarni PIW-u, gdzie 3/4 problemów kulturalnych załatwia się wzruszeniem ramion (musisz to znać: „mistyczne brednie”, „ciemnogród”, „mętne”). Zdziwi Cię może moja złość; na pewno masz rację, w tym sensie, że ja nie znałem już tego okropnego rzeczywistego ciemnogrodu przedwojennego i nie „czuję” go nosem, mało mnie on obchodzi: dla mnie ciemnogrodem zajeżdżało zwykle od innej strony. Ale w końcu to nie moja wina, że czas płynie. „Postępowości” ojczyście przypominają mi nieraz Gomułkę, który na zebraniu młodzieży tłumaczy dwudziestoletnim chłopcom, jak to źle było przed wojną, jak wiele zdziałano, i dziwi się, że śpią. Oczywiście, on ma rację, ale stare sprawy nikogo nie obchodzą, przynajmniej zaś nie obchodzą dwudziestolatków, którzy szaleją za techniką, komfortem i dość mają trzeźwości, by zauważyć, że w ich fabryce technologia staroświecka, płace na głowie, tysiąc rzeczy do zrobienia, byle tylko pomyśleć. I tak „starzy” działacze mówią do własnych wspomnień, młodszy zaś – powtarzają rytualne zwroty.

Chociaż takie zbliżenie może Cię zaskakiwać, muszę powiedzieć, że Twoja rzecz o Brzozowskim jest dowodem myślenia, zupełnie wyzbytego tych historycznych obciążeń, w jedną albo drugą stronę, tym samym zaś – dowodem absolutnego słuchu historycznego, który jeszcze rzadszy niż muzyczny.

Czytałem tu trochę „Kulturę” i też mnie na ogół złościła. Dlaczego Giedroyc popadł w ten irrealizm emigracyjny, którego się przecież dość długo umiał wystrzegać? Rolę „Kultury” rozumiałem tak: przede wszystkim trybuna paru pisarzy,

---

<sup>16</sup> „Argumenty” – tygodnik społeczno-kulturalny, ukazujący się w Warszawie w latach 1957–1990 jako periodyk Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli, następnie Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej. W 1982 roku zmienił tytuł na „Tygodnik Współczesny – Argumenty”.

bez których nasza literatura nie może się obejść; dalej – „głos trzeźwy, wolność ubezpieczający”, tzn. miejsce dyskusji rozmaitych poglądów natury polityczno-kulturalnej, pisanych raczej z pozycji klerkowskich, bez trosk taktycznych ani uczuciowej zajadłości, ale za to trzeźwych i intelektualnie bezkompromisowych; słowem, pielęgnowanie miejsca osobnego, gdzie by wypowiadali się ludzie zdolni abstrahować od chwilowych namiętności i na tyle rozsądni, aby zdawać sobie sprawę, że nie można robić polityki na odległość i dobrymi radami. To, mnie się zdaje, było zawsze w Polsce rzadkie i dlatego tak mogłoby być pożyteczne. Tymczasem „Kultura” tak strasznie przeżywa zawód na Gomułce, jak nie przymierzając Salan<sup>17</sup> na de Gaulle’u; ostatecznie ten Gomułka, przy całych swoich zasługach, nie był nigdy w Polsce przedmiotem kultu sfer intelektualnych, skąd więc ta zawiedziona miłość? Poza tym, co innego jest stawiać na rewizjonizm, a w końcu wszyscy stawiają, od Kennedy’ego do Chruszczowa, co innego o tym trąbić na każdej stronie. Nigdy bym, jak niektórzy, nie zalecał ostrożności intelektualnej, przemilczania („bądźmy cicho, bo w ten sposób pomagamy siłom liberalnym”), ale to jest co innego niż zajadłość, prowokowanie. Na przykład ta historia z Tercem<sup>18</sup>, która podobno postawiła na nogi całą policję Imperium z przyległościami, a tymczasem słyszę tutaj z kilku stron, że autor nie jest bynajmniej już obywatelem Związku, ale przez Polskę wyemigrował do Izraela. Jeśli tak jest naprawdę, to Giedroyc wariuje. Zaopatruje na przykład artykuły, dziwnie obce stylem warszawskim przyzwyczajeniom, w wstępi<sup>19</sup>, że w Wwvie odbyło się tajne zebranie, na którym mu ten memoriał wygotowano etc. – widziałeś na pewno. Dalej te wojny z Kisielem<sup>20</sup> itd. (notabene Kisiel też się wpakował trochę

---

<sup>17</sup> Raoul Salan (1899–1984) – generał francuski, weteran walk o wolną Francję; w 1958 roku brał udział w próbie przejęcia władzy w Algierii (13 maja 1958) i wspierał powrót do władzy generała Charlesa de Gaulle’a. Później odwrócił się jednak od de Gaulle’a i przystąpił do tak zwanego puczu generałów w dniach 21–26 kwietnia 1961 roku, zorganizowanego w proteście przeciw tajnym rokowaniom rządu francuskiego i algierskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego. Próba zamachu stanu zakończyła się jednak klęską, Salan i inni generałowie zostali aresztowani, oskarżeni o zdradę i skazani na karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie; w 1968 roku Salan wraz z innymi przywódcami nieudanego puczu zostali amnestionowani.

<sup>18</sup> Abram Terc, pseudonim Andrija Siniawskiego, rosyjskiego pisarza, eseisty i historyka literatury, autora wydanych w Instytucie Literackim książek: *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny* (1959), *Opowieści fantastyczne* (1961), *Lubimow* (1963) i *Myśli niespodziewane* (1965). Błoński nawiązuje tutaj do kwestii prawdziwej tożsamości piszącego pod pseudonimem autora, który został zdemaskowany dopiero w 1966 roku, po czym natychmiast aresztowany i skazany na siedem lat łągru. Siniawski-Terc wyszedł na wolność w 1973 roku i wraz zoną – Mariją Rozanową – wyemigrował do Paryża.

<sup>19</sup> Błoński ma zapewne na myśli krótki wstęp do niepodpisanego tekstu *Przegrana Gomułki*, „Kultura” 1962, nr 6 (w spisie treści tego numeru „Kultury” pod tytułem *Porażka Gomułki*).

<sup>20</sup> Zobacz polemiczne teksty Juliusza Mieroszewskiego, *Oni i my*, „Kultura” 1961, nr 12 (170) i Stefana Kisielewskiego, *List do redaktora „Kultury”*, „Kultura” 1962, nr 3 (173).

niezręcznie w miłość do obrazu)<sup>21</sup>. Co Ty o tym myślisz? Odpiszesz mi ewentualnie na jesieni. Ostatecznie, chętnie przyznam, że się mylę, ale nie widzę możliwości zwycięstwa w wojnie Maisons-Laffitte z KC PZPR. Więc po co? Roboty, z Polską związaną, i tak jest dużo; oczywiście, rozumiem mechanizm, jaki działa w giedroyciowej duszy, ale właśnie myślałem, że tam nie podziała...

Ale dość już polityki. Dodam tylko, że my tu, w Europie, bogacimy się i nie długo Was, Amerykanów, przegonimy. Żarty oczywiście, bo z wszystkiego, co o USA słyszałem, wynika, że jest to już cywilizacja jakościowo inna, niemniej rozkwit tutejszy Polaka trochę zaznajomionego z Zachodem (a nie naiwnego, co przyjeżdża i rozzarowany, bo mu się przyśniło, że nylony z nieba spadają) uderza i zastanawia. I niejako martwi, raz z brzydkich powodów („znowu im się udało!”), raz ze szlachetnych, bo jak w tej sytuacji będzie reagował Związek i jak potoczą się nasze losy, w kraju, którego naturalna logika gospodarcza popycha teraz ku Wschodowi? – Znowu politykuję, bo to najłatwiej, aż mi wstyd. Wolałbym zadawać Ci różne niedyskretne pytania, w rodzaju: czy wierzysz (wierzyłeś) w Boga, kiedy, od kiedy i w jakim sposobie; co to jest Polska dla „Litwina”; czy rozmaite zmiany, jakim dawałeś wyraz, odczuwałeś dialektycznie, jako pewien konieczny rozwój, czy też dramatycznie, jako wykluczające się sprzeczności, z którymi nie wiadomo, co zrobić; czy naprawdę „bałeś się” marksizmu, czy też od razu mniej więcej wiedziałeś, jak sobie z nim poradzisz; czy opinia literacka (o Tobie) była dla Ciebie czymś istotnym, inaczej mówiąc, czy, zmieniając się, brałeś poprawkę na reakcję czytelnika „literackiego” (pytanie niby błahe, ale mógłbym pod nim ukryć rozmaite zasadzki); jak układał Ci się spór między pojęciem człowieka – „dziecka natury” i człowieka – całkowicie „kulturalnego”, społecznego; czy Ty z roku, powiedzmy 37, podobasz się sobie, czy też patrzysz na tamtego ze zgrozą itp. Ale muszę to najpierw przestylizować na bardzo „literackie” pytania, utopić w odpowiedniej frazeologii, tak żeby były *Entretiens avec...*<sup>22</sup>. Jeżeli pozwolisz, jeżeli Cię takie pytania i pretensje o odpowiedź z mojej strony nie gniewają i nie śmieszają za nadto (albowiem doskonale rozumiem odpowiedź: a pomęcz, wydedukuj na swój rozum z tego, co napisałem, ja miałem już z tym dość kłopotu!) – kilka takich pytań (a raczej odpowiedzi) to byłoby dla mnie istotne. Jesteś bowiem wielokształtny i czasem przewrotny, co krytyka, którym mimo wszystko trochę jestem, niepokoi i dręczy; a poza tym, w końcu, też jestem człowiek i chciałbym Wiedzieć (to drugie ważniejsze, ważniejsze...). Bardzo

---

<sup>21</sup> (\*) w tym sensie, że „obraz do niego ni razu” – dopisek autora.

<sup>22</sup> *Entretiens avec...* (fr.) – Rozmowy z...

Cię proszę, nie miej mi za złe tych nagabywań, a raczej zapowiedzi nagabywań, przyjm moje przeproszania, Żonie przekaz ukłony, ja zaś Ciebie ściskam –

Janek

Sarcelles, 30 października [1962]

Drogi Czesławie,

Odzywam się wreszcie – dopiero teraz, bo późno przyjechaliśmy. Nie, żadnych kłopotów paszportowych (choć po cichu przyznaję, że za każdym razem, jak wracam do Polski, odchlorowuję zupełnie jak dotąd – tfu, tfu! nieuzasadniony strach przed kaprysami ubeków, którzy ze specjalną troską odnoszą się do wyjazdów zagranicznych, niezbyt się z tym kryjąc); umarła matka mojej żony<sup>23</sup>, chorowała, łudziliśmy się, nie wiedzieliśmy, co robić, w końcu stało się jasne, że tylko czekać trzeba, i stało się.

Chciałbym zapytać Cię o kilka spraw, które zapowiadałem przed wakacjami, ufam, że Cię moja bezceremonialność nie uraziła; ale najpierw chciałbym Ci zrobić przyjemność i uspokoić pewną troskę, którą kiedyś wyczułem, może mylnie, ale chyba nie; mianowicie, odnosiłem wrażenie, że Ty się niepokoisz o los swojej poezji w Polsce, o jej oddziaływanie. Zastanawiałem się jeszcze nad tym z okazji artykułiku o poezji, który chcę napisać do „Przeglądu”<sup>24</sup> (zaczęłem tam pisać tygodniowy felieton, w ślad za Kijowskim i za sobą, bo to przed paru laty robiłem)<sup>25</sup>, o tej osobliwej trochę ścieżce liryki naszej, która wydaje mi się właściwie zupełnie schizofreniczna, oderwana od reszty tego, co się dzieje w literaturze, ale też i przez to lepsza, choć zupełnie, mówiąc modnie, wyalienowana. Niewątpliwie, wśród poetów dojrzałych najwięcej wpływu, mimo wszystko, ma Przyboś (złośliwie można powiedzieć, że to „za grobem zwycięstwo”, bo on sam jakiś strasznie skostniały mi się wydaje, choć go b. lubię, zastrzegam się), nie Gałczyński, którego notowania znacznie spadły, ani Jastrun, Ważyk etc.; ten – pośredni – wpływ Przybosia (Twoje o nim określenie ciągle cytowane!)

---

<sup>23</sup> Dominika Płońska, z domu Jakubowska – matka Teresy Błońskiej, z domu Płońskiej, żony Jana Błońskiego od 1951 roku.

<sup>24</sup> Chodzi zapewne o tekst *Opisanie poezji*, „Przegląd Kulturalny” 1963, nr 1 (540), którego tematyczną kontynuacją był kolejny odcinek *Moich narzekań* Błońskiego w felietonie *Poezja jako skandal*, „Przegląd Kulturalny” 1963, nr 2 (541).

<sup>25</sup> Błoński prowadził w 1956 roku cykl *Bez względów*, a później, od 1962 roku do zamknięcia pisma, cykl *Moje narzekania*.

zasługuje na analizę: jest to wpływ czysto estetyczny, biedak patronuje właściwie sztuce dla sztuki, „ładnym zdaniom”, co dość zabawne, tym bardziej, że te zdania nie tak sprawdzalne, jak u niego. Skrytszy, trudniejszy wpływ Twój (zabawię się i spróbuję to napisać – a nuż chwyci?!)<sup>26</sup>, ale to osobna sprawa. Zjawia się właściwie wszędzie przy staraniu refleksyjnym i ośmieliłbym się powiedzieć – „obywatelskim” czy moralnym: zdumiewające są wręcz kalki z Twoich wierszy w ostatnim, dobrym, zbiorze Szymborskiej (*Sól*); dalej, mniej oryginalnie, u „pseudoklasyków anglosaskich”, jak Rymkiewicz czy Sito; wreszcie, siła obrazowania znacznie wpływa na takich jak Bryll czy może Grochowiak?; chwaliłeś kiedyś tego Brylla, powtórzyłem mu to, ze znacznym spóźnieniem, umierał z radości. Słowem, wszystkie znaczniejsze aspekty Twojej poezji są czynne. Ale jest tak: pełnisz rolę niejako Mitu, mitu poety, nie dlatego, by Twoich wierszy nie znano; są znane; w Krakowie pokazywano mi, ku memu zdumieniu, *Króla Popiela*<sup>27</sup> przepisanego na maszynie od a do z, nie wiem, jakie emigracyjne dzieło mogłoby do takiego kolportażu pretendować, zwłaszcza że polityka już nie pasjonuje; mityczność Twoja polega na czymś innym; nie tylko, że oddalenie usuwa Cię od wszelkich literackich podstępów, kwasów i zasadzek, ale, co ważniejsze, sam rozwój czy ewolucja Twoja jest typu zupełnie w Polsce zanikłego; mianowicie, jesteś skazany na siebie, każdy krok jest, siłą rzeczy, tylko Twój, nie ma, przynajmniej bezpośredniej, presji wydarzeń, mody intelektualnej, „tego, co się nosi” w tzw. środowisku; a zdajesz sobie zapewne sprawę, że ta presja jest niezwykle silna, już po kilku miesiącach można usłyszeć, że coś jest „przebrzmiałe” choć przed pół rokiem uchodziło za najważniejsze; daje to pewną stadność i małą niezależność w myśleniu i rozwoju pisarzy. Czynniki środowiskowe, gettowy jest wciąż niezwykle istotny dla rozumienia literatury u nas. Otóż w tej perspektywie zmiany, posunięcia Twoje intelektualno-poetyckie nabywają swoistego znaczenia; oto ktoś, kto daje sobie sam radę, kto jest niezależny, zarazem dość zagadkowy: jak on to robi? Tym bardziej, że nie jesteś poetą „czystym” typu Białoszewskiego, który właściwie wszystko, co jest poza jego wierszami, ma gdzieś; wiersze Twoje wchodzi w grę, w strategię literacką szerszą. Stąd w końcu pomieszanie podziwu z jakby „strachem”, sam typ twórczości, postawy wydaje się odrębny, różny, dziwny; postać *à part*<sup>28</sup>, dla której

---

<sup>26</sup> W wyżej wzmiankowanych tekstach Błońskiemu nie udało się jednak przemycić nazwiska Miłosza.

<sup>27</sup> Czesław Miłosz, *Król Popiel i inne wiersze*, w: tenże, *Wiersze*, t. 2. Pierwodruk: Paryż 1962.

<sup>28</sup> *à part* (fr.) – osobna, odrębna.

nie ma punktu odniesienia. Inaczej mówiąc, Twoja obecność jest natarczywa i zagadkowa jednocześnie. Paradoks jest w tym może taki, że wyemigrowawszy ze względów w końcu politycznych, zdumiewasz jako przykład poety tworzącego poza naciskiem obyczaju literackiego, mody etc., a więc, w ostatecznym rachunku, poza naciskiem polityki (w szerokim sensie).

W końcu więc, przypuszczam, że – psychologicznie – obecność Twoja interweniuje w polu bardzo indywidualnym, na jednostkę w jej jednostkowości, wyrażając się pretensjonalnie, a nie w porównaniach typu: on i my, my – oni, taka grupa – taka grupa. To jest w końcu sprawa, jak już mówiłem, typu poety, sprawa osobistej odpowiedzialności. Więc: przy nieobecności w grupowych rozgrywkach, porównaniach itp., reprezentujesz wartość do indywidualnego rozważenia. (Pod „grupowy” rozumiem tu grupy artystyczne, kierunki poezji itd.).

Jest tu może sprawa ogólniejsza do rozważania, sprawa ogólnej pozycji pisarza w Polsce, który nabył, silniej, niż się mu kiedykolwiek zdaje, właściwości sejsmografu społeczno-obyczajowego, a zarazem stracił znacznie poczucie odpowiedzialności indywidualnej, nie tylko moralno-politycznej, ale też artystycznej.

Polska dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Możliwe zresztą, że rozszczepiam nieistniejące włosy na czworo. Zostawiam na boku sprawy gospodarczo-polityczne, choć widać i tam jakieś rozszczepienie, kolosalne postępy przy zastoju czy cofaniu się gdzie indziej. Sprowadza się to zapewne do koszmarnego zaco-fania organizacyjnego i potwornej wydajności pracy, obu właściwie nieuleczalnych, bo najgłębszą przyczyną zamętu jest istnienie partii, podwójna administracja i polityzacja ekonomii, czyli sama *ultima ratio* systemu. Motyw zbędności partii narzuca się ku odruchowemu zadziwieniu wszystkich w niejednej dyskusji. Ale kolosalnie działa przyzwyczajenie i w końcu nikt nie reaguje żywiej. Powierzchnia życia bardziej przypomina Europę Zachodnią i nawet tradycyjne porównania „podróżników” słabiej działają. Ale w głębi różnica rośnie, na to trzeba dłuższej obserwacji. Polska jest krajem tak trudnym do zrozumienia, że już poprzednie zdanie budzi we mnie opór. Różnica rośnie – owszem, ale jednocześnie znika inna różnica: między krajem rolniczo-tradycyjnym a zurbanizowanym, przemysłowym. Właściwie doszedłem do tego, że nic nie potrafię jasno, bez zastrzeżeń i zakrętasów, powiedzieć. Jeśli interesują Cię jakieś konkretne sprawy czy problemy, wymień je, a ja w miarę sił odpowiem.

Dlaczego „dziwne wrażenie”? Z dwu względów, które może są tym samym. Taka straszna klęska ludzkich wartości, które miał ten socjalizm przynieść. Obojętność społeczna, prymitywny indywidualizm, nieumiejętność współpracy, kooperacji, zanik odpowiedzialności; tak naprawdę, to ludzie są bardzo dalecy

jeden od drugiego. Nawet życie towarzyskie jakieś przypadkowe, niesystematyczne, raz natręctwo, raz obojętność. Zanik formy współżycia. A jednocześnie Polacy skarżą się na „zimny” Zachód! Jakby mał ludzka, raz się klei do siebie, lepi, że oderwać nie można, a potem odrywa się nie wiadomo dlaczego i odpływa w pustkę, w nic.

Inna rzecz: ja już czuć zaczynam, że wszystko, czym się wychowałem, już nie bardzo działa. (Zwracam Ci uwagę, że zostałem wychowany bardzo tradycyjnie, choć rozsądnie i tolerancyjnie). Śmierć frajerom, ale nie w imię dalek sięgającego, rozsądnie-zimnego wyrachowania, jak na przykład we Francji, ale dla chwilowej korzyści, cwaniactwa. A zwłaszcza: dla prestiżu, bo wszyscy są chorzy na uraz mniejszej wartości. Jeden wobec drugiego, nie tylko w stosunkach Wschód – Zachód. Pod tym względem Gombrowicz był genialnie prekursorskim diagnostą. Ponieważ nie istnieją żadne hierarchie i korektorka w gazecie uważa, że powinna jeździć cadillakiem i być szanowaną, docenioną etc. jak profesor uniwersytetu, każdy uważa się jednocześnie za skrzywdzonego i za „lepszego”. Karykaturuję to trochę, ale tak jest, a zresztą przykład z korektorką autentyczny. Nie muszę Ci mówić, że z ortografią u niej nie najlepiej.

To wszystko sprawia – a przecież jest jeszcze sprawa kryzysu tysiąca wartości, kryzysu w praktyce społecznej (takich jak patriotyzm – przy całym trzewiowym szowinizmie! – rodzina, religia, sztuka – już minął czas nabierania dziewczynek na sztukę – skarżył mi się niedawno żartem Flaszen<sup>29</sup>...) – otóż to wszystko sprawia, że niejeden z moich przyjaciół, a i ja sam po trosze, trochę się obco zaczynamy czuć we własnym kraju. Co nie znaczy wcale, żeby swojsko gdzie indziej! Na przykład Tadeusz Nowak<sup>30</sup>, pamiętasz go na pewno jako poetę, tak przywiązany do wsi, wychowany w tarnowskim, przesiąknięty chłopskim radykalizmem: to już nie moja wieś – mówi – ja ich nie rozumiem. Cytuję Ci to, bo mnie zadziwiło; w sferach inteligenckich odczucie znacznie wyraźniejsze, częstsze. Ale może to jest kwestia wyobcowania tzw. starej inteligencji, do której

---

<sup>29</sup> Ludwik Flaszen (urodzony w 1930 roku) – krytyk, pisarz, człowiek teatru, współzałożyciel i współanimator Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego (1959–1984); przyjacielem Błońskiego od lat studiów, członek tak zwanej krakowskiej szkoły krytyków, autor książek: *Głowa i mur* (1958, skonfiskowana przez cenzurę), *Cyrograf* (1971, 1996), *Teatr skazany na magię* (1983) i *Grotowski&Company. Źródła i wariacje* (2014). Od 1984 roku, po rozwiązaniu Teatru Laboratorium, mieszka w Paryżu.

<sup>30</sup> Tadeusz Nowak (1930–1991) – poeta, prozaik, pochodził z rodziny chłopskiej i doświadczenie wsi uczynił głównym tematem swojej twórczości literackiej; debiutował w 1948 roku, a w 1954 roku ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim; publikował w szeregu pism, pracował zaś nieprzerwanie od 1965 roku w dziale poezji „Tygodnika Kulturalnego”; w 1987 roku otrzymał Nagrodę Fundacji Kościelskich.



wszyscy prawie należymy? To możliwe, ale wcale dla nas nie weselsze. W końcu zostanie się człowiek niby jakiś „południowiec” z amerykańskiej literatury, nieaktualny, aż zaczną to za pięćdziesiąt lat odkrywać pisarze.

Naturalnie, przesadzam, wiem, że przesadzam. Mówię Ci rzeczy dość głęboko ukryte. Tylko w literaturze można by to wypowiedzieć, ale ja nie jestem powieściopisarz. Może zawsze byłem zanadto związany z przeszłością, trzeba było zapalać się do ZWM-ów<sup>31</sup>, udawać, że się robi rewolucję itd. Ale nie mogę opędzić się od wrażenia, że cały ten okres – 44–47 – jest już zupełnie zmystyfikowany. Dla jego aktorów i dla młodszych. Największy zapewne sukces propagandowy PRL – wmówić w siebie, że robiło się rewolucję na własny rachunek. Zapewne, inaczej to było wśród chłopów, robotników. Ale jak? Nikt już nie wie. Chłopów obchodzi rzeczywiście tylko jedno: ziemia. Teraz wybrzydząją na Gomułkę, jak na Bieruta, ponieważ umierają ze strachu przed rekolektywizacją (która nie nastąpi) i nie mogą jeszcze brutalniej łupić miast. A jak ich „miastowi” nie lubią! Jest to wszystko dosyć groteskowe – przynajmniej w krakowskim, tylko o tym mogę mówić. Wracając do czasów *Zdobycia władzy*<sup>32</sup> – wątpię, żeby się kiedyś te lata w powszechnym odczuciu inaczej ułożyły. Już za późno. Ale kto umie powiedzieć, jak naprawdę wyglądał rok 1832 albo 1863? Trzeba by Faulknera na wstrząs w pamięci narodowej, na słowo godne tego wszystkiego. Wspomniałem o *Zdobyciu władzy* – na pewno nie uważasz tej powieści za najlepszą ze swoich książek, ale to jest zapis, w którym sprzeczności nie są eskamotowane, jak w zniechęconym przeze mnie *Popiele i diament*<sup>33</sup>, który naprawdę już uchodzi w wielu oczach za „obiektywną prawdę” – cała ostrość, nie-ludzka, sprzeczności, i zupełna niemożliwość oceny, oceny tego, co się dzieje.

Obawiam się, że piszę o sprawach, które dawno już przeżywałeś, i nieciekawych dzisiaj; wracają one pośrednio, w innym kształcie, w innym pokoleniu. Napisz mi słów parę, a ja tymczasem muszę znowu przygotować się do udawania, że znam gramatykę polską – łączę ukłony dla Pani i Ciebie, najserdeczniej pozdrawiam –

Janek

---

<sup>31</sup> Związek Walki Młodych (ZWM) – komunistyczna organizacja młodzieżowa powołana do życia w styczniu 1943 roku jako przybudówka Polskiej Partii Robotniczej (PPR); jej członkowie uczestniczyli w akcjach dywersyjnych w czasie wojny, a po niej wspierali działania PPR; ZWM organizował także kluby sportowe i kulturalno-oświatowe. W 1948 roku stał się organizacją masową (około dwieście pięćdziesiąt tysięcy członków) i został włączony do Związku Młodzieży Polskiej (ZMP).

<sup>32</sup> Czesław Miłosz, *Zdobycie władzy*, Kraków 1999. Pierwodruk: Paryż 1955.

<sup>33</sup> Jerzy Andrzejewski, *Popiół i diament: powieść*, Warszawa 1948.

2, Allée Paul-Verlaine, Sarcelles-Lochères, S-et-O

PS. Czy „Jankesi” denerwowali się Kubą<sup>34</sup> i bali, tak naprawdę? Napisz, jak to u przeciętnego Amerykanina, będąc wiedział o tej sprawie od W-wy po Kalifornię!?

Sarcelles, 3 lutego<sup>35</sup> [1963]

Drogi Czesławie,

Bardzo, bardzo mi wstyd. Bo na niewielu rzeczach tak mi zależy, jak na Twoich listach i opiniach, a sam nie umiem na czas odpowiedzieć. Ale naprawdę jedno warunkuje drugie, zawsze chcę napisać coś mądrego i przez to nie piszę nic. Lepiej już pleść, a zawsze coś się z tego dorozumiesz.

Życiowo i bytowo u nas niewiele nowego, tyle że pracy sporo, jak na moje lenistwo przynajmniej, nie zawsze mądrej, także, niestety, zarobkowej. Ale to nieważne. Czytałem Twoje ostatnie publikacje, które dają dużo do myślenia. Co do poezji, to nie ze wszystkim się zgadzam. Upraszczając nieco, można powiedzieć, że zarzucasz poezji kontynentalnej, w przeciwieństwie do anglosaskiej, pielęgnowanie uczuć rzadkich, coraz radszych, destylację liryczną, która szła w parze ze swoistym antyintelektualizmem, a raczej – z *désintéressement* dla filozofii, światopoglądu, dyskusji. Słowem, to okaleczało człowieka, było rezygnacją. Tak to może wygląda, sądząc po epigonach i uczniach prowincjonalnych. Lecz mnie się zawsze zdawało, że – w porównaniu z uprzednimi epokami (nie dawnymi, oczywiście) właśnie troska mistyczna, światopoglądowa, filozoficzna jest szczególnie obecna, od Rimbauda i Mallarmé'ego począwszy, w całym symbolizmie, Rilke, Leśmian, w nadrealizmie także. Oczywiście, drugorzędnym zostawały ogryzki, czyli estetyzm. Chyba więc rzecz jest w czymś innym, bo co do „arystokratyzmu lirycznego” masz naturalnie rację. W czym, dość trudno powiedzieć.

---

<sup>34</sup> Aluzja do tak zwanego kryzysu kubańskiego – 15–28 października 1962 roku – czyli stanu podwyższonego zagrożenia konfliktem nuklearnym między USA i ZSRR po tym, jak te ostatnie rozmieściły na terytorium Kuby pociski balistyczne średniego zasięgu. Potencjalny konflikt był całkiem realny, dlatego w 1963 roku, by uniknąć podobnych sytuacji, uruchomiono gorącą linię telefoniczną między USA i ZSRR.

<sup>35</sup> (\*) to ten list poprzedni, co go teraz skończyłem! – dopisek autora.

Starałem się to trochę zgłębić w dwu artykułach<sup>36</sup> w „Przeglądzie Kulturalnym”, które może widziałeś. Może lęk przed „niepoetyckością” jest, w ostatecznym rachunku, lękiem przed nauką? Albo przed społeczeństwem masowym? Jesteśmy niescałkowani, niezintegrowani, tego poezja nie może tolerować, więc poeci własną jedność mogą ocalić tylko wtedy, kiedy ją ograniczą do małego wycinka. Że to trzeba przełamywać, zgadzam się całkowicie. W ogóle zgadzam się z terapią, tylko do diagnozy zgłaszałbym pewne pretensje, wątpliwości.

Druga sprawa to Twoje opowiadanie czy wspomnienie o nieszczęsnym Francuzie<sup>37</sup>, co w Bolszewii zginął. Piszę wspomnienie, bo nie wątpię, że to autentyczna historia. I ten smutek i złość, że „na nasze wyszło”, a wyście – *intellectuels de gauche*<sup>38</sup> – usiłowali nas zastraszyć i prawie się wam udało. Oczywiście, *intellectuel de gauche* jest potwór. Lecz to francuska specjalność, jak ślimaki, ten doktryner, tak do gruntu nieracjonalny, że przy nim Polinezyjczyk to kartezjańska jasność, jest, we Francji przynajmniej, jedyny, któremu sprawy tego kąta świata i sprawy socjalistycznej przyszłości leżą na sercu (mimo całego kabotyństwa, o którym trzeba pamiętać). Stąd dramat, żal i w końcu zwykła złość, którą odczuwa każdy, którego doświadczenie przekracza nadsekwąskie kawiarnie i łóżka, tak samo Polak, jak Żyd (ciekawie na ten temat rozmawiałem z Piotrem Rawiczem<sup>39</sup>, dla którego *intellectuel de gauche* to też *bête noire*<sup>40</sup>, tylko, powiada, muszę udawać, że tak nie jest, bo co ze mną będzie? a zresztą, jak powiedzieć, to i tak nie rozumieją)... Mnie też ten problem do szału męczył, starałem się to – w notatkach rozmaitych – intelektualnie rozplątać, wykazać sprzeczność, ale teraz wiem, że to nic z racjonalnością i intelektem nie ma wspólnego. Oni są mitomani, i jako tacy muszą być nieświadomie okrutni. Z tym jest trochę tak, jak z paryską modą na okultyzm i wróżki, która się przecież w najświetlejszych niby kołach szerzy. Jak wyrzucić drzwiami tę część nieracjonalną człowieka, której zachowania domaga się zdrowy rozsądek, to ona, wypaczona i ogłupiała, wraca oknem. W tym

---

<sup>36</sup> Zobacz przypis 24.

<sup>37</sup> Czesław Miłosz, *Brogart*, w: tenże, *Prywatne obowiązki*, Kraków 2001. Pierwodruk: „Kultura” 1963, nr 1–2 (183–184).

<sup>38</sup> *intellectuels de gauche* (fr.) – intelektualiści lewicy.

<sup>39</sup> Piotr Rawicz (1919–1982) – pisarz, dziennikarz, autor powieści *Le sang du ciel* (1961, tłumaczenie polskie *Krew nieba*, przełożył Andrzej Socha, Kraków 2003), której tematem jest doświadczenie Zagłady (książka uznawana jest za pierwszą francuską powieść o Zagładzie; w 1962 roku została nagrodzona prestiżową Prix Rivarol). Rawicz prowadził także wielojęzyczny, monumentalny (liczący tysiące stron) dziennik, który w dużej części został jednak zniszczony. Rawicz i jego żona Anka D'Astrée-Rawicz byli także ważnymi i barwnymi postaciami polskiego Paryża lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

<sup>40</sup> *bête noire* (fr.) – osoba nielubiana.

światle – doktrynerstwo racjonalistyczne przechodzące „dialektycznie” w podejrzany mistycyzm, racjonalizm historii w rozpasanie terroru – można by spojrzeć na Twój *Umysł*<sup>41</sup>, który mnie nieraz jeszcze męczy i zastanawia. Trafia on do – i w – intelektualistów typu zachodniego, z jakimi i Ty miałeś do czynienia w Polsce, jakies Borejsze etc. I dzisiejsi, wymierający zresztą, *intellectuels de gauche* to materiał na takich właśnie Borejszów, Bermanów, i znowuż trzeba by bronić się przed nimi „bełkotem i mamrotaniem”<sup>42</sup>, formułka, która mnie fascynowała: odważyć się napisać coś podobnego. W końcu więc w polemice tylko może w pewien typ przeciwnika celowałaś, który w Polsce, przy mokrej robocie, degenerował się szybko w zwykłego łobuza, ale w Paryżu, trwając w stanie dziewiczym, kwitł. Zresztą i tu trafiają się osobliwe ewolucje, na przykład takiego Péju<sup>43</sup>, ex-sekretarza „Temps Modernes”<sup>44</sup>, opowiem Ci kiedyś o nim, bo go trochę znałem. Jedno tylko usprawiedliwienie dla Francuzów, potworność ich niewzruszonego mieszczaństwa i konserwatywny niezłomny Chin Europy, z ich dyplomami, przedziałami klas, majątku, wykształcenia, tradycji, zawodu etc.

Słowem, nie przejmuj się broń Boże tymi sartrami i sartciątkami, bo – nie mówiąc o tym, żeśmy już to brali i wiemy lepiej – „wiatr historii” w inne wieje żagle i największe – he, he – rozczarowania szykuje im nie kto inny, jak ich ukochani Rosjanie, których oni naturalnie zupełnie nie rozumieją i którzy, jeśli ich nie powystrzela w przystępie złego humoru jaki rewolucyjnie cnotliwy generał – będą zapewne najstraszliwiej wymóźdzali dobrej Europie nie tylko stalinizm, ale wszelki progresizm, humanizm, racjonalizm etc.

---

<sup>41</sup> Chodzi o *Zniewolony umysł* Czesława Miłosza, wydany po raz pierwszy przez Instytut Literacki w Paryżu w 1953 roku. Fragment (*Ketman*) wcześniej opublikowany w „Kulturze” 1951, nr 7/45–8/46.

<sup>42</sup> Porównaj fragmenty rozdziału *Bałtowie w Zniewolonym umyśle* Czesława Miłosza (Kraków 1999) i fragmenty *Traktatu poetyckiego* Czesława Miłosza z jego komentarzem (Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. 2).

<sup>43</sup> Marcel Péju (1922–2005) – dziennikarz, politolog, sekretarz Jean-Paul Sartre’a i sekretarz generalny „Temps Modernes” w latach 1953–1962; w kolejnych latach pracował w różnych redakcjach, a od 1979 roku aż do śmierci stale współpracował z „Jeune Afrique”. W 1956 roku zainteresował się Polską, którą często odwiedzał; wspierał francuskie przekłady książek polskich autorów, między innymi Mrożka, Brandysa i Rudnickiego. W 1980 roku ożenił się z Ludmiłą Murawską, scenografką i aktorką Teatru Osobnego Mirona Białoszewskiego i Ludwika Heringa. W latach sześćdziesiątych Péju zaangażował się także w walkę – nie tylko jako intelektualista, ale i bojownik – na rzecz niepodległości Algierii.

<sup>44</sup> „Temps Modernes” – jedno z najważniejszych powojennych francuskich pism społeczno-kulturalnych, założone i redagowane przez Jean-Paul Sartre’a (w redakcji między innymi Raymond Aron, Simone de Beauvoir, Michel Leiris, Maurice Merleau-Ponty i inni). Pismo ukazuje się do dziś, obecnym redaktorem naczelnym jest Claude Lanzmann.

Małe wtrącenie: czy czytałeś w „*Twórczości*”<sup>45</sup>, jak Sandauer – bardzo pretenjonalnie, i intelektualnie ubogo, niestety, piszę to z żalem, bo go cenię i lubię – podejmuje Twoją interpretację Gałczyńskiego?

Ale wracam, a raczej zaczynam, o istotniejszych sprawach. Zafrapowały mnie pewne religijne, jeśli nie tony, to zainteresowania Twoje. Lecz tu wyłania się cały problem. Mianowicie „proteuszowość” Twojej poetyckiej natury<sup>46</sup>: od bardzo dawna, jeszcze od czasu, kiedy na ankietę „*Odrodzenia*”<sup>47</sup>, w liceum<sup>48</sup> będąc, odpowiadałem, uderzała mnie wielostronność Twojej poezji i wielka trudność, jaka czeka każdego, kto by jakoś chciał zamknąć w jedną formułkę, co zawsze marzeniem jest nie tylko krytyka, ale chyba każdego umysłu w końcu? Można by to naturalnie rozumieć w złym sensie, i widzisz, że nie same komplementy Ci piszę. Można by pomyśleć, że jesteś po prostu dość zmienny, poddany najwyraźniej jakimś wpływom tajemnym, tzn. niezrozumiałym i stąd te zakola, jakie zataczasz. Lecz lata ostatnie, pobyt Twój za granicą i twórczość ostatnia uchylają ten zarzut, bo przeciw prądowi piszesz. Jest też pewien zapewne litewski... upór i zaciekłość, które każą wciąż wracać do pewnych spraw. Niemniej, zdajesz sobie zapewne sprawę, że Twe wiersze, czytane zwłaszcza w wyborze i bez dat, czy bez komentarza, wywołać mogą wrażenie wielkiej nieuchwytności: jakby ten poeta, ten człowiek, szedł w wielu kierunkach jednocześnie, z niczego nie mógł zrezygnować, łączywy był życia? idei? co na jedno zresztą wychodzi. I nawet trochę lubował się w swojej nieuchwytności, trochę wystawiał czytelnika do wiatru: nie, ja tego nie powiedziałem, ja też inny potrafię być... itd. Na przykład *Ocalenie*<sup>49</sup> miało dwa zakończenia, a celowe to być musiało. Czy tak należałoby to rozumieć, że jest jakby dwu ludzi: jeden – z niektórych wierszy przedwojennych, z *Doliny Issy*<sup>50</sup>, ten, co chciał sięgnąć „serca ziemi”, który szukał jakiegoś

---

<sup>45</sup> Artur Sandauer, *O Gałczyńskim, tym razem... bez taryfy ulgowej (V). Dwa portrety z dwoma nieporozumieniami*, „*Twórczość*” 1963, nr 1. Przedruk w tomie: Artur Sandauer, *Dla każdego coś przykrego*, Kraków 1966.

<sup>46</sup> Porównaj: Jan Błoński, *Patos, romantyzm, prorocтво*, w: tenże, *Miłosz jak świat*, Kraków 2011.

<sup>47</sup> Chodzi zapewne o konkurs ogłoszony przez redakcję „*Odrodzenia*” w 1947 (nr 2 z 12 stycznia 1947 r.) na „książkę dwulecia 1945–1946”. Uczestnicy konkursu proszeni byli o wymienienie od jednej do trzech książek, które uważają za najwybitniejsze. Największą liczbę głosów otrzymały: *Z kraju milczenia* Wojciecha Żukrowskiego (tysiąc pięćset dziewięćdziesiąt jeden głosów), *Mury Jerycha* Tadeusza Brezy (tysiąc czterysta pięćdziesiąt) i *Noc* Jerzego Andrzejewskiego (tysiąc trzysta dwa). Książka Miłosza nie zajęła żadnego z dalszych miejsc.

<sup>48</sup> Jan Błoński uczęszczał wówczas do Liceum imienia Mikołaja Kopernika w Toruniu.

<sup>49</sup> Czesław Miłosz, *Ocalenie*, Kraków 1945. W krajowej edycji *Dzieł zebranych* Czesława Miłosza w tomie pierwszym *Wierszy* (Kraków 2001).

<sup>50</sup> Czesław Miłosz, *Dolina Issy*, Kraków 2000. Pierwodruk: Paryż 1955.

poetyckiego sposobu porozumienia się z naturą, z „istotą rzeczy”, dostępną przez poetyckie poznanie? w przedwojennych zwłaszcza wierszach jest trochę deklaracji w tym sensie, ale nie mogą naturalnie wiedzieć, o ile to było założone programem osobistym; i drugi, zapowiedziany przez katastrofizm, który wziął górę razem z *Głosami biednych ludzi*<sup>51</sup>, i przeważa do tej pory, przejęty zagadką historii i życia społecznego, eseista i „intelektualista” w poezji. Słowem, jak by powiedział Mann, „dziecię natury” i „dziecię kultury” w jednej osobie. Ale takie rozróżnienie nic jeszcze nie wyjaśnia, ponieważ ciekawe jest zwłaszcza powiązanie tych dwu sprzeczności, ich wzajemna dialektyka. Pozycja niewygodna, zapewne, ale z dobrą stroną jedną: pozwala bronić się przed nadmiernymi uroszczeniami czy to historii, czy natury... Czy okupacja była dla Ciebie tym momentem wewnętrznego wstrząsu – i w jakim sensie, bo od wtedy właśnie zaczęłeś płynąć pod prąd – bronić się przed zbiorowymi nastrojami, którym, mimo wszystko, katastrofizm ulegał przecież? Nie nalegam na odpowiedź, chyba ogólnikową, bo doskonale zdaję sobie sprawę, że pisarz, kiedy coś jaśniejsze mu się stanie, to pisze o tym, a nie chowa pod korcem. Lecz rozumiesz już, jak to wpływa na temat, od którego zacząłem, to znaczy na sprawy religijne: nie myślę się chyba, przypominając, że interesowało Cię to czas pewien przed wojną: ale wtedy postawa poety – czarnoksiężnika, który poznaje własnymi sposobami naturę i „istotę rzeczy”, musiała być, z punktu widzenia psychologicznego i intelektualnego, zupełnie inna: szło chyba o utożsamienie poezji i religii, w duchu bremondowskim<sup>52</sup> jakby? Teraz natomiast wydaje się, że – trochę w duchu Brzozowskiego – zajmuje Cię najbardziej przygoda historyczna ludzkości, ludzkość jako kościół, i oczekiwany koniec historii w Bogu? Wymagałoby to rozświetlenia Twojego pojęcia o historii, które mnie zawsze zastanawiało: otóż mnie się zdaje, że zajmowała Cię nie zmienność historii, to, co przemija, i reguły tej zmiany, ale przeciwnie, to, co zostaje, tzn. cywilizacja, kultura, sumowanie się doświadczenia. Punkt widzenia nie historyczny właściwie, nie dialektyczny i heglowsko-marksistowski, ale antropologiczny i ośmieliłbym się powiedzieć, strukturalny?... W *Dolinie Issy* uderżyło mnie właśnie szukanie wartości cywilizacyjnych na „niskim” piętrze życia społecznego, w obyczaju, tradycji, moralności – także w wierszach często to wraca,

---

<sup>51</sup> Cykl wierszy Czesława Miłosza napisany w roku 1943, wchodzący później do tomu *Ocalenie* (1945). Zobacz: Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. 1.

<sup>52</sup> Henri Brémond (1865–1933) – jezuita (w latach 1882–1904), historyk i krytyk literacki, członek Akademii Francuskiej, w 1926 roku ukuł pojęcie „poezji czystej” (*poésie pure*), która to, co poetyckie, utożsamia z tym – jak pisał Jan Błoński – „czego się nie da wypowiedzieć, co oscyluje na granicy mowy” (Jan Błoński, *Książka z Atlantydy*, w: tenże, *Miłosz jak świat*).

obrazy uczy, dysputy, obecność postaci filozofa, mędrca dowodnie by o tym świadczyły. Dość to mętnie piszę, ale może zrozumiesz, o co chodzi. Zdaje mi się po prostu, że starasz się zastąpić dramatyczną, rozrywaną sprzecznościami (i w końcu nonsensowną metafizycznie) wizję historii wizją całościową i w pewnym sensie docelową: oczywiście, gwarancja celowości jest kwestią wiary. Stąd chyba ta fascynacja osiągnięciami cywilizacyjnymi ludzkości, także dzisiaj, na przykład Twoja przychylność dla USA, ale na tej samej zasadzie, na jakiej trwa w pamięci na przykład miasto greckie albo wielkie budowle starożytne, systemy przeszłe. Jakbyś starał się uchwycić ludzkość jako całość, świat kulturalny w przeciwstawieniu do naturalnego, który intryguje, ale którego się w pewnym sensie boisz; i naturalnie, antropologiczna celowość tego świata. B. znamienne jest w *Świetle dziennym*<sup>53</sup> to zdanie, że „Ja dam im wieczność”<sup>54</sup>, że człowiek nie może być przypadkiem, ponieważ jego dzieła są nazbyt wielkie i piękne; że on niejako zasłużył sobie na nieśmiertelność, jako na efekt, nagrodę swej kosmicznej czy globalnej pracy. Czy myślisz, że ja to właściwie interpretuję? Są to rzeczy, gdzie nieraz odpowiedzieć trudno, i dlatego nieśmiało pytam. W każdym razie wydaje mi się, że trudno dobrze zrozumieć Twoją poezję bez tych dwu spraw: 1) stosunek historia–natura 2) koncepcja historii (inna, niż u Brechta i Ionesco), mówiąc przykładami: ani logika postępu, ani nonsens zmian i wstrząsów; w tym sensie jeszcze raz byłbyś „przeciwno”, bo dziś co modniejszego, niż onanizowanie się jałowością tragedii historycznej – u paru ludzi to autentyczne – u innych, denerwujące przez swą reakcyjną monotonię, ciągle namawianie ludzi, żeby się powiesili... bo historia się nie „składa”... Tyle najważniejszych uwag, tymczasem. Serdecznie – Janek

20 marca [1963]

Drogi Czesławie,

List Twój zawstydził mnie bardziej jeszcze, niż powiedzieć mogę; pamiętasz o mnie zupełnie niezasłużenie; prawdę mówiąc, już przed miesiącem

---

<sup>53</sup> Czesław Miłosz, *Światłoienne*, Paryż 1953. Zobacz: Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. 2.

<sup>54</sup> W tomie Miłosza brak podobnego cytatu. Być może chodzi o parafrazę następujących zdań z *Traktatu moralnego* (pomieszczonego w tomie *Światłoienne*): „Chowając dzieci, tworząc prawa, / Człowiek przed Wszechmogącym stawa, / Działaniem z chwili czyni wieczność / i obca mu sartrowska sprzeczność” (Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. 2).

przeszło zacząłem pisać wielki list, który załączam, ale go nie skończył<sup>55</sup>, bo zacząłem poprawiać, zmieniać, rozmaite myśli nieśmiało wyrażałem i chciałem to udoskonalić, i znowu się zwlokło, tym bardziej że rozmaitej roboty niesłychanie czasochłonnej miałem sporo: dla radia francuskiego takie dwugodzinne prezentacje polskiej literatury współczesnej, co wymaga gromadzenia cytatów, sprawdzania przekładów, biegania po przyjaciółach, żeby poprawiali moje ew. pomyłki stylistyczne etc. – poza tym jeszcze jakieś wstępny, tłumaczenia etc., wszystko, żeby „drogocenne dewizy” (jak mówią w Polsce) złapać. Ale to wszystko żadnym nie jest wytłumaczeniem. U nas wszystko w porządku mniej więcej; wybieram się na Wielkanoc do Włoch zabawić się i odpocząć trochę. Najdziwniej w ojczyźnie się dzieje: dopiero niedawno trafiłem na kogoś rozsądniejszego, który mi tzw. sytuację opisał: twierdzi on, że w kołach wtajemniczonych kultuwuje się (czyżby celowo, może przed zjazdem Partii?) panikę gospodarczą: nieurodzaje, mrozy, przeinwestowanie (naturalnie! zawsze to samo) zrujnowały (rzekomo) ekonomikę, na wszystko brakuje pieniędzy, a plan św. wykonany być musi; stąd, z jednej strony, groteskowe czasem oszczędności, wojennego wręcz typu (widzisz gazety – nie ma papieru!), z drugiej – czuła troska o morale narodowe. Osobliwe to są manewry, w których wietrzę jakieś rozgrywki wewnętrzzpartyjne – ale jakie, nie wiem naturalnie. W każdym razie – zapewne zauważyłeś to w pismach – nowe wcielenie pojedynku Syfona z Miętusem, to znaczy nieskończone polemiki wokół książek p. płk. Załuskiego<sup>56</sup>, nie są podobno przypadkowe, i najwyższe czynniki popierają tego dzielnego oficera, który wyruszył do boju przeciwko przegniłemu środowiskom intelektualnym. Kiedy słuchałem o tym, ciągle mi w uchu brzęczało Twoje zdanie: Jest ONR-u spadkobiercą partia...<sup>57</sup>, lecz przezornie język za zębami trzymałem, bo najstraszniejsze to zdanie, jakieś kiedykolwiek wypowiedział... Załuski, jakeś może zauważył, uważa, że skargi na bohaterszczyznę nie mają sensu, narodu opluwać nie można, a pacyfizm

---

<sup>55</sup> (\*) teraz skończyłem! – dopisek autora.

<sup>56</sup> Zbigniew Załuski (1926–1978) – prozaik, publicysta, autor scenariuszy filmowych, oficer zawodowy (od 1962 roku pułkownik), redaktor miesięcznika „Wojsko Ludowe”, poseł na Sejm PRL (od 1969 roku). W swojej twórczości zajmował się głównie tematem walk żołnierzy polskich w czasie drugiej wojny światowej (między innymi rehabilitował wysiłek wojenny roku 1939) i wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. Krytycznie odnosił się do tak zwanych postaw antyheroicznych, zarzucając licznym pisarzom „szyderyczy” stosunek do historii narodowej – temu problemowi poświęcił głośny zbiór *Siedem polskich grzechów głównych*, Warszawa 1962.

<sup>57</sup> Dosłowny cytat fragmentu *Traktatu poetyckiego* Czesława Miłosza (część II: *Stolica*). Zobacz: Czesław Miłosz, *Wiersze*, t. 2.



i sceptycyzm intelektualistów trzeba tępić. Ten szantażysta, skądinąd niezłe piszący, utożsamia a) kult wojska etc. z ideowością; b) intelektualne „wykolejenia” z oportunizmem życiowym i wieprzowatością. Słowem, Słonimski jest winny, że inż. Kowalski w Zgierzu ma wszystko w d... z wyjątkiem swego motocykla. Lecz najwyższe czynniki troskają się o ducha narodowego i nie z intelektualistami chcą walczyć, broń Boże, lecz z klimatem bezideowości. Na to Czeszko w „Przeglądzie”<sup>58</sup> dość złośliwie ostatnio odpowiedział, pytając o socjalne przyczyny tego osławionego „tumiwisizmu”. Takie są teraz Polaków zabawy. Oczywiście, narodek nabierać się daje, jak zwykle, na ten nowy sojusz tronu i ołtarza (Francuzi są nieznośni, ale mowy nie ma, żeby się tak dawali nabierać!), kupuje Załuskiego, pisze listy o bohaterach naszych szanownych etc. Nie muszę Ci mówić, że ja w najmniejszym stopniu nie jestem przeszłościoburcą, lecz idiotyzm takiego stawiania sprawy krzyczy wręcz i obraża rozum. Lecz to nic nowego, bo wiadomo, że kiedy władza mówi o cnocie, tradycji etc., źle się dzieje. Ale naiwność publiczności smuci trochę. Publiczność źle sobie wyobraża świat i nie wie, że nikt w USA czy Francji nie wije krajowi i społeczeństwu wieńców, że krytyka jest przyrodzonym stanem intelektualnym etc. (mówię oczywiście o poważnych głosach). Lecz to są już odchylenia w pedagogii społecznej – każda krytyka nabiera u nas zaraz charakteru szargania, stąd klimat historyczny wokół tych spraw. Nic, nic się nie zmienia, jak widzisz.

Poza tym myślę, że kwitnie schizofrenia kulturalna, to znaczy, że wyznaczniki twórczości są naprawdę zupełnie gdzie indziej niż w życiu społecznym świadomym, instytucjonalnym – najgłębsza to zapewne przyczyna tego niedomyślenia do końca problemów, o którym lubisz mówić. Z tym wszystkim i literatura jeszcze nie najgorsza, tylko zawsze ten żal, że sto razy lepiej mogłoby to wszystko wyglądać. Zdaje mi się, że pisarzy zaczyna trochę już gniewać to odcięcie wszelkiej awangardowości od tzw. życia, które na wpół celowo zostało przeprowadzone – wysychają inspiracje obce, jeżeli nie można ich transformować i adaptować do doświadczenia własnego.

Dobrze Cię rozumiem, że nudzi Cię to powtarzanie starej płyty, w kółko to samo, i „obowiązek” woła do spraw, które w końcu są warunkami myślenia i literatury, a nie nią samą. I nie Ty jeden to tak odczuwasz, ale mało kogo stać na płodną *splendid isolation*, na ogół to trzeba ludziom klimatu współpracy, aby ufali w sens i potrzebę tego, co robią i piszą.

---

<sup>58</sup> Bohdan Czeszko, *Spór o przydatność wzorców*, „Przegląd Kulturalny” 1963, nr 10 (549).

Nie muszę Ci mówić, jak się cieszę z Twojego przyjazdu w czerwcu – zabawne to, że Cię Ameryka trochę zmęczyła i „na stare śmiecie” do Paryża wracasz. My tu w czerwcu na pewno jeszcze będziemy, a potem na wakacje trzeba będzie wracać do Krakowa, ufam, że drogą okrężną, aby jeszcze świata zobaczyć. Chciałbym do Anglii zajrzeć... ale gdzie ja nie chciałbym jechać – jedyna to właściwie choroba moja, podróże, i wręcz trudno mi sobie wyobrazić, jak by to było, gdybym gdzie za nogę przywiązany został na czas dłuższy! Chce mi się wracać do Polski, nigdy bym tu w ogóle nie przyjechał, gdybym mógł w Krakowie wsiąść w każdej chwili w pociąg i wybrać się tam, gdzie mi przyjdzie ochota... – a zarazem trochę ze strachem myślę, jak to będzie, kiedy wrócę tam na stałe, i każda wycieczka znowu stanie się problemem...

Nie gniewaj się na mnie za to milczenie obrzydliwe – łączę ukłony dla Pani i Ciebie najserdeczniej pozdrawiam –

Janek

## Nota

Publikowane w tym numerze „Kwartalnika Artystycznego” listy Jana Błońskiego do Czesława Miłosza stanowią jedynie niewielką część przygotowywanej do wydania korespondencji obu autorów (Jan Błoński, Czesław Miłosz, *Listy 1958–1996*, opracowanie Adam Puchejda, Biblioteka Mnemosyne, Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria, Gdańsk) i ukażą się w 2016 roku. Podstawą opracowania były oryginalne maszynopisy (uzupełnione ręcznymi dopiskami), przechowywane w Beinecke Rare Book and Manuscript Library, Yale University w New Haven (USA). Na potrzeby tej publikacji uwspółcześniono ortografię i interpunkcję listów, rozwinięto niektóre skróty oraz dodano odpowiednie objaśnienia (z wyjątkiem przypisów oznaczonych gwiazdką, które wskazują na dopiski Jana Błońskiego).

Adam Puchejda

# JAN BŁOŃSKI

## Listy do Krystyny i Stefana Chwinów

(wybór)

Krasiczyn 18.8.78

Szanowny Panie,

Dziękuję Panu za list i zaproszenie, przepraszam, że nie odpowiedziałem od razu, ale byłem po chorobie i nadmiarze zajęć.

Mógłbym przyjechać w październiku lub listopadzie (chętniej w październiku!), w drugiej połowie tygodnia. Forma spotkania, jaką Pan proponuje, bardzo dobra.

Czy moglibyśmy się tak umówić, abym jako honorarium – mógł pozostać w Gdańsku dwa dni? Bardzo tam dawno nie byłem i chętnie bym zwiedził, obejrzał etc.

Czekam więc na konkretną datę i proszę o przyjęcie najlepszych wyrazów.

Jan Błoński

11 lipca 1990 [list wysłany z Krakowa]

Czcigodni i Drodzy,

dziękuję za książki, które jeszcze w Polsce dostałem, nie pojmuję tylko, dlaczego za darmo! – nawet cenę starannie wymazaliście: nie zgadzam się z tym, aby w dobie rozkwitającego (?) kapitalizmu pisarze mieli utrzymywać czytelnika, a już zwłaszcza państwowe biblioteki.

Istotnie, wiele było uroczystości i radości, ja sam ledwie żywy z tego wyszedłem, ale raczej za sprawą Mistrza niż Mroźka: nasz poeta pozostawiwszy Carol w Berkeley, przeszedł sam siebie, niemal co dzień kładł się ok. 2. w nocy, dyskutował z gromadą polonistycznych wielbicieli (pierwszych przydzieliłem, ale następnych sam sprowadził), pił (ale tylko czystą!): zdaje się rankami pisał wiersze. I dopiero w ostatniej chwili, już na peronie w Krakowie, potknął się i zrobił sobie dużą krzywdę, która objawiła się dwa dni już później, tak że koniec pobytu – przekrakowski – był właściwie na nic. Ale chyba nie żywi z tego powodu resentymentu dla nas... mam przynajmniej taką nadzieję.

Szkoda, żeście nie przyjechali, miałem wrażenie, że on by się łatwo dał zaprosić; ale oczywiście każdy lubi 1. być proszonym 2. trochę się podroczyć. Podejrzewam jednak, że Uniwersytet Wasz się nie pokwapił, podobnie zresztą jak inne, nie tylko uniwersytety, ale i różne instytucje. Wcale nie jest on tak zapomniany (w Polsce), jak się zdawać może. Odnosi się to także do innych intelektualistów-emigrantów. Coś jest w tym z podświadomej albo i świadomej niechęci do 1. zagranicy (moment zawiści + kompleks prowincjonalny) 2. ogólnej nieumiejętności i niechęci do „lepszych”, tych, którym się udało, brak poczucia hierarchii, czyli mówiąc staroświecko, brak radości w wielbieniu. Dostrzegam to coraz silniej, zwłaszcza teraz, gdy ludzie (np. na uniwersytecie) czują się swobodniejsi.

Miłosz pomógł też trochę zaprezentować Venclovę, który odniósł w końcu ogromny sukces, zdaje się nigdy do takich tłumów nie przemawiał, przynajmniej jako pisarz. Potem posłaliśmy go do Pragi, do „naszego” (bo to docent UJ) ambasadora Balucha, który go gościł w swym pałacu, podobno jednym z ładniejszych w Pradze, bawił i zapraszał na piwo z Havlem czy innymi literato-politykami (jeszcze tam nie zdążyli posmakować przyjemności polityki, które się już u nas zaczęły). Był też Barańczak, Pomian wcześniej, wszystko to – chwałę się – moje dzieło, w funkcji impresaria. Mrozek był dość nieszczęśliwy w roli gwiazdora, ale znosił wszystko cierpliwie i poddawał się pieszczotom z podziwu godną rezygnacją. Opalski – też nasz kolega – urządził to z niesłychaną starannością i pomysłowością i chyba miało to swój wpływ nawet na szerszą publiczność. Ale to nie jest zasługa 2 mln (które nb. wcale nie wpłynęły w całości), tylko energii [wyraz nieczytelny] Opalskiego; przy tym w tej sumie są też subwencje miasta etc. Rzecz jest oczywiście w zawiści: Cywińska postanowiła nie rozpieszczać swoich małych [wyraz nieczytelny] i popierać silnie jeden festiwal teatralny, zamiast polewać wszystkich drobnym deszczem. Mnie się to wydaje [wyraz nieczytelny], zwłaszcza że Mrozek jest – bądź co bądź – polskim autorem; a na przyszły rok „duży” festiwal będzie w Poznaniu czy Krakowie.

Teraz „odpoczywam” w Wiedniu, gdzie zaprosił mnie dobry Michalski do swego Instytutu, o którym zapewne słyszeliście. Przyjechalśmy w momencie politycznej konferencji, na którą ścigali „Waszego” Wałęsę samolotem Michalski ze Heinbergiem (?) milionerem-fundatorem... A nawet skorzystamy nieco, bo zaproszono nas na przyjęcie – bardzo wspaniałe, istotnie... Ale teraz wypoczywam bez cudzysłowu, i miałem po czym. To znaczy z nikiem prawie nie gadam, tylko czytam i robię poprawki w papierach.

Około 3–4 VIII znajdziemy się w Żarnowcu i może rzeczywiście wpadniemy do Was nad to jezioro, chyba Raduńskie? Ale adresu zapomniałem – chyba trafię z pamięci?\*

Jeszcze raz dziękuję i przesyłam najserdeczniejsze wyrazy

Jan Błoński

\*odnalazłem nazwę Łączyn. Ale nie męczcie się sami autobusami, to zahacza 2/3 dnia i nie ma sensu. Prawie (na 90%) przyjedziemy, chyba że będziemy mieli kłopoty z wnukiem.

Kraków, 21 sierpnia 90

Drodzy,

Fax Miłosza jest taki [...]

a telefon [...]

Adres [...] Grizzly Peak Berkeley California 94708

Ale lepiej nie używać telefonu, którego właściwie nikt nie lubi, bo hałasuje w najmniej właściwych porach.

Dziękujemy za wspaniałe przyjęcie i ściskamy – Jan Błoński

Kraków, 4 listopada 1992 r.

Kochani i Niezwykli Chwinowie,

Mam nadzieję, że nie wyjechaliście z Krakowa nadto rozczarowani... lękam się, boście Tytanami sztuk i nauk. Dostałem parę dni temu rozprawę Stefana, pochłonąłem ją i napisałem olbrzymią recenzję, w której nie ma zresztą ani jednego zastrzeżenia albo wytknięcia (prócz jednej, bardzo ogólnej kwestii). Tak mi się to Dzieło podobało, że postanowiłem napisać o Nim, jak się okaże i dlatego dla pamięci całą rozprawę streściłem, a to streszczenie posłałem jako recenzję. Świetna jest to książka, aktualna, elegancka oraz przenikliwa... krótko, jedna z najlepszych, jeżeli nie najlepsza spośród tych, jakie w ostatnich latach czytałem, potwornie erudycyjna i zarazem zręczna w wywodzie, słowem arcydzielna. Napisałem też do Rektora i Prezydenta Gdańska o mianowanie obojga Chwinów Geniuszami i postawienie im pomników na wprost Ratusza.

Całuję i ściskam Was serdecznie, a Teresa też się w podziwie przyłącza, pozdrawia i kocha –

J. Błoński

Drogi Stefanie,

Znów się odzywam, aby Cię pocieszyć i powielbić. Może za lekko potraktowałem w naszej telefonicznej rozmowie Twoje kłopoty ze zdrowiem: wybaczyć to starszemu panu, który choroby dzieli już tylko na śmiertelne i nie, drżąc tylko przed pierwszymi. Ale doskonale pojmuję, że takie kosztne bóle mogą być bardzo dokuczliwe i przeszkadzają żyć, pisać itp. Więc nie gniewaj się na moje żarty.

*Hanemann* święci tu istotnie triumfy i naprawdę się niedawno dowiedziałem, że służy już jako przedmiot badań (a raczej nauczania). Dzieło jest subtelne i przejmujące, więc niewątpliwie na to zasługuje; ale czy taki profesorski i zawodowy odbiór nie psuje trochę przyjemności lektury? Dla mnie przynajmniej szkoła, nawet wyższa, nie jest najlepszym „miejscem odbioru”: profesor musi pokazywać, jak to jest zrobione, tymczasem efekt estetyczny, literacki rodzi się wtedy, kiedy nie całkiem rozumiemy, dlaczego coś jest dobre, prawdziwe, wzruszające itd. Ale to może mylna, a w każdym razie jednostkowa reakcja.

Co do spraw polonistycznych: dyrektor Ossolineum, widząc konkurencję, nie chce wypuścić ze swoich rąk najbardziej poczytnych pozycji – jak np. Mickiewicz – i zdecydował się wznawiać je zamiast drukować to, co leży już od lat niewydane (a gotowe). Cieszę się, że to na Ciebie trafiło, bo opracowanie doskonałe. Takie są zabawne efekty konkurencji... Co do nas, będziemy szli swoją drogą. Zrozumiałem z tego, co mówiłeś, że nie masz w tej chwili ochoty na pracę na uczonnej niwie i że *Dziadom* dasz prawdopodobnie spokój. Doskonale to rozumiem, ale – dla dobra sprawy – chciałbym prosić Cię o dwie rzeczy:

1. Gdybyś miał w przyszłości ochotę na Mickiewicza, pamiętaj o nas bardziej niż o Ossolineum, o którego praktykach będę jeszcze miał kiedyś coś do powiedzenia.
2. Czy w wolnej chwili – np. na spacerze – nie chciałbyś pomyśleć, kto z Twoich gdańskich kolegów, zwłaszcza młodszych, mógłby z pożytkiem dla siebie i naszej serii przygotowywać rzeczy na odpowiednim poziomie: rzecz w tym, że życie uniwersyteckie, literackie etc. bardzo się scentralizowało i przynajmniej ja nie bardzo dobrze zdaję sobie sprawę, gdzie szukać ludzi wybitniejszych i sprawnych. Ale jeżeli masz jakieś kłopoty, brak czasu itp. – rzecz nie jest paląca. Padam do stop Małżonce i Ciebie ściskam –

Jan Błóński

Czwartek, 17.8. [brak określenia roku]

Drodzy! Co za pech, a raczej głupota moja! Wczoraj wybraliśmy się do Was – bardzo tam ładnie w tym Łączynie czy Łęczynie – po to, aby się dowiedzieć, że turnus już się skończy! A przecież nic nie stało na przeszkodzie, aby przyjechać wcześniej! Ubrdało mi się, że będziecie tam przez sierpień – co przecież w państwowym takiego nie *lzia*. Trudno. Żałujemy i Wy żałujcie (mieliśmy góry wafli), ale mamy nadzieję, że odrobicie to w Krakowie. Przyjedźcie na Mistrza!

Jeszcze raz przepraszamy, żałujemy i ściskamy

Jan i Teresa Błoński

[Kartka pocztowa z fotografią nawy głównej kościoła Benedyktynek w Żarnowcu; stempel pocztowy na kopercie z nieczytelną datą].

[List bez daty]

Szanowna i Droga Pani,

Dziękuję za list i podziwiam Pani energię (bo u mnie, a nawet w Polsce w ogóle, chyba niedużo energii...). Szkoda, że się nie udało, ale – jeżeli Pani na tym zależy – proszę nie rezygnować. To są zawsze rzeczy bardzo żmudne. C.M. był u nas, był także Brodski, cośmy użyli, zwłaszcza jeśli chodzi o J.B., nie chcę nawet mówić. Najzabawniejsze, że nie da się nawet ustalić, dlaczego, tzn. czyja wina: ponieważ wielcy artyści żyją we własnym świetle, nigdy nie wiadomo, czy samolot się rozbił, czy też artysta przeżył (wewnętrznie) rozbicie samolotu; i tak we wszystkim. Niemniej nie skarżę się, przeciwnie, znowu była feta i pożytek dla studentów, coś naprawdę dobrego, takiego, że lepszego nie ma [na] świecie, bądź co bądź dwaj nobliści na jednym wieczorze [wyraz nieczytelny]. I to tłumaczy, dlaczego nie może się Pani udać od razu, chyba że ma Pani szczególne szczęście: oni są naprawdę rozrywani i muszą wybierać, mogliby całe życie spędzać w samolocie (i tak spędzają [wyraz nieczytelny]), a przecież są starzy i niesłychane dziwadła. Często ludzie dokoła nie zdają sobie sprawy, jak niesłychanie mało jest takich spraw; co prawda, większości one nic nie obchodzą.

Co do wojewody i uniwersytetu, oczywiście, że miała Pani rację. On nie chce być na niczym państwowym oficjalnie. [wyraz zamazany] Wałęsa, jak mi po cichu powiedział, nigdy mu się nie podobał; w Gdańsku nieuchronnie jakoś trafiłby do niego lub w okolice... Z drugiej strony – w nic się nie angażuje – poszedł na oba wiece i postarał się znaleźć w polu widzenia kamery; ale nic nikomu się

nie wypowiadał politycznie. Ma więc swoją politykę – olimpijskiej obecności. Bardzo to wszystko śmieszne.

Wyobrazi sobie Pani, cośmy (tzn. ja i nasza heroiczna sekretarka naczelna) przeżyli, nie wiedząc aż do godziny – 18 (przed występem), czy, jak, którądy i z kim przyjedzie J.B. Ale w końcu był zachwycony, bo słowiańska sala – mimo wszystko – rozumiała go lepiej niż amerykańska.

Cóż więc szkodzi zawsze do sprawy wrócić i pilotować. Niech mu Pani podziękuję, że odpisał i napisze, że ta sprawa jest zawsze aktualna. Że to nie dla miasta ani władzy, ale dla uniwersytetu i literatury, która w Gdańsku zaczyna się lepiej miewać. Że tam jest prawie jak na Litwie, po bałtycku etc. Zresztą co ja będę uczył kobietę – i poetkę. Uwodzić i już!

Jest mi bardzo miło, że Pani pamiętała i napisała o swoim – niestety – rozczarowaniu. W ogóle Gdańskowi czuję się bardzo wdzięczny etc., zwłaszcza, że występuję tam w roli nieco mniej profesorskiej... Ale niech i Państwo pamiętają o Krakowie, dlaczego nie dacie czegoś do druku Majowi w „Nagłosie”, zdaje się, że ta ostatnia inicjatywa się utrzyma; właśnie dlatego, że [wyraz nieczytelny], tzn. Maj tak to traktuje, że chyba by umarł, gdyby „Nagłos” przestał istnieć. W każdym razie robi takie wrażenie. A jak Wasze pismo? A kiedy przyjdziecie do Krakowa? Można by to połączyć z jakimiś występami, walenrodyczno-powieściowo-lirycznymi, do wyboru. [wyraz nieczytelny] chyba urządzić DNI CHWINÓW, tylko trzeba by 1. łaski tychże, co na pstrym koniu jeździ 2. trochę czasu (tzn. zawczasu)

Razem z Teresą pozdrawiamy Was i ściskamy serdecznie –

Jan Błoński

Drodzy i Łaskawi, Ogromnie dziękuję za pamięć i kopię recenzji Stefana. Jest to niewątpliwie nowy wgląd w Gombra, dla mnie bardzo zaszczytny, bo nie jest tylko sprawozdaniem, ale krokiem naprzód (nb. materiały, które Jurek Jarzębski przywiózł ostatnio z Paryża – rozmaite wersje *Operetki* – potwierdzają słuszność Twoich uwag. Słuszność? W tym sensie, że G. był trochę ciemniejszy i paskudniejszy, niż go lubię... Doczekać się takiej recenzji – tak „rozumiejącej”, a przy tym posuwającej jeszcze kwestię – rzadko się zdarza, może raz, dwa w życiu „badacza” czy „krytyka”. Jeszcze raz dziękuję i stwierdzam autorytatywnie, że Chwin Stefan jest demonem intelektu!

Pozdrawiamy was oboje, ściskamy i oczekujemy w Krakowie!

23. IX. 95

J. Błoński



Kraków, 14.6.96

Czcigodni Chwinowie,

Sława Wasza rozeszła się po wszystkich kontynentach, co stanowi dla nas powód nieustannej radości. Ośmielamy się jednak mniemać, że mimo tysiące zajęć i obowiązków znajdziecie choć dwie, trzy godzinki, aby i tym razem po-  
być i porozmawiać o sprawach ważnych i mniej ważnych. Na Wybrzeże przyje-  
dziemy jak zwykle na początku sierpnia, może parę dni wcześniej. Pozwolimy  
sobie wtedy zadzwonić na znany numer (ale może macie inny, tajemny?!). Za-  
powiadamy się tak zdecydowanie (mimo wrodzonej nieśmiałości), bo niewy-  
kluczone, że być może będziecie mieli inne obowiązki albo też schronicie się  
w miejscu tajemnym, my zaś będziemy kołatać mylnie i na próżno do niewła-  
ściwych drzwi. Jeżeli więc tak by właśnie było, dajcie nam trzyzdaniowy znak  
zawczasu, za co z góry dziękujemy.

Ściskamy i pozdrawiamy serdecznie

Jan i Teresa Błoński

Szanowni i Kochani Chwinowie,

Przyłączam się ze szczególną mocą do zaproszenia na wręczenie Kościelskich,  
przypominając, że Kraków Was w miarę możliwości, które jednak są niebagatel-  
ne – ugości i ukocha, ja zaś będę biegał przed Wami z transparentem głoszącym:

- 1) absolutne gratulacje za *Hanemanna*: to jest – moim zdaniem – najlep-  
sza książka (powieść) napisana, przepraszam, wydana w tym roku, i to  
we wszystkich kategoriach; jestem jej bezwzględny wielbicielem
- 2) dopisuję wdzięczność za recenzję, którą w obu wersjach dostałem.  
I ona jest na pewno najciekawszym głosem o mojej książce, i życzli-  
wym, i właściwie słusznym w określeniu, że od „ciemnego” Gombro-  
wicza uchylam się jakby nie z literackich, ale osobistych względów,  
inaczej, że jest to słuszne, aspekt nie do końca wykorzystany, rzecz  
jasna, krytycznie, interpretacyjnie. Ale *Hanemann* też nie demon...  
więc może wolimy, aby literatura nie przekraczała granic, za którymi  
zaczynają się zbyt mroczne królestwa?

W każdym razie ciekawie byłoby o tym pomówić.

Przyjedźcie i dajcie znać, abyśmy mogli coś zorganizować na niedzielę  
rano czy południe!

Ściskamy i czekamy

Jan Błoński

Posyłam też książkę o Mroźku.

[List z fotografią Jana Błońskiego wykonaną przez Elżbietę Lempp. Dopisek odręczny do fotografii: „Z najlepszymi wyrazami Chwinofil Błoński Jan Kraków 16. 1” (1996)].

Kochani Chwinowie,

Bardzo dziękuję za *Rozmowę*, *Rozmowę* chyba najlepszą z tych, które drukowałem, co jest oczywiście Waszą zasługą. Czy mógłbym dostać jeszcze jakieś egzemplarze? Jest to dla mnie naprawdę miły prezent!... Zaraz po powrocie z Francji, gdzie schowaliśmy się przed zimą, śniegiem, mrozem i podobnymi rzeczami nie na wiek i gusta. Byliśmy i w Alpach, i w Prowansji, i w Paryżu, i w Normandii... było to coraz bardziej rozkoszne, co zawdzięczamy dobrym duchom. Jeszcze raz dziękuję i ściskam, całuję, pozdrawiam i oczekuję.

J. Błoński

[Kartka pocztowa z widokiem „*ABBAYE DU THORONET (Var) XIIe siècle / Vue extérieure du Chevet et de la facade est*” / z dopiskiem Błońskiego: „Prowansja”].

# JAN BŁOŃSKI

## Listy do Aleksandra Fiuta

\*

Moja znajomość z Janem Błońskim zaczęła się od połowy lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to z niekłamany zachwytem – myśląc po cichu, że „rzuca perły między wieprze” – słuchałem jego wykładów między innymi o Leśmianie i Thomasie Stearnsie Eliocie. Była to znajomość, która z czasem przerodziła się w głęboką zażyłość i serdeczną przyjaźń. Od jego wykładu w 1975 roku o *Biegunach polskiej poezji* rozpoczęła się moja największa przygoda intelektualna, czyli spotkanie z poezją Czesława Miłosza – ale i wcześniej Błoński udzielał mi bezcennych rad, całym sercem wspierał mnie w trudnych życiowo sytuacjach i życzliwie śledził oraz komentował moje teksty. Zaciągnąłem u niego dług wdzięczności nie do spłacenia.

W Krakowie spotykaliśmy się często, nieraz codziennie, korespondowaliśmy natomiast podczas jego czy moich pobytów za granicą. On od czasu do czasu wykładał literaturę na Uniwersytecie w Clermont-Ferrand, ja w latach 1976–1979 byłem lektorem języka polskiego na Uniwersytecie Lille III, zaś w latach 1981–1986 gościłem jako *visiting profesor* na amerykańskich uniwersytetach w Berkeley (Kalifornia), a następnie w Bloomington (Indiana). Z naszej wymiany listów z tego okresu, usuwając jedynie fragmenty dotyczące moich spraw nazbyt prywatnych, wybrałem te, które portretują Błońskiego jako znakomitego mistrza – wielkodusznie chowającego się w cień i dyskretnie, ale pewnie wspierającego czeladnika, który niezdarnie stawia w swoim fachu pierwsze kroki.

A.F.

[Nadruk]  
UNIVERSITÉ de CLERMONT  
U.E.R.  
FACULTÉ DES LETTRES  
ET SCIENCES HUMAINES  
29, boulevard Gergovia  
63037 CLERMONT FERRAND CEDEX  
Téléphone (73) 93.11.63

Clermont-Fd, 8 kwietnia [1975]

Drogi Panie Aleksandrze,

dziękuję za list i pamięć, bardzo to wielka radość czytywać tu krakowskie listy. Cieszę się, że przynajmniej z mieszkaniem poradził Pan sobie, ale na myślenie o innym też namawiam, chociaż zdaję sobie sprawę, jakie to trudne... Podejrzewam też po cichu, że Pana kiepskie nastroje bardziej w Panu siedzą niż w okolicznościach, ale może się myłę, a poza tym i tak nie potrafię Panu pomóc... Niech Pan w każdym razie pośle poprawioną pracę<sup>1</sup> Głowińskiemu<sup>2</sup>, bo wydawniczo strasznie im się wszystko ślimaczy, brak miejsca itd. Zawsze bardziej się to będzie liczyć niż artykuł, a pieniędzy też w sumie więcej przyniesie i tańszym kosztem, bo gotowe. Co do Wyki, pisał do mnie też o tym Markiewicz, jest to i dla mnie trudna rzecz, takie wspomnienie. Napisałbym o Wyce jako pisarzu, tzn. nie tyle o jego stylu, umiejętnościach literackich itd., ale o postawie artystycznej wobec literatury. W tym duchu też odpowiedziałem Markiewiczowi<sup>3</sup>. Pana pomysł jest bardzo dobry i oryginalny, ale zdradny, bo oscylować może łatwo między patosem a dwuznacznością, w końcu wszyscy wiemy, że Wyka, jak my wszyscy, grał sobie pewną rolę i może nawet ją trochę inscenizował – nic to w gruncie rzeczy złego, powtarzam, wszyscy tak robimy, ale ująć to niełatwo bez ześlizgnięcia się w fałszywe tony. Niech Pan jednak spróbuje, bo warto, pomysł jest bardzo trafny,

---

<sup>1</sup> Mowa o mojej rozprawie doktorskiej, która została ogłoszona drukiem jako *Dowód nietożsamości. Proza Wilhelma Macha*, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1976.

<sup>2</sup> Michał Głowiński, profesor Instytutu Badań Literackich, był wówczas redaktorem naczelnym komitetu redakcyjnego serii *Rozprawy Literackie* w Komitecie Nauk o Literaturze Polskiej Akademii Nauk. W tej właśnie serii, pod numerem 16, ukazała się moja książka.

<sup>3</sup> Mowa o tekście *Obecność Wyki*, w: *Kazimierz Wyka: Charakterystyki, wspomnienia, bibliografia*, praca zbiorowa pod redakcją Henryka Markiewicza i Aleksandra Fiuta, Kraków 1978. Kazimierzowi Wyce, po jego śmierci, Jan Błoński poświęcił ponadto następujące teksty: *Kim byłbym bez nich?*, „Tygodnik Powszechny” 1975, nr 23; *Mistrz*, „Student” 1977, nr 1.

celny w głębszym sensie<sup>4</sup>. Pana prace terazniejsze<sup>5</sup> bardzo by się dobrze złożyły, gdyby istotnie ukazał się wybór wierszy Miłosza, na co się chyba istotnie zanosić; ale tak czy owak dają one wgląd w problematykę poezji, którą się Pan chyba niewiele dotąd zajmował? Co do Pana planów lektorskich<sup>7</sup>, niech Pan nie rozumie mego listu jako rady na „poczekanie na swoją kolej”, bo w końcu nie ma żadnego głębszego powodu, aby nie mógł Pan i teraz jechać, doktorat Pan zrobił itd.; ale to jest po prostu taka procedura, której nikt nie ominie, a Francuzi w żadnym wypadku. Jarzębski<sup>8</sup> pisał mi, że go wezwano na egzamin dla lektorów, który nie bardzo mu się udał, bo z nagłą zorganizowany; niech go Pan wypyta, jak to wyglądało, i w miarę czasu spokojnie się pouczy języka etc., czego na gwałt przecie zrobić nie można. A w każdym razie się przyda, jak nie na lektorat, to w ogóle.

Jeszcze raz dziękuję i ściskam dłoń serdecznie –

Jan Błoński

[Nadruk z godłem]  
UNIwersytet Jagielloński  
W KRAKOWIE

Kraków 30 sierpnia 1982

Drogi Olku,

przepraszam, że tyle miesięcy nie odpisywałem. Najpierw trudność fizyczna, brak czasu itd., a potem znużenie moim urzędowaniem<sup>9</sup> i zniechęcenie do słowa pisanego. Na szczęście Jurek<sup>10</sup> regularnie z Tobą korespondował, wiedziałeś więc, co się u nas dzieje, wiele się właściwie nie działo. Teraz, pod koniec wakacji – ale

---

<sup>4</sup> Wspomnieniu o Kazimierzowi Wycie, u którego pisałem pracę magisterską i doktorat, poświęciłem tekst *Powrót na Salwator* w księdze *Obecność Wyki*.

<sup>5</sup> W tym okresie rozpocząłem pracę nad książką o poezji Czesława Miłosza.

<sup>6</sup> Być może Błoński miał na myśli wybór, który ukazał się w Stanach Zjednoczonych, jako: Czesław Miłosz, *Utwory poetyckie. Poems*, wstęp Aleksander M. Schenker, Ann Arbor, Michigan 1976. Pierwszym tomem wierszy Czesława Miłosza, który – po *Ocaleniu* (1945) – dotarł do czytelnika krajowego, był dopiero tom *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada oraz inne wiersze*, Kraków 1980. Pierwszym zbiorem poetyckim noblisty były natomiast *Wiersze wybrane*, Warszawa 1980.

<sup>7</sup> Ostatecznie zostałem zatrudniony jako lektor języka polskiego, a następnie *assistant associé* na Uniwersytecie Lille III we Francji w latach 1976–1979.

<sup>8</sup> Mowa o Jerzym Jarzębskim, uczniu Jana Błońskiego, historyku i krytyku literatury polskiej, wybitnemu znawcy między innymi pisarstwa Witolda Gombrowicza, Brunona Schulza i Stanisława Lema, wówczas adiunkcie Uniwersytetu Jagiellońskiego.

<sup>9</sup> Jan Błoński był prorektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego do spraw dydaktycznych w latach 1981–1984.

<sup>10</sup> Jerzy Jarzębski.

dłaczego one mają ciągle ochotę się skończyć? – postaram się w dwu słowach odpowiedzieć na Twój list. [...] Ucieszyłem się także, dowiadując, że masz przed sobą rok stypendium i pracy nad ukończeniem książki o Miłoszu<sup>11</sup>. Nie widzę ze strony Uniwersytetu żadnych przeszkód w tym punkcie, a potem, no cóż, potem się zobaczy. Z wydaną książką też będziesz inaczej wyglądał na amerykańskim rynku. Skarżysz się, że Berkeley prowincjonalne... Hmm. Może po prostu sposób gromadzenia się ludzi nawzajem się rozumiejących, sposób komunikowania się zmienił się i przestrzeń mniej tu ważna i potrzebna. A może to my, właśnie prowincjusze, mamy takie jakieś nieprawdziwe (przesadne, źle umieszczone) wyobrażenia o wielkim świecie. Za wiele czekamy, a raczej nie za wiele, ale nie tam i nie w tej formie jak trzeba. Poza tym, kto siedzi u siebie, zawsze czuje twardość krzesła. Zresztą nie jest to najważniejsze. Ważne, że możesz spokojnie kończyć pracę, jak zaczniesz dostawać laury, zaraz łaskawszym okiem spojrzysz na otoczenie. Toż samo i Twój Poeta, o którym piszesz, że obrzucony zaszczytami, czuje się odmłodził i w dobrym humorze. Jeśli go dalej widzisz, pozdrów go serdecznie.

Co do wydania, wiele nowego nie wiem. W[ydawnictwo] L[iterackie] nie jest szybką instytucją, niemniej redakcja robi pomalutku co może, niektóre książki Miłosza wychodzą, więc pewnie i te wiersze wyjdą<sup>12</sup>. Jestem tego właściwie pewien; co do zmian, poprawek, uzupełnień, przekazuję Twoje uwagi, ale dowiaduję się zawsze, że sam wcześniej wszystko załatwiłeś. Boję się jednak, że bez Twojej opieki i kontroli nie będzie to wydanie bez usterek. Nie bardzo mam czas i nie bardzo mi też pamięć dopisuje, aby dopilnowywać tych rzeczy. Co pomyślę, to ucieka po paru czy parunastu dniach. Ale w głębi ducha myślę sobie, że nawet jak tam coś przekręcą, nie będzie to żadna wielka szkoda. Oczywiście, nie trzeba tego mówić autorowi. Najważniejsze, jeżeli się wiersze ukażą, a że będzie jakiś tytuł mylny, albo dwa razy to samo wydrukowane – cóż, robota dla następnego pokolenia filologów.

Bardzo proszę, nie zniechęcaj się moim milczeniem i odezwij się jeszcze. Obiecuję, że teraz będę odpowiadał od razu, może krótko, ale będę.

Pani do stóp padam, a Ciebie ściskam

Jan Błoński

---

<sup>11</sup> W 1982 roku otrzymałem stypendium Fundacji Forda oraz The New York Institute for the Humanities at New York University na ukończenie monografii o poezji Czesława Miłosza (wydanej jako *The Eternal Moment. The Poetry of Czesław Miłosz*, nakładem University of California Press w 1993 roku).

<sup>12</sup> Dwutomowy wybór *Wiersze Czesława Miłosza* ukazał się w 1984 roku, nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie.

[Nadruk]  
UNIwersytet Jagielloński  
W Krakowie

Kraków 5.10.1983

Drogi Olku,

dziękuję za list, a raczej listy, które do mnie dotarły, kiedy byłem za granicą. Mogę się tylko cieszyć, że tak się Twoje sprawy układają, będzie znacznie lepiej, jeżeli spokojnie skończysz w USA książkę przeznaczoną najpierw do wydania tam i pomyślaną za sprawą „przedmiotu badań”<sup>13</sup>. To, że się Miłoszowi Twoja rzecz podoba, jest oczywiście dobrym znakiem, ale trzeba go także trochę podrapać, zaleźć za skórę, żeby nie być zanadto „immanentnym” echem poety. To, że nie skończyłeś swojej książki, wcale mnie nie dziwi, nie ma to nic wspólnego z czasami i pobytem w USA, wynika raczej z bardzo szerokiego i dokładnego pomyślenia monografii. Już po tych rozdziałach, które czytałem, domyślałem się, że nie będzie Ci łatwo „zamknąć” Twoje rozważania – inaczej mówiąc, nadać im jednolitość, przyjąć jakiś klucz interpretacyjny – bo miały opisowy charakter i szły punkt po punkcie, a nie proponowały od razu jakiegoś sposobu interpretacji. Znacznie łatwiej jest skończyć coś, co z założenia jest „stronnicze” i niekompletne – chcę powiedzieć, z góry zakłada jakiś wyraźny punkt widzenia, eliminujący inne i godzący się z własną niezupełnością. Ale nie jest to krytyka, bo właśnie taka wielka i gruntowna książka jest najtrudniejsza do napisania i zapewne najbardziej potrzebna, nie bardzo też widzę, kto by potrafił ją napisać. Tak więc nie przejmuj się niczym, i pisz spokojnie.

Cieszę się też, że pobyt się ułożył i pozwala Wam spokojnie pracować i żyć, koniecznie staraj się skończyć tę pracę razem ze wszystkimi przypisami, uzupełnieniami itd., bo wiem z doświadczenia, jak to trudno potem kończyć i sklejać, kiedy raz zwinie się „warsztat” i przenosi z miejsca na miejsce. [...]

---

<sup>13</sup> Mowa o monografii *Moment wieczny. Poezja Czesława Miłosza*. Jej pierwsze wydanie ukazało się w nakładem Libelli w Paryżu w 1987 roku.

O Jurzykowskim<sup>14</sup> wieść też mnie doszła, co prawda nieoficjalna, i nie powiem, abym się nie cieszył. Ale jak to praktycznie się ma ułożyć, czy i kiedy pojedę do Stanów, nie wiem jeszcze i nawet nie miałem czasu się nad tym zastanowić, byłem w Paryżu i Rzymie, okropnie się spieszyłem z wystąpieniami i referatami – ja jestem zawsze spóźniony i obawiam się, że to nawet konieczne, że jakoś mnie to stymuluje, ale zarazem i wyczerpuje, niestety tak już pewnie musi być u Słowian. Zwłaszcza rzymski pobyt – urok nowości, bo byłem tam wprawdzie, ale raz, dawno bardzo, a raz trzy dni, i teraz mi się wydaje, że to najpiękniejsze miasto Europy, a przy tym dość dziwaczne i osobliwe, Fellini wcale nie jest taki wymyślony czy fantazmatyczny, jak się wydaje<sup>15</sup>. Z tym wszystkim nie mogę pochwalić się wieloma osiągnięciami na literackiej czy uczzonej niwie... Na szczęście jest Jurek<sup>16</sup> i zbiera zasłużone pochwały.

Łączę ukłony, ucałowania rąk, Ciebie ściskam i pozdrawiam –

---

<sup>14</sup> Jan Błoński w 1983 roku otrzymał Nagrodę Fundacji Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku.

<sup>15</sup> Aluzja do filmu Federico Felliniego *Rzym* z 1972 roku.

<sup>16</sup> Jerzy Jarzębski w 1982 roku ogłosił drukiem swoją monografię *Gra w Gombrowicza*, za którą w 1983 roku otrzymał Nagrodę Polskiej Akademii Nauk imienia Aleksandra Brücknera.



JAN BŁOŃSKI

## Listy z zagranicy do Jerzego Jarzębskiego

\*

Z nazwiskiem Jana Błońskiego zetknąłem się po raz pierwszy, pisząc w liceum pracę o Baczyńskim. Czytałem wtedy, pełen podziwu, jego szkic *Pamięci anioła*. Ale osobiście zetknęliśmy się dopiero pod koniec moich studiów, i wtedy przyznałem mu się, że piszę magisterium o Gombrowiczu. Moja promotor, prof. Dłuska, na Gombrowiczu się nie znała, więc poprosiła świeżo przybyłego z Francji Błońskiego o recenzję mojej pracy. W tym momencie zaczęła się jedna z największych przygód intelektualnych mego życia, której bardzo mizernym odbiciem są zamieszczone tu listy, choć można w nich odnaleźć atmosferę naszych kontaktów, mieszkankę serdeczności, bardzo charakterystycznego dla Janka dowcipu, ale też powagi i przejęcia ofiarowywanych sprawom wyższej wagi.

Nazywam zebraną tu korespondencję prowizorycznie „listami z zagranicy”, bo pisane były z reguły wtedy, kiedy Błoński wyjeżdżał na dłużej z kraju na wykłady, najczęściej do Clermont-Ferrand, dokąd udawał się kilkakrotnie. Rządziej pisał do mnie z Krakowa – kiedy ja z kolei jeździłem na jakieś stypendia lub gościnne wykłady – do Londynu czy do Cambridge, MA. Poza tym raczej do siebie nie pisaliśmy – wystarczył telefon lub osobiste kontakty. Zamieszczone tutaj listy to nie jest całość korespondencji Błońskiego do mnie. Są gdzieś w stosach papierów zalegających moje mieszkanie listy wcześniejsze, z czasów, kiedy się dopiero poznaliśmy. Ciekawe – bo zawierające więcej uwag i wskazówek korygujących jakieś moje błędy lub przeoczenia w naukowej pracy, pokazujące więc Błońskiego jako nauczyciela. Kiedy je znajdę, ten zbiór ulegnie znaczącemu wzbogaceniu. Na razie prezentuję tu listy pisane wtedy, kiedy nasze relacje były już bardzo bliskie. Dlatego czytam dzisiaj tę korespondencję z wielkim wzruszeniem, jest ona bowiem świadectwem głębokiej przyjaźni ofiarowanej mi przez mego naukowego Mistrza, troski o moje sprawy, gotowości do pomocy. Być uczniem Błońskiego znaczyło w każdych okolicznościach czuć jego pomocną dłoń i bardzo praktyczną opiekę. Wykorzystywał on do tego swoje międzynarodowe kontakty i pozycję, co pojawia się w listach głównie w sprawie mojej ewentualnej wizyty na uniwersytecie w Amsterdamie (która doszła do skutku dopiero w maju 2005 roku).

Korespondencja prezentowana poniżej zaczyna się w roku 1985, kiedy ja siedziałem na półrocznym stypendium na Uniwersytecie Londyńskim. Nie wiedząc, czy kiedykolwiek będę mógł sobie pozwolić na podobną podróż (w Polsce trwał jeszcze w najlepsze reżim Jaruzelskiego), zaplanowałem po zakończeniu semestru w Londynie objazd zachodniej Europy samochodem. W ten sposób zrobiłem długi *tour d'Europe*, pokonując trasę: Londyn, Amsterdam, Kopenhaga, Sztokholm, Oslo, Porsgrunn, Kopenhaga, Bitburg (gdzie odwiedzałem rodzinę), Genewa (odbiór Nagrody Fundacji Kościelskich), Grenoble, Clermont-Ferrand (Błoński), Le Puy, Vence, Nicea, Marsylia, Arles, Nîmes, Carcassonne, Narbonne, Albi, Clermont-Ferrand, Vezelay, zamki nad Loarą, Chartres, Paryż, Bitburg, Kraków. Ślady owego *touru* widoczne są w listach. Widoczne jest również inne *signum temporis*: oczywiście korespondując między Londynem a Clermont-Ferrand, nie musieliśmy obawiać się o to, że na poczcie ktoś otworzy nasze listy. Ale wracając do Polski, ja listy od Błońskiego musiałem przewieźć przez granicę NRD i Polski, treść ich nie mogła go więc narażać na kłopoty. Dlatego w listach pojawiają się miejsca celowo wycięte (zapewne te, w których Błoński komentuje moje spotkanie z Jeleńskim w Paryżu).

Następny temat (w związku z moją wizytą w Genewie) to uwagi o ówczesnym jury Nagrody Fundacji Kościelskich. Kościelscy powrócą jako temat po kilku latach – kiedy już sam byłem członkiem jury, ale Błoński był najważniejszym autorytetem w tym gremium i dzięki niemu nagroda przechodziła swoją „złotą erę” – kiedy naprawdę wyznaczała elitę młodych polskich pisarzy.

Z większych tematów tej korespondencji warto może jeszcze wspomnieć Tadeusza Kępińskiego i drugą z jego książek o szkolnym koleźce: *Witold Gombrowicz – człowiek i pisarz* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988), dość nieszczęsne dzieło, w którym autor próbował udowodnić, że Gombrowicz był myślicielem drugorzędny, naśladowczym, a poza tym efekciarzem i kłamcą.

Ostatnią ze spraw – tematów naszej korespondencji była Biblioteka Polska: seria wydawnicza, której Błoński w ostatnich latach zawodowej aktywności oddał całą energię. Był to w istocie wielki projekt wydawniczej rekonstrukcji obrazu literatury polskiej – pierwszy w tej skali po wszystkich historycznych kataklizmach, które ją dotąd niszczyły i zniekształcały. Mogła to być wreszcie literatura cała, zachowująca proporcje pomiędzy staropolszczyzną i współczesnością, wolna od ingerencji cenzury lub ideologii, wreszcie też ostatecznie scalona po dziesięcioleciach podziałów na kraj i emigrację lub rozmaite „obiegi”. Nie wiem, może nawet myślał o tym jako najwartościowszym swym dziele? Niestety postępująca choroba nie pozwoliła mu dokończyć tych planów. O Bibliotece jest

chyba ostatni list, jaki od niego dostałem. Potem już pozostały wspólne wyjazdy na uroczystości wręczenia Nagrody Fundacji Kościelskich, rozmowy – coraz smutniejsze, bo zdawał sobie sprawę z pogarszającego się stanu swego zdrowia. I wreszcie to ostatnie, prawdziwie dramatyczne spotkanie – na miesiąc przed śmiercią – kiedy już nikogo nie poznawał.

J.J.

Nagłówek:  
Université de Clermont II  
U. E. R.  
Faculté des lettres  
et sciences humaines  
29, boulevard Gergovia  
63037 Clermont-Fd CEDEX  
Tél. (73) 93.11.63  
Clermont-Fd, le

25 stycznia 85

Kochany Jurku,

Dziękuję Ci za list, tak wyczerpujący. Tymczasem odpisuję krótko, bo mam jakoś strasznie dużo zajęć i kłopotów, własnych to do pokonania, ale też i rodzinnych, wszyscy chorzy albo sobie rady nie dają, i nawet trudno ich za to winić. O Schulzu<sup>1</sup> pamiętam. Z Polski także mam stale wiadomości coraz bardziej przygnębiające. Panuje tam chyba nastrój zupełnej rozpacz i jednocześnie bezwładu. Właściwie połowa moich znajomych o niczym już innym nie marzy, jak tylko żeby porzucić „Potwora naszego świętego... niech sobie wreszcie zdechnie, skoro przez wieki zdycha i zdechnąć nie może”. A co jeżeli oni mają rację?

Błagam Cię, poratuj mnie tymczasem i podtrzymaj moją reputację jako tego, który wie, co się święci w polskiej literaturze. Jest tu taka studentka, która wdała się w rosyjsko-polskie rozważania nad stosunkami bajki i science-fiction. Trafiała na Lema, którego słabo rozumie, a w ogóle jest młoda i niedoświadczona. Nie pamiętam tego fragmentu Twojej książki, ale przypuszczam, że trochę się nad tymi bajkami robotów i podróżami Tichego zastanawiałaś od tej strony. Czy byłbyś tak dobry i przysłałbyś mi fotokopię tej

---

<sup>1</sup> Chodziło zapewne o przygotowywany przeze mnie tom pism Schulza dla serii Biblioteka Narodowa, której redaktorem był wówczas Błoński.

partii swoich rozważań? Chyba nie sprawi Ci to kłopotu i wydatku. Z góry dziękuję, obiecuję za parę dni dłużej napisać i tymczasem ściskam bardzo serdecznie – Janek

PS. Jeżeli znasz bibliograficznie najważniejsze prace niemieckie i amerykańskie o Lemie, to bardzo proszę, przyslij mi gdzie, kiedy się ukazały. Dziękuję!

Clermont-Fd. 14. II 85 [zachował się fragment listu]

Ale ja byłbym ciekaw Twego artykułu: mam nadzieję, że mi pokażesz. Teraz już uczę się tylko od Ciebie, Nycza i trochę Boleckiego (on jest mądry, ale ma jakąś logoreę, coś mu się nie chce złożyć w całość, uzwięzlić), starając utrzymać się na powierzchni, póki potrafię. Sam nie wiem, co Ci radzić z Schulzem. Rozumiem, że pisząc wstęp, zmieniasz jakby o nim zdanie, domyślasz się nowych sensów. Tych nowych sensów szkoda, ale wstęp musi znowuż być dostępny. Może byś spisał „na zapas” – nie dbając o czytelnika – swe myśli o S., a potem, zrobiwszy w nim niejako wybór i porządek, wrócił do wstępu? Jestem Ci w każdym razie niezmiernie wdzięczny za pamięć o BN. I myślę, że nie będzie to źle, bo Ty właściwie musisz napisać o Schulzu książkę także. Tak wynika z tego, co dotąd wymyśliłeś. Więc to, co sobie zapiszesz, też się przyda, i za rok będzie jak znalazł.

A Lem? A habilitacja? Co to będzie? Wiem, że to niesprawiedliwe, nawet okrutne, przywoływać Ci te koszmary przed pamięć. Nie przejmuj się więc.

Natomiast nie bardzo rozumiem – i ciekaw jestem – dlaczego piszesz o „przerabianiu klarownych idei na podejrzone wywody” (słoń rozwałkowany na niteczki). Czy to jest dlatego, że masz jakieś jasne dla siebie, intuicyjne ujęcia (odczucia?) danego tekstu, problemu itp., a potem nie możesz ich wyartykułować? Czy to jest ujęcie intelektualne (idee), czy coś w rodzaju obrazowej wizji estetycznej? Jakiegoś wewnętrznego przyświadczenia? Ciekawi mnie to, bo zorientowałem się, że jest tyle sposobów myślenia i pisania o literaturze, sztuce, tyle odczuwań rozmaitych, i właściwie to samo w sobie mogłoby być przedmiotem refleksji. Ale może po prostu idzie o to, że proces dokumentowania, udowodnienia pomysłu (zarysu interpretacji) jest bardzo nużący. Istotnie tak bywa, ale to jest przecie proces sprawdzania tej interpretacji (pomysłu). Im więcej się sypie pod pióro przykładów, rozwinięć itp., tym jest ona trafniejsza. Natomiast jeżeli przykłady (warianty) zanadto modyfikują założenia, to dowód, że coś w nich nie w porządku. Tak to przynajmniej odczuwałem, kiedy pisałem dłuższe

szkice, i dlatego właśnie tak trudno mi było – i jest – wyjść poza szkic, napisać książkę na jeden temat. To są po prostu granice talentu (albo pracowitości...).

Mnie „klarowne idee”, które się nie chciały rozwałkować, okazywały się nieraz po prostu – banalne. Tobie to nie grozi, raczej Twoje się silnie modyfikują *in tractu*, w szczegółowej interpretacji, ciągle masz nowe. Lepsze to niż posucha, choć konia trzeba nie tylko karmić, ale i tresować. Ale może Ty miałeś na myśli jakieś innego rodzaju intuicje?

Napisz znowu koniecznie, nie masz pojęcia, jaką mi sprawiasz przyjemność tym porozmawianiem. Ściskam Cię serdecznie i do przeczytania i zobaczenia

Janek

18 lutego 85

Kochany Jurku,

Posyłam Ci list Kallenbacha, który na szczęście trzyma się jako tako. U Kościel-  
skich jest tak: Kallenbach jest prezesem honorowym, Górski prezesem (od tego  
roku), Marzys sekretarzem. Ale naprawdę to fundacja wszystko zawdzięcza Kal-  
lenbachowi. Myślę, że możesz do niego teraz napisać, ze wszystkimi atencjami; on  
z grzeczności każe pisać do Marzysa, ale ja zgubiłem czy zostawiłem w Krakowie  
jego [Marzysa] adres, mam tylko telefon (mieszka w Neuchâtel). Usprawiedliwię  
Cię przed Kallenbachem. Z listu wynika, że nagrodę możesz podjąć, o ile Ci to  
oczywiście teraz odpowiada, bo może byłby to pretekst do innej podróży?

Jak Ci mówiłem, nagroda wynosi 3500 FS, płatna gotówką. Fundacja zwyczaj-  
owo nie pokrywa kosztów hotelu w Genewie, najwyżej Ci go zarezerwuje. Uro-  
czystości ograniczają się do spotkania i ewentualnie obiadu, którego jednak już  
nie musisz fundować. Wszystko to są bardzo mili i dobrzy ludzie, ale starzy i ledwie  
żywi, nawet jeśli tego nie widać... Kallenbach najsympatyczniejszy ze wszystkich.  
Jest on z zawodu urzędnikiem bankowym (i synem historyka literatury): jeszcze  
przed wojną zdążył być w Krakowie dyrektorem Banku Rolnego, chyba. Górski jest  
emerytowanym urzędnikiem jakiejś agencji ONZ. Marzys – profesorem uniwer-  
sytetu, językoznawcą-romanistą, poza tym działaczem chrześcijańskim, wielkim  
przyjacielem Skwarnickiego, wdowcem. Adresy poniżej, niestety niekompletne.

Zastanów się więc nad tym wszystkim. Pozdrawiam Cię serdecznie i ściskam –

Jan Błoński

[...] Czy list mój w ogóle zdąży do Ciebie? Nie wiem, ale pisać muszę. Nie gniewaj się, że ograniczę się do spraw najistotniejszych, liczę bowiem b a r d z o, że zobaczymy się tutaj i porozmawiamy dłużej. Więc już tylko o „sprawach”:

- 1) Artykuł o emigracji<sup>2</sup>: chcę go przeczytać! Mam nadzieję, że będziesz go miał ze sobą. A co by się dało z niego wydrukować w Polsce oficjalnie? Nawet kawałek miałby znaczenie. Uważam, że dobrze zrobiłeś, poświęcając się tej sprawie, bo naszym pierwszym obowiązkiem jest znać całość literatury p o l s k i e j, a że to wybrane i inaczej usprawiedliwione... gdybyśmy tylko takie grzechy mieli na sumieniu.
- 2) Utwór literacki jako bryła: tzn. że widzisz go jako przedmiot estetyczny/artystyczny. Nigdy w to nie wątpiłem, ale miło usłyszeć raz jeszcze. Jak go „oddać”? Wśród rozmaitych sposobów: a. dbałość o konstrukcję własnej analizy: tak ją rozplanować, aby poszczególne części (tematy) jakoś sobie odpowiadały, b. manipulować aluzjami do całości, jakby czytelnik wszystko doskonale rozumiał: sposób, którego osobiście nadużywam, c... d... . etc. [...]

5. Rozumiem, że na początku kwietnia jedziesz do Skandynawii – do Kopenhagi i Sztokholmu – a potem wracasz do Londynu, i stamtąd do Francji? Nb. jesteś też sławny w Amsterdamie, gdzie myślano (ale bardzo niejasno i mętnie, może to za dwa lata coś da), jakby Cię podziwiać *de visu*<sup>3</sup>.

Napisz nam dwa słowa, po prostu dla zachowania kontaktu i przygotowania Twego przyjazdu. Adres znasz, telefon powtarzam: (73) 36 96 63, do 14 czerwca. Potem będziemy u znajomych w okolicy, ale listy będą dochodzić. Zresztą Tobie to już niepotrzebne.

Więc czekamy! I daj koniecznie znać, aby nie było jakiegoś *qui pro quo*! Ścisłkam bardzo serdecznie!

Janek

PS. Teraz widzę w Twoim liście, że jedziesz do Amsterdamu! Tym razem wiele dla Ciebie nie zrobię, ale zajrzyj do Instytutu, gdzie w końcu była o Tobie mowa. A oto dane i informacje: Instytutem rządzi prof. van der Eng, człowiek za dostojny na Ciebie tymczasem (choć miły, ale u nich profesor=kierownik instytutu,

---

<sup>2</sup> Chodzi o napisany przeze mnie w Londynie obszerny artykuł o pierwszym dziesięcioleciu literatury na obczyźnie, wydrukowany w tomie *W Polsce, czyli wszędzie. Szkice o polskiej prozie współczesnej* (Wydawnictwo PEN, Warszawa 1992).

<sup>3</sup> *De visu* (łac.) – naocznie.

i poza tym nieśmiało-sędziwy). Od polskiego „lektorem” – co w Holandii oznacza docenta!! – jest dr Witold Kośny, czyli Kosny, człowiek bardzo poczciwy i sympatyczny i trochę powolny, co może wiąże się z ułomnością; jest to potomek emigrantów polskich do Niemiec, i to bodajże w 4 pokoleniu, ale w jakimś sensie Polak, albo też Niemiec w innym sensie. Ale o Ciebie pytał asystent, Frans Jong [...]. Dałem mu Twój adres, ale telefonu nie ma, bo właśnie się przeprowadza [...]. Poza tym jest *spiritus movens* ostatniej imprezy, Karl Lesman [...]. Do niego mógłbyś zadzwonić, bardzo się ucieszy. On sam jest wieczny student, tłumacz etc., ale entuzjasta i sprawny, a poza tym lubią go w Instytucie. [...] Moim zdaniem, możesz tam odwiedzić Kośnego, aby złożyć uszanowanie, no i przez niego albo przez Lesmana złapać Jonga. Mnie się zdaje, że to warto, bo nic od nich nie chcesz, a zrobisz dobre wrażenie! – Co do Paryża, nie mogę Ci nic konkretnego poradzić. Sami miewamy kłopoty z mieszkaniem, bo u Piotra za mało. Gdybyś był dłużej, może dom studencki, prowadzony przez Pallotynów, miałby jakieś miejsce. Pallotyni są bodajże 19 rue Surcouf (Editions du Dialogue etc.) koło Inwalidów, ale tam tylko można by się dowiedzieć o adres tego domu studenckiego, który nie jest daleko, i gdzie spotkałem np. asystentów z UJ. Poza tym ja sam nie widzę...

PS. Czy słyszałeś o jakichś skandalach nowych z wydaniem Gomba? Zdaje się, że nic z tego nie będzie, i znowu jakieś rozszalałe starsze panie piszą w „Polityce”, napadają na Ritę itd.! Pięknie. J.

9 stycznia 89

Kochany Jurku,

Dziękuję za list rodzinny, który mnie bardzo wzruszył, tym bardziej że otrzymałem go dokładnie w chwili, kiedy zabierałem się do przepisania cytatu z Twojej pracy o formie Gombrowiczowskiej w coś takiego, co mówię? piszę o *Ferdydurke*. Mówię wykład, ale zarazem zaczynam to traktować jako brulion opracowania dla BN czy dla czegoś takiego. Po tym wszystkim widać, że ponad kontynentem – skądinąd niewielkim... – przebiegają rozmaite tajemne nitki.

Chyba znasz też nasz nowy na av. de la République telefon: 73 25 75 33.

Mamy kuchniojadalnię, trzy duże pokoje i trzy klitki nie wiadomo czy do spania, czy do trzymania gratów<sup>4</sup>. Także mebli pełno, a wszystkie bardzo stylowe, oraz abażurów, luster, lampek, schowków, komódek, sztychów i fotografii,

---

<sup>4</sup> (\*) nawet ogródek zamknięty! – dopisek autora.

a nawet obrazów. Stąd wniosek, że przechowanie całej nawet rodziny Jarzębskich nie przedstawiałoby wielkich trudności. Gdybyście się np. wybierali do rodziny do Niemiec, w jeden dzień zdążylibyście i tu przyjechać.

Jeszcze raz wielkie dzięki i ponawiam bardzo serdeczne życzenia i zaproszenia, które jednak tylko do czerwca wyłącznie aktualne... najlepiej kwiecień – maj. Ściskam J. Błoński

8 lutego 89

Kochany Jerzy,

Dzięki za list, i wyczerpujący, i ciekawy. U nas nic szczególnego się nie dzieje, z tym, że dostatek znieprawia (mnie, nie Teresę, ona jest niezłomna!) i czyni leniwym czytaczem gazet, czyli niczego. Wiele więc sobie po tej *Ferdydurce* nie obiecuj. Wyobraź sobie, że książkę Kępińskiego<sup>5</sup> znam. Powstała już wiele lat temu – chyba dziesięć?! – i trafiła do mnie do recenzji. Napisałem bardzo kwaśno, że się nie nadaje... „w obecnej formie”, dodałem, aby nie urazić starca. Oprócz tego powiedziałem, a nawet napisałem – osobny list do Kurza, że to produkt starczej patologii, i że należy ją w ogóle odrzucić. Źle widać zrobiłem, bo zwrócono ją do poprawek; Kurzowi<sup>6</sup> zresztą, jak pamiętam, raczej się podobała, mówił, że interesująca etc. Co dalej, wiesz. Chwała Bogu, że to z hukiem objedzicie, nawet nie ze względu na Gombę, któremu to nic nie zaszkodzi, zwłaszcza na dalszą metę, ale jako odpór dany bylejąkością i jakiemuś prymitywizmowi, co się w tym kryje. Mniejsza o Kępińskiego: uczeń „dobry” i „normalny” zniechęcił – może o tym nie wiedząc – genialnego i w jakimś sensie potwornego, który, czuł to! zajdzie nieporównanie dalej. Głupie, ale częste. Ale jest jeszcze nasza praktyka kulturalna. W takich drobiazgach okazuje się, jak wolność jest trudna do praktykowania, zwłaszcza bez utrwalonej tradycji, jak by powiedział Miłosz, „hierarchii”. Oczywiście Kurz – może sam o tym nie wiedząc! – w głębi nienawidzi Gombrowicza, któremu jako wydawca zawdzięcza (prócz nagród i pochwał) wiele upokorzeń. Na pewno uważa w głębi, że Kępiński ma rację, mówi prawdę. Ale jeszcze przed paru laty wstydziliby się może wydać Kępińskiego. Wstydziliby czego? Środowiska? Zachodu? Nie chciałby sobie narażać współpracowników? Innych pisarzy? Ale

---

<sup>5</sup> Tadeusz Kępiński, *Witold Gombrowicz. Studium portretowe*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988.

<sup>6</sup> Andrzej Kurz – ówczesny dyrektor Wydawnictwa Literackiego; długo starał się o wydanie Gombrowicza w Polsce, w czym pomagała mu dość wysoka funkcja w aparacie PZPR. Starania uwięrzyły powodzenie w roku 1986.



teraz jest jednocześnie wolność i brak pieniędzy, więc na zarzuty odpowie, że krytycy Kępińskiego ograniczają swobodę wypowiedzi, a poza tym on musi wydawać to, co się sprzedaje, przygotowuje więc opowieść o tym, jak Gombrowicz (albo Miłosz, albo ktoś taki) kopulowali z małpami w Andach. Szkoda, że mnie nie ma, przyłączyłbym się zaraz do Waszej „nagonki” (tak to nazwie) na Kurza. Drugi taki, jeszcze gorszy, bo zbrodniarz krwawą posoką pomazany, to Machejek<sup>7</sup>, drukujący *Sołżenicyna*. Jeszcze parę miesięcy, a Piotrowski<sup>8</sup> (przy pomocy Urbana, który mu to napisze) ogłosi historię swego nawrócenia. Niezmożliwość użycia żelaznej miotły, na którą ta stajnia polityczno-kulturalna zasługuje, dodatkowo jeszcze pomniejsza i wykołaja nasze życie kulturalne, więc takie reakcje, jak Twoja i Lema, bardzo pozytywne!

Wydarzenia na polonistyce bardzo mnie poruszyły – dowiedziałem się właśnie wszystkiego od Joanny i Tadeusza<sup>9</sup> – ale opis Twój kraju naszego i wolności na Gołębiej (wywalczonej, ależ tak, przez te biedne dziewczyny<sup>10</sup>) nie może mnie nie cieszyć. Masz rację, że to nagle przyszło, ale pochwalę sam siebie, że byli tacy, którzy to przewidzieli. W 86 przyjechałem do Krakowa w nie najlepszej formie, ale po paru miesiącach nabrałem mocnego przekonania, że to tak właśnie będzie, i pamiętam, jak o tym przekonywałem kolegów, może i Ciebie. Rzecz w tym, że właściwie rządzą życiem społecznym idee i cnoty (czy występki), jak mniemali starożytni, tyle, że to działa na bardzo długą metę. Póki u nas – i gdzie indziej – działacze, choćby nie bardzo mądrzy, wierzyli w socjalistyczną przyszłość, póki w męce, ale z nadzieją jakąś budowano Magnitogorsk, to jeszcze wszystko szło jakoś, zwłaszcza, że było co zużywać z przyszłości, bardziej zresztą w sensie moralnym niż materialnym (kompetencję, doświadczenie, pracowitość etc.). Ale kiedy nikt w nic nie wierzy, nie pozostaje nic innego, jak zasiąść do okrągłego stołu albo zrobić *glasnost*.

Może praktyczne kłopoty zaczną się teraz dopiero, tym bardziej że wydolność i wytrwałość tego społeczeństwa bardzo osłabiona... Bych bym Jeremiaszem itd. Ale nie jestem i żrę krewetki i wąparsje. *À propos*, ostrzygi we Francji mocno staniały, bo się ludziom nie chce otwierać, i wolą łososia, który

---

<sup>7</sup> Władysław Machejek: działacz partyjny wysokiej rangi, a także pisarz używający dziwacznej polszczyzny; wieloletni redaktor krakowskiego tygodnika „Życie Literackie”.

<sup>8</sup> Główny oskarżony w procesie morderców ks. Popiełuszki.

<sup>9</sup> Przybrany syn Błońskiego i jego ówczesna żona, pracownica Instytutu Filologii Polskiej UJ.

<sup>10</sup> Młode wówczas pracownice naukowe Instytutu Filologii Polskiej UJ, Jolanta Antas i Maria Indyk, głęboko zaangażowane w podziemną działalność wydawniczą, zostały pod koniec władzy komunistycznej w Polsce kolejno napadnięte i bestialsko pobite przez nieznanego sprawcę – zapewne na usługach bezpieki.

w olbrzymich ilościach, cały uwędzony, przy pływa z Pacyfiku. Moim zdaniem, nie mają racji, ostrygi są lepsze, nie mówiąc o wąparsjach<sup>11</sup>.

Dość już tych głupich żartów. Nie bardzo rozumiem, co by nam w lipcu powiedzieć mógł – i komu? – Kapuściński, ale chętnie posłucham, a zresztą wytłumaczysz mi, o co chodzi. Ciągłe niezadowolona sprawa Miłosza bardzo przeszkadza mi w układaniu planów. W każdym razie my stąd w ciągu czerwca, i raczej w pierwszej połowie, wyjedziemy, albo przynajmniej zlikwidujemy mieszkanie, więc boję się, że nie zdążyłbyś, niestety.

Pocałuj dziatwę, przekaż moje ucałowania rąk dla Pani<sup>12</sup>, i ściskamy Was wszystkich serdecznie –

Janek

UNIVERSITÉ BLAISE PASCAL  
(CLERMONT II)

Faculté des lettres

et sciences humaines

29, boulevard Gergovia

63037 Clermont-Fd CEDEX

Tél. 73. 34. 44. 00

Institut d'Études Slaves

Clermont-Fd, le 5 marca 89

Drogi Jerzy,

Posyłam Ci trochę wycinków z „Heralda”. Dają chyba nieco inny – i prawdziwszy – obraz zachodnich refleksji nad losem naszej części świata, niż ludzie przypuszczają. Może Cię zabawią w rzadkich chwilach, których nie poświęcasz Lemowi. A może już go poskromiłeś?

Cieszę się, że za dwa miesiące będę się zbierał do Krakowa, chociaż życie nasze tutaj raczej rozkoszne. Małżonce do stóp padam, dzieci pozdrawiam, Ciebie ściskam – J. Błoński

PS. Dziś rano rozmawiałem z p. Gombrowiczową, która chce od Ciebie artykułu o Gom. w Polsce<sup>13</sup> (coś na kształt już napisanego). Dałem jej Twój telefon; przygotuj się zatem na rozmowę z nią, o ile już jej nie odbyłeś.

---

<sup>11</sup> Fantastyczny przysmak wykwiwonej kuchni zmyślony przez Witkacego.

<sup>12</sup> (\*) Tak: dosłownie! – dopisek autora.

<sup>13</sup> (\*) Do zbiorowej pracy *Gombr. Vingt ans après* – dopisek autora.

[Nagłówek firmowy Université Blaise Pascal]  
Clermont- Ferrand, le 16.IV. 89.

Drogi Jerzy,

Dziękuję za list ciekawy i wyczerpujący, chociaż nie nazbyt pogodny. [...] Jednak trudno mi uwierzyć, aby Twój los zawodowy stawał Ci się obojętny; należysz do ludzi, dla których praca – ta praca – jest nie sposobem zarobkowania, ale raczej sposobem życia; jestem zupełnie przekonany, że nudziłbyś się straszliwie, gdybyś musiał robić co innego (co nie znaczy, że musiałbyś akurat Lemem się zajmować, czy nawet współczesną literaturą: to ważne tylko, że „coś takiego” musiałbyś robić). Ja zresztą nie byłem szczególnym entuzjastą tego właśnie tematu: ale stało się i nie ma rady. Wreszcie nie mogę powstrzymać się od uwagi, że – cokolwiek z Tobą będzie – to wszyscy wchodzimy w jakąś nową społeczną i intelektualną epokę i jest rzeczą trudniejszą, niż myślisz, aby się w tej epoce w ogóle znaleźć. Doskonale wiem, że taka opinia brzmi dla większości kolegów – czy w ogóle Polaków – dziwacznie, ale upieram się zdecydowanie: ośmielał się też przypomnieć, że przed rokiem wszystkich przekonywałem, że system robi bokami i w najbliższym czasie zacznie się rozsypywać: chyba to już dzisiaj nie budzi niczyjej wątpliwości. Teraz czekają nas czasy może lepsze, może gorsze, ale o wiele trudniejsze intelektualnie i zobaczysz, że potrzeba czy konieczność – której jeszcze ludzie nie dostrzegają – zmusi ich do wielkich wysiłków.

Z Twego listu rozumiem, że się niemalże rozminiemy, bo przed 15.6 to my nie przyjedziemy. Odezwę się zaraz po przyjeździe. Mam nadzieję, że się zobaczymy. Co do Miłozsa, to pewnie wiesz, że przyjedzie w październiku na dłużej. Mam nadzieję, że będziemy się częściej widywać z różnymi osobami z emigracji, trzeba to będzie urządzić – w ogóle wiele rzeczy czeka do zrobienia, i szybko. Jeśli dobrze rozumiem, wybierasz się do Niemiec, do rodziny i chyba nie na bardzo długo?

Moja chrzestna córka<sup>14</sup> ma – jeśli dobrze pamiętam – Pierwszą Komunię i w związku z tym chciałbym się jej przypomnieć. Nie bardzo wiem, co by mogło jej zrobić przyjemność, poza tym inni pewnie wcześniej o tym pomyśleli. Dołączam więc 20\$ i bardzo proszę, kupcie jej ode mnie coś, co ją uraduje.

---

<sup>14</sup> Błoński był chrzestnym ojcem mojej córki, Ani.

A poza tym to dołączam już tylko tutejszy obrazek z Puy i dwa słowa. Z góry dziękuję za to Wam obojgu.

Co do rozmowy, to istotnie mnie trochę rozczarowała, w tym sensie, że można było dotkliwiej – i celniej – pokazać, jak płasko myśli Kępiński o literaturze i jakiej meskinerii daje świadectwo. Lepiej było wyśmiać, niż piorunować, to zawsze skuteczniejsze. Ale domyślam się, że Lem chciał dać upust swoim gniewom i Ty już niewiele mogłeś na to poradzić. Mniejsza o to, to jest rzecz ulotna, a Kurza się nie bój, zacznie niedługo robić bokami, jak też inni pogrobowcy. W literaturze etc. najprędzej te zmiany dadzą się odczuć – te wszystkie kurze i machejki przestaną po prostu istnieć, szybciej, niż myślisz.

Pozdrów ode mnie Renę i dziatwę, Ciebie ściskam i do rychłego zobaczenia!

Janek

[Nagłówek firmowy Université Blaise Pascal]

Clermont-Fd, le 20 kwietnia 89

Drogi Jurku,

Niedawno pisałem, nie mam więc wiele do dodania, zwłaszcza że pobyt nasz, zresztą coraz rozkoszniejszy, zaczyna powoli zbliżać się do końca. Posyłam Ci jednak trochę wycinków: pewnie nie masz czasu na czytanie, wcale się nie dziwię, ale mnie to bawi i umacnia mi w głowie to, co przeczytałem, więc jednak posyłam. Nigdy chyba tyle nie pisano w świecie o Europie naszej (wschodniej!) co obecnie, nigdy nie była tak silnie związana z przyszłością świata – choćby jako papierek lakmusowy...

Chodzi mi po głowie, że niedługo Twoje imienniny. Jeśli to prawda, to przyjmij moje życzenia i uściski. A jak nie, przyjmij także.

Janek

Ukłony i uściski dla Rodziny!

[Nagłówek firmowy Université Blaise Pascal]

Clermont-Ferrand, le 21.01.94

Drogi Jerzy,

Jak zapewne spostrzegłeś, mieszkamy w tym samym mieszkaniu, co niedyś i gdzie – o zgrozo – spędziłeś niegdyś noc na podłodze (czy prawie). Dość

tu rozkosznie, cóż za spokój, ład, trosk żadnych – jak dotąd – prócz stałej niepewności, czy moi (dość nb. liczni, bo wykład jest trochę dla wszystkich) studenci rozumieją cokolwiek z tego, co mówię, zważywszy odległość wieku i mentalności. Ale pocieszam się, że nawet jeśli nie rozumieją, to uprzytomnią sobie własną niemożność.

Mam do Ciebie wielką prośbę: troskę o Kościelskich. Trzeba w tym roku koniecznie rozstrzygnąć ostatecznie sprawę trzech diskutowanych i odpychanych w przyszłość kandydatów. Pierwszym jest Świetlicki, drugim Tomkowski, trzecia warszawska dziennikarka-eseistka, której nazwiska oczywiście w tej chwili zapomniałem, ale Ty wiesz oczywiście, o kogo chodzi. Napisała ona b[ardzo] d[obra] książkę o polskich Żydach w Izraelu, także inną o Rosjanach w Wwie w XIX wieku i coś jeszcze. Dotąd głosowałem przeciwko, ale ta książka o Żydach, chwalona też przez Kapuścińskiego, dała mi do myślenia. W każdym razie trzeba to ostatecznie załatwić i dlatego błagam Cię, wykosztuj się na 2–3 egzemplarze (zwróć! podobnie jak inne długi) i poślij do Franka<sup>15</sup>, żeby już nikt nie miał wykrętów. Kilka jej książek już się tam do niego zabłąkało, ale chodzi o to, aby naprawdę wszyscy przeczytali. A przede wszystkim ŻEBYŚ TY PRZECZYTAŁ jako najmędrzy z jurorów.

Mam nadzieję, że jakoś dajesz sobie radę z życiem i obowiązkami... Pamiętaj, że jak byś się tu znalazł, znowu znajdzie się miejsce jeśli nie na podłodze, to na stole. A jedzenia dobrego b. dużo.

Pozdrów Czcigodną Małżonkę i Dziaćki!

Ściskam serdecznie – Janek

PS. Ona nazywa się Tuszyńska – prawie na pewno. To znaczy ta autorka, o której powyżej. Ale zapomniałem: powinniście z Włodkiem jako neojurorzy wystąpić energicznie z nowymi propozycjami!!! I jeszcze: książka Tomkowskiego byłaby dla jury źle wybrana: trzeba by zebrać 2–4 tomy jego najlepszych prac (o herezji etc.), a nie tę kretyńską hist. literatury dla maluczkich.

---

<sup>15</sup> François Rosset – wówczas sekretarz jury Nagrody Kościelskich, dzisiaj prezes Fundacji.

Kraków, 14.3.97

Drogi Jerzy,

Cieszę się, że od razu znalazłeś sobie miejsce i sadybę na uniwersytecie<sup>16</sup>, bez mieszkaniowo-towarzyskich-urzędowych trosk czy kłopotów. Co do zajęć, nigdy nie miałem wątpliwości, że poradzisz sobie z nimi na pamięć, nawet jeśli – co nie daj Boże – zgubisz wszystkie swe notatki, podściółki i skarbcie intelektualne. A nawet jeśli przez nieuwagę obwieścisz, że np. Leśmian urodził się w 1938 roku, nic się poważnego nie stanie. Przede wszystkim więc życzę Ci długiego snu, taplania się w wannie, lektury NYTimesa, spacerów po lesie i nad morzem... oraz ogólnego odprężenia, którym zresztą tchnie już Twój miły list, za który szczególnie dziękuję. Cieszę się także, że – jak wnoszę – choroba Staszka<sup>17</sup> nie pogarsza się wyraźnie... Nie przestaje on wydawać tu nowych książek i niewykluczone, że dostanie Wielką Nagrodę, którą obmyślił Michnik z finansistką Bochniarz, najwyraźniej zazdroszcząc pomysłu Noblowi<sup>18</sup>. Ale to dopiero na końcu roku.

A ja? Walczę z papierami, które mnożą się bezwstydnie na moim biurku, mimo coraz częstszych grubiańskich i destrukcyjnych zachowań z mojej strony. Oczywiście przegrywam. Biblioteka Polska<sup>19</sup> niby to kwitnie, ale jak dotąd żaden ze współpracowników nie wykonał niczego na czas (z wyjątkiem dr Meller, ale czym się ona zajmuje – *Psałterzem Dawidów!*). Nie zauważyłem, aby Ossolineum wywiązało się z zobowiązań, które wobec Ciebie podjęło... niemniej na nic Cię nie namawiam, bo musisz odetchnąć i stać się chłodnym, mile uśmiechającym się Anglosasem, zmierzającym prosto i z sukcesem do zamierzonych sobie celów. Ściskam Cię,

Janek Błoński

---

<sup>16</sup> Chodzi o katedrę polonistyki na Uniwersytecie Harvarda, gdzie zastępowałem chorego Stanisława Barańczaka w pierwszej połowie roku 1997.

<sup>17</sup> Chodzi o Stanisława Barańczaka, który przez wiele lat cierpiał na chorobę Parkinsona.

<sup>18</sup> Chodzi o Nagrodę Literacką Nike. W latach 1997–2000 Błoński był przewodniczącym jej jury. Barańczak otrzymał ją w 1999 za *Chirurgiczną precyzję*.

<sup>19</sup> Zrażony do Wydawnictwa Ossolineum, Błoński zrezygnował ze współpracy z nim i stworzył przy Wydawnictwie Universitas serię klasyków literatury polskiej pod nazwą Biblioteka Polska.

Kraków 25.3.97

Kochany Jurku,

Sam wiesz dobrze, co to jest być przywalonym: jak Ty niedawno, pełzam po podłodze, ryjąc wśród zwałów książek i papierów przejście do następnego pokoju, w jakim ta sama beznadziejna podróż zaczyna się na nowo. Niemniej żyję, za co nieustannie dziękuję Bogu, a już szczególnie przed Wielkanocą. Życzę Ci na Święta olbrzymiego Złotego Jajka, z którego za pociśnięciem wylatywać będą zupełnie gotowe teksty Twego pióra. Jeden z tych tekstów trafił do mnie, za co serdecznie dziękuję.

Jedź niedużo (w USA nie ma chyba niczego, czego byś nie znał), uprawiaj sporty, wykładaj krótko i z łaski, a będziesz długo żył i dobrze Ci się będzie powodziło. Jedź (jeźdzaj?!!) stale na konferencje naukowe, jest to bowiem jeden z nielicznych sposobów legalnego i (wewnętrznie nawet) usprawiedliwionego niepracowania. Uprawiaj sporty, śpij niemal bez przerwy. Papierosów nie pal, nawet w tajemnicy przed sobą.

Oto wszystkie moje rady i błogosławieństwa. Tu nic szczególnego, tylko coraz jakoś wolniej... głupiej... jeśli o mnie chodzi, rzecz jasna. Nie wiem czemu, na mój adres przyszedł list do Ciebie z Sejn. Posyłam Ci to zaproszenie; odpowiadając na podobne, wyjaśniłem, że w USA, nie musisz więc odpowiadać, chyba grzecznościowo. Ściskam Cię serdecznie i życzę stałych rozkoszy –

Jan Błoński

Kraków, 18.09.00

Kochany Jurku,

Jeszcze raz chciałem Ci podziękować za życzliwość dla moich starań i za napisanie czegoś o Bibliotece Polskiej. Wspomniałem o tym w Universitas (Universitasie?), gdzie sam Dyrektor obiecał przygotować dla Ciebie potrzebne pozycje. Ze swej strony chciałbym dodać parę zdań o tym, jak widzę miejsce i możliwości tej serii.

Otóż moim marzeniem i założeniem było poszerzenie „corpusu” wartościowej polskiej literatury przez wprowadzenie na półzapomnianych pozycji albo reinterpretację znanych. Krótko mówiąc: Polacy też swe książki mają! I ładne, ale aż dziw, jak zapomniane: tu nacisk starego, innego kanonu: zapomina się z reguły książki osobliwe, niespodziewane itd., co prowadzi do obrzydzenia sobie rzeczy popularnych, kanonicznych: zawsze *Granica*, dlaczego

nie *Niecierpliwi* itp., to najprostszy przykład. Stąd też nasz nacisk na literaturę staropolską, która w odbiorze została prawie całkiem ograniczona do 3–4 pozycji. To chwyciło i Biernat, Sęp, Żółkiewski (rzecz cenzuralnie nie do pokazania dawniej), nawet *Sjem niewieści* (będzie) i *Listopad*, nie wiadomo dlaczego zgaszony zupełnie *Pamiętkami*<sup>20</sup>. Sam się w tym lepiej ode mnie orientujesz, przypominam tylko program.

Inną delikatniejszą kwestią jest Ossolineum, które po paru latach bezruchu wydało kilkadziesiąt książek. Ścisłej: wznowiło, bo to, co „nowe”, zwłaszcza w serii zagranicznej, jest jeszcze z moich czasów, wtedy były zamówione itp. Te wznowienia są pewnie pożyteczne, sporo jest świetnych, ale jest też dużo rzeczy już nieco przestarzałych. Pozostawia to nam aż za wielką na nasze możliwości lukę w postaci rzeczy mało znanych, pomijanych ze względów gatunkowych itp. (np. Lec, *Klechdy polskie* Leśmiana, książka nieznaną) itd. Z nowszych rzeczy można zwrócić uwagę na wstępy Ratajczakowej, do *Ślubów panieńskich* zwłaszcza: to jest naprawdę zupełnie nowe spojrzenie na Fredrę przez teatr, ówczesne mody i style spektaklu itd. Na co osobiście czekam z niecierpliwością, to *Jerozolima wyzwolona* (bądź co bądź prawzór całej polskiej epiki rycerskiej), dlatego postanowiliśmy „spolszczyć” to dzieło i uznać je za pióra Kochanowskiego.

Oczywiście, mieliśmy trochę niewypałów, ale taka to była sytuacja, że trzeba było nalać trochę wody do studni, aby można było zaczerpnąć więcej.

Przepraszam za to nagabywanie, nie gniewaj się, że powtarzam tu oczywistości, może niektóre moje uwagi coś ci uprzytomnią czy nasuną. Jakie są nasze spodziewania w tym roku? Dużo staropolskich, ale także *Malwina*, *Fircyk w zalotach*, *Komedie* Słonimskiego, no i Tasso, *Średniowieczne pieśni religijne* (już dawne opracowania są przebrzmiałe) i paru współczesnych na okrasę.

Dziękuję Ci z góry, wybaczone nudzenie, ale nie umiem inaczej, zwłaszcza w takiej sytuacji. To tylko taka niezdarne *aide-mémoire*.

Jeszcze raz Ci dziękuję i ściskam serdecznie –

Janek B.

---

<sup>20</sup> Chodzi o powieści Henryka Rzewuskiego *Listopad* i *Pamiętki Soplidy*.



NA 85 URODZINY  
JANA BŁOŃSKIEGO

EWA BŁOŃSKA  
Żarnowiec

Dom pani Baranowej był ceglany, nieotynkowany, przedwojenny, z ganikiem wspartym na kolumnach, z którego wychodziło się na ogród. Na ogród wychodziły też okna najbardziej okazałego pokoju, który przeznaczony był dla letników. W pokoju tym mieściły się dwa łóżka, piec kaflowy, kredens, biurko z krzesłem, stół jadalny i szafa. Pani Baranowa zawsze była stara i wyglądem przypominała Babę-Jagę. Siedziała zazwyczaj w kuchni, gdzie pod blachą trząskał ogień. Na piętrze mieszkała ciocia, którą można było czasem zobaczyć, kiedy w pogodne dni wychodziła na balkon. W jej pokojach pełno było porcelanowych bibelotów i unosił się zapach, który potem odnalazłam w kaplicy w komnatach Wazów na Wawelu.

Kiedy zapadał zmierzch, udawaliśmy się z Dziadziem na spacer. Trasa była zawsze ta sama. Skręcaliśmy w prawo i rychło schodziliśmy z głównej drogi. Szliśmy pod górę po kocich łbach, po lewej stronie mając wąwóz. Mijaliśmy smętą krowę, należącą do pani Heleny Labudy, staruszki, która chodziła, zwykle



ŻARNOWIEC na Pomorzu  
Opactwo Zwiastowania Pana  
Kościół i klasztor z XIII/XIV w.  
wzniesiony dla Cysterek, obecnie Benedyktynek  
*fol. Tadeusz Pawlicki*

Kochu 26.9.96

Kocham Ewo, zapadł miś się i  
Dziękuję na tym miejscu! Ciekaw jestem  
czy pokupisz? Długo patyjs i nas  
straszne i nie jest wystarczające, że któregoś  
dnia wbaerem dziękuję na dobre dop-  
tywających do Helzinek. Tymczasem jed-  
nak całkiem cię nie <sup>nie</sup> wlepił! <sup>nie</sup> <sup>nie</sup>  
elfy pomysł i nie zupełnie spali! Dziękuję

pchając przed sobą puste taczki (pani Helena była nieco szalona i każde z nią spotkanie miało posmak grozy). Powyżej rosły jeżyny i kwiaty, pozostałość po zdziczałym ogrodzie. Przecinały go różne ścieżyny, które ginęły w chaszczach, ale dokąd prowadziły, nie wiadomo. W ogrodzie zrywaliśmy co wieczór jeden tylko kwiat, przeznaczony dla Badzi. Miał ją zaczarować, żeby była dla nas miła.

Na szczycie wzgórza droga zakręcała. Można było, owszem, iść dalej piaszczystym duktem aż do Kurkowego Lasu, ale to za dnia. Ze szczytu wzgórza rozpościerał się widok na łany zboża, gotycki klasztor, las, jezioro, znowu las, za którym na horyzoncie rysowała się stalowoszara kreska. Morze. Skręcaliśmy w stronę klasztoru drogą wzdłuż ciemnego lasu. Las był tajemniczy i trochę straszny. Starsi mieszkańcy niechętnie o nim mówili. Można nim było zejść aż nad sam brzeg jeziora i na prastare wzgórze, na którym była kiedyś pamiętająca czasy pierwszych Piastów warownia. Ale to za dnia. Na rozstaju dróg stał krzyż, przy którym kierowaliśmy się w stronę głównej drogi. Schodziliśmy jeszcze kilka kroków, mijaliśmy tablicę z nazwą wsi i zatrzymywaliśmy się na skraju pola, żeby podziwiać widok. Zachodzące słońce rysowało na niebie różowo-fioletowe smugi i ognistą kreskę tam, gdzie wpadało do morza. To wszystko odbijało się w jeziorze, tak że zachody były dwa. Na pierwszym planie stał gotycki klasztor ze swoimi cichymi wirydarzami. Wokół klasztoru rozpościerały się łany żyta, a dalej mokradła z wysokimi tatarakami (nie było ich widać, ale wiedzieliśmy, że tam rosną). Zatrzymywaliśmy się tam na dłużej. Dziadzio patrzył na zachód słońca, a ja, znudzona nieco tą wspinałością, skubałam kłosa żyta. Kiedy przychodziło wyrzucić nazbierane ziarna, mówiłam, że karmimy elfy. Tak to przez wiele lat karmiliśmy żarnowieckie elfy o zachodzie słońca, opowiadając o nich różne historie. Poniżej był plac zabaw, na którym bawiliśmy się dłuższą chwilę przy mojej ukochanej karuzeli. Unosił się tam zapach pokrzyw i piołunu. Droga powrotna mijała nam szybko. Przechodziliśmy obok obory pachnącej krowami, skąd brało się często świeże mleko, następnie był sklep przemysłowy pana Romana, gdzie pachniało środkami czystości i świeżymi zeszytami (pan Roman, człowiek przedsiębiorczy, wyjechał potem do Anglii). Po prawej stronie był dom z pruskim murem i przyczepa w kształcie wagonu – mieszkanie rudego Kaszuba, którego w nagłej potrzebie (tak jak i całą wieś, a nawet wsie okoliczne) leczyła Badzia. Dochodziliśmy do domu pani Baranowej, otwieraliśmy furtkę i przechodziliśmy przez piaszczyste podwórko, a potem przez sień, aż do jasno oświetlonego pokoju. Przez uchylone okno pachniało wieczorne, sierpniowe powietrze, a na stole czekała kolacja.

Wielkanoc 1993

Kochana Ewo,  
chyba nie możesz wiedzieć, ile my, elfy, mamy na wiosnę roboty! Musimy ćwiczyć się w śpiewaniu, bo bez śpiewania zginęlibyśmy, nie mogąc zaczarować zwierząt i tych wszystkich, którzy nas nie lubią – a jest ich znacznie więcej, niż myślisz! Może jeszcze ważniejsze jest tańczenie, o którym opowiem Ci kiedyś osobno. Ale tańczymy tylko w lecie, chociaż przygotowujemy się już teraz. Ale już rozumiesz, jak bardzo jestem zajęty i kiedy do Ciebie piszę, oczy mi się już kleją. Pozdrawiam Cię serdecznie

Twój Elf

(Żarnowiec na Pomorzu, Klasztor)  
Kraków, 26.9.96.

Szanowna Ewo,  
znajdź proszę siebie i Dziadka na tym zdjęciu! Ciekaw jestem, czy potrafisz?! Deszcze padają u nas straszne i nie jest wykluczone, że któregoś dnia zobaczysz Dziadków na łódce dopływających do Helsinek. Tymczasem jednak całujemy Cię na odległość! Czy elfy poszły już zupełnie spać?

Dziadek

## STEFAN CHWIN

### Jan Błoński. Historia pewnej znajomości

Pierwszy raz zobaczyłem Go w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, w domu literatów na Krupniczej w Krakowie, na jakimś zjeździe młodych pisarzy, ale wtedy jeszcze nie zamieniłem z Nim ani słowa. Potem był rok 1980, napisaliśmy ze Stanisławem Rośkiem, dziś szefem i właścicielem Wydawnictwa słowo/ obraz terytoria, zbiór esejów *Bez autorytetu*, a Wydawnictwo Morskie, w którym rzecz miała się ukazać, poprosiło Jana Błońskiego, by przygotował recenzję wewnętrzną, która zresztą okazała się nadzwyczaj pozytywna. Skutkowało to przyznaniem nam w 1981 roku – mnie i Stanisławowi Rośkowi – prestiżowej Nagrody Fundacji Kościelskich w Genewie i pierwszą podróżą na Zachód – do Szwajcarii, Francji, Belgii i Niemiec Zachodnich – bo nagrodę można było odebrać tylko w Genewie. W Polsce żadne uroczystości się nie odbywały, jako że wyróżnienie to nie było mile widziane przez władze PRL. Odebrałem ją w listopadzie 1984 roku na uroczystym przyjęciu w genewskiej restauracji *Parisienne* razem z żoną Krystyną, po długich staraniach o paszport, którego nam odmawiano.

Kiedy napisałem doktorat, moja promotor, profesor Maria Janion, zaproponowała Radzie Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Gdańskiego, by zwrócono się do Jana Błońskiego z prośbą o napisanie recenzji. Pracę zawiozłem osobiście do Krakowa, by zaoszczędzić na czasie i właśnie wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z Janem osobiście. Szczegóły tego niezwykłego spotkania opisałem później w *Kartkach z dziennika*. Doktorat obroniłem z wyróżnieniem, a potem tego samego dnia zaprosiliśmy Jana Błońskiego do naszego mieszkania na gdańskiej Morenie na małe przyjęcie. Tam właśnie o godzinie trzeciej nad ranem Jan Błoński przekonał mnie, bym podpisał wstępne zobowiązanie, że wydaję we własnym opracowaniu historyczno-literackim *Konrada Wallenroda* Mickiewicza. Błoński był wówczas ważną postacią w Ossolineum i czuwał nad serią Biblioteka Narodowa, w której *Konrad Wallenrod* miał się ukazać. Samą publikację poprzedziły liczne listy, bo przez jakiś czas wahałem się, czy wydawać dzieło Mickiewicza, czy może zająć się bardziej intensywnie twórczością literacką. Jan był bardzo zadowolony z tego, co przygotowałem, cieszył się, że wysoką

ocenę mojej pracy przedstawił mu sam wielki znawca polskiego romantyzmu, recenzent wewnętrzny Biblioteki Narodowej, profesor Czesław Zgorzelski. Moja edycja *Konrada Wallenroda* została dobrze przyjęta w środowisku polonistycznym, Jan chciał iść za ciosem, zaproponował więc, bym zrobił jeszcze dla Biblioteki Narodowej opracowanie *Króla-Ducha*, a może i nawet całych *Dziadów*, ale nie bardzo się to zgadzało z moimi dalszymi planami.

Moja rozprawa doktorska ukazała się w Wydawnictwie „Pomorze” w Bydgoszczy. Proponowano mi wydanie jej w Instytucie Badań Literackich, w znanej serii z piórem, ale powiedziałem do profesor Janion, że chciałbym, by książka była opatrzona wieloma ilustracjami, co w serii IBL-owskiej nie było możliwe. Wydanie bydgoskie ukazało się z obfitym materiałem ikonograficznym, tak jak sobie zamierzyłem. Jan przyjął książkę dobrze, choć z wyrzutami sumienia, że zapędził mnie w dziedzinę prac, które niezupełnie harmonizowały z moimi planami literackimi. Pytał w listach o powieść, którą wtedy pisałem. Ściśle rzecz biorąc, nie była to powieść, lecz autobiograficzny esej *Krótką historią pewnego żartu*, który ukazał się w 1991 roku. Jan napisał do niej wprowadzenie, co było ewenementem w jego krytycznej karierze, bo mało komu takie wprowadzenia pisał. Miał wtedy ideę, że odnowa literatury polskiej przyjdzie z północy. Równocześnie donosił nam w listach o tym, co robi w Krakowie, a robił bardzo wiele jako organizator literackich spotkań na Uniwersytecie Jagiellońskim z wielkimi pisarzami: Czesławem Miłoszem, Stanisławem Barańczakiem oraz Sławomirem Mrożkiem – gdzie chętnie występował jako lubiany i podziwiany „mistrz ceremonii”.

Przed wydaniem *Krótkiej historii pewnego żartu* państwo Błońscy – Jan razem ze swoją żoną, panią Teresą – zajechali do Gdańska, ale że nie zastali nas w naszym mieszkaniu na Morenie, nie mogli zostawić nam do przeczytania wewnętrznej recenzji tej książki, więc pojechali do Żarnowca. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, zapakowaliśmy do wiklinowego kosza pieczonego kurczaka, winogrona, trochę słodkości i wino i z takim bagażem pojechaliśmy nazajutrz w kaszubskie okolice, tam, gdzie państwo Błońscy zwykli spędzać część wakacji (drugą część spędzali najczęściej w Prowansji czy w innych regionach Francji; korzystali też z zaproszeń Krzysztofa Michalskiego, filozofa, specjalisty od Heideggera, który kierował Instytutem Nauk o Człowieku w Wiedniu i chętnie tam ich gościł).

W listach Jan zamieszczał obfite sprawozdania z tego, co robi i gdzie. Szczególną satysfakcję sprawiała mu towarzystwo Miłosza, którego osobowością był prawdziwie zafascynowany. Mojej żonie, Krystynie, zaświtała wtedy myśl, by skorzystawszy z kontaktów Jana, zaprosić Miłosza do Gdańska,

gdzie co prawda Poeta już bywał, ale jeszcze nigdy nie odwiedził uniwersytetu. Jan wielokrotnie nas zapraszał do Krakowa, byśmy poznali Miłosza osobiście, ale uniemożliwiały nam to różne sprawy rodzinno-zawodowe. Chciał też, byśmy poznali bliżej Tomasza Venclovę, do czego zresztą po jakimś czasie doszło. Z tej sztuki budowania sieci przyjacielsko-literackich znajomości był bardzo dumny, bo umiał naprawdę skutecznie zbliżać do siebie różnych ludzi, w nadziei, że będzie z tego dla nich jakiś obustronny pożytek.

Ale nie zawsze było tak, że to my zjeżdżaliśmy do kaszubskiego Żarnowca – czasem Żarnowiec zjeżdżał do nas: albo na Morenę, albo do Łączyna, małej miejscowości na Kaszubach, malowniczo położonej w polodowcowej rynnie Jeziora Raduńskiego, gdzie chętnie spędzaliśmy lipiec albo sierpień. Czasem były to przyjazdy niezapowiedziane, więc nie zawsze trafialiśmy na siebie. Gdy do spotkania dochodziło, spędzaliśmy cały dzień w drewnianym domku nad jeziorem, siedząc na balkonie, albo na leśnych spacerach, a potem przy obiedzie czy kolacji (duszone, własnoręcznie zbierane przez nas kurki z młodymi ziemniaczkami i kwaśnym mlekiem oraz maliny albo jagody czarnice w cukrze), gadając o sprawach wielkich i zupełnie drobnych. Kiedy nas po przyjeździe do Łączyna nie zastali, zostawiali w drzwiach karteczkę z odręcznym napisem: „Błońscy przyjechali i płakali. Wrócą o piątej albo wcześniej”. Jedna z takich karteczek zachowała się w naszym archiwum. Gdy byliśmy w Żarnowcu, jechaliśmy razem na nieodległą plażę, gdzie pływaliśmy w morzu, albo wędrowaliśmy razem po nadmorskich sosnowych lasach. Bywało, że cały dzień siedzieliśmy w żarnowieckim domku z czerwonej cegły, gdzie Błońscy nocowali. Jan odwoził nas dopiero późną nocą na dworzec w Wejherowie, z którego pociągami wracaliśmy do Gdańska. Raz, zmęczeni po całym dniu, zanocowaliśmy w pustej sali gimnastycznej szkoły w Żarnowcu, na materacach rozłożonych na podłodze, bo woleliśmy spać tam niż u gospodarzy. Razem z Błońskimi chodziliśmy na mszę niedzielną w żarnowieckim klasztorze. Zwiedziliśmy w towarzystwie Jana wielką elektrownię w Żarnowcu. Spędziliśmy też cały dzień na długiej podróży do pałacu w Krokowej, z której zachowało się w naszym archiwum sporo zdjęć.

Jan Błoński był też jednym z trzech recenzentów wyznaczonych przez Radę Wydziału do oceny mojej habilitacji. Książkowe wydanie rozprawy *Literatura i zdrada. Od Konrada Wallenroda do Małej Apokalipsy* przyniosło mi indywidualną Nagrodę Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego za wybitne osiągnięcia naukowe, do czego Jan się z pewnością przyczynił, bo napisał – jak to określił w jednym z listów – „olbrzymią recenzję”, bardzo pozytywną. Donosił nam

o tym w charakterystycznym dla siebie tonie, mieszając powagę z żartem i zabawną grą konwencjami. Jego listy miały nie tylko walor informacyjny, ale też były majstersztykami błyskotliwego, łatwego do rozpoznania stylu.

Utrzymywaliśmy też z Janem kontakt telefoniczny, choć – na skutek mojej wrodzonej awersji do słuchawki telefonicznej – raczej robiła to moja żona. Jan chciał, bym napisał kilka wprowadzeń do serii klasycznych dzieł światowej literatury w opracowaniu dla młodzieży, ale już nie w Bibliotece Narodowej, tylko w Universitasie, lecz i to rozminęło się z moimi planami.

W jednym z listów Jan nas energicznie prosił, byśmy przyjechali do Krakowa i – jak żartobliwie mówił – wreszcie poznali osobiście Wieszcza. „Przyjedźcie na Mistrza!”, co się w końcu udało. Poznaliśmy bliżej Miłosza dzięki Błońskiemu najpierw w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego, potem w kawiarni *Jama Michalika*, a wreszcie na kolacji w restauracji *Chimera*, na którą Miłosz zaprosił między innymi Błońskich, Marka Zaleskiego i nas. Potem tych spotkań było więcej, przede wszystkim najdonioślejsze, z różnych względów, spotkanie w gdańskim hotelu *Hanza*, na które Miłosza z żoną Carol Thigpen oraz nas zaprosił marszałek sejmu Maciej Płażyński z małżonką, gdzie więcej się mówiło o polityce niż literaturze, co było dla mnie bardzo ciekawe.

Nasze spotkania z Janem łączyły się także z jego udziałem w pracach jury Nagrody Fundacji Kościelskich. Parę razy Jan zapraszał nas na uroczystości wręczenia nagrody, to w Krakowie, to w Warszawie, w Ambasadzie Konfederacji Szwajcarskiej, na które, w miarę możliwości, przyjeżdżaliśmy. Ważnym tematem listów od roku 1995 był także *Hanemann*, do którego admiraatorów i propagatorów Jan się chętnie zaliczał. Ważnym momentem naszej znajomości była chwila, gdy redakcja „Tekstów Drugich” zwróciła się do mnie z prośbą o recenzowanie Jego najważniejszej książki o Gombrowiczu *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne*, która stała się powodem naszych dłuższych rozmów o granicach „ciemnej” literatury, które pisarzom wolno (albo i nie wolno) przekraczać. Jan był zdecydowanym zwolennikiem twórczego samoograniczenia, uznając, że literatura nie powinna się raczej zapuszczać w zbyt „mroczne królestwa”, chociaż sam napisał świetne teksty o „ciemnym” Beckettie, Witkacym czy Genecie, które dowodziły, że się jednak mocno i głęboko w te rejony zapuszczał.

W Krakowie nigdy nie nocowaliśmy u Błońskich, choć bardzo nas zapraszali. Uważaliśmy, że nie najlepsze byłoby zakłócanie ich i naszej prywatności. Nocowaliśmy najchętniej w bursie Pigionia, a do domu Błońskich na Klinkach jeździliśmy tramwajem, autobusem, taksówką, wracając czasem późną nocą.



Brałem też udział w zorganizowanej przez Wydawnictwo Literackie debacie o – bagatela! – przyszłości świata, z udziałem Miłosza i Mrożka, na której był Jan, i który po jej zakończeniu zaprosił mnie do *Wierzynka* na kolację, gdzie spotkaliśmy Huberta Olszowskiego, polonistę niemieckiego, bardzo przez Jana szanowanego.

Przy okazji jednej z wizyt w Gdańsku przeprowadziliśmy z Janem wywiad, który został nagrany w telewizji. Wywiad został potem spisany i opublikowany w „Tytule”, miał charakter rozległej, biograficznej retrospekcji i widzieliśmy, że takie ukierunkowanie rozmowy Janowi przypadło do gustu. W jednym z listów prosił nas, byśmy przysłali mu więcej egzemplarzy „Tytułu”, tak bardzo chciał wywiad rozesłać do ludzi, których ceniał.

Osobną grupę w naszym archiwum stanowią listy, które dotyczyły starań mojej żony o przyjazd Miłosza do Gdańska, w czym Jan nam dzielnie sekundował, zachęcając do wytrwałości i żartobliwie charakteryzując rozmaite zabawne przywary dusz wielkich artystów. Był autentycznie dumny, że w domu na Klinkach gościł Miłosza i Josifa Brodskiego, noblistów, którzy go któregoś dnia odwiedzili. Miał naturalną potrzebę wielbienia i potrzebę respektowania hierarchii talentów, choć czasem dopiekała mu nieprzeniknioność artystycznych dusz, bo – jak mi mówił – Brodski na przykład nie należał do ludzi łatwych. „Niesłychane dziwadła” – takie określenie pojawiało się nie bez powodu w jednym z listów. Przy całym podziwie dla geniuszy miał także wycucie ich śmieszności, co z radością odnotowywał. Ujawniał, że Miłosz mu powiedział, iż nigdy mu się Wałęsa nie podobał i że unikał spotkań z nim, podobnie jak unikał spotkań ze wszystkimi politycznymi oficjelami. Podpowiadał nam równocześnie, jak delikatnie, ale skutecznie naciskać na Miłosza, by zgodził się na wizytę na uniwersytecie w Gdańsku. Bawiły go rozmaite małostkowości geniuszy, co nie przeszkadzało mu ich szczerze wielbić.

Bardzo nas zachęcał, byśmy publikowali w „NaGłosie”, krakowskim czasopiśmie literackim, redagowanym przez poetę Bronisława Maja, z czego niestety nic nie wyszło, bo publikowaliśmy gdzie indziej. To, co jednak przebijało z jego listów najsilniej, to żywa potrzeba naszej współobecności, co nas mile dziwiło, ale widzieliśmy, że w naszym towarzystwie czuje się dobrze i że czasem tego naszego towarzystwa dość mocno mu brakuje.

## ALEKSANDER FIUT

# Paradoksy Błońskiego

Wyczulony na antytezy, niestrudzenie śledzący jawne i ukryte sprzeczności, obficie sypiący w swoim piarstwie paradoksami – w swoim życiu i dziele stał się po trosze ich ofiarą.

Paradoks biografii intelektualnej: Błoński był bez wątpienia skrojony na światową miarę. Jego błyskotliwa inteligencja, rozległa erudycja, doskonała dwujęzyczność – predestynowały go do zajęcia poczesnego miejsca wśród najznakomitszych humanistów. Wiele lat wykładał na uniwersytecie w Clermont Ferrand, występował na zagranicznych konferencjach, publikował szkice w obcych językach. A przecież pozostał, niestety, prawdziwą wielkością i niekwestionowanym autorytetem jedynie w ojczystym kraju. Nie umiał, nie mógł czy może nie chciał zrobić kariery za granicą. Godził się na prowincjonalny, polski partykularz. Rozgłos międzynarodowy przyniosła mu dopiero, przełożona na angielski, budząca w Polsce burzliwe spory książka *Biedni Polacy patrzą na getto*. Ale ta sława przyszła zbyt późno.

Paradoks recepcji: wbrew pozorom z jego wielorakiej pisarskiej spuścizny znany jest dotychczas jedynie mały fragment, gdy tymczasem lista jego publikacji z lat 1949–2000 liczy ponad dziewięćset pozycji! I ileż pisarskich wcieleń Błońskiego! Był równocześnie: nader płodnym krytykiem literackim, z niesłabnącym zaciekawieniem śledzącym przemiany polskiej literatury od lat czterdziestych. Cenionym w środowisku naukowym wybitnym historykiem literatury, który z równą swobodą pisał o Sępie Szarzyńskim, co o Witkacym, Gombrowiczu, Miłoszu i Mroźku, ale także – o Prouście, Beckettie i Genecie. Subtelnym znawcą polskiego i światowego dramatu. Autorem wielu ważnych przekładów, zwłaszcza z języka francuskiego. Błyskotliwym eseistą, skutecznie tropiącym ciemne zakamarki polskiej duszy. Wszelako znakomita większość jego recenzji i szkiców pozostała rozproszona w czasopiśmie, które pokrywa pył biblioteczny. Podobnie rzecz się ma z obfitą korespondencją oraz

spoczywającymi w archiwum tekstami fascynujących wykładów o literaturze polskiej i obcej, które złożyłyby się na osobną książkę.

Paradoks pisarstwa: bacznie wsłuchany w cudze głosy, pilnie podążający za zawilóściami obcej myśli i odmiennej od niego wrażliwości – w swoich tekstach o tekstach Błoński odsłaniał się tylko częściowo, pośrednio, zdradzając swój nieomylny gust, wyczułone poczucie hierarchii i żywy temperament. Dopiero podczas wymiany listów z innymi, wybitnymi pisarzami pozwolił naprawdę wejrzeć w głąb własnej osobowości. Już choćby jego przykuwająca uwagę, fascynująca w lekturze korespondencja ze Sławomirem Mrożkiem i Czesławem Miłoszem układa się w swego rodzaju dziennik intelektualny – portret wybitnego humanisty, boleśnie spętanego przez totalitarne państwo, a zarazem chłodno analizującego kryzys kultury europejskiej. Jest to, poza wszystkim, dzieło literackie najwyższej jakości – subtelne, przenikliwie i wstrząsające w swojej wymowie.

Paradoks następstwa: zaliczany – obok Ludwika Flaszena i Andrzeja Kijowskiego – do głównych przedstawicieli słynnej „krakowskiej szkoły krytyków” Kazimierza Wyki, takiej szkoły po sobie nie pozostawił. Ale swoją osobowością i pisarstwem odcisnął się z pewnością na stylu oraz sposobie czytania i myślenia wielu swoich uczniów, z których z pewnością najwybitniejszym jest Jerzy Jarzębski. Budzi także, co pocieszające, żywy odzew w młodej i najmłodszej generacji krytyków i badaczy literatury, którzy przygotowują o jego dorobku obszerne monografie i organizują w Krakowie poświęcone jego pamięci doroczne festiwale. Odniosł zatem – przynajmniej częściowe – po śmierci zwycięstwo.

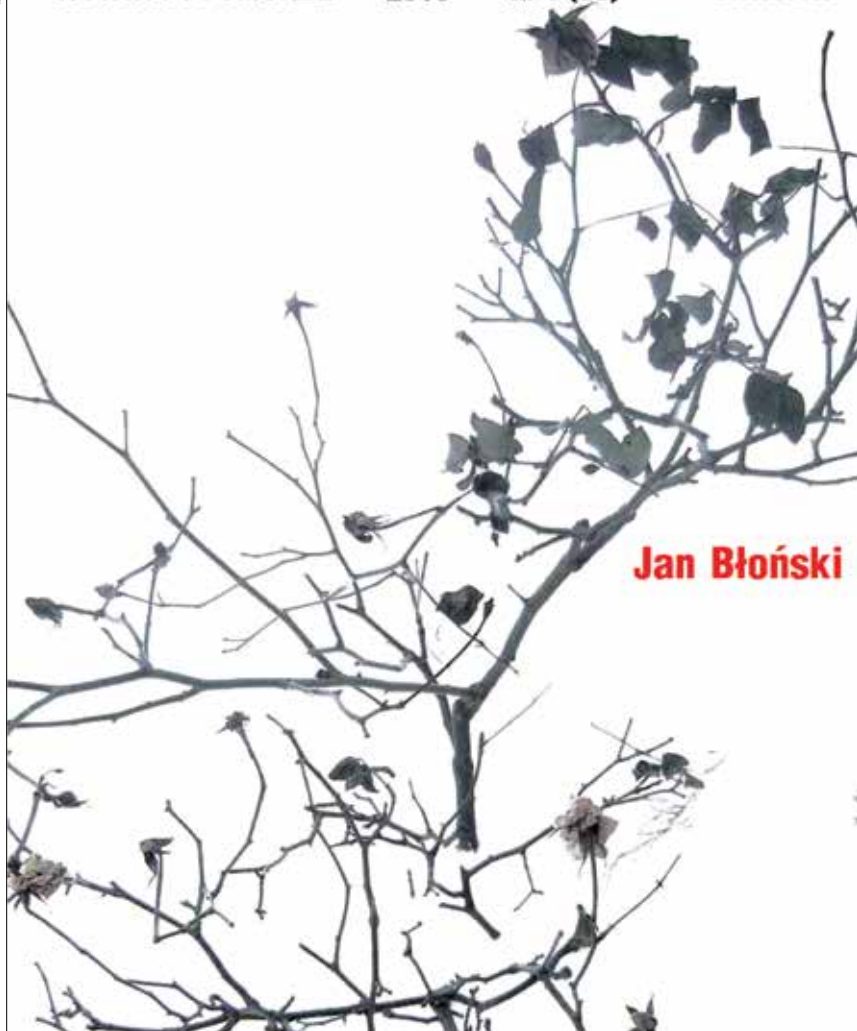
# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

2010

nr 1 (65)

Rok XVII



**Jan Błoński**

## KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

### Pamiętam

Pamiętam błyski w jego oczach, jego ton, uważność i gesty.

Pamiętam śmiech i aurę, która go otaczała.

Pamiętam zwrot, jaki wywołała we mnie jego książka o Sępie Szarzyńskim.

Pamiętam *Posłowie do Teatru* Becketta, które było jak otwarcie drzwi.

Pamiętam pierwszy list, który składał się z trzech zdań.

Pamiętam omówienie *Pasji*.

Pamiętam telegram z gratulacjami Nagrody.

Pamiętam dom na Klinach i wizyty u nich, także tę ostatnią, gdy był już sam.

Pamiętam niskie wejście, rozmowy wśród książek w gabinecie i przy posiłkach i winie w salonie na parterze.

Pamiętam spotkania na Gołębiej, na Kanoniczej i na koncertach w Świętej Katarzyny.

Pamiętam wieczór w Piwnicy pod Baranami, gdy radośnie zachęcał do zabawy.

Pamiętam msze, na które chodziliśmy w Krakowie do dominikanów i w Żarnowcu do benedyktynek.

Pamiętam wejście na wieżę zegarową w Wigrach.

Pamiętam ich odwiedzin w drodze do Żarnowca.

Pamiętam plażowanie w Dębku, uderzenia fal, gdy wychodziliśmy na brzeg i siedzenie na wydmy przy Wejściu 18.

Pamiętam spotkania w Żarnowcu i wycieczki po okolicy.

Pamiętam intensywność jego listów.

Pamiętam dedykacje, które wpisał mi w swoich książkach.

Pamiętam jego udział w „Kwartalniku”.

Pamiętam, jak przed odjazdem nocnego pociągu powiedział o chorobie Pani Teresy.

Pamiętam go z jej pogrzebu, jak stał zdziwiony, niepewny, nieobecny.

Pamiętam ich grób na cmentarzu Salwatorskim.

## ARTUR SZLOSAREK

### W ezoterium – wspominając Jana Błońskiego

Najtrudniej zacząć wspominać. Najtrudniej użyć pamięci, kiedy się chce wydobyć na światło dzienne z jej zapisów, pełnych niuansów i nieciągłości, kształt osoby, która była ceniona, ważna i powszechnie znana. Trudno puścić w ruch tajemniczy i nie do końca zależny od woli dokonania sumiennej rekonstrukcji mechanizm wspomnień, przywołujący wedle własnego porządku obrazy, rekapitulujący wydarzenia, dialogi i wypowiedzi uwiecznione w ciemniejącej przeszłości. Szczególnie nie jest to łatwe, kiedy wiadomo, że sens przeszłości nie jest nieodwołalnie ustalony oraz że nie ma ona wiele wspólnego z opoką czy nienaruszalnym kanonem. Szczególnie trudno zacząć, kiedy się chce uzmysłowić sobie samemu w przestrzeni publicznej pisma znaczenie osoby, którą znało się słabo, lecz która, jak żadna inna osoba napotkana w życiu, miała wyjątkowy wpływ na przebieg i kształt tego życia – towarzyski i artystyczny.

Profesora Jana Błońskiego poznałem zimą 1987 roku. Przypadkowo. Jako uczeń klasy maturalnej XII Liceum Ogólnokształcącego imienia Bolesława Bieruta w Nowej Hucie, gdzie udało mi się trafić rok wcześniej jako uczeń karnie relegowany z II Liceum Ogólnokształcącego imienia Jana III Sobieskiego w Krakowie. Takie były czasy, że bez szczęścia, które miałem, można było trafić do „wieczorówki” lub, osiągnąwszy wiek poborowy, wprost w otwarte ramiona Ludowego Wojska Polskiego – i to nie za przynależność do antysocjalistycznych organizacji antyrządowych, lecz dzięki osobliwie pojętej miłości bliźniego, którą obdarzył mnie szczerze towarzysz Stefan Gul, legendarny dyrektor *drugiego zakładu*, jak się to wtedy mówiło. Ale idźmy dalej. Udało mi się uniknąć wyższego wtajemniczenia w arкана socjalistycznej ojczyzny i zetknąć się z Janem Błońskim dzięki szefowi Dwunastki, który był, jak wymieniony Gul, równie zajadłym członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – awangardy klasy robotniczej, ale z racji różnych zbiegów okoliczności przyjął mnie do prowadzonej przez siebie placówki, która nosi dziś imię Cypriana Kamila Norwida. Więc to on – „Siemion”, czyli magister Roman Stępień,

przyczynił się bezpośrednio do tego, że nie osunąłem się w czarną dziurę czarnej historii i zadebiutowałem jako poeta, co nie jest bez znaczenia i wiąże się z tematem głównym.

Jan Błoński na początku 1987 roku (to znaczy równo trzydzieści lat temu) prowadził w ogromnej i pełnej sali audiowizualnej Collegium Witkowskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego wykład monograficzny o *Jałowej ziemi* Eliota. Wykład odbywał się raz w tygodniu, nie pamiętam w który dzień, przed południem. By posłuchać tego wykładu, trzeba było wagarować ze szkoły. Niewykluczone jednak, że jako uczeń zapisany na fakultet z języka polskiego miałem jakieś specjalne pozwolenie, żeby jechać z Huty tramwajem numer 4 do ulicy Basztowej czy pod Bagatelę i iść śliską od topniejącego śniegu Sławkowską lub Plantami, zależy gdzie się wysiadło, na Gołębią. Nie robiłem tego sam – na fakultet uczęszczałem z Agnieszką Mamoń i razem z nią, czasem miało to miejsce w większym gronie, zrywaliśmy się z nudnej szkoły *na Błońskiego*, który był dla nas już szalenie interesujący na poziomie czystej i żywej gestykulacji, że nie wspomnę o niebywałej erudycji, która dawała znać przez złożone i skrzące się od fascynujących dygresji zdania wielokrotnie, meandrycznie i trudno nazwać to inaczej jak – po Błońskiemu – złożone. Nie rozumiałem wiele z tego, co Jan Błoński mówił o utworze, którego nie znałem, tak mocno wtedy samego Błońskiego chłonałem. Żeby jednak tym wspomnieniom oddać całkowitą sprawiedliwość, dodam, że ów wspomniany fakultet z polskiego prowadziła znakomita, chociaż kontrowersyjna polonistka – Halina Styrna, żona Bronisława Mamonia, ówczesnego szefa działu kultury w „Tygodniku Powszechnym”.

Stało się tak, że w tej sali kilka miesięcy później zasiadłem do pisemnego egzaminu wstępnego na polonistykę, w konsekwencji czego zostałem studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Taki miałem chytry plan. Bo co też innego miałby robić stawiający pierwsze kroki w kierunku debiutu poeta w okresie schyłkowego z dzisiejszej perspektywy PRL-u? Z tym debiutem sprawa nie była jednak taka prosta. Nie miałem żadnych kontaktów i – poza negatywną krytyką moich wierszy, jakiej się podjął wspomniany Mamoń, który ze względu na dzieci własne, z którymi się wtedy przyjaźniłem, tak podejrzewam, nie posunął się do tego, by całkowicie odmówić mojej osobie talentu – żadnych doświadczeń, jeśli chodzi o literacką *praxis*, poza pisaniem. Nie wyobrażałem sobie jednak, że mogę przestać. Pisałem dużo i starałem się to robić dobrze. I w końcu na pierwszym roku postanowiłem poddać to, co robiłem po nocach,



właściwej i jedynie słusznej w moim mniemaniu próbie: dać wiersze do oceny profesorowi Błońskiemu; i jeśli ten powie, że nie mam talentu i moje wiersze niewarte zachodu, dać sobie spokój z literacką ambicją. Przepisałem więc starannie na pożyczonej od kolegi maszynie kilkanaście najlepszych utworów i obmyśliłem kolejny chytry plan.

Plan ten obejmował wysłanie z wierszami do profesora Błońskiego dziewczyny, z którą chodziłem. Trochę ze strachu i może trochę ze wstydu to zrobiłem, chociaż dzisiaj ciężko jest mi odtworzyć porwaną sieć motywów, jakie mi w owym czasie towarzyszyły. Dziś poszedłbym sam, ale czasu nie da się cofnąć i nie w tym przecież rzecz. Odnoszę wrażenie, że jakoś nadzwyczajnie romantyczne, poetyckie czy *par excellence* magiczne mi się to wtedy wydawało – rzucić w taki przebiegły i wyrafinowany sposób wyzwanie nieznanemu losowi dzięki pośrednictwu cudownej wróżki, która jako wybrana i jedyna była w stanie odmienić świat. I tak też się stało. Profesor zareagował bardzo pozytywnie, domyślając się natychmiast, że za plecami posłańczyni, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, kryje się poeta. Wypowiedział kilka komplementów i zaprosił niewidzialnego autora na rozmowę. Takie dni się nie powtarzają – a jeśli już, to nie wszystkim! Wielu zostało powołanych, niewielu wybranych. Kilka dni później zasiadłem przed Janem Błońskim, po przeciwnej stronie biurka, w jego gabinecie. Przebiegu naszej rozmowy nie podejmuję się rekonstruować, chociaż była ona przyjemna. W jej trakcie profesor zapytał bez ogródek, niejako zniechęca, jak to miał w zwyczaju, gdzie chciałbym zadebiutować. Chciałem w „Tygodniku Powszechnym”. Był to szczyt moich marzeń. I tu nastąpiła niespodzianka: profesor zapytał, które wiersze chciałbym ogłosić i czy mam jeszcze jakieś inne. Te miałem, oczywiście, w zanadru, więc mu je zaraz podałem. Jeden z nich, a przeczytał je szybko przy mnie, szczególnie go ujął. Zatrzymał go wraz z innymi i oświadczył, że zanieś je do redakcji. Osobiście.

Co się okazało? Otóż szef działu kultury w piśmie uznał je za niedojrzałe i nie wyraził zgody na publikację. Trzeba było mi poszukać innego pisma. „Zeszyty Literackie”, ukazujące się w Paryżu, czytałem z nabożeństwem szczególnym, ale nie brałem ich pod uwagę jako poprzeczki nazbyt już wysoko postawionej. Oficjalnie ukazujące się periodyki wcale nie wchodziły w moją rachubę, ale i też do nowego na podziemnym rynku wydawniczym „bruLionu” mnie nie ciągnęło. Traf chciał, że z racji różnych wspólnych okoliczności łągodzących poznałem poetę Krzysztofa Koehlera, który był właśnie

po debiucie w „Zeszytach Literackich” i ten doradził mi, żeby się zwrócić do pisma bezpośrednio, co, *via* Wiedeń, do którego akurat wybierał się ojczym, uczyniłem, powołując się w skromnym liście na przychylną opinię profesora Błońskiego. Ku mojej radości pismo zdecydowało, że ogłosi dwa z przestanych wierszy. Błoński z właściwym sobie humorem skomentował decyzję „Tygodnika Powszechnego” i ucieszył się na wieść o dobrym obrocie sprawy...

Dzięki Janowi Błońskiemu wszedłem w świat literacki. Publikowałem w „bruLionie”, „Zeszytach Literackich” i „Tygodniku Powszechnym”. Korespondowałem z redaktor Barbarą Toruńczyk, którą poznałem w styczniu 1990 roku, i po wyjeździe z Polski z nim samym, który mnie wspierał duchowo, czego mu nie zapomnę, a co miało miejsce po moim debiucie książkowym w Oficynie Literackiej. To dobry duch Jan Błoński sprawił, że nawiązałem kontakt ze Stanisławem Barańczakiem i poznałem Mariana Stalę. Dzięki jego poleceniu dostałem pierwsze literackie stypendium – w Paryżu, od Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej, w konsekwencji czego dane mi było poznać Jerzego Giedroycia podczas wizyty w Maisons Laffitte, być na drinku u Olgi Scherer, złożyć wizytę Janowi Lebensteinowi i, *last but not least*, zaprzyjaźnić się z Wojciechem Sikorą. To Błoński sprawił, że ukazały się pierwsze przekłady moich wierszy na niemiecki oraz, już pośrednio, że posadzono mnie obok Czesława Miłosza podczas jubileuszowego wydania krakowskiego pisma mówionego „NaGłos” w pałacu Puszetów na Starowiśniej, na którym nie zabrakło nikogo, nawet poety Świetlickiego, występującego pierwszy raz z zespołem w charakterze piosenkarza.

Moje spotkanie z profesorem Janem Błońskim, oprócz dobrych, miało też i złe strony. Każda osobowość (krytyczna) tej miary powoduje naturalną kolejną rzecz silną polaryzację środowiska, w którym się porusza i znajduje. Co dopiero środowiska literackiego! Kiedy po mojej pierwszej książce Błoński ogłosił w „Tygodniku Powszechnym” obszerny esej poświęcony tej publikacji – *W ezoterium*, nazwany tak za tytułem jednego z wierszy, z wrażenia zaniemówiłem. Niczego sobie nie życzyłem bardziej, mając w świeżej pamięci jego tekst *Język właściwie użyty*, poświęcony poezji Jana Polkowskiego, który najpierw usłyszałem odczytany przez autora podczas „NaGłosu”, zaś później przestudiowałem w „Res Publice”. Nie porównywałem się z Polkowskim, do głowy by mi to nie przyszło, gdyż był dla mnie niedościgłym wzorem, ale... pomarzyć można było. Jak widać, niekiedy i marzenia się spełniają... Nieco ponad

rok po opisanych wydarzeniach ukazał się mój drugi tom. Jan Błoński zgodził się prowadzić wieczór promujący rzecz, na którym zjawiała się literacka śmietanka miasta. W chwili obecnej już nie uważam, że to wielkie zainteresowanie dotyczyło moich wierszy – jestem przekonany, że w taki sposób przejawiało się żywe zainteresowanie polonistycznego środowiska wyborami profesora. Kiedy w stosunkowo krótkim czasie po wspomnianej promocji jury Nagrody Fundacji Kościelskich, a była to bez wątpienia najważniejsza nagroda w Polsce, ogłosiło swój werdykt – w 1993 roku zostałem wraz z Marzanną Bogumiłą Kielar jej laureatem – w środowisku młodoliterackim zawrzało. Bezpośrednim efektem tego wrzenia był wyjątkowo złośliwy pamflet poświęcony mojej osobie, poezji, nagrodzie i pamiętnej promocji z Błońskim jako prowadzącym, który ogłosili moi koledzy: Marcin Baran i Marcin Świetlicki. Co przy tym ciekawe, tekst ów ujrzał światło dzienne w dodatku kulturalnym do „Czasu Krakowskiego”, redagowanym przez poetę Krzysztofa Koehlera, a którego to dziennika naczelnym był kolejny poeta – Jan Polkowski. Poza Polkowskim, którego wtedy nie znałem, byliśmy kolegami nie tylko po piórze, więc było to szczególnie przykre, w znacznie większym stopniu niż sam pamflet, że żaden z nich nie zjawiał się na uroczystym wręczeniu ani na imprezach, które temu wydarzeniu towarzyszyły, ściągając wielu znakomitych laureatów nagrody z lat poprzednich. Od tamtego czasu przez wiele lat towarzyszyła moim poczynaniom na niwie rodzimej literatury etykieta „pieszczocha kultury akademickiej”, a niektórzy długo nie przestawali podejrzewać, że Błoński to mój wujek.

Myślę, że fenomen życzliwej bezinteresowności, z jakim zetknąłem się w osobie Jana Błońskiego, stanowił dla mnie, stanowi i pewnie do końca będzie stanowił zagadkę. Przecież nie mogło tylko chodzić o wiersze. Musiało chodzić o coś więcej – coś, co powoduje, że w ogóle sięgamy po pióro. Pamiętam, że kiedy rozmawialiśmy o Celanie, którego trochę tłumaczyłem, profesor zwierzył mi się, chociaż mówiąc „zwierzył”, sugerując jakąś poufałość, której w moich kontaktach z nim nie było, że bardzo żałuje, iż nie odważył się z nim spotkać w Paryżu, gdzie w *École normale supérieure* poeta uczył niemieckiego. Paul Celan wedle jego słów był już bardzo znany, co profesorowi nie ułatwiało zadania, przeciwnie, ale myślał na samopocieszenie, że uczyni to podczas następnego wyjazdu, czego jednak dokonać już nie zdołał, albowiem Celan w kilka tygodni później, będąc świetnym pływakiem, wybrał śmierć w Sekwanie. Sam miałem podobną „przygodę” z Brodskim, tyle że ten nie popełnił samobójstwa.

Nie będę się silił na wyciąganie wniosków ani usiłował porwać się na sądy natury ogólnej, jestem bowiem nieodwołalnie przekonany, że zrobią to lepiej ci, którzy dobrze Jana Błońskiego znali. Z mojej strony mogę jeszcze tylko, bo przecież opowiedzieć o wszystkim w tym miejscu nie zdołam, przywołać dwa obrazy. Pierwszy. Profesor Błoński w swoim mieszkaniu opowiada z szelmowskim uśmiechem przed kamerą telewizyjną o tym, w jaki sposób zetknął się z moją poezją. Jedno zdanie wyłania mi się szczególnie wyraźnie z pamięci – właściwie to jedno niepełne zdanie zapamiętałem z tego programu sprzed lat o niemądrym tytule (*Skąd ta wrażliwość?*). Jedno, bo tylko raz jeden oglądałem poświęcony mi odcinek: „...a on posyłał anioła”. Ten anioł został później moją żoną. Obraz drugi. Jest słoneczny, zimowy dzień. Mamy rok 2007. Może 2008? Wpadam na profesora na św. Anny. Przypadkowo. Pozdrawiam go i wyczekując przystaję, bo jakoś do końca nie wierzę opowieściom o jego stanie, ale on faktycznie mnie nie rozpoznaje. Nie poznaje i tylko odpowiada bezradnie – „do widzenia”. Ukłoniłem mu się wtedy na pożegnanie, a teraz powtarzam bezradnie – „to do widzenia”.

## ŁUKASZ TISCHNER

### O Janie Błońskim

Zanim poznałem Jana Błońskiego-eseistę i Jana Błońskiego-krytyka, szczęśliwie zetknąłem się z nim na pierwszym roku krakowskiej polonistyki (1986/87) jako prowadzącym zajęcia z literatury współczesnej. Jak dowiedziałem się później od Aleksandra Fiuta, to Błoński wpadł na pomysł, żeby ćwiczenia ze współczesnej na pierwszym roku prowadzili profesorowie, a nie asystenci, bo uważał (słusznie!), że taki kontakt działa jak biologiczny *imprinting*. Poza tym jako wytrawny belfer wiedział, że pierwszorocznik jest najbardziej chłonny i najmniej zblazowany.

Ćwiczenia z nim budziły zachwyt i paraliżujące onieśmienie. Zachwyt, bo z wielką swobodą i werwą mówił o literaturze, ale i ogólne skrępowanie, bo nikt ze słuchaczy nie potrafił, choćby w części, sprostać jego erudycji. W dodatku co jakiś czas wybuchał niepoohamowanym, dziecięcym śmiechem, którego salwy tworzyły podkład muzyczny naszych spotkań. Bojąc się, że to któryś z nas – pierwszoroczników – spowoduje rozbawienie Profesora, cedziliśmy słowa i najchętniej milczeliśmy. Z biegiem czasu zorientowaliśmy się, że jego śmiech nie mierzył w kogokolwiek, ale był oznaką nieposkromionego poczucia humoru i wewnętrznej wolności. Na zajęciach interpretowaliśmy głównie polską poezję, ale najmocniej zapamiętałem „kartkówki”, które robił zniechęca. Najtrudniejsze były streszczenia, polegające na tym, że dawał każdemu odbitkę (w tamtym czasie wciąż trudną do wyprodukowania) jednostronicowego tekstu literackiego, który należało streścić własnymi słowami mniej więcej w stu słowach, a na samym końcu jeszcze w dwudziestu słowach zawrzeć jego najważniejsze przesłanie. W ciągu dziewięćdziesięciu minut musieliśmy streszczać na przykład fragmenty *Legendy Młodej Polski (Polska dziecienniała)* i *Widzeń nad Zatoką San Francisco (Co czuje się wobec zbyt dużego obszaru)*! Zadania zdecydowanie na wyrost, ale nasze męki okazywały się błogosławione. Przez osmozę wchłanialiśmy zbójcekie treści, a równocześnie uczyliśmy się jasnego i zwięzłego wyrażania myśli. Najlepsze streszczenia Błoński odczytywał na głos, zatajając nazwiska autorów. Jego pochwały pokazywały pośrednio,

jak pisać – unikać rozdętych do granic zdań złożonych, stronić od kancelaryjnej strony biernej i przemądrzałych słów, nie bać się prostoty wywodu.

Jak łatwo się domyślić, zajęcia z Janem Błońskim (później także jego wykłady) były nie tylko szkołą czytania/pisania, ale i życia. Brzmi to górnolotnie, ale prawdziwie, choć on sam był jak najdalszy od wszelkiego kaznodziejstwa, a tym bardziej pimkowatości. Wywód naukowy okraszał anegdotą, dowcipem, przywołaniem własnego wzruszenia lub złości, tak by ujawniło się jego niepowtarzalne, niepodległe ja – takie samo za katedrą, jak w domowej jadalni czy kościele Świętej Anny, gdzie widywałem go na niedzielnej mszy. Zapamiętałem rzuconą mimochodem uwagę o istocie dobrego wychowania. Była to historia gafy, która zdarzyła się na dystyngowanym przyjęciu we Francji. Ktoś niedoświadczony, o ile pamiętam przybysz z naszej części Europy, nie biorąc przykładu z bardziej obytych, zaczął jeść krewetki łyżką. Wzbudziło to konsternację współbiedniaków, ale nie gospodarza, który zauważywszy pomyłkę gościa, bez słowa sam sięgnął po łyżkę. Jan Błoński spointował, że istotą dobrego wychowania nie jest ślepe posłuszeństwo regułom, ale wrażliwość na innych.

Chyba najmocniej utkwiła mi w pamięci reakcja Profesora na studenckie protesty, bodaj w maju 1988 roku. Właśnie zaczynał się jego wykład, na który z zapałem chodziliśmy. Ale pod oknami Gołębnika zbierały się tłumy skandujące antykomunistyczne hasła, zaczynała się demonstracja poparcia dla strajkujących robotników. Słyszając to, Błoński stwierdził krótko, że nie chce nam w takim momencie zabierać czasu i przerwał wykład, dając do zrozumienia, że warto dołączyć do protestu.

Pierwszą książką Jana Błońskiego, którą przeczytałem, była monografia Sępa Szarzyńskiego. Zaważył na tym przypadek – chciałem oczywiście przekonać się, jak pisze, ale przy okazji wzmocnić swoje szanse na egzaminie z literatury staropolskiej u legendarnego profesora Tadeusza Ulewicza (nazwisko, o czym wiedzą absolwenci krakowskiej polonistyki, znaczące). Przypadek okazał się szczęśliwy, bo dzięki temu poznałem Jana Błońskiego-pisarza w jego najbardziej wyrafinowanym wcieleniu – nowoczesnego komparatysty, wytrawnego historyka idei, znawcy filozofii i dziejów religii, ale ponad wszystko uważnego hermeneuty, który w dodatku znał jeszcze sekrety wersologii. Jego książka wyznaczała wzorzec pisarstwa naukowego, w którym kaliber podnoszonych kwestii nie wykoślawiał rytmu zdania, a giętka, archaizowana polszczyzna budziła zdrową zazdrość, żeby dążyć ku wyznaczanym przez niego wyżynom. Uderzająca była jego zdolność do rozpoznawania, a potem dyskusowania najbardziej zasadniczych kwestii: filozoficznych, religijnych

i egzystencjalnych, które w typowych pracach polonistycznych na ogół wstydliwie spychane są do przypisów. Zaraźliwa była śmiałość, by nie skrywać własnego zdania za parawanem naukowości, nie zatajać prywatnego romansu z tekstem. Tak, Błoński umiał sprostać zaleceniu Gombrowicza: „Tak piszcie, żeby było wiadomo po przeczytaniu, czy pisał blondyn, czy brunet!”.

Ale dość już wspominków. Wolę jeszcze napisać o mądrości Jana Błońskiego, która ujawnia się w jego tekstach. Bo jego szkice są nie tylko inteligentne i erudycyjne, ale przede wszystkim mądre, choć ich mądrość zaprawiona jest goryczą. To nie przypadek, że Profesor upodobał sobie pisarzy, którzy, owszem, często upajają go, a nawet oszałamiają pięknem brzmień i obrazów, ale zarazem potrafią przerazić nicością i diabelstwem świata. Jeśli przywołać nazwiska najważniejszych pisarzy, którymi się zajmował – czy będzie to wspomniany Sęp Szarzyński, Witkacy, Leśmian, Baczyński, Miłosz, Różewicz, Gombrowicz, Mrożek, Beckett, Proust, a nawet Gałczyński – to każdy z nich oprócz wyrazistego, niepodrabialnego stylu wyróżnia się pesymizmem światoodczucia, jest, mówiąc słowami Williama Jamesa, „chorą duszą”, która dostrzega nieprzenikloną groźbę kosmosu. Po przeczytaniu *Błońskiego przekornego* wiem już, że szukał w literaturze tego, co sam czuł pod skórą. Zacytuję trzy poruszające fragmenty z jego dziennika, które mimowolnie kojarzą się z *Wyznaniami* świętego Augustyna:

„Dzisiaj [czyli około 1960 roku – Ł.T.], kiedy myślę o tym, co napisałem lub powiedziałem, odczuwam żal i czasem nawet przerażenie, że nie dotknąłem niemal tego, co było dla mnie najważniejsze. A najważniejsze były sprawy religijne, ta jakby drzazga Boża, która tkwiła we mnie latami, w uśpieniu albo też jątrząc, ale zawsze obecna”;

„Gdzie więc szukać pierwszego zadraśnięcia drzazgi? Z najwcześniejszego dzieciństwa pamiętam przygnębiający sen spadania czy odłączenia. Byłem jakby między chmurami, poruszającymi się miarowym, obrotowym ruchem, który spychał mnie w dół – do piekła. Czasami udawało mi się obudzić i wezwać imienia Bożego, co, jak wiadomo, zapewniało ocalenie; czasem zaś sen roztopiał się w szarej lepkiej rozpacz. Straciłem wiarę na kilka dni, miałem wtedy lat szesnaście, najwyżej siedemnaście. Nie było w tym nic wyrozumowanego, odeszła, jak wróciła – milcząco. Przeżyłem wtedy cieleśnie coś, co filozof nazwałby może doświadczeniem przygodności. Patrzyłem na dom, na drzewa, na furę terkoczącą po ulicy [...]. Wszystko było jakby osobne, niepotrzebne, bez powodu. Drzewa nie miały korzeni, dom stał na przypadku, prawo ciążenia obowiązywało tylko tymczasowo, lada chwila mogło

być odwołane i okno, parapet zawisłyby w powietrzu. Fura jechała donikąd, koń był zwierzęciem nie tyle groźnym, ile niepojętym, miał jakieś głupie nogi, chrapy, uszy”;

„Zawsze do tego samego wracam, do bylejakości mojej i do religii, w którą wierzę-nie wierzę, nie mogę nie wierzyć i nie mogę z niej uczynić gmachu pewnego, i już nawet spróbować serio nie umiem. Ale odczepić się nie mogę i już chyba nigdy nie potrafię. I nie chcę, mimo całego łajdactwa mojego – bo to rodzaj łajdactwa duchowego, dziecinady”.

Znamienne dla tych cytatów jest oczywiście skupienie na religii jako podstawowym punkcie odniesienia (mimo ciągłych nawrotów wątpienia). Ale uderzająca jest tonacja tych notatek – wiarę Błońskiego przenika i właściwie buduje doświadczenie rozpaczcy i słabości. Rozpaczcy metafizycznej – że być może istnieje raczej nic niż coś i moralnej słabości, którą odczuwał jako udział w złu, a nie jedynie bierne przyzwolenie. Uwagi o własnej słabości łączą się z jego wyznaniem o niedostatku odwagi, które notował, gdy porównywał siebie z Janem Józefem Szczepańskim i Jackiem Woźniakowskim. Chyba pośrednio nawiązywał do niesławnego podpisu pod rezolucją Związku Literatów Polskich potępiającą księży kurii krakowskiej, który był wymuszony, ale Jan Błoński, o czym mówił w książce Wojciecha Czuchnowskiego *Drzazga*, postrzegał swą uległość jako winę. Myślę, że odczuwał „Bożą drzazgę” jako obietnicę sensu, ale i jedyny ratunek przed diabelskim wodewilem, bo zło totalitaryzmów, które okaleczyło całe jego pokolenie, było dla niego siłą demoniczną, unieważniającą ludzką zdolność do czynienia dobra. Nicość, którą odkrywał u Miłósza i Gombrowicza, nie była jedynie projekcją doświadczenia przygodności. Miała aspekt aktywny, jako coś, co poraża serce, by użyć dobitnej, archaicznie brzmiącej frazy.

Piszę o tej gorzkiej nauce, bo Jan Błoński nie zasłużył na panegiryk, ale współmyślenie, do którego zachęcał. Jego roztropna mądrość i nadzwyczajna, pojemna „jak świat” wrażliwość miały chyba swe źródło w wewnętrznym okaleczeniu, doznaniu totalitarnego zła i własnej słabości. To samo odkrywam u jego ulubionego poety, Czesława Miłósza. Nie od dziś wiadomo, że prawdziwa moc doskonali się w słabości.



## Jan Błoński i o Janie Błońskim w „Kwartalniku Artystycznym”

Nr 1/1995 (5) Jan Błoński, *Mroźek przeciw Andrzejewskiemu: Pieszko kontra Popiół i diament*

Nr 4/1995 (8) *Wszystko zawsze było brane od wielkich artystów* – z Janem Błońskim rozmawiają Grzegorz Musiał i Krzysztof Myszkowski

Nr 2/1996 (10) Dariusz Nowacki, *Jana Błońskiego poradnik dla polonistów* – recenzja książki pt. *Formy, śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu*

Nr 2/1999 (22) Mirosław Dzień, *Poetycka teologia wyobraźni (rzecz o Miłoszu Jana Błońskiego)* – recenzja książki pt. *Miłosz jak świat*

Nr 3/1999 (23) Jan Błoński, *Wtajemniczenie – tematy Witkacego*

Nr 4/1999 (24) Jan Błoński, *Tytani i artyści – postacie Witkacego*

Nr 2/2001 (30) Jan Błoński, *Pisać całym sobą* (tekst na dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin Czesława Miłosza)

Nr 4/2001 (32) Jan Błoński, *Gombrowicz i Miłosz o Europie*; Jacek Gutorow, *Kraków, środek rozmowy* – recenzja książki pt. *Witkacy. Sztukmistrz, filozof, estetyk*

Nr 1/2002 (33) Krzysztof Myszkowski, *noty o Mieszaninach i o Wszystkim co literackie. Pismach wybranych*, t. 1

Nr 2/2002 (34) Jan Błoński, *Cesarz, Pan i Żyd, czyli o powieści habsburskiej w Polsce*

Nr 3/2002 (35) Krzysztof Myszkowski, *nota o Jan Błoński... i literatura XX wieku*

Nr 4/2003 (40) Krzysztof Myszkowski, *nota o Między literaturą a światem. Pismach wybranych*, t. 2

Nr 2/2004 (42) Bogusław Kierc, *Tubylec wszechświata* – recenzja książki pt. *Witkacy na zawsze*

Nr 4/2004 (44) Krzysztof Myszkowski, *nota o Listach 1963–1996 Jana Błońskiego i Sławomira Mrożka*

Nr 3/2007 (55) Krzysztof Myszkowski, *nota o Wyspiańskim wielokrotnie*

Nr 1/2009 (61) Krzysztof Myszkowski, *Jan Błoński (1931–2009)*; Krzysztof Myszkowski, *nota o Lekturach użytecznych*

Nr 1/2010 (65) Krzysztof Myszkowski, *Jan Błoński, pisarz, przyjaciel, korespondent; ...wydaje mi się, że Pan już ze swego czyścica wychodzi. Listy Jana Błońskiego do Krzysztofa Myszkowskiego; Głosy i glosy w 1. rocznicę śmierci Jana Błońskiego*: Aleksander Fiut, Marek Kędzierski, Paweł Mackiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga; Jan Błoński na fotografiach

Nr 2/2010 (66) *Rejestr, który jest większy* – z Janem Błońskim rozmawia Stefan Rieger

Nr 1/2011 (69) Krzysztof Myszkowski, nota o III tomie *Pism wybranych* Jana Błońskiego pt. *Gospodarstwo krytyka. Teksty rozproszone*

Nr 2/2011 (70) Grzegorz Kalinowski, *...najważniejsze były sprawy religijne...* – recenzja książki pt. *Błoński przekorny. Dziennik/Wywiady*

Nr 4/2011 (72) Krzysztof Myszkowski, nota o książce pt. *Miłosz jak świat* (wydanie drugie poszerzone)

JANUSZ SZUBER

## Hopydryle

Nie ma czego żałować,  
oduczam się siebie,  
żadnego *znieńacka*  
to pracuje jawnie.

Przemarzły winogrona, w sam raz na wino  
domowego przemysłu do użytku w kuchni.

Hopydryle – częste u Leszka Róźgi, zazwyczaj jako pobłażliwa  
konkluzja, podwórkowe słowo z lat jego dzieciństwa.

Pokrojony krajan, do końca kwarantanny  
w trzeciej osobie liczby pojedynczej,  
i kapelan globtroter, którego kiedyś  
o mały włos nie pożarł lew Judy.

Tak jak spał, w samych tylko slipach,  
prosto z łóżka na stół i, zaciekle klaszcząc w dłonie  
i stopami o blat, wypłaszał nietrzeźwego ojca,  
który wtargnął do ich pokoju.  
Dalej ta sama o sobie, że jest zaprogramowana jak pralka.

Janek Zabiega, na czas mojej bytności w szpitalu  
osobisty balwierz, skądinąd raz we śnie  
odbierał trudny poród:  
mężczyzna rodził cielę.  
*Cielę ogon ma.*

Panowie i panie suną w saniach po Sanie,  
a sługa Boży Ambroży na opak gospodarzy:  
opieszających dla zachęty  
dubeltowo szturcha w pięty.

## To, co kiedyś dla wielu jakoś znaczyło

To, co kiedyś dla wielu jakoś znaczyło,  
jak czerwone skarpetki, noszone do pionierek z importu,  
albo, o czym mówiono przy lada okazji, że nogi Krystyny  
mogłyby skutecznie konkurować z nogami Marleny Dietrich.  
Wreszcie: w przeciwieństwie do mojej restrykcyjnej matki,  
jej siostra Krystyna pozwalała mi nieomal na wszystko,  
i tylko od niej dowiadywałem się bez retuszu o rzeczach  
systematycznie przemilczanych u nas, na Sienkiewicza, jak choćby  
o zmarłych, zanim się urodziłem, moich braciach,  
po których poza imionami nic nie pozostało, nawet daty.

## Blżej nieokreślone

Kto do dnia wstaje, daje i odbiera,  
w dalszej perspektywie poniewierka w piekle,  
cokolwiek by to miało znaczyć,  
byle nie uchybiono w niczym koniugacji:  
żywi nawzajem żywią się sobą,  
za życia i po nim, dopóki jest czym,  
bez względu na lichwiarski procent od kredytu  
i inne pomniejsze okoliczności,  
brane pod uwagę lub nie przez wysoki sąd,  
któremu co rusz ktoś zarzuca korupcję.

KRZYSZTOF SIWCZYK

## Biały dzień

przez tlen w poziomicy widziany horyzont  
raz na zawsze traci moc przyciągania w kółko  
chodzisz na palcach kości rosną cicho i bez bólu

mogę być święcie przekonany w biały dzień  
przy pełnym zachmurzeniu wszystko się powtarza  
kocowa zawiązana na puszczelach stawia do pionu

światło kroczy między wersami nie mi  
pisanymi tylko tobie pewnie się powiedziało  
że nic za tym nie idzie choć nawraca

## Rzecz jasna

w wolnej przestrzeni cierpiąca jak igielnik  
w rogu pomieszczenia widać wytrwałe źródło  
samotni od zarania rana trwa pomieszanie nieczysta  
rzeka płynie środkiem sali nie była żegluga dni  
radosnej nudy wstrzymana w objawieniu wiedzy  
niechcianej choć przeczutej a jeszcze wieki temu

w piątek ład leżał w zasięgu wzroku czarny i zwalisty  
jak wymarły gatunek brama do upartej oazy  
zwyczajnego wyobrażenia prostego porządku  
następstw zapraszała do dalszego ciągu od czasu  
do czasu gdy nie może sobie przypomnieć o czym  
była mowa jak można sobie to zrobić pod pozorami  
widzieć ich wystarczającą uludę była tak gościnna

nie była nigdy tak otwarta  
pełna wolnego miejsca wciąż emituje ciepło  
w jakim może się ogrzać bo nie ma nic więcej  
ponadto o czym jest mowa już wie rzecz jasna  
konkretnie widmo określony ból który znosi  
jest nie do pomyślenia to co ją czeka więcej  
wymaga ofiar z słów danych

## Woliera

w każdej chwili przy kołysance czuwa cień  
przebudzenia zdarzają się świty ciche od szronu  
podchodzącego pod gardło jak krawędź kartki  
przeciągnięta po kącikach ust otwiera ciało mowy  
mroźny kondukt wygłodniałego ptactwa tak jest  
zawsze w czasie stagnacji przemożna rozpacz momentu  
krzyku i potem długo jeszcze pozostaje z nami strach  
wyjedzone dziury w ziemi patrzą jak teleskop na promenadzie  
w zupełnie nieme dziury w oczach nie starcza monet  
na przeprawę przez rzekę mazutu droga moja to ty  
czy co tak woła wniebogłosy które są jak te ptactwo  
uparte i wracające wciąż do utopionego ogrodu  
gdzie pobłyskuje żeton ostry jak harpun sokolnika  
z jakiego zrywa się do lotu notatka widać moja  
wina że próbuję ci powiedzieć czego nie ma w mocy  
klatka i obcy ci język wróci łaski pełen czystych łez

## Niezaistnienie

na progu zdarzenia  
niedoszły pokropek  
niedoczekanie ty moje  
pusta czerń pod głowicą  
zaiste rozbrat z wyobrażeniem  
jest niczym scena pierwotna  
na dalekiej stacji wpatrzone oko  
w cokolwiek łzawe semafony  
gasnące sygnały przykazana cisza  
mak mara wyparte życzenie  
licho śpi mnie nie marły  
dotąd tylko żyłem słowo  
wyjaśnienia na ostatek  
mało powiedziane  
niech ci będzie  
niezaistnienie





LESZEK SZARUGA

## Trwanie

*„Verweile doch! Du bist so schön!“*

Johann Wolfgang Goethe, *Faust*

„[...] obrazek, który opowiada o tym, co się działo ze wszechświatem w momencie, kiedy minęło 10 do – 42 sekundy od tej umownej chwili zero. Nazywam ją umowną chwilą zero, bo wtedy według teorii Einsteina byłyby właśnie osobliwość początkowa. Problem w tym, że my tak naprawdę nie wiemy, co było wcześniej. Nie mamy teorii, która by tak wczesny okres, czyli tak gorący wszechświat, opisywała.

Tak więc nie wiemy, czy wszechświat miał początek, czy też nie”.

Profesor Krzysztof Meissner

nie było przed i nie będzie po  
eony przez nas przepływają  
w beczasie fotonowych fal

bezciesne cienie  
naszego istnienia  
od czasu do czasu  
przenoszą nas w nowy  
wszechświat

nie znamy jego praw  
ale jedno wiemy  
ujemna grawitacja  
sprawi że się wzniesiemy

31.12.2015 – 01.01.2016

NA 70 URODZINY  
LESZKA SZARUGIJACEK GUTOROW  
Nasze rozmowy

Leszek Szaruga to łebski facet. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie w Szczecinie kilkanaście lat temu, bodaj na Zamku Książąt Pomorskich, przy okazji czytania wierszy. Wieczorem spotkaliśmy się w jakiejś knajpie, za oknami była pogoda jak z *Makbeta*, a ja po kilku minutach wiedziałem, że nie będę żałował podróży do Szczecina. Należę do osób, które niespecjalnie lubią rozmawiać o poezji, w tym przypadku było jednak inaczej. Gadało nam się (a przynajmniej mnie) znakomicie. Tym, co wtedy, a i później, ujęło mnie w Leszku, było rzadkie połączenie dyskrecji w wyrażaniu sądów z osobistym przeżyciem literatury i zaangażowaniem w jej sprawy. Ujęły mnie też mocno bezstronność i otwartość na różne poetyki, szkoły czy języki. Miłosz, Herbert i Herling-Grudziński (o którego się spieraliśmy), a zaraz potem, niejako na tym samym biegu, Przyboś, awangarda i młodzi warszawscy neolingwiści. O każdym z tych zjawisk Leszek mówił nie tylko z dużą znajomością rzeczy, ale również z taktownie dawkowanym zapałem i czytelniczną pasją. Jakże podobał mi się ten krytycznoliteracki ekumenizm, tak rzadki w Polsce (dopowiedzmy tytułem zastrzeżenia, że chodzi nie o zamiłowanie do każdego rodzaju literatury – wszyscy mamy swoje upodobania i swoich ulubionych poetów – lecz nieuprzedzony stosunek do tego, co nam się nie podoba albo

podoba w umiarkowanym zakresie). W tych kilku dłuższych rozmowach, jakie miałem przyjemność odbyć z Leszkiem, wyczuwało się mocne pragnienie poznania i dotarcia do innych sposobów myślenia o świecie, a także odnalezienia w sobie innych języków poetyckich. Czymże innym jest autentyczna krytyka literacka, jeśli nie gotowością do przekraczania siebie i odkrywania nowych obszarów wrażliwości i wyobraźni?

Dyskutowaliśmy też, rzecz jasna, o twórczości poetyckiej Witolda Wirpszy. Leszek przysyłał mi wiersze, a właściwie całe poukładane zbiory wierszy, które miały się za jakiś czas ukazać staraniem Instytutu Mikołowskiego (prowadzony przez Maćka Meleckiego i Krzyśka Siwczyka Instytut jest najważniejszym w Polsce inicjatorem i ośrodkiem studiów nad twórczością Wirpszy). Chyba dopiero wtedy zorientowałem się na dobre, jak znaczącym poetą może być dla mnie, i nie tylko dla mnie, autor *Faetona*. Można już chyba teraz powiedzieć, że upowszechnienie dzieła Wirpszy zawdzięczamy w dużej mierze Leszkowi, który, jak się domyślam, zarzucił w pewnym momencie własną twórczość i poświęcił wyczerpującym pracom redakcyjnym nad kolejnymi utworami ojca. O nim samym mówił niewiele. Zarazem jak mało kto potrafił rozmawiać o jego tekstach, tak przecież trudno przystępnych w lekturze. Spore wrażenie robiła na mnie powściągliwość, z jaką podchodził do nader złożonych i językowo onieśmielających konstrukcji poetyckich, połączona z umiejętnością dokonywania nagłych czytelniczych skrótów i celnością krytycznej argumentacji. Żadnego polonistycznego gadulstwa! Szybko miałem się przekonać, że to znaki firmowe krytyki uprawianej przez Leszka.

Wszystko to odnajdywałem i odnajduję w wierszach, z którymi zetknąłem się nieco później (nie zapominam o powieściach, o których trzeba by pewnie napisać osobno). Nie do każdego zdążyłem się przekonać, od początku czułem wszakże, że mam do czynienia z poetą dobrze znającym swój fach. Kulminacją Leszkowej poezji stał się dla mnie wydany całkiem niedawno, nakładem Wydawnictwa Miniatura, tom *Logo Reya*. Być może „kulminacja” nie jest tu słowem najodpowiedniejszym, wiersze traktują bowiem w większości o rozproszeniu i zapomnieniu, o wyciekaniu sensu z jednoznacznych i oczywistych, wydawałoby się, słów, fraz i gestów. Ciemne, pesymistyczne tony przybierają najczęściej formę krótkich językowych zwarć; w wielu tekstach słowa aż iskrzą. Książka opowiada o rozpadzie świata, ale odnajdziemy w niej także fragmenty, w których próbuje się dotrzeć do jakiegoś, najczęściej zaprzęskiego, fundamentu pamięci, zasady nadającej rację bytu rozwichrzonej, niezbornej, scentrowanej egzystencji. Tak odczytuję choćby wiersz (czy

też prozę poetycką) *Początek*, gdzie narrator odnajduje swego rodzaju fundament w wyobrażonym kamieniu ze zrujnowanej Warszawy: „opowiadała mi mama, że gdy w Berlinie w roku 1940 postanowiła wyjechać do Warszawy ktoś jej powiedział że w Warszawie nie został kamień na kamieniu na co ona że to nie szkodzi weźmie jeden kamień na którym ustawi maszynę do pisania a siądzie na drugim i będzie pracować”. Następujące zaraz potem słowa – „od tego więc / zaczynam” – mają wydźwięk bodaj ironiczny, dominuje jednak patos pamięci poszukującej punktu zaczepienia. Żadnej ostatecznej ostoi poeta w końcu nie odnajduje. Gwarancji nie dostarcza nawet język, który rozpada się na miriady widmowych, niepełnych sensów. W książce przeważają obrazy językowej zamieci: zużytych, wyblakłych, rozstrzelonych słów, które mechanicznie łączą się w zdania, ale równie mechanicznie znikają, nie pozostawiając najmniejszych śladów. Tak dzieje się na przykład w poruszającym wierszu *Ciąg dalszy*, poświęconym ojcu: „nie zostawił po sobie żadnych notatek zapisków drobnych / śladów życia”. Właściwie jedyną racją bytu jest racja chwili – i chwili poświęcone są najpiękniejsze fragmenty tomu.

Może *Logo Reya* jest nie tyle kulminacją, co zwiastunem nowej poezji Leszka? Choć w wielu tekstach mówi się o niepozostawianiu śladów, to przecież same wiersze zostają. Mówi o tym utwór *Na zawsze*, jeden z moich ulubionych w tomie:

żyjesz  
w czasie  
zaprzyszyłam  
niedokonanym

przeżywasz  
siebie  
na zawsze

Myślę, Leszku, że nasze rozmowy będą spokojnie toczyły się dalej.

PIOTR MITZNER

## Wszyscy mamy długi wobec Szarugi

Przychodzi Leszek Szaruga i mówi.  
Mówi, że to jubileusz. Jaki tam jubileusz! Przecież  
jest najmłodszy z nowej  
fali. Przychodzi Leszek Szaruga zawsze ma torbę wyładowaną literaturą  
jak my wszyscy. Ale on nosi nie swoje  
i mówi: o, to dobre! Czytaj!  
Rewolucjoniści, konserwatyści, nihilisci i iści i inni iści  
mieszczą się w torbie Szarugi  
a jeszcze  
mieszczą się tam tematy  
polityczne, ale polityka Szarugi nie jest  
upolityczniona,  
bo ma się rozumieć  
jest Giedroyc.

W torbie Szarugi mieszczą się narodowości  
(i jest to szczególne miejsce w świecie – ta torba – gdzie się nie zabijają):  
jest rosyjskość ukraińskość niemieckość albańskość polskość  
a wszystkie co najmniej rozdwojone w sobie

gdyby tak wprowadzić embargo na narodowość  
zostaną same ości

Przychodzi Leszek Szaruga i pokazuje język  
na języku jest pypeć  
trzeba długo kręcić językiem żeby zmielić narośl  
żeby móc wyraźnie powiedzieć: bogowie  
bezczas  
źrenica  
los

ale ale pyta Szaruga  
co robi człowiek zbiorowy kiedy śpiewa?  
Ano to:  
„nas z życia los  
nas tos nas tos”

Szaruga.  
Szaruga? Raczej zachmurzenie z przejaśnieniami.  
Bo on wie że chmury są niezmywalne  
lecz humor niezbywalny

## KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

### Rejestr Szarugi

Leszek zjawił się w „Kwartalniku Artystycznym” w 1995 roku i od tego czasu jest stałym autorem i współpracownikiem. Można powiedzieć, że przyszedł do nas z „Kultury” paryskiej, z którą współpracował od drugiej połowy lat siedemdziesiątych – widać było, że świetnie czuje rytm i życie pisma i wie, jakie są zadania i oczekiwania.

Zawsze mogłem i mogę na niego liczyć.

Stale jest czymś zajęty: wykłada, obecny jest w mediach, podróżuje, prowadzi działalność społeczną, ale przede wszystkim ciągle coś czyta i pisze. Jest autorem wierszy, prozy, esejów, aforyzmów, szkiców i niezliczonej ilości recenzji i omówień, przekłada wiersze z języka niemieckiego i rosyjskiego, wyowiada się w ankietach, rozmowach i dyskusjach.

Trudno go jednoznacznie określić. Jest synem Witolda Wirpisy i Marii Kureckiej, profesorem, historykiem literatury, redaktorem, a także, jak o sobie mówi, „chuliganem” i „fanatycznym lekturnikiem”. Poeta, prozaik, eseista, aforysta, tłumacz, krytyk i publicysta. Laureat nagród literackich. Takie jest jego miano.

Towarzyski i łatwy w kontakcie, ale też jak chyba każdy pisarz zamknięty w sobie, osobny i w istotny sposób samotny. Brat łąta, przyjazny dla innych, także dla tych, którzy odlegli są od niego duchem i światopoglądem, i jednocześnie trzymający się na dystans.

Należy do Nowej Fali i dobrze współtworzy tę formację. Działa w PEN Clubie i w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich, gdzie pełnił różne funkcje, współpracuje z pismami literackimi (i nie tylko literackimi) i z radiowymi rozgłośniami, jest aktywny w Internecie, interesuje się życiem politycznym, w którym uczestniczy jako publicysta. Szuka, bada, pyta, daje odpowiedzi, poszerza naszą wrażliwość i możliwości.

Jak mało kto zna współczesną poezję polską i interesują go nie tylko jej najwyższe szczyty, ale również zakątki i zakamarki. Najwyżej ceni Tadeusza Różewicza, czemu nie raz dawał wyraz także na naszych łamach, wiernie opisując jego wiersze i kolejne książki. Zajmuje się debiutantami i zagląda do ich kolejnych tomików. Ma szeroką perspektywę pokoleniową i dobry przegląd sytuacji. Ciekawą mozaiką są jego cykle zamieszczane od ponad dwudziestu lat w „Kwartalniku”, kolejno pod tytułami: *Tym czasem*, *Wodna pieczęć*, *Lektur-nik*, *Jazda* i teraz *Nowa Polska*, chociaż właściwie wszystko, co napisał, jest właśnie taką niezwykłą mieniącą się kolorami układanką.

Mówię do niego: Leszku, koncentruj się już tylko na sprawach najważniejszych, drąż w głąb i mocno wiąż supeł. A on uśmiecha się, narzeka na brak czasu i dalej robi swoje – z jakim pożytkiem!



## ANNA NASIŁOWSKA

### Leszek

To ważne, żeby mieć kolegów. Od starszych kolegów można się bardzo wiele nauczyć. Wszystkie zajęcia literackie, zadania krytyczne i pisarskie prowadzą się w gruncie rzeczy do samotnej pracy, co stymuluje indywidualizm. I raz znosi się to uprawianie samotnej partyzantki lepiej, raz gorzej, a czasami – jest całkiem źle. Potrzebny jest jakiś kontrast.

Nie wiem, czego konkretnie nauczyłam się od Leszka Szarugi. Pewnie wielu rzeczy, ale nie czas się nad tym zastanawiać. Może chodzi o to, że on się w ciągu ostatnich trzydziestu lat trochę zmieniał i że tak wolno, a nawet trzeba. A może o pewien luz, typowy dla niego w relacjach osobistych. Jednak w pewnych momentach od żartu blisko jest u niego do czegoś bardzo serio i to też jest dobrze, bo nie można być zawsze miłym i dowcipnym.

Bardzo podziwiam Leszka Szarugę za to, że prowadzi pewien rodzaj kroniki poetyckiej. To jest tytaniczna praca. Mamy bardzo wielu poetów, ale niewielu rzetelnych czytelników, a jeszcze mniej takich, którzy potrafią zdać sprawę ze swoich obserwacji po lekturze tomików wierszy. To jest też rodzaj samotnej partyzantki, i Leszek uprawia ją od lat, publikując w wielu pismach przeglądy na podstawie swoich lektur. Tworzy w ten sposób własną kronikę literacką. Nie wiem, jak to się dzieje, że starcza mu na to sił, bo przecież opublikował w ostatnich latach ważne powieści, a to też wymaga czasu i pracy. Ale najwyraźniej – starcza i jednego, i drugiego, i na jedno, i na drugie. Chciałabym mu bardzo za to podziękować.

## IWONA SMOLKA

### Leszka Szarugi wielki traktat o istnieniu

Cała dotychczasowa poezja Leszka Szarugi, pełna niepokoju i pytań metafizycznych, katastroficzna i drażąca język, poruszała się po wielkich obszarach filozofii, teorii astrofizycznych, księgach Biblii, a nade wszystko była terytorium lirycznej wyobraźni.

Najnowszy tom *Fluktuacja kwantowa* zdaje się scalać te wszystkie obszary poszukiwań i jest summą poetyckich dokonań. Wielki traktat o istnieniu, bo tym jawi się ów poemat sięgający do praw fizyki kwantowej i astrofizyki, jest odpowiedzią poety na pytania naukowców, na ich sprzeczne teorie, ich wykładnie, które sprowadzają się do „nie wiem” albo „jeszcze nie wiem”. Tą odpowiedzią jest wyobraźnia i język. Wyobraźnia idzie w parze z intuicją, język to słowo, jego cząstki elementarne, głoski, dźwięki, sylaby oraz składnia, która tworzy mowę.

Traktat o istnieniu, czyli najnowszy tom Szarugi, rozpoczyna się jak Genesis, pierwsza księga Starego Testamentu. *Ex nihilo*, coś powstaje z niczego – to przecież dobry żart, absurdalny, niemożliwy do pojęcia. Ta myśl prowokuje język. Żart wyraża się w grach językowych, dziecięcych absurdalnych wyliczankach, fragmentach porzekadeł, przysłów. Ta surrealistyczna, zabawna mieszanina nie zakłóca, o dziwo, logiki wywodu. Istniejemy w czymś niepojętym, co umyka definicjom.

Leszek Szaruga jest mistrzem językowych przekształceń, chwytania wieloznaczności słowa. Wie, jak wykorzystać fonem, jak funkcjonuje składnia i co można z nią uczynić. Językowa wirtuozeria nie jest zabawą dla zabawy. Jest odpowiedzią na złożoność świata, na ów moment, gdy powstaje czas i

zmasowana nicość  
bezczasu  
odważa się  
ważyć

Pojawia się foton – cząstka elementarna, i – jak tłumaczy profesor Krzysztof Meissner, dla fotonów „czas nie płynie”, gdyż nie mają one masy. Poetycko realizuje się to w erupcji słowa.

(fotony  
wpadają do czarnej dziurki  
na kawę i mowę-trawę  
o świetle  
ecie-picie  
i jakoś się życie plecie  
na świetle  
w innej poetyce  
co świat wywraca  
na nice)

W tym poemacie cząsteczki fotonów są zarazem cząstkami twórczej wyobraźni, poetyckich obrazów, z których powstaje ludzki świat słów i wyobrażeń. W traktacie Szarugi świat rozwija się równolegle, jako nasza fantasmagoria, a także zespół praw etycznych oraz jako zespół praw rządzących kosmosem. Powstaje bogata i złożona tkanka poematu. Poeta odwołuje się do filozofii, do praw współczesnej fizyki i jej odkryć, do intuicji poetów, a nade wszystko do języka. Co bowiem wynika ze stwierdzenia, że

są słowa  
nie ma mowy

Mowa to składnia, która wiąże słowa, scala je w przekaz, umożliwiając kontakt z innymi, jest więc spoiwem ludzkiego świata. Ta chwila, gdy nie ma mowy, zaświadcza o kolejnym rozbiciu, o degradacji człowieka.

Wyczulenie na znaczenie słowa, na możliwości jego przekształceń jest zasadniczą cechą poezji Szarugi. W tomie *Skupienie* z 1996 roku znajduje się poemat *Wielka gra*, a w nim część 6. *Gra znaczeń*, będąca swoistym *credo* i określeniem samego słowa **znaczenie**.

Wciąż trzeba nowe znaczenie słowa chwytać  
Na gorącym uczynku, w przemówieniach, zwrotach  
Potocznych, w bajkach, wierszach, definicjach,  
W kazaniach i teoriach, przysłowiach, przekleństwach,  
A nawet w przemilczeniach.

Od początku w tej poezji wyraźne są cztery obszary penetracji: język, czyli mowa, filozofia, astrofizyka, Biblia, ze szczególnym uwzględnieniem Apokalipsy. Przecucie katastrofy, dezintegracji, rozbicia ludzkiego świata jest dominujące w kolejnych tomach, poczynając od roku 1981.

Bardzo wcześnie w tej poezji pojawia się „druga strona” (tom *Po wszystkim*), która jest przestrzenią metafizyczną. W niej spotykają się żywi i umarli i niepotrzebny jest język, aby móc się porozumieć. W tej przestrzeni śmierć

jest realnością, a uświadomione sobie zagrożenie biologiczne, kruchość istnienia, pozwala odkryć wspólnotę przeszłych i przyszłych pokoleń, zobaczyć cienie przodków na ścianie prehistorycznej jaskini, tych, „z którymi od tak dawna rozmawiamy bez słów”.

Krajobraz katastroficzny ma swoje zakorzenienie literackie, proroczo-wizyjne w Apokalipsie, historyczne i zwykłe, najbardziej ludzkie, czyli fizjologiczne, gdy wraz ze śmiercią kończy się świat.

Ten głos, gdy „z Patmos ktoś woła w niepojętym języku”, będzie brzmiał coraz wyraźniej w tej poezji, bowiem jego „niepojętość” staje się tajemnicą ludzkiego bytu.

Cały cykl *Za mostkiem* z tomu *Życiowy wybór* jest opowieścią o zagładzie kuli ziemskiej, o procesie kosmicznym, który, jak wiadomo, musi nastąpić, a ten, kto mówi o nieuchronnym końcu życia planety, nie jest prorokiem. On po prostu przypomina o tym, co musi nastąpić.

[...] Tak przecież się stanie  
po miliardach lat. Słońce zgaśnie, kamienie  
słów wystrzelą w kosmos jak rakiety mierzące  
w cel, którego nie ma.

Poezja metafizyczna, poezja ciemnego światła wyraża się najpełniej w zamykających tom *Życiowy wybór* poematach. W nich rozluźnia się obraz, ścisła logika wyводу – tak wyraźna szczególnie w wierszach lingwistycznych – niezwykle błyskotliwych i precyzyjnych, ustępuje pod naporem wyobraźni.

W poematach łączą się ze sobą historia, rzeczywistość, przecucie, niepokój moralny, jakby cały zgiełk i tumult świata, głosy napierające ze wszystkich stron otaczały i więziły człowieka, a zarazem nie pozwalały schronić się nawet w tym nadmiarze.

Wpleciony w pajęczynę podań, legend, mitów,  
baśni, klechd, dokumentów, masowych  
pieśni, podręczników historii  
gdy wszystko to dzieje się jednocześnie –  
możesz już tylko krzyżeć, nie masz żadnych  
szans.

(*Przygoda w krainie nowej moralności*)

I chociaż trwa w pamięci zamknięty ogród z białym jednorożcem, to przecież „w środku labiryntu zaczyna się nowy labirynt”, śmierć jest wszechwładna



Może tak właśnie wygląda i wybrzmiewa owa „składnia rozkładu”, a ten zapis zająkliwych jęków to unaocznienie unieważnionych praw gramatyki, czyli unieważnienia ludzkiej wspólnoty, która może się porozumieć.

Wśród tego jąkania się, niewypowiedzenia coś jednak daje się stwierdzić, aby natychmiast odbić się od ściany niewiedzy, od tajemnicy.

Równocześnie z *Fluktuacją kwantową* ukazał się jeszcze jeden tom – *Logo Reya*. A tam w poemacie *Wyświecenie* czytamy encyklopedyczny zapis:

7.  
ziemia mieści się w środkowej części  
łuku o promieniu osiemnastu miliardów  
lat świetlnych o zmiennej stałej struktury  
subtelnej i pozostaje między dwiema  
ekstremami stabilna tak długo jak owa  
zmienna stała którą richard feynman  
określił jako jedną z największych  
cholernych tajemnic fizyki pozostanie  
niezmienna wśród być może jedenastu  
wymiarów wszechświata co sprawia  
że życie na naszej planecie jest jeszcze  
możliwe

W zapis definicji (ciekawe ile osób ją rozumie), wkracza język potoczny, a kolokwializm („cholerna tajemnica”) sprowadza nas na Ziemię. To jedno z tych ekstremów, do których odwołuje się traktat Szarugi, umiejętnie balansując między prawami kosmosu a ziemskim, ludzkim bytowaniem między dobrem a złem. Owe przejścia od, nazwijmy je umownie, poetyckich teorii powstawania wszechświata do rozpoznania naszej ludzkiej kondycji zaznaczone są cytatami.

Przytoczone są słowa księdza Michała Hellera, Carla Friedricha von Weizsäckera, Stephena W. Hawkinga, które odnoszą się do badań kosmosu, oraz Theodora W. Adorna, Tadeusza Gadacza, Martina Pollacka, Janusza Różewicza i kilku poetów. Ta druga grupa przywołanych wypowiedzi odnosi się do praw etyki, współczesnej historii, poetyki. Z każdego cytatu wyprowadzane są drogi własnych poszukiwań sensów.

Cytat wiąże logicznie w całość *Fluktuację kwantową*, jest czasami prowokacją albo pretekstem do snucia własnych rozważań. I skoro „wszechświat / milczy jak / przeklęty”, to

33.  
jaki jest świata rodzaj  
jaka jego istota  
tego nie wie fizyka  
o tym mówi poezja  
[...]  
jest język ocalenia  
i jest język zagłady  
przenikają się wzajem  
i nie ma na to rady

W języku Zagłady zapisane są: Auschwitz, wciąż toczące się wojny, jazgot mowy polityków, a nawet bełkot reklam, totalne kłamstwo, gdy „w akceleratorach / rynków przyspiesza / rozpad zasad i praw”.

I ponownie odpowiedzią na pytanie, jak mogło się to stać, jak mogło dojść do Zagłady, jest bezradne odwołanie się do tajemnicy „co się stało / Bóg / wie co”. To jedno zdanie możemy czytać jako potwierdzenie naszej niewiedzy albo potwierdzenie wiedzy Boga. W tym traktacie gra znaczeń jest grą bardzo poważną.

W języku dadaistów zapisana jest beztroska zabawa, dziecięce gaworzenie, słowa i dźwięki sięgające do prapoczątków mowy. One też nie ocaleją, dołączą do zaginionych języków. O tych przepadłych, unicestwionych językach niemal od debiutu, od pierwszych tomów przypominał poeta.

„Nie / będziemy mieć / teorii wszystkiego” mówi Szaruga i jest to jakiś rodzaj pocieszenia, gdyż to przekonanie wypływa jednak z wiary w człowieka – cząstkę elementarną. Bowiem „wszystkie teorie / spaja / człowiek każdy / człowiek / inaczej”. Tajemnica pozostanie tajemnicą, bezradność wciąż się będzie jąkać aż do końca świata, o którym nieustannie przypomina metafizyczna poezja Leszka Szarugi.

## „Po swojej stronie”

– Leszek Szaruga w rozmowie z Piotrem Matywieckim

*Leszku, na początku rozmowy zadaj sobie pytanie, na które najbardziej chcesz odpowiedzieć. I odpowiedz.*

To trudne. Z tego prostego powodu, że najbardziej chciałbym odpowiedzieć na pytania, na które nie znam odpowiedzi. Pytania, na które znam odpowiedź, przestają być pytaniami, chyba że zostaną ponowione, ale wówczas są już pytaniami innymi. Oczywiście każde zadane pytanie zmusza do próby jego odparcia („– Kiedy wracasz? – spytała; – Nie wiem – odparł”), można je wszakże odeprzeć milczeniem, to też jest odpowiedź, a zatem pozwolisz, że te dwa zdania oznajmujące, którymi mnie poczęstowałeś, potraktuję jako pytanie i odpowiem milczeniem.

*Leszku, w nieco staroświeckim rozumieniu z pewnością można ciebie nazwać „człowiekiem słowa”. Uprawiasz słowną twórczość na kilku literackich instrumentach, jesteś poetą, powieściopisarzem, eseistą, krytykiem, tłumaczem, uniwersyteckim dydaktem, bibliografem. Czy w tej tak oszałamiająco różnorodnej działalności dopracowałeś się – rozumowo albo intuicyjne – twój własny pojęcie słowa?*

Jest taki obraz René Magritte’a niesłychanie precyzyjnie przedstawiający fajkę i opatrzony napisem „To nie jest fajka”. Gdy oglądałem go – dawno temu, za młodu, w dość kiepskiej reprodukcji – nie załapałem, o co chodzi. Dziś, oczywiście, wiem: to nie jest fajka, to jest obraz fajki. Wiem też, że pisarz, poeta w szczególności, trudząc się, by „odpowiednie dać rzeczy słowo”, przedstawia te rzeczy po swojemu, może zatem dać tej rzeczy słowo uzgodnione z innymi, nazwać stół stołem, a szybko szybko, może wszakże nazwać ją sobie, jak zechce, ale podejmuje wtedy ryzyko niezrozumienia. W jednym z wierszy opisuję sytuację, o której opowiadała mi mama – że mianowicie pierwszym moim słowem było „bampa”, a stało się od razu zrozumiałe dla innych, gdyż paluszkiem wskazałem lampę. Potem poddany zostałem – jak chyba wszyscy – tresurze: „nie mówi się bampa, mówi się lampa”, „tak się nie mówi”, „tego się nie mówi”,



„o tym się nie mówi”. Język jest efektem negocjacji – niekończących się nigdy: zmieniają się nie tylko słowa (kiedyś był „ten planet”; była „kobéta”: „Jeszcze jedno, będziem kwita, zaraz pięknie moc czartowska. Patrzaj oto jest kobéta...”; nie odmieniano słów „radio”, „studio”), zmieniają się reguły, choćby składni (zarzuciliśmy dawną, łacińską składnię zdań podrzędnych, w których czasownik umiejscawiano na końcu). Ale jest w tym coś jeszcze: powiedziałem pierwsze słowo. Słowo, a nie zdanie. I popatrz: pisał Leśmian o tych, którzy są wyznawcami poezji słowa, i o tych, co są wyznawcami poezji zdania (tu, jak sądzę, miał na myśli przede wszystkim Peipera). Otóż ja wtedy, mówiąc „bampa” – a było chyba to słowo echem tego, co wcześniej słyszałem – podjąłem nieświadomą próbę wykreowania, urodzenia pierwszego kamyka mojego świata, może nawet bólu świata (niemieckie *Weltschmerz*; my mówimy raczej o „bólu istnienia”), by się przekonać, że muszę poddać go obróbce, by ten świat był kompatybilny ze światami innych. Niemniej przypisałem słowo, własne słowo, rzeczy. I tak chyba było na początku, gdy oni, ci najdawniejsi zaczęli mówić: nie mówili zdaniami. Mieli swoje „bampy” i jakieś takie inne słowa. Zdarzają się wciąż takie słowne eksplozje-eksperymenty. Warszawska gazeta w 1918 roku donosiła, że na miasto zrzucono z aeroplanu buchadła – nie przyjęło się, a szkoda chyba. W stanie wojennym ktoś napisał „junta juje”, pomysł fajny, ale jeszcze dziwniejszy się robi wtedy, gdy odczytać owo „juje” czasownikowo: jujić, jujać? Potworne ilości słów umarły, jeszcze potworniejsze czekają na narodzenie. Wystarczy sięgnąć do Leca: „Szekspiranci”, „peryfeerie”, „Błogosławianie” i tak dalej – całe stado słów do wzięcia. Jedne się zagnieżdżają, inne obumierają, chyba są jakieś takie martwe odnogi słów, jak martwe gałęzie ewolucji. Z drugiej jednak strony to, co umarłe, żyje: w naszych słowach są echa, wybrzmienia słów umarłych przed tysiącami lat. Słowo dziś jest swego rodzaju palimpsestem. Jest czymś w istocie tajemniczym, magicznym. Ta magiczność pojawia się wtedy, kiedy „moje” słowo wchodzi w interakcję ze słowem kogoś innego, a musi w nią wejść, bo ono nigdy nie jest dla mnie, lecz tworzy relację z drugim człowiekiem. Słowo jest do-słowne, spotyka się z innym słowem, dialoguje. I tu dochodzi do dziwnych iskrzeń: jeśli „moje” słowo „słońce” (rodzaju nijakiego) spotyka się z „jego” słowem *die Sonne* (rodzaju żeńskiego), wówczas w niektórych zakresach znaczeniowych trudno je na siebie nałożyć, wyjaśnić, wytłumaczyć: niemiecki wiersz miłosny, w którym kobieta jest symbolizowana przez słońce, nie da się przełożyć na polski. Słońce ma – od chwili, gdy pojawiła się ludzka mowa – tysiące „odpowiednich słów”. Być może właśnie tyle jest słońc w tym słońcu.

*A co myślisz o takim oto poetycko-językoznawczym koncepcie: w każdym słowie jest zawarte zdanie. Kiedy człowiek w prehistorii mówi „drzewo”, to jakby powiedział: „Zobacz, oto tutaj stoi drzewo”. Czy nie jest tak, że w wierszu jakby „pod” zwyczajnymi zdaniami każde słowo sugeruje zdanie własne? I że to powoduje nieograniczoną eksplozję znaczeń?*

To chyba bardziej skomplikowane. On mówił „drzewo”, drugi mówił jakoś inaczej, niekoniecznie powtarzał, lecz chodziło mu o to samo. To otwierało przestrzeń negocjacji, które mogły się skończyć wersją tego pierwszego (pewnie się okładali kłonicami czy innymi maczugami). Słowo nie jest ludzkie, lecz międzyludzkie, inaczej nie istnieje. Do zdania dochodziliśmy powoli i może to wcale nie jest jedyne rozwiązanie, wszak zdarzają się wiersze, w których doszukać się zdania trudno lub wręcz nie sposób, lecz na ogół nie mamy wątpliwości, że to wiersze, tak, jak nie mamy wątpliwości, że sztuka niefiguracywna jest sztuką. Pojedyncze słowo, gdyby tylko ono istniało, musiałoby być podmiotem i orzeczeniem jednocześnie – w tym naszym rozumieniu, jakie teraz mamy. W deklaracji *Słowo jako takie* Chlebnikow i Kruczonych piszą: „W 1908 roku powstał *Sadzyk sędziów I*. Część utworów trafiła do *Sadzyka*, a część do *Studia impresjonistów*. W obu almanachach W. Chlebnikow, Burlukowie, S. Miasojedow i inni wytyczyli nową drogę sztuki: słowo rozwijało się jako takie. Od tej chwili utwór mógł składać się z *jednego słowa*”. Takimi utworami są choćby aforystyczne neologizmy Leca, takie utwory odnaleźć można w kręgu poezji konkretnej, choćby instalacja ze słowa „między” Stanisława Drózdza. A co do tego sugerowania przez słowo „zdania własnego”, to tak, zgadzam się, to zresztą jest poniekąd oczywiste, skoro jest tak wiele interpretacji jednego i tego samego utworu, skoro jest też wiele tłumaczeń jednego i tego samego wiersza, od Biblii, by tylko ten przykład przywołać, poczynając. Ale wydaje mi się, że nie ma tu dowolności bądź samowoli i że pole znaczeniowe słowa jest jak wszechświat – nieograniczone, ale skończone. I ważny jest jeszcze kontekst słowa, jaki stanowi cisza, o której wiemy wciąż zbyt mało.

*Jeden z twoich tomów poezji poprzedziłeś rodzajem credo. Napisałeś tam: „Poezja jest poznaniem językowym, które sięga poniżej progu naszej świadomości, w przed-świadomość oraz poza naszą świadomość, w jakieś »po«. Inaczej: z jednej strony przedostaje się poezja w świat poprzedzający świadome posługiwanie się mową (może nawet w przestrzeń przedmowną), z drugiej określa kontury świata istniejącego już po rozplynięciu się naszej indywidualnej świadomości”.*

*Czy to, co jest poza granicami mowy, „przed-świadomość” i „rozpłynięcie się indywidualnej świadomości”, jest dla ciebie poznawczym tabu, czy przeciwnie, stanowi wyzwanie, impuls pisarski?*

Chyba nie mam żadnych tabu, nie znam tego rodzaju lęków. To, co określam jako przed-świadomość, jest sięgnięciem w głąb, w przedistnienie, w to, co mnie poprzedza, a co jest doświadczeniem potencjalności bytu: takie doświadczenie według mnie istnieje, choć nie umiałbym dlań znaleźć jakiegoś konkretyzującego je obrazu. Jeśli mówię o „naszej” przed-świadomości, to myślę o człowieczym dosięganiu istnienia w formach ewolucyjnie nas poprzedzających – tam już to się jakoś kształtowało, wchodziło czasem w ślepe uliczki, ale główny ciąg trwa. W jednym z utworów mówię o tym słowem „istnieNie”. IstnieNie to jest bycie przed i bycie po: to bycie po jest w innych, niekoniecznie w biologicznych, potomkach, w zbiorowym, kosmicznym (jesteśmy kosmitami) ciągu dalszym. Istnienie to jest ten fragment bytowania, który znajduje wyraz w języku, zaś przed i po jest zapewne inne, może niezmysłowe lub doświadczane innymi, nam nieznanymi zmysłami, albo czulszymi: wiemy przecież, że zwierzęta widzą i słyszą inaczej niż człowiek – bodaj w *Doktorze Faustusie* bohater konstruuje dla psa gwizdek wydający tony wyższe niż te, które rejestruje ludzkie ucho; sporo też tu próbuje możliwości literatura fantastycznonaukowa. Tak czy inaczej, wierzę w Całość, której jestem częścią. Nie wierzę natomiast w celowość, czuję, że jestem przypadkiem i że przypadkowość jest zasadą bytu, przy czym przypadek to dla mnie niekonieczność: wiele potencjalnych bytów się nie „przedarło” do istnienia. Tu jestem w sporze czy raczej odbieram sceptycznie to, co – fantastycznie interesująco – pisze na ten temat Michał Heller w swej *Filozofii przypadku*. Lecz ta przypadkowość mnie fascynuje i jest – tak! – wyzwaniem, także pisarskim. To uruchamia wyobraźnię, również językową.

*Czy przypadkowość jest dla ciebie przeciwieństwem losu, czy jego synonimem? Czy dzisiaj kategoria losu coś znaczy? Kiedyś była niebywale ważna – choćby dla Adama Ważyka, dla Wiktora Woroszylskiego.*

Ani to, ani to. Ani przeciwieństwo, ani synonim. Jeżeli się wierzy w celowość, w teleologiczny bieg zdarzeń, jak u Hegla, u którego cały rozwój dąży do spełnienia się w Absolucie, wówczas los jest koniecznością, nie ma zmiłuj. Jeśli się to odrzuca, wtedy los jest przypadkiem. W pierwszym spojrzeniu przyjmuje

się, że cokolwiek się dzieje, dzieje się, jak to mawiali marksiści, z nieuniknioną koniecznością dziejową, w drugim zaś nie wiemy, dlaczego tak się wydarza i ku czemu wiedzy. I ta druga sytuacja jest poznawczo bardziej dynamiczna, pozwala tworzyć domy słów – domysłów jako hipotez, których nie da się sprawdzić. To się wiąże z ryzykiem, lecz jest to ryzyko niedające się kalkulować, a idzie przecież o wszystko. Te domy słów mogą się rozpaść jak domki z kart. Ale podjęcie ryzyka daje poczucie wolności. Oczywiście – im więcej wolności, tym mniejsze poczucie bezpieczeństwa. Taki los.

*Nieustannie, szczególnie w poezji i eseistyce, badasz funkcje mowy i prowokujesz ją aż do granic niewyraźności. W tym samym credo napisałeś: „Poezja jest pracą w języku, jest jego przekształceniem, modelowaniem. Pozwala wykorzystać wszystkie fazy kształtowania mowy (tak częste przecież wiersze posługujące się językiem dziecinny) aż po kres własnych możliwości. Poezja jest więc ciągłym poszerzaniem obrazu tego, co możemy nazwać świadomością zarówno indywidualną, jak i zbiorową”.*

Poeta może napisać takie zdanie: „Drzwi się”. Coś się drzwi. Podlega drzwieniu. Czasem na oścież: „Drzwi się na oścież”. Używam tu rzeczownika w funkcji czasownika. Nie wpadłbym na to, gdyby nie niemiecki. Tam słowo *essen* (bez rodzajnika, ale małą literą, co w poezji jest już zwyczajne, choć rzeczownik niemiecki „poprawnie” pisany jest wielką literą) może znaczyć „jedzenie”, „jeść” lub „jemy” albo nawet „Państwo jedzą”. Gdy to spostrzegłem – w wierszach Augusta Stramma, niemal zapomnianego dziś ekspresjonisty, który zginął w 1915 roku na froncie wschodnim, zostawił po sobie niewiele ponad tomik wierszy – bardzo mnie to „nakręciło”. Pomyślałem, że może coś się da w ten sposób powiedzieć. Sam nie do końca wiem co, ale przecież język wyprzedza często świadomość, ma dla niej formy dotąd nieużywane – takie nowe formy to często odpowiednik równań matematycznych, które w chwili powstania „nie służą do niczego”, ale potem okazują się nagle przydatne, bo mają zastosowanie na przykład w opóźnionych w stosunku do nich odkryciach fizyki kwantowej. Bodaj w *Summa technologiae* opisuje Lem matematykę jako krawca, który szyje dla wszelkich, nawet nieznanych form istnienia. Coś takiego, sądzę, dzieje się też w poezji, w literaturze. Język prowadzi w obszary nieznanne, niewyobrażone nawet. Potrafi zaskakiwać, ale trzeba mu dać szansę, czasem na granicy zrozumiałości. Albo nawet ją przekraczając. I ja wiem, że to gra niepozabawiona ryzyka, ale ryzykuję na własny rachunek. W dodatku

lubię to ryzyko, przede wszystkim za to, że pozwala mi się wyrwać z tej językowej tresury z dzieciństwa, a to daje szansę wyjścia poza to, co znane. Niektórzy tego nie rozumieją i bełkoczą coś o nic nieznaczących kombinacjach językowych, o tym, że skupianie się na języku zabija poezję i nie pozwala kultywować wartości, że to zabawa dla zabawy. Ale ja sądzę, że takie „eksperymenty” (w cudzysłowie przecież) to zajmowanie się człowiekiem: zajmując się językiem, człowiekiem się zajmuję, jego kondycją, zarówno poznawczą, jak moralną. Człowiek istnieje tylko w wystawianiu się: wystawia się w słowie, wystawia swe człowieczeństwo, sławi je, słowi. Przynajmniej po polsku można tak powiedzieć.

*Czy nie zdaje ci się, że poezja wyczerpała już swoje „chwyty” wypróbujące mowę i pozostaje jej zadanie być może jeszcze ambitniejsze – nie tyle eksperyment, co filozofowanie na swój temat?*

„Chwyty” w poezji to jest jeden ze sposobów jej filozofowania: nie tylko zresztą na swój temat. Filozofowanie ogarnia całość: wychodząc od szczegółu, przechodzi do ogólnego. Filozofowanie o poezji to także filozofowanie o człowieku i o kosmosie. A co do eksperymentu – poezja sama w sobie jest eksperymentem. Eksperymentem niezwykle udanym była polszczyzna wierszy Kochanowskiego, eksperymentem był poetycki barok, eksperymentem są *Król-Duch* czy *Beniowski* Słowackiego, eksperymentem są wiersze Leśmiana. Tak sobie myślę, że te historycznoliterackie „epoki” – skądinąd pozytywne w szkole – są często mylące, prowadzą na manowce. Takie pojęcie jak „awangarda” mogłoby świadczyć, że wtedy właśnie dobrano się do „eksperymentowania”. Ale poeci od zawsze – nie wszyscy oczywiście, ale nie każdy fizyk jest Einsteinem – poszukiwali „innego języka” i tym samym musieli „eksperymentować” z tym, co otrzymali, z językiem danym, czasem, jak Joyce, z kilkoma językami naraz. Böhme poszukiwał utraconego *lingua adamica*, Chlebnikow „języka będziańskiego” przyszłości. Ostatecznie jest to swoiste dochodzenie do siebie, do człowieka w sobie. Wiem, że to utrudnia „komunikatywność” i drażni tych, którzy sądzą, że Mickiewicz był prostszy. Ale oni się mylą: nie przypadkiem właśnie w *Zdaniach i uwagach* pojawiają się jego przekłady z Böhme. I nie przypadkiem wciąż się na nowo tego Mickiewicza odczytuje. Co nie znaczy, że poezja nie ma mówić, jak chcieli tego i Miłosz, i Różewicz, „językiem ludzkim” – tyle, że każdy z nich rozumiał to pojęcie nieco odmiennie, kiedyś zresztą o tym pisałem. Rzecz w tym, że poezja funkcjonuje w dwóch

sferach jednocześnie: z jednej strony jest „dla siebie”, z drugiej – „dla ludzi”. W tym drugim przypadku ma dawać komunikaty dotyczące wspólnego położenia, szczególnie wówczas, gdy wspólnota, w której ta poezja powstaje, znajduje się w opresji. To są wiersze określane mianem tyrtejskich, obywatelskich. Wydawałoby się, że tu nie ma miejsca na „eksperyment”. Ale nie – jest i znajduje on zrozumienie. W czasie „festiwalu Solidarności” 1980–1981 wychodziło mnóstwo związkowych biuletynów, redagowanych przez ludzi na co dzień niewiele na ogół mających wspólnego z literaturą. Gdy się je przegląda, zadziwia liczba przedruków wierszy „lingwistycznych”, podobno „trudnych”, przede wszystkim Barańczaka i Krynickiego.

*Wydaje mi się, że w czasie, o którym mówisz, poeci mieli dwojakiego rodzaju poczucie obowiązku wobec mowy publicznej. Jedni ją prowokowali, czasem nawet obrażali, zadawali jej rany, żeby wytrącać ją z inercji i wskazywać, gdzie jest kłamliwa. Inni chcieli mowę oczyszczać, wprowadzając w obieg pojęcia proste i wiarygodne. Po której byłeś stronie? Pamiętam, że twoje ówczesne wiersze były i jednego, i drugiego rodzaju.*

Byłem po swojej stronie. Ale byłem też rozdarty. Pierwsza postawa była mi bliska – i jest dziś chyba dominująca – ze względu na jej na swój sposób „zabawowy” charakter, ze względu na potrzebę gry i także dlatego, że eliminuje patos, taką postawę pisarską, która czyni z poety raczej kapłana niż błazna, by przywołać trafne rozpoznanie z tytułu eseju Kołakowskiego. Druga odpowiadała na oczekiwania – wówczas żywe i silne – czytającej publiczności, która pragnęła „wielkich słów”, ale zarazem prostoty, jasnej komunikatywności, nazywania rzeczy po imieniu. Zresztą sam też tego wtedy potrzebowałem, a „prosty język” (czasem nie taki prosty, jak może się wydawać) pozwalał odnaleźć się we wspólnocie oporu wobec ewidentnego zła. Tyle, że artysta chyba musi być, jeśli ma zostać wierny sobie samemu, skazany na samotność, a tamten czas był czasem wspólnoty nawet tych ludzi, którzy w normalnych warunkach skaczą sobie do oczu, a w każdym razie niewiele chcą mieć ze sobą do czynienia. Odczuwałem sztuczność tej sytuacji, a jednocześnie uważałem, w tym czarno-białym świecie, że warto tę sztuczność podtrzymywać, gdyż bez niej to się wszystko rozpadnie. Ta wspólnota była wielką wartością, którą należało chronić, podtrzymywać. Do tego celu warto było używać różnych środków – co nie znaczy, że wszelkich. Jedną z granic wyznacza poetyka socrealistyczna, z jej apologią przemocy. Dla poety jako poety – tak jak ja to czuję

– po drugiej stronie też są, choć źli i podli, to jednak ludzie. Ale, rzecz jasna, nie brak wierszotwórców, którzy kuszą wizją wieszania.

*Najczęściej tłumaczysz z niemieckiego. Jak widzisz różnice i podobieństwa obu literatur w ostatnich czasach?*

Nie sądzę, by się to dało porównywać. I nie chciałbym uogólniać, mam za bardzo wyrywkowe spojrzenie – interesują mnie tylko poszczególni autorzy, właściwie wyłącznie poeci, a to zawsze indywidualiści i jako tacy właśnie mnie zajmują. Ostatnio zresztą skupiam się na ekspresjonistach, a to już poezja sprzed stu lat. Ale bez wątplenia literatura niemiecka jest bardziej niż polska „literacka”, silnie zwrócona ku tradycji raczej filozoficznej niż obywatelskiej. Co nie znaczy, że nie da się wyodrębnić konstelacji utworów zajętych kwestią niemieckiej tożsamości, odkrywaniem „białych plam” w niemieckiej narracji powojennej – Sebalda *Wojna powietrzna i literatura*, Grassa *Idąc rakiem*, natychmiast zresztą u nas odczytane jako próba „wybielania” historii i czynienia Niemców ofiarami, a nie sprawcami zbrodni. Warto pewnie zwrócić uwagę na eseistykę i prozę, podnoszące kwestię zjednoczenia Niemiec, dla wielu była to operacja szokowa. Ale tego nie śledzę. Cały czas można, nawet u młodych pisarzy, odnaleźć nurt wyznaczony przez uwagę Adorna mówiącą, że pisanie wierszy po Auschwitz byłoby barbarzyństwem, ale na pewno nie jest to nurt dominujący. Lecz powtórzę, nie chcę się silić na jakieś sądy ogólne. Tłumaczę przede wszystkim „swoich”, tych, którzy stawiają mi wymagania w polszczyźnie. Nie jestem zresztą tłumaczem w profesjonalnym tego słowa znaczeniu, czynię to *con amore* i przede wszystkim dla siebie. Podobnie dzieje się w przypadku poetów rosyjskich.

*Jesteś osobą „od zawsze” zdomowioną w życiu literackim. Czym ono jest dzisiaj?*

Ba!, jak powiadają politycy: to bardzo dobre pytanie. I zresztą w dużej mierze polityczne. Nie przypominam sobie, by środowisko pisarskie było wcześniej aż tak ostro podzielone, jak jest dzisiaj. I nie chodzi mi o zaszłości z okresu stanu wojennego – te podziały jakby się powoli zacierają, choćby dla naturalnych przyczyn, w końcu minęło ćwierć wieku. Natomiast bez wątplenia widać nowy, ukształtowany w ciągu ostatniego dziesięciolecia rozbrat między, że tak to określe, pisarzami skupionymi na „obronie” wartości narodowych jakoby zagrożonych przez liberalizm i to, co jeszcze komuniści, którzy

przecież, podobnie jak naziści, byli konserwatywni – paradoks historii! – określali jako miazmaty zgniłego Zachodu, gender, feminizm, inność i tak dalej, a tymi, których można nazwać ludźmi otwartymi na zmianę, także w sferze tożsamościowej. Z jednej więc strony konserwatyzm, który, jak w przypadku Rymkiewicza, obejmuje także kwestie formalne, jak choćby obronę śpiewności poezji, a kładzie nacisk na zachowanie zagrożonej w ich mniemaniu polskości, która, nie daj Bóg, mogłaby się roztopić w zeświecczonej, odartej z *sacrum* i zdominowanej przez *mainstream* niepolskości, z drugiej zaś pojmowanie kwestii tożsamościowych jako siłą rzeczy podlegających zmianie i gotowości czerpania z doświadczeń innych, „obcych”, szanowanie wielości światopoglądowej. W pierwszym przypadku sprawą najistotniejszą jest zakorzenienie w przeszłości, przy czym winna być to przeszłość właściwa, raczej Rymkiewiczowski „nasz powiat” Mickiewicza niż Polska Kochanowskiego, w drugim zaś wychylenie ku przyszłości, która z natury rzeczy jest zagadką i niesie z sobą ryzyko. To groźny podział i chyba obecnie nieusuwalny, raczej będzie się pogłębiał. Z mojej wiedzy dotyczącej historii życia literackiego wynika, że to podział dużo silniejszy niż ten, z którym mieliśmy do czynienia w stalinizmie, gdyż, mimo że wówczas spory tłumiała cenzura, nie dochodziło do tak ostrych wykluczeń towarzyskich. Przy czym brak tu jakiegokolwiek dialogu – obie „strony” funkcjonują w odrębnych, izolowanych od siebie obiegach wydawniczych i medialnych, mają własne instytucje literackie, własne nagrody, „nie widzą” tych, którzy myślą inaczej, nie dyskutują z nimi, co najwyżej ośmieszają ich lub obrzucają epitetami. Na to wszystko nakłada się całkowita zmiana – czy to w porównaniu z dwudziestoleciem międzywojennym, czy w odniesieniu do czasów peerelii – miejsca literatury w życiu publicznym: pisarstwo stało się i chyba stać się w warunkach rynkowych i dominacji kultury masowej musi zjawiskiem niszowym. Pisał o tym Miłosz w szkicu *Życie na wyspach*. Wystarczy porównać miejsce, jakie ma literatura w dzisiejszych środkach masowego przekazu – w prasie, radiu, telewizji – z tym, co było przed trzydziestu jeszcze laty: wydzielane są „kącki kulturalne”, recenzje zredukowane do not reklamowych, eseistyka wyrugowana całkowicie. Ale to zjawisko nie jest tylko polską przypadłością, tak się dzieje w całej Europie czy w Stanach – to żywioł.

*Masz bardzo wyraziste doświadczenia pokoleniowe związane z opozycją demokratyczną końca komunizmu. Uczuliło to ciebie na wszystkie przejawy etyki w życiu publicznym i na odstępstwa od niej. Jak te dawne doświadczenia ciebie ukształtowały i co dzisiaj w tych kwestiach jest dla ciebie najważniejsze?*



Opozycja to przeszłość – było, minęło i dobrze, nie ma się czym nasładzać. I nie sądzę, by akurat opozycyjność uczuliła mnie na kwestie etyczne – to raczej to uczulenie pchnęło mnie do tej działalności. A wzięło się z domu i z kontaktu – często zapośredniczonego przez lektury – z ludźmi takim wartościom wiernymi, bywało, że z takimi, którym zdarzyło się w młodości pobłądzić, ale którzy to negatywne doświadczenie potrafili spożytkować z korzyścią dla takich ludzi jak ja, lecz również z tymi „niezlomnymi z Londynu”, którzy jednak nie mieli w zwyczaju sami siebie tak określać. Myślę, że dotyczy to całej formacji nowofalowej, choć przecież spotykaliśmy się, przychodząc z różnych stron. Bez wątplenia kwestie etyczne były fundamentem „programu” Nowej Fali, bo przecież nie wspólna poetyka, której trudno by było się doszukać. Zresztą dobrze to pochwycił Barańczak w koniunkcji tytułowej tomu szkiców *Etyka i poetyka*. I to odniesienie jest nadal dla mnie fundamentalne, choć nie należę do ludzi skłonnych do inkwizycyjnych osądzeń innych, wierzę raczej w przyrodzone dobro niż zło w człowieku, każdego gotów jestem wysłuchać i każdego traktuję indywidualnie, a nie jako reprezentanta czegokolwiek. Ludzie bywają słabi – tego nauczył mnie czas opozycji – i warto tę ludzką słabość zrozumieć. Nie ma też we mnie pragnienia zemsty czy rozliczeń – oczywiście wtedy, gdy nie wchodzi w grę ewidentne przestępstwo czy zbrodnia, ale to kwestia prawa. Natomiast pragnąłbym, by w życiu publicznym obowiązywały wartości moralne, ewangeliczne. Wiem jednak, że to utopia, aż tak naiwny nie jestem.

*Czy miałeś poetyckich mistrzów? Czy masz ich teraz?*

W różnych okresach różnych. Od początku do dziś wierny zostają Różewiczowi, trochę jednak polemicznie, ale wracam do czytania, ciągle znajduję w tych samych utworach inne zachwyty. Są wielcy z dalekiej przeszłości: Owidiusz, Horacy (ich od biedy mogę sam czytać w oryginale dzięki sześciu latom łaciny w szkole, ale wspomagam się przekładami). Z naszych – Kochanowski, Sęp, Słowacki, mniej Norwid, ale też Leśmian, Czechowicz – taka linia poezji intelektualnej, w moim pojęciu prowadząca do neoawangardy. Z obcych Hölderlin, Rilke, ekspresjoniści niemieccy (nie wszyscy), z powojennych Celan; rosyjscy kubofuturyści – Chlebnikow, Kruczonych, także Achmatowa. To ci, których mogę znać w oryginale. Inni: Kawafis (w przekładach Kubiaka), Pessoa, Eliot, Auden, Holub, Paz, Borges – wielu „mistrzów”, do których lubię wracać, od których coś zawsze dostaję, nie sposób wszystkich wymienić. Ale też nigdy nie pociągało mnie

„pisanie jak oni”, pociągało mnie ich przyciąganie, którego naturę nie zawsze rozumiem. Zawsze lubiłem się uczyć, ale nie znosiłem „chodzenia do szkoły”. A teraz? Chyba nie szukam mistrzów, nie mam takiej potrzeby. Cieszę się – pozostał przy współczesnej poezji rodzimej – gdy wyławiam zachwyty Białoszewskim, Szymborską, dzięki Miłoszowi Świrszczyńską, Czyczem, Miłobędzką. Czasem poruszy mnie czyjś jeden wiersz lub tom (jak ostatnie tomy Mariańskiej czy Mandaliana), choć reszta pozostawia obojętnym. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że w tych „moich” poezjach mieszkają inne, wcześniejsze poezje, że to wszystko tworzy przestrzeń mojego poetyckiego świata, który chciałbym widzieć wielogłosowy. Bo nie wiem, dlaczego równie wysoko cenię sobie Mozarta i mistrzów bluesa – to sobie przecież nie musi przeczyć. Podobnie jak zestaw Bosch, de la Tour, Chagall i Kokoschka lub Klee.

*Twoi rodzice, Witold Wirpsza i Maria Kurecka, byli znakomitymi pisarzami. W jakim stopniu i w jakich zakresach czujesz się spadkobiercą ich sztuki?*

To z kolei pytanie trudne. Po pierwsze – bardzo się staram dystansować wobec ocen twórczości rodziców, są mi zbyt bliscy, w poezji ojca słyszę jego głos z naszych rozmów, to wszystko jest bardzo intymne. Starłem się od początku – dlatego wziąłem pseudonim – nie pozostawać w cieniu ojca, nie być do końca życia „młodym Wirpszą”. W dodatku moje pierwsze wybory drogi życiowej były dość dalekie od literatury, studiowałem filozofię, chciałem się specjalizować w logice i gdyby nie bieg wypadków w roku 1968, prawdopodobnie nie byłbym się literaturą zajmował. Gdy jednak do tego doszło, przez wiele lat programowo nie czytałem wierszy ojca, bałem się uzależnienia, może to rodzaj tego, co Harold Bloom nazywa „lękiem przed wpływem”. Chciałem, jak się to mówi, wybić się na niepodległość, co chyba w jakiejś mierze mi się udało. Nie znaczy to jednak, że owego wpływu – pośredniego – nie było: przez klimat życia, mimowolne uczestnictwo w biegu spraw literackich, przez podsuwane przez rodziców lektury, przez to, że raczej Słowacki niż Mickiewicz, że warto zajrzeć do wierszy Tytusa Czyżewskiego i przeczytać *Pożegnanie jesieni*. W końcu przez to, czego oni byli spadkobiercami. O literaturze mało rozmawialiśmy, bo kiedy byli w kraju, mnie to specjalnie nie kręciło, a gdy wyemigrowali, praktyczne nie miałem z nimi dłuższego kontaktu, zawsze wyrwane tygodnie, gdy dawali paszport, a wtedy, choć oczywiście już wsiąknęłam w literaturę, było wiele innych, poważniejszych na owe czasy spraw. Zresztą, na szczęście, rodzice ze mną o moim pisaniu nie rozmawiali, nie musieli.

*Leszku, na koniec rozmowy zadaj sobie pytanie, na które nie potrafisz odpowiedzieć. To wcale nie będzie koniec, to może być początek, czyli wiersz...*

Mówi się potocznie, że ktoś przyszedł „przed czasem”, co rozumiemy jako jego pojawienie się w umówionym miejscu wcześniej, niż to było uzgodnione. Ale można ów zwrot potraktować dosłownie, a wówczas pytanie, jakie można sformułować, brzmiałoby: Co było przed czasem? W racjonalnym podejściu doń trzeba by uznać, że jest to pytanie bezsensowne: „przed” czasem nie było wszak czasu, określenie „przed” zakłada, że przed czasem był jakiś czas, co zdaje się być absurdem. Czas, jak się sądzi, powstał jako wymiar naszego wszechświata w efekcie Wielkiego Wybuchu, a zatem mówienie o czasie poprzedzającym to zjawisko jest bez sensu tym bardziej, że możemy sobie pomyśleć – co właśnie czynię – wszechświat tego wymiaru pozbawiony. Takie myślenie nie jest, o ile się orientuję, pozbawione podstaw racjonalnych, ma, zdaje mi się, swe ugruntowanie w poszukiwaniach fizyki teoretycznej i kosmologii. W związku z tym uważam za uprawnione – byłoby uprawnione i bez tego ugruntowania – pytanie następujące: Czym jest istnienie wszechświata pozbawionego wymiaru czasu? Nie ma czasu. I co jest? Poezja? Pewnie tak, bo przecież na szczęście nie jesteśmy w tej przestrzeni skazani na jedynie racjonalne podejście. Wszechświat pozbawiony wymiaru czasu jest wciąż jeszcze nie istniejącym, lecz potencjalnie obecnym wierszem.

## AUGUST STRAMM

w przekładzie Leszka Szarugi

### Jazda

Gałęzie sięgają mych oczu  
Wirują wzdłuż biel i lila czerń i żółć  
Krwista czerwień oblepia lęklive widzenie  
Pełnie kleiście wzwyż do skurczu w przegubach!  
Z drogi przede mną zrywa kawał nieba!  
Brzmi przeraźliwy krzyk dziecka!  
Ziemia szaleje, rozkołysuje w ucieczce siebie  
Mnie i moje zwierzę  
Moje zwierzę i mnie  
Zwierz mnie!

### Przedwiośnie

Wzdęte chmury w kałużach polują na siebie  
Ze świeżych roztopów wrzeszczą żdźbła strumieni  
Cienie stają wyczerpane.  
Powietrze wrzeszczy  
W krąg, dmie i wyje i toczy się  
Zarysowania zaś nagle tną  
I zablizniają  
Na szarym ciełe.  
W dół ciężko człapie milczenie  
I cięży!  
Rozwija się światło  
Nagle żółte i pęka  
I bryzgają plamy –  
Blakną  
I  
Wzdęte chmury w obłokach swawolą

# Burza

Czerń szczyrzy się w bieli  
Niebiesko drgające opary żółtym gradem patrzą.  
Jasność rosą  
Na ziemi miga  
Wściekłość  
Kamieniejąc  
Zamyka.  
Głuptak noc rozdrapuje.  
Mary się wykrwawiają.  
Siny wyciąg  
Drży naprężony  
Uderza  
Wznosi się  
Pięści zaciska  
Twarde ostre krawędzie  
Rozdzwonionych chmur  
Błyskają lękami  
Stają i ciągną się  
Gardło chwyta  
I zadławia  
Za nim rwąc się  
I wgryzając  
W  
Tą  
Pustkę!  
Oczy  
Mgłą zachodzą łkają!  
Łzy  
Falują  
Toczą  
Rwą!  
Światła  
Wzwyż ku łukom  
Strzelają!  
Ostrza

Wzbijają  
Wolne  
Mocne  
Tony zwycięskiego słońca.

---

August Stramm (1874–1915) to jeden z niesłusznie mniej znanych, także i w Niemczech, twórców ekspresjonizmu. Poeta i dramaturg, pozostawił po sobie niezbyt imponujący ilościowo dorobek twórczy, wszakże, jeśli zważyć jego znaczenie, jest to wśród ekspresjonistów pisarz najbardziej konsekwentny i odważny, niestroniący od daleko idących eksperymentów językowych. Zepchnięty w cień przez Georga Trakla i Gottfrieda Bennę, wart jest przypomnienia choćby ze względu na zamkniętą w jego utworach energię kreacyjną.

L.S.

## RENATA GORCZYŃSKA

### Pani Helena z „Jedynki”

Poruszył mnie w ostatnim numerze „Kwartalnika Artystycznego” fragment książki Antoniego Libery poświęconej jego rodzicom, Helenie i Zdzisławowi. Tak się składa, że oboje odegrali znaczącą rolę w mojej młodości. Wspominam ich z wdzięcznością. Gdybym miała jednym epitetem określić ich wspólną cechę, napisałabym po prostu „szlachetność ducha”. Mogłam się jedynie domyślać, jak dramatyczne losy były ich udziałem w czasie okupacji. Teraz opanowana w słowach relacja ich syna uświadomiła mi je w pełni.

Wychowałam się na Żoliborzu. Jedyną szkołą, która chciała przyjąć do pierwszej klasy biegle czytającą pięciolatkę, była tak zwana „Jedynka”, wtedy Szkoła Ogólnokształcąca RTPD [Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci] nr 1 imienia Bolesława Limanowskiego przy ulicy Felińskiego 15, istniejąca pod tym adresem od września 1945 roku. Miałam już cały ekwipunek uczennicy: czarny fartuszek z białym kołnierzykiem, worek na kaptcie, zielony tornister z płótna oraz podręczniki, które niecierpliwie kartkowałam. Z *Elementarza* Falskiego w brudnoniebieskiej okładce zdążyłam już wtedy wyrosnąć. Wychodząc od ciotki-fotografki, która zrobiła mi zdjęcie do legitymacji szkolnej, straciłam przytomność na ulicy. I w ten sposób spędziłam tamten rok nie w upragnionej klasie, lecz w szpitalach i w domu, przykuta do łóżka, co dało mi okazję do dalszych lektur. Czytałam wszystko, co wpadło mi w ręce. Do szpitali zabierałam mój talizman – *Klechdy sezamowe* Leśmiana, ale z moją pierwszą wychowawczynią, panią Kubiak, usiłowałam w wieku lat siedmiu wymienić opinie na temat powieści Hansa Fallady *Każdy umiera w samotności*. Wyraziła zdumienie, że rodzice pozwalają mi sięgać po swoje książki. Do głowy mi nie przychodziło, żeby pytać o pozwolenie.

Nasza szkoła, zwana wtedy pierwszą szkołą RTPD w Polsce (z jej nazwy wkrótce usunięto nazwisko patrona, socjologa i współtwórcy Polskiej Partii Socjalistycznej i piłsudczyka, zajmującego ważne stanowiska państwowe w dwudziestoleciu, autora rozprawy *Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość*), składała się z dwóch rodzajów nauczycieli. Ci pierwsi, żoliborscy społecznicy i pepeesowcy, jak się dowiedziałam sporo lat później, należeli do pierwotnego zespołu pedagogów. Założona w 1935 roku szkoła, z początku podstawowa, przekształcona

wkrótce w gimnazjum, była pierwszą szkołą świecką na Starym Żoliborzu i zapewniała nie tylko wykształcenie ogólne, lecz także przygotowywała uczniów do pracy zawodowej. W jej podziemiach do moich czasów funkcjonowały niezłe wyposażone w jakieś frezarki czy tokarki warsztaty, obowiązujące w podstawówce. Były dostępne tylko dla chłopców, bo dziewczęta ćwiczone w zniechęconych przeze mnie robótkach ręcznych. Czyli mimo postępowych haseł obowiązywał niemal dziewiętnastowieczny podział pracy wedle płci. Dziwne, bo z plakatów patrzyły na nas wtedy dziarskie traktorzystki, a sławetna Lodzia-milicjantka kierowała ruchem na skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi.

Do wybuchu wojny szkole dyrektorował jej współzałożyciel, Jerzy Kreczmar, nadzwyczaj interesująca postać wybitnego rodu pedagogów, artystów i intelektualistów. Syn założyciela pierwszego w zaborze rosyjskim gimnazjum z polskim językiem wykładowym brał udział jako ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej, potem uzyskał doktorat na podstawie rozprawy *O przemożnym znaczeniu wyrazów*; tytuł na tyle frapujący, że chętnie bym ją dziś przeczytała. Następnie ukończył studia reżyserskie w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej u Leona Schillera. W 1939 roku brał udział w kampanii wrześniowej. Nie miałam okazji go poznać, bo po wojnie już do szkolnictwa nie wrócił, a do 1950 roku wykładał filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. W dojrzałym wieku poświęcił się niemal całkowicie pracy teatralnej, wyreżyserował około siedemdziesięciu przedstawień. Jego brata, Jana Kreczmara, miałam możliwość oglądać po raz pierwszy na scenie w roli Horsztyńskiego w *Mazepie*, notabene dzięki wycieczce szkolnej. Natomiast rodzona siostra obu, Maria Zapasiewiczowa, matka Zbigniewa, była od przedwojnia matematyczką w tej szkole i – o ile mnie pamięć nie myli – okresowo jej wicedyrektorką. Jej syna Zbyszka, zresztą jednego z głośnych absolwentów „Jedynki”, pamiętam w czasach podstawówki z natchnionych recytacji Majakowskiego i innych w auli wyposażonej niczym scena teatralna. Ja sama też się tam produkowałam w repertuarze zależnym od wiatrów historii. Podobno doprowadziłam niektórych słuchaczy do łez, odczytując list Zoi Kosmodiemianskiej do matki, napisany tuż przed egzekucją, a pod koniec podstawówki błysnęłam *Mochmackim* Lechonia. Niekiedy występowałam razem ze starszym o kilka lat Damianem, czyli Dudkiem Damięckim.

Do grona przedwojennych pedagogów „Jedynki”, wyróżniających się nieskazitelną polszczyzną i kulturą osobistą, należała też pani Helena Liberowa. Pamiętam ją od najwcześniejszych lat szkolnych aż do klasy maturalnej, gdy w końcu zostałam jej uczennicą. Byłam niespełna rozumu, wybierając w liceum klasę



z językiem niemieckim zamiast z łaciną. Pani Liberowa była nie tylko znakomitą łacinniczką, ale i troskliwą wychowawczynią. I ona, jak sobie przypominam, była – bodaj już po Odwilży – naszą wicedyrektorką. Bo do połowy lat pięćdziesiątych w „Jedynce” rządili nauczyciele z awansu społecznego, manekiny partii. Od lat czterdziestych szarogęsiła się tam dyrektor Pawłowa, która wkroczyła do Polski wraz z armią – sowiecką czy kościuszkowską, tego nie pomnę. Tak przywykła do wojskowych butów z cholewami, że używała ich na co dzień również w cywilu. Pamiętam, że mówiła łamaną polszczyzną i wzbudzała postrach wśród nas, uczniów. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, jak bardzo musieli się jej obawiać sami nauczyciele, zwłaszcza ci z czasów przedwojennych, powiązani z Armią Krajową.

Pani Helena Liberowa była kobietą drobnej budowy, niską, ciemnowłosą. Najbardziej zapamiętałam jej czarne oczy, jakby dotknięte chorobą Gravesa-Basedowa. I głos – ciepły, serdeczny, pełen autentycznej troski. Nigdy go nie podnosiła. Dla mnie była uosobieniem tej dobrej strony naszej szkoły. Mimo że w podstawówce nie wykładała nam żadnych przedmiotów, znałam ją z całkiem licznych zastępstw. Wtedy zamiast nieobecnego nauczyciela prowadziła z nami lekcje wychowawcze. Nie było na nich mowy o żadnej indoktrynacji, tak mocno obecnej na codziennych apelach i prasówkach, trwających dzień w dzień do połowy lat pięćdziesiątych. Pani Helena w sposób niewymuszony i pełen delikatności starała się nam wpoić podstawy współżycia społecznego. Zachęcała zdolnych uczniów do podciągnięcia w nauce słabeuszy. Namawiała do tworzenia trójek uczniowskich, w których para lepszych wspomagała tego z gorszymi stopniami. Taka pomoc nie ograniczała się zresztą tylko do nauki. Pamiętam chucherko z naszej klasy, Krysię, która, wzywana do odpowiedzi, nie potrafiła niczego z siebie wydukać. Dzięki namowom pani Liberowej nasza dwójka poszła do niej do domu, żeby jej pomóc w sprzątaniu. Takiej nędzy nie widziałam, jak żyję. Jej matka, zgięta w pół jak staruszka, usiłowała utrzymać się na powierzchni, zbierając szmaty i butelki. W jednoizbowym mieszkaniu, w domu sąsiadującym – ja mówiono szeptem – z tajną siedzibą Urzędu Bezpieczeństwa, było przeraźliwie zimno. Bezskutecznie usiłowałam je ogrzać, paląc pod kaflową kuchnią gazetami, bo brakowało tam nawet miału węglowego. Jakoś wspomogłyśmy Krysię (do dziś kojarzy mi się z *Dziewczynką z zapalkami*) w nauce, by przebrnęła przez podstawówkę. Tę lekcję empatii otrzymałam od Pani Liberowej, która na jednym z zastępstw zaskoczyła mnie inną swoją wypowiedzią: jak trudno jest wychować jedynaka na nieegoistę. Bez wątplenia miała na myśli swojego Antka, a ja nadstawiłam uszu, bo też byłam jedynym dzieckiem.

Gdy rozpoczęłam naukę w liceum w pamiętnym 1956 roku, w szkole wiele się zmieniło. Przed wszystkim z RTPD usunięto „R”. Z korytarzy „zmyli” się

butni zetempowcy w zielonych koszulach i czerwonych krawatach, druga władza w „Jedynce”. Odeszło sporo nauczycieli z awansu społecznego, ale też zniknęło wielu uczniów z rodzin żydowskiego pochodzenia, które zdecydowały się na wyjazd do Izraela. Było to dla mnie niemałym zaskoczeniem, bo w tej bezwyznaniowej szkole nie odczuwałam uprzedzeń na tle narodowościowym czy rasowym – albo nie zdawałam sobie z nich sprawy. Co innego w odniesieniu do religii. Któregoś razu do naszej klasy wpadła dyrektor Pawłowa, każąc wstać dzieciom uczęszczającym na lekcje katechizmu w pobliskim kościele Świętego Stanisława Kostki. Wstało z pół klasy, przygotowującej się do pierwszej komunii. Dyrektorka zagroziła uczniom wyrzuceniem ze szkoły i wezwała przed swoje oblicze ich rodziców. Sprawa się jednak rozmyła i nikogo nie usunięto.

Natomiast moja serdeczna koleżanka z klasy, Grażyna, nigdy nie przychodziła do szkoły w soboty. Do dziś nie wiem, czy była ortodoksyjną Żydówką, czy wyznawczynią jakiejś tajemniczej sekty. Niekiedy odgrywałam w jej domu rolę szabesgoja, rozpalając w piątkowe wieczory ogień pod kuchnią. Ona sama mówiła tylko tyle, że należy do subotników i w każdą sobotę rano jeździła z matką i starszą siostrą do świątyni (a może było to czyjeś mieszkanie) w Alejach Jerozolimskich. Widywałam tę trójkę: czarnowłose olbrzymki wystrojone w najlepsze ciuchy, z warkoczami upiętymi wokół głowy, gdy spieszyły na modły, przechodząc obok mojego domu. W moich oczach wyglądały jak dorodne Ukrainki, znane mi z kart *Trylogii*. Grażyna była nieulekłą obrończynią swojej wiary, bo żadne groźby relegacji ze szkoły nie zmusiły jej do zmiany zasad. Ponieważ była uzdolnioną uczennicą, zapewne stopnie uchroniły ją przed wyrzuceniem. Po latach dowiedziałam się, że wyemigrowała do USA i wyszła za mąż za właściciela stadniny koni w Kentucky. Inna z ówczesnych moich przyjaciółek szkolnych została tam profesorem romanistyki. Zniknął też z mojego życia pewien Bartek, dzięki któremu pokochałam jazz. Miał zamożną rodzinę w Stanach, która wspomagała jego i starszego brata paczkami. Dzięki niej miał unikatową kolekcję płyt, w tym z *negro spirituals*. Gdy po raz pierwszy usłyszałam u niego tę muzykę, wpadłam w euforię. Tak śpiewał ocean. Kiedy sama znalazłam się w USA, pomyślałam sobie, że moglibyśmy tam odbyć zjazd koleżeński naszej klasy. Na pewno znalazłaby się spora grupa, co dowodzi, jak słabo podziała na nas indoktrynacja czasów socrealizmu, choć w dzieciństwie nam jej nie szczędzono.

O wielu sprawach się jednak milczało. Moje dwie najbliższe koleżanki w podstawówce miały ojców w więzieniach stalinowskich. Jeden został skazany za wojenną działalność w szeregach Armii Krajowej, a drugi – najbliższy

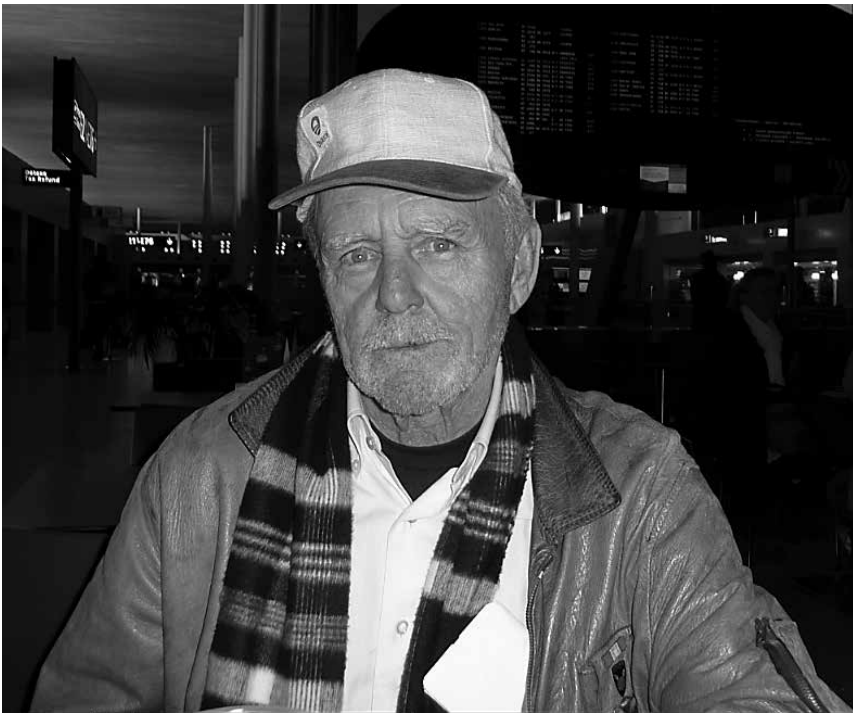
współpracownik Gomułki – za „odchylenia prawicowo-nacjonalistyczne” w partii komunistycznej. Nad oboma wisiała kara śmierci. Zwolniono ich – wraki fizyczne – jakoś tuż po śmierci Bieruta. I jedna, i druga unikały w szkole wszelkich rozmów na tematy rodzinne. Ale – dziwna rzecz – przyjaźniły się wtedy ze sobą.

Dopiero pod sam koniec liceum Pani Liberowa prowadziła z nami lekcje logiki. Czyniła to z takim talentem pedagogicznym, że dzięki jej naukom dostałam na studiach piątkę na egzaminie z logiki u profesora Pelca, postrachu studentów; bodaj pół naszego roku musiało ten egzamin u niego powtarzać. I to ona, wspólnie z polonistką, panią Haliną Niedźwiecką, dawną powstańcą sanitariuszką, przekonały mnie, żebym poszła na filologię polską. Do dziś nie jestem pewna, czy był to sensowny wybór. Raczej najprostszy, biorąc pod uwagę moją manię czytania. O tym, że zostałam przyjęta na studia, dowiedziałam się jeszcze przed wywieszeniem list na Uniwersytecie Warszawskim właśnie od Pani Liberowej, bowiem jej mąż był przecież dziekanem tego wydziału.

Zetknęłam się z nim i w szkole, i na studiach przede wszystkim jako autorem licznych opracowań i podręczników. Jeśli w moich czasach prowadził wykłady z literatury Oświecenia, w której się specjalizował, to bez mojego udziału, bo na większość wykładów nie chodziłam. Wolałam raczej czytać, niż słuchać. Po długich latach odwiedziłam oboje Państwa Liberów w ich mieszkaniu na kolonii Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Był rok 1997, zbliżała się dwusetna rocznica urodzin Mickiewicza, a ja przygotowywałam dla Polskiego Radia maraton z *Panem Tadeuszem*. Chciałam poprosić Profesora Liberę o jakieś rzadkie opracowanie mickiewiczowskie, którego nie znalazłam w bibliotekach. I rzeczywiście, w swym ogromnym księgozbiornym miał tę książkę i mi ją pożyczył. A przy okazji zaprosił na pięćdziesięciolecie obrony pracy doktorskiej w gmachu Senatu UW. Z nich dwojga sprawiał wrażenie człowieka pełnego energii, pełnego dawnych pasji naukowych. Natomiast z przykrością odnotowałam, że Pani Helena była przygaszona, jakby znękana wiekiem i jakąś trawiącą ją chorobą. Nie pamiętała mnie z czasów szkolnych, choć w mojej pysze uważałam się za nieprzeciętną i barwną uczennicę.

Tak więc razem z Profesorem, mieszkającym ze mną po sąsiedzku, pojechałam na jubel w Senacie. Był to wspaniały bankiet ze stołami pełnymi wykwiutnego jadła i napitków, stosownymi przemówieniami i całą teatralną oprawą tóg, biretów, łańcuchów. Rok później Professor już nie żył. Pani Helena zmarła kilka lat później. Pełnej historii ich życia dowiem z książki Antoniego Libery.

Marek Kędzierski



# MAREK KĘDZIERSKI

## Wspomnienie o Ricku Clucheyu

1.

W beżowym kożuszku trzy czwarte, w wełnianych spodniach z szarej flaneli, najszlachetniejszego sortu i o nieskazitelnie równym kancie, a w szczególnie zimne dni w naciągniętym aż po uszy czarnym berecie – zawsze z przewieszoną przez ramię ciężką teczką w kolorze naturalnej skóry – tak go widziałem codziennie rano w Hammersmith, kiedy stawał w drzwiach teatru Riverside Studios. Autor i reżyser w jednej osobie. To były najchłodniejsze dni zimy 1984 roku, ale nawet kiedy słońce skrywało się za chmurami, niebo było jasne, przejrzyste. Na termometrze blisko zera. Sto na heliometrze.

W to przedpołudnie – 24 lutego? – Beckett siedział, jak zwykle, w pozycji prawie nieruchomej, niemal zastygłej, w pierwszym rzędzie. Zaraz obok niego Walter Asmus, który uprzednio przez kilka tygodni odbywał pierwszą fazę prób w lodowatym Chicago, zanim autor, firmujący swym nazwiskiem, również jako reżyser, cykl *Beckett w inscenizacji Becketta*, przyjechał do Londynu, aby dać całości ostateczny szlif. Co, jak się okazało, miało potrwać jeszcze dobrych kilka tygodni. Liczył się każdy niuans. Choć i tak dla perfekcyjnego umysłu wystawianie sztuk, podobnie jak przekładanie na inny język, to przegrana walka.

Na widowni garstka uprzywilejowanych „obserwatorów”, dyskretnie zajmujących – osobno – miejsca na bezpieczny dystans od stolika reżyserskiego. Od czasu do czasu odgłos migawki uzmysławiał, że to już są ostatnie próby, dokumentowane przez do tej pory nieobecnych fotografów i dziennikarzy. To, czego nie widać na publikowanych później fotografiach, to poruszające się wargi Becketta, które wypowiadały kwestie aktorów. Razem z nimi, bezgłośnie.

W pewnym momencie, kiedy grający wysłannika pana Godota dziesięcioletni chłopiec wkroczył w sferę światła i na sugestię Vladimira, że jego boss był może w tym miejscu już dzień wcześniej, odpowiedział: „Nie wiem, proszę pana”, Beckett zerwał się na równe nogi, dosłownie wskoczył na scenę, ale z wielką lekkością, podszedł do chłopca i zwrócił się do niego: „Jeszcze nie tak.

Spróbuj powiedzieć to inaczej. Pamiętaj, ty nie jesteś stąd. Nie jesteś z tej ziemi". Cała scena. Strefa jasnego światła. Otaczająca ciemność. I jakby brak grawitacji.

Ten obraz pozostanie w mojej pamięci. Autor, krążący na scenie po wyznaczonym górnymi reflektorami okręgu światła, w popielatych, starannie uprasowanych wełnianych spodniach (jak się potem dowiedziałem, kupionych w sklepie z odzieżą używaną) i w szarym pulowerze, ale dla kontrastu ze zgrzebnej wełny, wyciągniętym i zużytym. W lewej ręce trzyma egzemplarz *Czekając na Godota*, wydanie Faber and Faber, w prawej biały plastikowy kubeczek, prawdopodobnie z kawą, bez mleka. Na wpół oślepiony, patrząc przez kolosalnie grube soczewki w kierunku Asmusa, a więc ciemności. A on? Czy on był z tego świata?

Bo aktorzy – byli. Nawet ten, który grał chłopca, Louis Beckett Cluchey. Jego ojciec, Rick Cluchey, zagrał rolę Pozza. Pozzo w wykonaniu Ricka to staroświecki *gentleman*, tak jak wyobrażałby go sobie gangster. Dobrotliwy, ale kapryśny, czasami gniewny, nieraz o krok od wybuchu, a kilka razy o krok dalej, już w wybuchu. Beckettowi taki profil odpowiadał. Dobrze wychowanego gwałtownika, w anglosaskim stylu, trochę jak w filmach Loseya, tych, których scenarzystą był Pinter. Na przykład w *Służącym*. Lub w *Wypadku*. Rick do roli Pozza nadawał się idealnie. Gwałt i przemoc, ale trzymane w ryzach. Po staroświecku. Ze słodkim uśmiechem. Po napadzie gniewu.

Rick świetnie się do tego nadawał. Gangster z dołów społecznych, przez całą młodość targany sprzecznymi impulsami. Naznaczony biedą. Ojciec Ricka nie zawsze potrafił zapewnić rodzinie minimum egzystencji. Wciąż na krawędzi egzystencji. Ale Beckett powiedziałby: Co mi tu mówicie o dołach! Już sam fakt istnienia jeśli nas nie dołuje, to powinien tych lepiej usytuowanych skłonić do pokory. Dotyczy każdego, bez względu na pozycję społeczną. To nie pozycja społeczna sprawiła, że te spektakle były czymś wyjątkowym. Raczej świadomość tego, że gdyby nie Beckett, Cluchey nigdy pewnie nie wyszedłby z więzienia.

## 2.

*Powiedziałem Spencerowi, żeby dał mi pieniądze, nie przerywając jazdy. Wręczył mi dużą beżową kopertę, i kiedy to robił, spostrzegłem na jego palcu okazały pierścionek z brylantem. W kopercie była urzędowa poczta, jedenaście mniejszych kopert, zaczęłam rozrywać je po kolei, zrobiła się z tego bezładna sterta. W środku były głównie czek i trochę gotówki. Podarłem wszystkie czek i, a pieniądze włożyłem do kieszeni kurtki. Spencer trząsł się ze strachu, kiedy rozkazałem mu skręcić w prawo na najbliższym rogu. Pistolet ciężko miałem za pasem. Po ostatnim zakręcie,*

*kiedy znaleźliśmy się w spokojnej mieszkalnej dzielnicy miasta, kazałem mu zatrzymać samochód. Wyglądał na spokojniejszego. Powiedziałem, żeby dał mi kluczyki do samochodu i pierścionek. A potem portfel – wydobyłem z niego dziewięćdziesiąt dolarów. Okna były zamknięte, więc nie bałem się, że zacznie nagle krzyczeć. Wyciągnąłem w końcu moją .44 i postawiłem mu lufę pod oczy, tak, żeby dobrze ją zobaczył. Potem wcisnąłem mu pistolet do ucha: „Żebyś wiedział, że to nie żarty”. Cofnąłem pistolet, odbezpieczyłem go i poinformowałem Spencera, że nic mu się nie stanie, jeśli położy się na siedzeniu. I naraz rozległ się niesamowity huk, jakby w środku samochodu wystrzeliła armata...*

– tak w nieopublikowanej dotąd autobiografii wspomina Cluchey „wypadek”, który nie był wynikiem zwykłego przypadku, jako że „przydarzył mu się” podczas rabunku. Przez całe lata Rick nie mógł sobie wytłumaczyć, dlaczego w nerwowym chaosie napadu wypalił nagle jego pistolet. Na szczęście porwany konwojent przeżył. Gangster dowiedział się o tym jednak dopiero w czasie dochodzenia – bo uciekł, zostawiając ofiarę w samochodzie. Ten epizod, w mechaniczny i, poniekąd, naturalny sposób, zamknął okres moralnego i emocjonalnego egzystencjonalnego dryfowania próbującego jakoś ułożyć sobie życie dwudziestolatka. Cluchey trafił do więzienia cieszącego się najgorszą sławą. Za napad z bronią w rękę, ciężki rozbój i porwanie skazany został na dożywocie, bez możliwości skrócenia kary.

Ale w konsekwencji napad umożliwił mu powrót do normalnego życia, po dwunastu latach normalności według regulaminu San Quentin State Penitentiary. Umożliwił też owo nieprawdopodobne spotkanie. I przyjaźń. Z jednej strony irlandzki pisarz, który wzrastał w nobliwym dostatku, wyrafinowany intelektualista, absolwent najlepszej uczelni i laureat Literackiej Nagrody Nobla, a z drugiej – absolwent ulicznej szkoły przetrwania, zdemobilizowany żołnierz i chicagowski gangster, któremu na pewnym etapie procedury, zanim sam poszkodowany zeznał na jego korzyść, groziła komora gazowa – ponieważ od 1948 roku w kalifornijskim zakładzie karnym o zaostrej dyscyplinie nie wykonywano wyroków śmierci za pomocą prądu elektrycznego, tylko gazu.

### 3.

Douglas Charles Cluchey urodził się 5 grudnia 1933 roku w Chicago, dokładnie mówiąc w South Side, części miasta kojarzonej najczęściej z przeludnieniem, biedą i przestępcstwem. Fascynujące byłoby prześledzenie linii genealogicznej jego przodków. Z całą pewnością zasługiwałoby na odrębny

tekst. W wielkim skrócie: krewni ojca pochodzili w większości z regionu Wielkich Jezior, a w ich żyłach płynęła głównie krew Kanadyjczyków frankojęzycznych, tudzież amerykańskich Indian, natomiast od strony matki – irlandzkich imigrantów, uciekających przed głodem, ale niekoniecznie katolików. By wyżywić wielodzietne rodziny w ciężkich czasach po Wielkim Krachu, trzeba było sporej dozy kreatywności i niezłego sprytu. Jego rodzice (Rick miał sześćoro rodzeństwa) nie byli tu wyjątkiem. A kiedy dzieci zaczęły wchodzić w dorosłe życie, społeczeństwo niewiele mogło im zaoferować, oprócz armii. I pracy na przykład na poczcie. Rick wstąpił do Sił Powietrznych, jednakże w czasie szkolenia, lądując na spadochronie, dwukrotnie zranił stopę, co „zamroziło” jego dalszą karierę wojskową, tym bardziej że wojna koreańska wchodziła w swoją końcową fazę, zmalało więc zapotrzebowanie na nowe kadry. Choć Rick w przystępie euforii kazał wytatuować na swojej skórze motywy patriotyczne.

Rok 1953 był dla dziewiętnastoletniego chłopaka z południowego przedmieścia Chicago bogaty w doświadczenia, radosne i bolesne. Kiedy Rick oczekiwał na skierowanie do jednostki, urodził się jego pierworodny syn, Douglas Rickland Cluchey Jr. Betty, matka, młodsza od ojca dziecka o rok i jego pierwsza żona, skłaniała go, by znalazł jakąś pracę z dala od armii. Mieszkali w wynajętej przyczepie, która dla trzyosobowej rodziny okazała się zbyt mała, tym bardziej że Betty ponownie zaszła w ciążę. Ich drugi syn, Russel, urodził się w sierpniu. Między tymi narodzinami, w grudniu, zmarł Russel Cluchey, brat Ricka, w następstwie ataku serca. Rok 1954 rozpoczął się zatem dla Ricka żałobą i oczekiwaniem, na potomka i na pracę w wojsku. Na poły w desperacji, na poły w wyrachowania Rick przystąpił do bandy gangsterów. Zaplanował z nimi napad na Bogu ducha winnego Spencera. I trafił na listę podopiecznych San Quentin.

#### 4.

Kiedy w 1957 roku do San Quentin z misją, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, resocjalizacji przez kulturę przyjechali aktorzy z San Francisco, sztuką wybraną do zaprezentowania więźniom okazało się *Czekając na Godota*, utwór, którego temat, w intuicji artystów, odzwierciedla samą rację istnienia każdego więźnia. Czekanie. Czekanie na coś, co być może się zdarzy. Podobnie jak w naszym życiu, ogólnie biorąc.

Dla Ricka był to pierwszy kontakt z teatrem, zresztą ograniczony do warstwy dźwiękowej – jako więźniowi szczególnego ryzyka nie pozwalano



mu uczestniczyć w zbiorowych imprezach. Na szczęście przynajmniej słowa dotarły do niego na falach eteru – spektakl transmitowano przez więzienny radiowęzeł. Rick był pod wrażeniem. Zaraz później wybrał się do więziennej biblioteki i zaczął z niej wypożyczać książki, których nikt nie czytał. I dużo czytał. Towarzysze niedoli, którzy *Godota* widzieli na żywo, na własne oczy, również byli przejęci. Założyli więzienną trupę teatralną, wystawili kilka sztuk w rodzaju dramatu sądowego *Twelve Angry Men* (*Dwunastu gniewnych ludzi*), znanego w całym świecie z ekranizacji Sidneya Lumeta. Rick działał w trupie San Quentin Drama Workshop z wielkim oddaniem – jako aktor i jako autor. Jego sztuka *The Cage* (*Klatka*), zrealizowana najpierw na „scenie” San Quentin, zdobyła w 1965 roku międzynarodowe uznanie. Teatr utorował Clucheyowi drogę na wolność, do świata bez żelaznych krat.

W 1966 roku Cluchey nagle robi się znany także w świecie poza mura-  
mi, co na pewno wpłynęło na decyzję gubernatora o ułaskawieniu. Czuł, że  
wszystko zawdzięcza Beckettowi i że powinien pojechać do Europy i jakimś  
sposobem go poznać. Nim to się stało, znalazł się jednak w... amerykańskiej  
bajce. Prosto z więzienia trafił do luksusowej klatki bogatej dziennikarki i eks-  
centrycznej *femme fatale*. Barbara Bladen, recenzentka „San Mateo Times”,  
nazwała więzienną inscenizację *Klatki* ekscytującą. Rick to sobie zapamiętał  
i zaprosił ją na spektakl wyjścia z więzienia. Bladen czekała na niego pod bra-  
mą główną w czerwonym rolls-royse. „Nie znaliśmy się, nie wiedziałam, cze-  
go się spodziewać, ale otwarta byłam na wszystko”, wspominała w 1987 roku,  
dwadzieścia lat po rozwodzie z Rickiem. Ich romans posłużył za kanwę filmu  
Johna Hancocka *Weeds*. Clucheya grał Nick Nolte, Bladen – Rita Taggart. „Na  
szczęście nie dostał Oscara. Wbrew temu, co twierdzi Barbara, nie ma w tym  
filmie ani krztyny prawdy”, mówi Rick, i z szelmowskim uśmiechem dodaje:  
„Nie wiem, co mnie naszło, ale możecie mi wierzyć, że nie było w tym ani sło-  
wa prawdy”, cytując pierwszy akt *Czekając na Godota*, kiedy Pozzo z liryczno-  
-karkołomnym patosem opisuje zachód słońca.

Małżeństwo szybko się wypaliło i Rick mógł wreszcie pojechać do Europy,  
gdzie uczestniczył w kilku projektach, głównie w Wielkiej Brytanii i w Niem-  
czech. Kiedy Cluchey zajęty był inscenizacją *Ścisłego nadzoru* Geneta w jed-  
nym z berlińskich teatrów, Beckett reżyserował *Czekając na Godota* w Schiller-  
-Theater. Wtedy po raz pierwszy uścisnęli sobie dłoń. Dopiero w 1975 roku. Ale  
nic przyjaźni nawiązała się między nimi bardzo szybko i już dwa lata później  
Cluchey zagrał Krappa w reżyserii samego autora. Premiera odbyła się w Aka-  
demie der Künste w Berlinie. Wyprodukowanej ściśle według wskazówek

i zaleceń Becketta taśmy do dziś można słuchać, linijka po linijce studiując intencje autora.

## 5.

*Krapp's Last Tape* w wykonaniu Clucheya widziałem na spektaklu gościnnym w Londynie chyba w 1978 roku, kilka lat przed próbami w Hammersmith, byłem jednak zbyt nieśmiały, by porozmawiać z aktorem po przedstawieniu. Natomiast w 1984 roku, już po pierwszych kontaktach z Beckettem i współpracy z Asmusem, do możliwości obserwowania autora przy pracy w teatrze, właśnie z San Quentin Drama Workshop, odniosłem się z nieukrywaniem entuzjazmem – którego nie zmniejszyło nawet sarkastyczne zaproszenie, w którym Sam zgadzał się na mój przyjazd, jeżeli tak bardzo zależy mi na uczestnictwie w tym „żenującym procesie”.

W ciągu dnia, wraz z rozsianą na widowni garstką innych widzów, obserwowałem Becketta i Asmusa przyglądających się wysiłkom pięciu mężczyzn na scenie. W *Czekając na Godota* grali: drobny i ruchliwy Australijczyk Larry Held i wysoki dryblas o niskim głosie, Bud Thorpe, jako Estragon i Vladimir, ciepły, nawet niestroniący od jowialnych tonów Rick jako Pozzo, jego bezlitosna ofiara J. Pat Miller oraz mężczyzna *in spe*, dwukrotnie przybywający z innego świata, syn Ricka – Louis. Monolog Lucky'ego wygłosił Miller z tak zimną emocją i w tak matematycznym napięciu, że generalnie niezbyt skłonny do pochwał autorowi wyrwało się nawet coś w rodzaju: „To najlepszy Lucky, jakiego widziałem”. Niemały komplement z takich ust dla trzydziestoosmioletniego aktora z Chicago. Z pierwotnego składu trupy San Quentin Drama Workshop grał jedynie Rick. Ale na logo pozostały zaciśnięte na kratkach dłonie.

Wieczorami, po próbach, już bez Becketta, nawiązała się między nami nić przyjaźni. Nic dziwnego, że kiedy po londyńskiej premierze cyklu i świetnym przyjęciu spektakli w Australii dowiedziałem się, że grupę zaproszono na Biennale w Wenecji, z radością przyjąłem propozycję Asmusa, aby przyłączyć się do grupy w czasie prób wznowieniowych. Odbывały się one w tokańskim miasteczku Pontedera, w połowie drogi między Pizą a Florencją, w ośrodku o *długissimej* nazwie: Centro per la Sperimentazione e la Ricerca Teatrale di Pontedera del Teatro della Toscana Università di Pisa, którego kierownictwo przejmował właśnie Jerzy Grotowski.

W Pontederze atmosfera w czasie prób wydawała się dużo luźniejsza – może dlatego, że stres, choć był duży, bo Biennale to nie byle co, był już

jednak popremierowy, wznowieniowy. Może po części dlatego, że tremy nie wywoływała już obecność autora. Podejrzewam jednak, że głównie z powodu tokańskiego nieba i tokańskiego słońca. W czasie jednego z raczej późnych śniadań zobaczyłem po raz pierwszy w całej okazałości tatuaż Ricka z San Quentin. Dziś sztuka tatuażu bardzo się rozpowszechniła i zbanalizowała, ale nawet teraz lotniczy tatuaż z 1953 roku, wzbogacony więziennymi akcentami w San Quentin, mógłby wzbudzić podziw swoją... rzemieślniczością.

Luźna atmosfera, nie tylko za sprawą klimatu, ale i tokańskiego wina. Dzień w dzień dużo wina. Do każdego posiłku. Mój organizm wzbraniał się przed alkoholem, przynajmniej przed zapadnięciem zmroku. A ich organizmy? – aktorów tego spektaklu. Nie zauważyłem, chyba raczej niespecjalnie. Któregoś dnia, kiedy wspięliśmy się na Krzywą Wieżę, schodząc spiralą kręconych schodów, pozbawionych poręczy po zewnętrznej stronie, Rick nagle stanął i z widocznym lękiem oparł się plecami o mur po wewnętrznej – wyciągając bezradnie dłoń, którą schwycił Larry. Po dłuższej chwili lęk minął, a twarz zdradzała raczej zakłopotanie, więc ruszyliśmy dalej. Ale inny obraz, który mam przed oczyma, jest bardziej typowy dla nastrojów w Pontederze. Rick, jak herszt całej bandy, degustuje butelkę Castello Trentino rocznik 1974, podnosi do kelnera wykrzywioną twarz i z amerykańskim akcentem krzyczy „*terribile, spaventoso*” (okropne). Kelner wyjaśnia, że nosiła to jest najlepszy sort i że z tych samych gron produkuje się renomowane *vino santo*. „*Vino santo! Santo subito!*”, wykrzykuje Rick i z galanterią uspokaja przestraszonego kelnera słodkim „*ME-RA-VIG-LIO-SO*” (wspaniałe). Obok gromada rozbawionych jak chłopcy mężczyzn, i tylko jedna kobieta, Teresita Cluchey, *de domo* Garcia, żona Ricka i matka Louisa, która grała w *Końcówce* rolę Nell. Pontedera 1984, Rick u szczytu sukcesu, jeśli nie na szczytach sławy. Na grzbiecie fali. Opalony, wystawia na słońce wytatuowane ciało. Toskańsko-kalifornijska atmosfera *dolce far niente*, zanim wszyscy skryją się pod dachem teatru, aby zacząć próby, już bez słońca, ciężką pracą bez wytchnienia.

Po ostatniej generalnej ostatnia przedłużona wieczerza, mimo że nazajutrz czeka wszystkich długa podróż. Kostiumy, rekwizyty i scenografię już pakują do ciężarówki robotnicy. Aktorzy, nie śpiesząc się, sączą ostatnie *digestivo*. Dwoma autami mamy ruszyć w południe. Idę spać. Rano, dopiero koło jedenastej pojawiają się pierwsi przebudzeni. Mam nagle ochotę powłóczyć się jeszcze raz po Florencji. Pojadę pociągiem, uzgadniam z Rickiem, że odbiorą mnie punktualnie o drugiej przy bocznym wejściu do Uffizi. Zostawiam swoje rzeczy w samochodzie i – nieobciążony najmniejszym bagażem, nawet

marynarką – ruszam w drogę. O drugiej nikt na mnie nie czeka, więc ja czekam, biegając między rozmaitymi wejściami po różnych stronach Uffizzi. O czwartej daję za wygraną, wyliczywszy, że czekając na mnie, nie zdążyliby na próbę w Wenecji. To czasy długo przed wynalezieniem telefonu komórkowego. Na dworzec docieram parę minut po odjeździe ostatniego pociągu do Wenecji, który zawiózłby mnie tam o w miarę przyzwoitej godzinie. Ja nawet nie wiem, gdzie mamy *locum*. Więc w akcie desperacji postanawiam skreślić Wenecję i kupuję bilet do Mediolanu. Tam spędzę noc u przyjaciół, którzy pożyczą mi marynarkę. Następnego dnia, dotarwszy wieczorem przed dom w Baden-Baden, stanę bezradnie przed drzwiami, do których klucz jest wciąż w walizce. W Wenecji, wraz z Rickiem, który właśnie zagrał Krappa. Na trawie lekki szron.

## 6.

Londyńska inscenizacja *Czekając na Godota* była spektaklem fascynującym, zwłaszcza w porównaniu z powstałą dziesięć lat wcześniej wersją z Berlina. Temperament aktorów nie zawsze się do tego nagiął, ale Beckett, moim zdaniem, słyszał swój utwór znacznie ciszej, zwłaszcza fragmenty liryczne. Podobnie z *Końcówką*, choć tu nie miałem porównania. Cykl trzech sztuk objechał cały świat – niestety, w trakcie jednego *tournee* Ricka zawiodło serce. Kilka sygnałów, a potem wszystko skończyło się poważną operacją – w połowie drogi założono mu bypassy. Rick znalazł się nagle w innej fazie życia. Wciąż ten sam, ale proporcje się zmieniły, teraz stał się z niego bardziej *gentleman* niż *macho*. Wprawdzie *Godota* i *Końcówkę* grano jeszcze od czasu do czasu, na krótko przed śmiercią autora powstała nawet ich wersja telewizyjna, ale najtrwalej zrosł się Rick z inscenizacją *Ostatniej taśmy*. Z Krappem nie rozstał się do końca życia. Starzał się razem z nim, rósł i malał, rozciągał się i kurczył, dumiał i roił. Przeżywał go o równą swęj tuszy chwilę. Pokazywał tę inscenizację do ostatnich lat życia, na najlepszych scenach, ale i w szkolnych teatrzykach, także w zakładach penitencjarnych, tych zwyczajnych albo tych nadzwyczajnych, jak więzienie o zaostrowym rygorze, mieszczące się w piętnastowiecznych murach fortecy w tokańskim miasteczku Volterra, z własną kompanią teatralną.

*Ostatnia taśma Krappa* to grany przez człowieka i maszynę dialog na dwa głosy tego człowieka. Dialog Krappa z Krappem polega, jak wiadomo, na corocznym odsłuchiwaniu fragmentów nagrań sprzed lat oraz nagrywaniu wspomnień i refleksji z minionego roku. Pamięć Krappa zamknięta jest w ponumerowanych chronologicznie pudełkach. W wieczór, który przedstawia

sztuka, niemal stary człowiek słucha własnych refleksji, nagranych trzy dziesięciolecia wcześniej. Jest to, jak pisze autor w didaskaliach, wieczór w przyszłości, bo jeśli w 1958 roku sześćdziesięciodziewięcioletni słucha trzydziestodziewięcioletniego, to musiałby zacząć w 1928 roku, tymczasem magnetofon upowszechnił się dopiero w latach pięćdziesiątych. Przyczynek do realizmu Becketta. Kiedy Rick nagrywał tekst pod batutą reżysera, miał lat czterdzieści trzy. Na scenie musiał udawać starszego. Natomiast na taśmie mówił swym współczesnym głosem.

Między premierowym użyciem nagrania a ostatnim spektaklem Cluchey zestarzał się o niemal czterdzieści lat. Aby upewnić się, że taśma się nie zesterzeje, w latach dziewięćdziesiątych zarejestrował nagranie na płycie CD. Niezależnie od nośnika, nagranie było „puszczane” z kabiny akustyków, a aktor markował tylko przesuwanie taśmy do przodu i wstecz oraz jej „spontaniczne” zatrzymywanie.

W odróżnieniu od dwóch pozostałych sztuk, przedstawienie *Krappa* można było łatwo zorganizować. I przenieść się z miejsca na miejsce. Z biegiem czasu Cluchey stał się Krappem-perypatetykiem. Jeździł z zapamiętanym tekstem starszego Krappa w głowie, z nagraniem młodszego na CD i z pozwalającym na szybki montaż i demontaż sceniczny zestawem Beckettowskim. *A Beckett travelling kit*.

*Portable Krapp*. Krapp przenośny. Do zestawu należał strój sceniczny, włącznie ze starodawnymi kapciami, prosta lampa na długim kablu do zawieszenia nad stołem, taśmy szpulowe w metalowych pudełkach, notes, no i oczywiście magnetofon A.D. 1960 z konwertorem na sto dziesięć i dwieście dwadzieścia volt i zestawem wtyczek do gniazdek elektrycznych w poszczególnych krajach. Wszystko zamknięte w czarodziejskiej walizce. Na miejscu organizatorzy dostarczali deski sceniczne, stolik, najchętniej z otwierającą się na węższym boku szufladą, prąd i media, światło, butelkę wina, kilka bananów i dużego formatu staroświecką księgę, służącą jako olbrzymi słownik, w którym Krapp sprawdzał znaczenie słowa *viduity* (wdowieństwo).

## 7.

W 1996 roku nie mógł przyjechać do Strasburga, ale cztery lata później dotarł do Niemiec na festiwal *Beckett in Berlin 2000*. Grał w tej samej sali Akademii der Künste, gdzie ćwierć wieku wcześniej Beckett po raz pierwszy kierował nim jako reżyser. Legenda tak Becketta, jak tego właśnie spektaklu była

w Berlinie wciąż żywa, co poświadczają szczelnie wypełniona widownia. Rick miał tylko jeden wieczór. Na próbie technicznej wszystko grało, jednak w czasie przedstawienia, gdy Krapp nacisnął na klawisz „Play”, dźwięk popłynął wprawdzie na widownię, włączony w kabinie akustyka, ale szpule nie chciały się poruszać. Po próbie jeden z techników omyłkowo wyłączył z obwodu gniazdko elektryczne, znajdujące się pod stołem Krappa. Zaskoczony Rick zrobił minę, jakby to była część scenariusza, a po kilku chwilach znalazł rozwiązanie: sam zaczął poruszać taśmę, oburącz kręcąc szpulami, tak jakby zepsuł mu się już tak wysłużony sprzęt. Tym razem to aktor musiał uważać, w którym momencie akustyk wyłączy fragmenty nagrania. Nie trzeba było przerywać spektaklu. I Rick dał z siebie jeśli nie wszystko, to bardzo wiele, techniczny problem dodał mu skrzydeł. Owacje na stojąco.

## 8.

Sześć lat później w Zurychu technika była na medal, ale Rick schodził ze sceny z nosem na kwintę. Przewidziawszy trzy dni na aklimatyzację po długim locie z Los Angeles, odebrałem go z lotniska wraz z trzydziestodwukilogramowym zestawem Krappa. Na setne urodziny pisarza wiosną 2006 roku Rick miał grać raz w Zurychu i dwa lub trzy razy w Krakowie. Z tygodniową przerwą, aby nie męczyć jego przeciążonego układu krążenia.

Jednodniowy maraton w mieście nad Limmatem zaczął się w południe i trwał do północy, jednocześnie na trzech scenach, w foyer i na zapleczu Schauspielhaus w budynku Schiffbau. Rick grał Krappa w wypełnionej po brzegi dużej sali, przypominającej bunkier. Z twarzy i zachowania wielu widzów widziałem, że znają Becketta, parę osób miało nawet pod ręką tekst sztuki. Starannie ubrani, uważnie śledzili każdy ruch i słowo Ricka, wsłuchując się w głos z taśmy bez podnoszenia głowy ku napisom z tekstem przekładu na niemiecki. Ale już po paru minutach zauważyłem, że Rickowi jakoś nieszczególnie idzie. Nie, nie mylił się, wszystko było poprawne, brakowało jednak elektryczności. A może chemii. Intelktualna widownia, dobrze orientująca się w literze sztuki, niekoniecznie jest gwarancją tego, że aktor bez trudu rozwinie skrzydła. Od pierwszych chwil przedstawienia – opowiadał potem – zauważył... – nie: wy-czuł, że widownia nie zdradza... – nie: nie wysłała w jego stronę żadnej emocji.

Jako człowiek i jako aktor Rick – zresztą tak jak Beckett, w tym byli podobni – czuł owe fale płynące od ludzi, a jeszcze bardziej ich brak. W Zurychu, w doskonale zaprojektowanym wnętrzu i z ekipą techniczną, która postarała

się, by nie zdarzył się wypadek taki, jak w Berlinie, Rick nie przekazał tego doskonale możliwego do wychwycenia, ale trudnego do opisania otwarcia.

Natomiast dwa tygodnie później, w czasie kilkudniowego maratonu w mieście nad Wisłą, choć w połowie pierwszego spektaklu wysiadły napisy z przekładem na polski, a większość widzów, moim zdaniem, w odróżnieniu od zuryckiej, nie znała na tyle angielskiego, by móc wychwycić subtelności tekstu, Rick otworzył się w piękny sposób. Widownia wynagrodziła to entuzjastycznymi brawami. „Wiesz, czułem tę widownię, odbierałem ją podobnie do irlandzkiej, w Abbey Theatre, ci ludzie potrafią się w teatrze wzruszyć. Może są mniej wyrobieni, może wręcz naiwni, ale od tych widzów coś pięknego dochodzi do aktora”.

Rick był aktorem-amatorem w najlepszym znaczeniu tego słowa, aktorem nieprofesjonalnym w tym sensie, że – samouk – nie chodził do szkoły teatralnej. Nie nauczył się być aktorem, tylko aktorem bywać, inni nie nauczyli go rutyny, zabezpieczającej przed totalną klapą, kiedy aktor ma zły dzień. Ale i często niepozwalającej na owo otwarcie, maksymalne wyjście, tak w kierunku widowni, jak i kierunku do wewnątrz. Rick, kiedy miał dobry dzień, był lepszy od bardzo dobrych, ale w zły dzień – zdarzało mu się niemal położyć rolę. I nie nauczył się zwalniać na zakrętach, by nie wypaść z toru.

## 9.

Przed podróżą do Europy Nora Masterson, ostatnia żona Ricka, wysłała mi dwustronicowe *dossier* medyczne, na wszelki wypadek. Gdyby coś się działo, kardiolog będzie miał wszystkie informacje o terapii. E-mail z załączonym *dossier* kończył się apelem do mnie: Bardzo cię proszę, przypominaj Rickowi o lekarstwach i na litość boską nie daj mu pić mocnego alkoholu. Słabszy alkohol też z umiarem. Nawet słabszy, czyli wino, też był zdecydowanie niewskazany, kiedy Rick miał na niego ochotę już w południe. Ale wieczorem wino było mu potrzebne do pracy, tak na próbach, jak i w czasie spektaklu z widownią. Było rekwizytem. I tonikiem. Krapp tak w trakcie słuchania, jak i nagrywania pociąga sobie za sceną prosto z butelki. Na scenie widać wtedy wymowny cień i dźwięk.

Rick już w Pontederze od picia na spektaklu prawdziwego wina uzależnił autentyczność swojej kreacji aktorskiej. W duchu Stanisławskiego, wczuwał się w rolę. Wziąłem to sobie do serca i w Zurychu przyjąłem to na siebie – przyniosłem mu na próbę trzy czwarte butelki, na przedstawienie połowę, nieco tylko rozwadniając. W Krakowie miałem podobny plan. W postindustrialnej

przestrzeni Łaźni Nowej, jak zresztą w całej Nowej Hucie, niełatwo było o dobre wino. Tym szybciej więc przekonałem Ricka, że powinien strzec butelki burgunda jak oka w głowie, a zwłaszcza zachować z niej przynajmniej połowę na czas spektaklu. Niestety, ambitny plan pokrzyżowało przybycie... Sławomira Mrożka, którego Rick poznał jeszcze w latach siedemdziesiątych w Stuttgarcie. Pan Sławomir stawiał się w Łaźni Nowej w towarzystwie żony. Susana Osorio Rosas z równym niepokojem jak ja obserwowała spotkanie obu przed spektaklem. Kiedy oboje wyszliśmy na kilka minut z gabinetu dyrektora, gdzie odbywało się spotkanie dwóch prominentów, nie musieliśmy zamienić ani słowa, wystarczyły spojrzenia. Pytaliśmy: Co zrobić, żeby nie pili? Butelka whisky, przyniesiona przez Mrożka, została otwarta godzinę przed spektaklem, po króciutkiej dekantacji odbywała się właśnie staranna degustacja. „Wie pan, mąż powinien unikać...” – zaczęła pani Susana – „...mocnego alkoholu” – dokończyłem jej zdanie.

Po spektaklu starsi panowie dwaj ponownie wznoszą toast, toast ostatni, bo już nic nie zostało. Rzecz jasna, za Becketta. Starość i choroba niejedno mają imię.

Rick proponuje mi, żebyśmy na pamiątkę tego dobrego wieczoru zamienili się koszulami. Ma taki zwyczaj. Jego jest bordowa i nieco za duża. Ale i tak ja lepiej na tym wyjdę. Tym bardziej, że Rick chce mi dać krawat. Nie mogę się zamienić. Krawata nie noszę od promocji doktorskiej. Całe lata świetlne.

Przed wyjazdem z Krakowa jeden z niestrudzonych pomocników festiwalu załatwia jeszcze Rickowi wizytę w areszcie śledczym na Montelupich. Rick: „Wiesz. Wspaniali ludzie. Najlepsze spotkania organizuje się tak *ad hoc*. Ale atmosfera dziwna, dla mnie przynajmniej. Miejsce trochę mi przypomina San Quentin w latach pięćdziesiątych. Cele, a zwłaszcza ich wystrój. Choć z całą pewnością mniej zabójców. Macie tu w Polsce karę śmierci?”

## 10.

Grudzień 2009 roku. Rick obchodzi urodziny w Helsingborgu. Parę dni przed dwudziestą rocznicą śmierci Samuela Becketta. Teatr miejski, od którego w 1944 roku dwudziestosześcioletni Ingmar Bergman rozpoczął karierę wizjonera sceny (choć z powodu obcięcia dotacji nie udało mu się wystawić *Hamleta*) i skąd ruszył na podbój Göteborga i Sztokholmu, a potem i świata. Mieszkamy w pokojach z widokiem na Danię, po drugiej stronie przesmyku miasto Helsingør. Tak blisko, że w historii burzliwych nieraz relacji szwedzko-duńskich, kiedy na kilka dni lub nawet godzin zamarał Øresund, dawało to



obu stronom nieoczekiwaną szansę inwazji. Z naszych okien dobrze widać zamek Kronborg. Większości świata znany jako Elsynor. Zamek Hamleta.

Dyrektor teatru, świeżo przybyły ze Sztokholmu, entuzjasta Becketta, chce irlandzkiemu autorowi zrobić festiwal. Spektakle i warsztaty Ricka umieszczone na poczytnym miejscu w programie. Już na pierwszym wieczorze kilkusekundowa wpadka akustyka, który za wcześniej włącza dźwięk. Od Helsingborga zaczyna się seria spektakli *Ostatniej taśmy*, którą ja zorganizowałem. Po pierwszej wpadce postanawiam, że do funkcji *tour managera* Clucheya dodam jeszcze honor bycia jego *sound technician*.

Na spektaklach i warsztatach w Helsingborgu zdobywam praktykę. Więc kiedy lecimy do Londynu, obiecuję sobie, że już nie będę nadmiernie zestresowany z powodu akustyków, którzy nie mają czasu przećwiczyć zmian na spektaklu w czasie rzeczywistym. Na lotnisku chaos, daremnie czekamy na walizkę, na szczęście zagubiła się „prywatna” walizka Ricka, nie ta z zestawem Krappa. Taksówka przedziera się przez gigantyczny korek. „Akustyk zachorował. Ale wysłaliśmy po innego”. Nie trzeba, mówię. Ja to zrobię.

Rick wreszcie w swoim żywiole angielskim. Na widowni ma wielu znajomych z dawnych lat, przyszło też sporo tak zwanych beckettologów. Późna kolacja, przez co omal nie spóźnimy się na samolot.

Air France podaje gościom wino bez ograniczeń. Przy drugiej buteleczce Ricka jej zawartość wylewa się na nieskazitelnie jasnobezowe spodnie sąsiada. Bordowa plama na sztruksowych prążkach. Nie szkodzi – sąsiad to *gentleman*. W Paryżu Rick mieszka u mojego znajomego, emerytowanego reżysera z... San Francisco. Który wystawiał przed laty *Czekając na Godota*. Na wieszaku meloniki. Wieszak ma formę drzewka, jest częścią dawnej scenografii. Na pewno spodoba się Rickowi. Tylko najpierw Rick będzie musiał tam dotrzeć. Wchodzimy z walizkami do budynku. Szukam windy. Na próżno. W czasie wcześniejszych odwiedzin u Denisa nie korzystałem z windy. I nie zauważyłem, że na tej klatce jej nie ma. Czwarte piętro. To jest do pokonania, mówi Rick, chory na serce. Tylko trochę potrwa. Głupio mi.

Droga po schodach w dół znacznie prostsza. W ołowiany poranek schodzimy we trzech, Rick, Denis i ja, na pobliski cmentarz Montparnasse. Z lodowatego nieba wycieka mazista ciecz. Przed grobem Becketta Rick wyjmuje zza pazuchy butelkę wina. Wypełnioną do połowy. Zdrowie Sama! Trzy plastikowe kubeczki.

Nazajutrz lot z powrotem do Skandynawii. *Krappa* przedstawi Królewski Teatr Dramatyczny. Śnieg. Wszystko zapięte na ostatni guzik. Hotele, posiłki, spotkania z dyrektcją. Z publicznością. Rick, z miną ważnego gościa na twarzy,

daje się oprowadzać po szacownym gmachu Dramaten, pełnego popiersi wielkich skandynawskiego teatru. Przed wejściem na zaplecze sceny inspicjentka żałuje, że Rick będzie musiał pić sok z winogron. Przepisy wewnętrzne całkowicie zabraniają konsumpcji alkoholu w czasie spektaklu. Nie szkodzi, mówi Rick. Mała butelka już i tak czeka na niego w garderobie. Na zapleczu cała technika królewska do naszej dyspozycji. Ja mam siedzieć obok akustyka i dawać mu znak, jak dyrygent, kiedy ma włączyć lub wyłączyć taśmę. Widzowie już na widowni. Ostatni dzwonek. Zaczynamy. I wpadka na samym początku spektaklu. Inżynier światła włącza światła, zanim Rick dotrze po ciemku na miejsce startu.

Ze Sztokholmu, w drodze do Los Angeles, ostatnia noc w Paryżu. Na lotnisku Arlanda, złe wieści. Najpierw wielka kłótnia o trzydziestodwukilogramowy niezbędnik Krappa. Opłacone dwadzieścia trzy kilogramy. Potem informacja o pogodzie we Francji. Kilka centymetrów śniegu sparaliżowało północną część kraju. W tunelu pod kanałem La Manche i w Normandii na kilkanaście godzin utknęło kilkanaście pociągów Eurostar. RER, regionalna sieć podparyska, „doświadcza wielkich kłopotów”. W związku z tym na taksówkę raczej nie można liczyć. Po wylądowaniu na Charles de Gaulle krótka decyzja – Rick przenocuje w lotniskowym hotelu, bo tylko tak mamy pewność, że zdąży na samolot. Oznacza to, że nie będzie żadnego pożegnania Paryża ani znajomych. Rick nadaje swój bagaż, umieszczając w nim kupiony w Helsingborgu watowany płaszcz, w którym chodził po lodowatych ulicach Sztokholmu. Zanim się pożegnamy, ostatnie piwo Ricka w barze lotniskowym. Ze świecą się nad jego głową listą lotów spóźnionych i odwołanych.

Przy kwadratowym stoliku naprzeciw mnie siedzi w szarej, stylowo znożonej skórzanej kurtce z militarnymi, jak na mój osąd, akcentami, w szarej baseballowej czapce z logiem San Quentin. Biała koszula z rozpiętym kołnierzykiem. T-shirt pod koszulą, czarnego koloru. Rick poluzował trochę wełniany szalik, chyba w szkocką kratkę. I patrzy na mnie swymi rozumnymi, niebieskimi oczyma.

Ostatni raz. Od tego czasu wiele telefonów, wymiana e-maili. Ale już się nie spotkaliśmy. Rick odszedł 28 grudnia 2015 roku.

## ZOFIA BESZCZYŃSKA

### Cień

Nożyczkami do paznokci nacięłam mu skórę u nasady włosów.

Pod spodem nie było krwi, tylko gęste czarne futro, wciąż więcej i więcej, gdy zsuwałam skórę gładko jak rękawiczkę.

Wilk nawet nie mrugnął powieką, spał w moich ramionach z ufnością nie-mowlęcia. Jego twarz ciemniała i wydłużała się, ze stóp rosły pazury, gdy różowy brzuch wznosił się i opadał w rytm oddechu. Spał, niczego nieświadom.

A jednak coś było nie tak. Czegoś brakowało.

Jego cienia na ścianie.

Jedyne, czego należy się bać, to cień, przemknęło mi przez głowę w ostatniej chwili.

### Skóra

Wyśliznęłam się ze skóry jak wąż: nauczyłam się tego podczas niezliczonych wędrówek przez pustynne piaski.

Naga jak nigdy, czekam, aż wyrośnie mi nowa.

Wężę wokół mnie skręcają się ze śmiechu

### Rozstanie

Wyszedł z pokoju, opuścił moje życie.

Ale jego ogon, przytrzaśnięty drzwiami, długo jeszcze drgał na podłodze.

## Tam vs Tu

Opuszczam sen, jakbym wracała z podróży. Torby, ubrania. Ach, i jeszcze buty!  
Jeszcze buty? – dziwią się.

I gdy jestem już jedną nogą Tu, ktoś woła mnie z Tam. Mocnym, donośnym  
głosem. Dwa razy.

Czy to znaczy: Wróć do nas? – myślę. – Coś ważnego? – myślę.  
I nie myśląc, robię krok w Tu.

### przedwiośnie

na ziemi kruk  
potrząsa dziobem  
z góry na dół  
z dołu do góry

przeciąga czas  
na drugą stronę

### czytanie haiku:

wycinanie ścieżek  
w ciszy

### niechętnie

dusza niechętnie  
opuszcza ciało

wrony czekają

# JOANNA JUREWICZ

\*\*\*

jestem  
na krawędzi  
brzytwy  
rozcinającej mnie  
światłem rampy  
na świat widzialny  
i świat  
gdzie wszystko  
nawet  
wyjście do teatru  
w letni wieczór  
ma śmiertelne znaczenie

\*\*\*

ukryłeś mnie w sercu  
jak żydówkę w szafie  
z potarganymi włosami  
nie mogę po prostu wyjść  
na jawę  
lecz mogę czekać  
na miarowe stukanie  
którym mnie chronisz  
przed zagładą

\*\*\*

urodziłam się  
głodna  
żyję

\*\*\*

na przekór  
składam swoje ciało  
niepotrzebne  
jak biała bibułka  
do pudełka  
w którym  
poza nim  
nic już nie ma

## STEFAN CHWIN

### Dziennik 2015 (3)

Piknik pod pomnikiem króla.

Poniedziałek, 25 września, ósma wieczorem

Za pięć szóstą wszedłem na mostek nad Radunią koło Ratusza Staromiejskiego, potem dalej, na róg placu, zwalniam, podchodzę bliżej, widzę: pod pomnikiem Sobieskiego – tłum. Transparenty, przemówienia, okrzyki. Ktoś trzyma krzyż metalowy przewiązany biało-czerwoną wstęgą. Wyżej flaga czarno-żółta, dalej flagi biało-zielone, klubu sportowego Lechia. Krótka ostrzyżona kobieta w czerwonej bluzce trzyma tekturę na kiju z napisem „Pani Kopacz demokracja to my nie ty”. A w górze konny pomnik polskiego króla, co Turków pod Wiedniem bił. Młodzian z Obozu Wielkiej Polski w koszuli rozpiętej pod szyją woła do niebieskiej kuli mikrofonu, którą przysuwa sobie do ust: – Czy my mamy trzymać w obozach koncentracyjnych pół miliona tych, co ich nie lubimy? Obok niego dwóch ogolonych na łyso trzyma tekturę z napisami czarnymi: „Metro w Londynie – 200 ofiar, Teatr w Moskwie – 300 ofiar, Szkoła w Biesłanie – 400 ofiar”. Czarne transparenty rozpięte na drążkach wołają czerwonym napisem: „NIE!”.

Tłum duży, pewnie z tysiąc osób, może więcej. Ale krzyczy najgłośniejszy trzydziestu ostrzyżonych narodowców, zgrupowanych na czele. – Za-pier... lić imi-gran-tów! Polska Biało-czer-woni! Za-pier...lić imi-gran-tów! Potem głosy potężnieją: – USA imperium zła! USA imperium zła! Zachód wojny wywołuje, imigrantów nie przyjmuje! A na drzewach zamiast liści będą wisieć islamiści! Ktoś kołysze wielkim transparentem: „Narodowy solidaryzm zamiast multi kulti!”. Przechodzę przez asfaltową jezdnię, podchodzę bliżej, stoję na

chodniku. Młoda dziewczyna w kurteczce obcistej, którą mijam, mówi do drugiej w sweterku z golfem: – Zajeście! To prawie sami Lechiści! Ale pięknie! Jak dobrze! Nareszcie naród się ruszył! – Ludzie robią sobie zdjęcia komórkami, pozują jedni drugim. Trzymają dzieci w wieku przedszkolnym na barana, żeby lepiej wszystko widziały. Całe rodziny, z wózkami.

A krzykacze co parę chwil skandują: – Je...ać imi-gran-tów! Je...ać imi-gran-tów! Je...ać isla-mistów! Małe dzieci na rękach dorosłych to słyszą, może chodzą już na lekcje religii, ale nikomu z rodziców to nie przeszkadza. Człowiek z ruchu narodowego zapewnia podniesionym głosem: – Biedni ludzie nie mają u nas mieszkań, a prezydent Gdańska wita imigrantów i chce im dawać mieszkania komunalne! Nasze stanowisko jest niezmiennie i my będziemy władze trzymać w tym temacie!

Młoda, ładna kobieta o wypukłych ustach i nienaganych zębach woła do mikrofonu: – Cieszę się, że was tu widzę tyłu! Cieszę się, że jesteście asertywni! Jak będą wybory, wybierajcie tylko ludzi stanowczych! Tłum bije brawo. Teraz organizator demonstracji, facet w koszulce bez rękawów, przekazuje mikrofon drugiej kobiecie, która ma jakieś trzydzieści lat, ma na imię Agata, wygląda na feministkę, rudawa, z włosami zaczesanymi za uszy, w obfitym swetrze, w kurtce w czarno-czerwonej kratę. Mówi z uśmiechem: – Chciałam coś powiedzieć jako kobieta, że to jest niesamowite zjawisko w Polsce, ja myślę, że to pewnie żart, że organizacje feministyczne popierają przyływ imigrantów. To taki żart (w tłumie wybuchają śmiechy). Ja mam nadzieję, że wszyscy mężczyźni, którzy tu się zebrali dzisiaj, zrobią wszystko, żeby uchronić nas przed napływem tych ludzi, których widzieliśmy na filmikach w Internecie. Narodowcy na to odpowiadają wyciem: – Pogonimy! Pogonimy! Pogonimy!

Mikrofon dostaje dziewczyna w zielonym płaszczyku. – Zapraszamy do pokojowego podejścia do nas – dziewczyna krzyczy piskliwie w stronę czarnego szpaleru policjantów z plastikowymi tarczami, którzy – dopiero teraz to zauważam – blokują dojazd do Huciska, głównego skrzyżowania w mieście. – Chodźcie z nami, zapraszamy! Chodźcie do nas! Chodźcie do nas! – tłum podchwytuje okrzyki, takie same, jakimi witano kordony milicji w czasach pierwszej „Solidarności”. W głosie kobiety brzmi sugestia: „Wy, młodzi policjanci, jesteście przecież dokładnie tacy sami jak my, tylko musicie słuchać tych łajdackich polityków, którzy tu was spędzili przeciwko nam. Chodźcie z nami! Przejdźcie na naszą stronę!”.

Parę kroków ode mnie kiwa się kolorowa plansza w wesołych kolorach, wykonana najpewniej ręką dziecka: „STOP UCHODŹCOM! Lepiej umrzeć stojąc, niż żyć na kolanach”. Kolorowe literki skaczą wesoło na papierze.



Uśmiechnięta matka niesie córkę na barana. Dziewczynka w różowej kurteczce z kapturem, blondynka, wesoła, pogodna, kiwa planszą w słońcu.

W ogóle widzę wszędzie dużo uśmiechu i pogodnej swobody. Żadnej twarzy wykrzywionej nienawiścią. Spokój, stanowczość, żadnych przepychanek, porządek, luz, żarty, pogoda ducha.

A ja, patrząc na pogodne twarze demonstrantów zebranych pod pomnikiem Sobieskiego, myślę sobie: tak to pewnie właśnie musiało wyglądać na samym początku w Niemczech w 1933 roku. Żadne tam wybuchy jakiejś dzikiej nienawiści do kogokolwiek. Na początku było najzupełniej pogodnie, miło, sympatycznie, a nawet żartobliwie, po prostu uliczny piknik. Ot, po prostu pokrzykiwanie, wesołe szydzenie z obcych kulturowo Żydów, tych imigrantów z Bliskiego Wschodu, gwałcicieli dzieci, przed którymi trzeba bronić niemieckiej kobiety, a potem – co było potem, wiadomo.

Słyszę, jak grupka narodowców wyje na sportową nutę, mocno, rytmicznie, bardziej się bawiąc w groźby, niż grożąc komuś na serio: – Ole, ole, islam pier...ole! Ole, ole, islam pier...ole! Patrzę na ludzi – nie krzyczą z tamtymi, stoją, rozglądają się, rozmawiają ze sobą spokojnie, pogodnie, odprężeni, oparci na kijach z tekturą, na której świeci napis „Cześć i chwała Sobieskiemu”. A po drugiej stronie jezdni samotnie stoją w milczeniu dwie kobiety. Jedna w okularach z pomarańczową oprawką trzyma na piersiach kartkę z komputerowym napisem „GOŚĆ W DOM, BÓG W DOM”. Ludzie spod pomnika spoglądają na nią z niechętną, pogardliwą obojętnością.

Podchodzę do farbowanej blondynki z odrostami w żółtej, skórzanej kurteczce z czarnym stebnowaniem, jakieś czterdzieści lat, która stoi dwa kroki ode mnie.

Mówię do niej: – Oni krzyczą „Ole, ole, islam pier...ole!”. Pani też tak myśli?

Popatrzyła na mnie spod ściągniętych brwi jak na nieświeżą wędlinę. – Odczep się pan. – Odwróciła głowę.

## Wiedeń. Ostateczna klęska Klimta i Schielego

Od wczoraj w Wiedniu.

Wędrujemy po wiedeńskich muzeach, swobodnie, bez pośpiechu i co jakiś czas dech nam zapiera to, co widzimy. Arcydzieło za arcydziełem – paradują przed naszymi zgłodniałymi oczami. I dobrze nam tak ze sobą iść razem pod rękę, przechodzimy z sali do sali, wpadając to na wielką kolekcję Muncha, potem Klimta.

W Leopoldinum aż nas zatyka, pasiemy nasze ziemskie dusze nadziemskim cynobrem, szmaragdem i złotem, mrużąc oczy z zachwytu.

Dopiero po jakimś czasie orientujemy się, że dzieje się wokół nas coś dziwnego. Jesteśmy fotografowani. Ludzie odwracają się od obrazów i robią nam zdjęcia. Bardzo nas to rozśmiesza.

A grupa japońskich turystek? Najpierw krążą wokół nas jak stadko delfinów, strzelając zdjęcia komórkami, potem jedna z nich – piękna, skośnooka, gładkowłosa, w białym sweterku, podchodzi do nas i prosi – tak, prosi! – żebyśmy usiedli na ławce pośrodku sali, bo ona chce nam zrobić zdjęcie specjalne, pozowane. Siadamy na ławce obok siebie, patrzymy w obiektyw, komórka – błysk! – robi nam zdjęcie, od razu kroki, szum azjatyckich głosów, cała grupa Japonek nas otacza, trzepocze, tłoczy się, mówią do nas po angielsku: – Chcemy sobie zrobić zdjęcie z państwem! O, tutaj, przy tej ławce! Czy możemy? – Czemu nie... Chcą sobie zrobić zdjęcie z nami, niech sobie robią. Nic nam z tego nie ubędzie. Otaczają nas wianuszkami, śmieją się, skupiają wokół nas...

Dziesięć czy dwanaście Japonek z Tokio. Przysuwają policzki do naszych głów, szczebioczą azjatycko, uśmiechają się, a jedna z nich, szczupła, smagła, poważna – staje tyłem do arcydzieła Klimta i robi im wszystkim pamiątkowe zdjęcie z nami!

A przyczyna tego wszystkiego? Ach, kapelusz K.? Tak, kapelusz i jej sukienka z narzutką. W całym Wiedniu nie spotkaliśmy żadnej kobiety z takim nakryciem głowy. Białe toczki z czarną i kremową kokardą na czubku, ozdobione woalką z czarnej siateczki, która ładnie przysłania czoło i oczy. Do tego długa sukienka w czarno-brązową łączkę z białym, haftowanym kołnierzykiem i wysokie buty. A narzutka – papieska, z rękawami szerokimi, jak biała pelerynka.

I do tego wszystkiego jeszcze uśmiech K., usta czerwone, na jasnej twarzy, jak kwiat maku na łące rumianków, uśmiech zniewalający, prawdziwa broń masowego rażenia, wobec której od czterdziestu pięciu lat czuję się bezsilny. I one – te Japonki – też zupełnie obezwładnione tym uśmiechem, rozjaśnione, rozgadane, pchają się do K., stają blisko niej, grzeją się w ciepłe, które od niej promieniuje. A każda z nich w wąskich czarnych spodniach, bluzce z krótkim rękawem, przylizana gładko, w butach na płaskim obcasie. Wszystkie!

A my na ich tle – jak przybysze z Marsa, jak goście prosto z dziewiętnastego wieku, jak dwa ptaszki kolorowe z Polski! – K. papuziasta, uskrzydłona pelerynką, kokardowa, woalkowa, ja – czarny kruk z białą brodą, w czarnym kapeluszu, w płaszczu czarnym z kołnierzem na stojącej. Zawieruszyliśmy się wśród arcydzieł i ludzi, wystawiliśmy się na strzały błyskowe komórek dziesięciu czy

dwunastu Japonek, które nigdy by się nie ubrały tak jak K., dlatego chcą mieć zdjęcie z kobietą w toczku z woalką, która przyleciała do Wiednia z Marsa?

I nagle znikną obraz Schielego i Klimta, do których Japonki odwracają się tyłem, by lepiej wyglądać z nami na zdjęciu. Żegnajcie biedne arcydzieła w roześmianym tunelu chwilowego zapomnienia! Fiu! Nie ma was!

Zawsze uważałem, że nawet najwspanialsza katedra gotycka nie ma żadnych szans przy kobiecie w kapeluszu.

### Ucieczka, Wiedeń, dziecko

Jesteśmy na wystawie Muncha w Albertinum. Sala zielona, na ścianach rysunki Muncha z cyklu *Chore dziecko* – na rysunkach smutek dziecięcego umierania, rozpacz rodziców.

Do sali wchodzi dwoje turystów. Z widoku Hindusi albo Pakistańczycy. On – w białym, ciasnym turbanie – kiwa głową w stronę rysunków Muncha, mówi do niej po angielsku: – Chore dziecko... Ona – w czarnej chuście – patrząc na rysunek, krzywi się, jakby rozgryzła cebulę, wydyma wargi, wydaje cichy odgłos: – Brr...

Po czym oboje szybko opuszczają salę, przebiegając ku wyjściu przez tłum białych ludzi wpatrzonych w dziewczynkę umierającą na obrazach Muncha.

### Wiedeń, 9 października 2015

Wczoraj promocja *Ein Deutsches Tagebuch* w sali wystawowej na Am Gestade z udziałem Martina Pollaka, a dzisiaj obiad w *gasthausie* koło Opery. Zaprosili nas mili państwo J. Ona – austriacka Polka, profesor medycyny w wiedeńskiej klinice, on, jej mąż, tajemniczy, austriacki Polak, mądry, wykształcony, białowłosy przystojniak, który razem z nią trafił do Austrii w 1980 roku. – To już trzydzieści pięć lat od tamtego czasu – mówią na wstępie, zamawiając dania z karty, eleganccy, uprzejmi, pogodni, ale potem? Nagle jakieś zaostrenie tonu, ostrzejsze słowa, zmrużone oczy, gdy mowa o imigrantach islamskich, których w Austrii coraz więcej. Ona w garsonce w czarno-białą kratę, owalne szkła okularów w stalowej oprawce, w uszach długie, kołyszące się wisiory ze srebrnego łańcuszka, naszyjnik z dyskretnych kamieni, spokojne promieniowanie wyższego statusu, akademickie sfery, naukowy życiorys imponujący,

specjalność: biologia molekularna nowotworów, włosy ładnie zaczesane do góry, siwiejącą falą, w stylu, jaki widzieliśmy na Kaertner Strasse, prawie nasa rówieśniczka, ale nagle te tony ostrzejsze, mocniejsze, gdy mówi o imigrantach, chociaż sama była imigrantką polską solidarnościową – i prawdziwy strach w jej oczach przed – jak mówi – inwazją. – To inwazja, prawdziwa inwazja – powtarza – bo – jak mówi – widziała w Internecie, jak zachowują się arabscy imigranci. – Tak nie zachowują się prawdziwi uchodźcy, ja wiem, jak wyglądali prawdziwi uchodźcy z 1939 roku. Niemcy całą naszą rodzinę wypędzili z Wielkopolski do Generalnej Guberni, obrabowując ze wszystkiego. – Ta rana rodzinnego wypędzenia ciągle w niej pulsuje, wiecznie niezagojona czy raczej chodzi jeszcze o coś innego, utajonego, skrywanego, wstydliwego, jak ból, którego źródeł ona nie chce odsłonić?

Ruchy rąk staranne, kulturalne, widelcem zręcznie nabiera sałatkę na talerz, łokcie dobrze ułożone przy biodrach, nie za szeroko, wspięła się po austriackiej drabinie wysoko, ma w wiedeńskiej klinice własne laboratorium, gdzie prowadzi poważne badania, wykląda, uczy studentki medycznego fachu, ale teraz mówi przede wszystkim o różnicach kulturowych między Austriakami a uchodźcami. – Tak nie wyglądają prawdziwi uchodźcy – kręci głową, mrużąc oczy za szklami. – Widział pan ich plecaki, najlepsze marki, w tych obozach sami młodzi, silni mężczyźni, w tych plecakach miewają noże. To dzicy ludzie. Burmistrz jednego z austriackich miast kazał rozwiesić na murach informacje po arabsku, że nie należy załatwiać się na ulicy, na przykład przed wejściem do kawiarni, rozumie pan, bo u nich, w Afryce, załatwianie się na ulicy jest rzeczą zwykłą, więc trzeba takie ogłoszenia rozwieszać. A w obozie dla tych niby-uchodźców wybuchała czerwotka i nie o to chodzi, że to czerwotka, tylko o to, że to są szczepy bakterii nieznanne w Europie i austriacka służba zdrowia nie może nic z tym zrobić, bo nie ma stosownych lekarstw, a wśród ludności austriackiej są już pierwsze zachorowania. To są choroby nieznanne w Europie, na które biali ludzie nie są odporni. I do tego brud, oni są brudasami, nie znają zasad higieny.

– Wie pani – przerywam jej – dokładnie to samo o Polakach mówili Anglicy w Anglii i Amerykanie w Ameryce.

Ale ona nie chce tego słyszeć. – To nie jest żadna antyimigracka propaganda, tylko fakty, rozumie pan? Ja mam wiadomości z pierwszej ręki od austriackich lekarzy. Zagrożenie epidemiologiczne jest najzupełniej realne, a telewizja, prasa – nic. Woda w usta. O tym nie wolno mówić. A pamięta pan, co się działo w Polsce, jak była inwazja Wietnamczyków? Ja pamiętam z Krakowa,

bo tam pracowałam w klinice. Wybuchła prawdziwa epidemia amebiozy. Myśmy tego nie mogli wyleczyć w klinice, bo nie było stosownych leków. A potem przez parę lat zgłaszali się do nas pacjenci z amebą i nie można było im pomóc. Męczyli się przez parę lat. Ale o tym też nie wolno było pisać.

Mam na końcu języka: – Przecież dokładnie to samo o Żydach mówili Niemcy w 1933 roku: że roznoszą choroby! – ale potem waham się, bo ona mocno podkreśla, że mówi tylko o faktach, tylko o samych faktach, o niczym więcej. Mówi jako lekarz, co podkreśla. I boi się „ich” prawdziwie.

– To są ludzie z innego świata. Niebezpieczni. Dam panu przykład: na oddział do sali operacyjnej przychodzi islamska praktykantka, trzeba operować, potrzebna jej pomoc, ona powinna się przebrać w strój operacyjny, ale ona tego nie robi, bo nie wolno jej zdjąć chusty. Rozumie pan, ona w chuście, w której chodzi po ulicy, chce pomagać w operacji, na co lekarz nie może się zgodzić. A ona upiera się, że chusty nie zdejmie. Pacjent leży na stole, czeka na zabieg, a ona nie chce zdjąć chusty i nie można rozpocząć operacji.

To samo u ginekologa. Przychodzi muzułmanka z jakąś dolegliwością, żąda, by zbadala ją tylko kobieta, bo tak jej kazał mąż, a na oddziale szpitalnym nie ma lekarza-kobiety, dyżur ma tylko męzczyzna, ona się zwiija z bólu, ale nie dopuszcza do siebie lekarza-męzczyzny, który stoi bezradnie – przez nią odpędzany! Nikt nie może jej udzielić pomocy. To jest obca kultura, niebezpieczna!

Moja humanistyczna dusza buntuje się przeciw temu, co słyszę, bo wygląda to na czysto rasistowski stereotyp, ale ona zapewnia, że mówi o faktach i tylko o faktach. Czy nagi, rzeczywisty fakt, może być „rasistowską kliszą”?

Mówię do niej, że widziałem w Polsce demonstrację, na której tłum wył: „A na drzewach zamiast liści będą wisieć islamisci”, słyszałem na własne uszy to wyjące żądanie wieszania ludzi, ale mój humanistyczny protest kruszy się, słabnie, wątleje – bo co zrobić z przeklętymi faktami? Te fakty szczerzą się szyderczo i nic sobie nie robią z mojego humanistycznego oburzenia. One po prostu są. Nie da się ich wymazać.

A ona jeszcze do tego dorzuca: – W aptece znajomych Austriaków pracowała dziewczyna w chuście. Bardzo byli z niej zadowoleni. Sumienna, zdyscyplinowana, mądra. Aż tu pewnego dnia dziewczyna, nie wiedzieć czemu, nie przyszła do pracy. I żadnej wiadomości. Po prostu znikła. Dopiero po paru dniach oni się dowiedzieli, że tę młodą, świetnie mówiącą po niemiecku muzułmankę, wykształconą farmaceutkę ojciec przemocą wydał za jakiegoś starego islamistę i przemocą wywiózł na Bliski Wschód. Przemocą, nie pytając jej o zdanie! Dorosłą, samodzielną, wykształconą kobietę porwano

i wywieziono! I takie rzeczy dzieją się w Austrii! To jest obca, zupełnie obca kultura, przed którą trzeba się bronić.

Siedzę w austriackim *gasthausie*, przy austriackim stole, jem austriackie jedzenie, patrzę na austriacko-polską profesor J. i nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Jako była imigrantka z Polski powinna wczuwać się w los arabskich uchodźców, ale wcale się nie wczuwa. Tamto swoje własne imigranckie doświadczenie z roku 1980 zupełnie wymazała z pamięci, chociaż jako imigrantka na początku z pewnością nie miała – podobnie jak Arabowie – w Austrii lekko. Mówi to wszystko o imigrantach dlatego, że zajmuje dobrą pozycję w austriackiej hierarchii i każda myśl o zachwianiu przez „obcy czynnik” tej austriackiej hierarchii wprawia ją w popłoch? A może ona mówi po prostu prawdę, o której moje humanistyczne serce nie chce słyszeć?

14 października 2015. Dziecko Hindusa

K. opowiedziała mi właśnie historię znajomego z Inowrocławia.

Grzegorz G. – bezrobotny emeryt, dawniej sprzedawca w sklepie z lampami – dowiedział się, że jego córka urodziła dziecko Hindusa. Od razu ją przeklął. – Ja już nie mam córki! – krzyczał, tłukąc się po całym domu od ściany do ściany. Nie chciał jej widzieć na oczy. – Jak ja mógłbym pokazać się na ulicy z wózkiem z dzieckiem czarnego! Na samą taką myśl cierpła mu skóra. Co powiedzą krewniacy, sąsiedzi, koledzy od piwa, kumple od wódki?

Lęk przed ośmieszeniem przez innych? Paraliżująca niepewność własnej wartości, a z niej fundamentalna niesamodzielność sądenia? Wszyscy boją się wszystkich, żeby tylko nie odstawać od reszty? Przecież każdy wie, że mieć w rodzinie dziecko czarnego – po prostu wstyd! Polacy jako społeczność wzajemnego strachu, pilnująca się, by nikt się nie wychylił?

A tu jeszcze niektórzy plotą, że główną wadą narodową Polaków jest nadmierny indywidualizm!

Polska wiejsko-małomiasteczkowa nienawidzi indywidualizmu z całej swojej narodowo-katolickiej duszy? Być tacy sami jak wszyscy – oto codzienna Ewangelia Polaków? Małe miasta i wsie – tchórzliwa uległość wobec proboszcza, który zawodowo zajmuje się formatowaniem wszystkich wedle jednego wzoru i straszy wszelkim odchyleniem od normy? Broń Boże tylko nie odstawać od reszty? Naturalny, wiejski rasizm Polaków?

Ale Grzegorz G.? Co z nim?

Nienawidził, póki nie zobaczył. Jak zobaczył, zmiękł. Córka przyjechała. Odwinęła z pieluszek. Pokazała. Dziecko czarne: śliczna, śniada, czarnooka dziewczynka z kręconymi włoskami. Przełamał się. Wziął na ręce. Nawet pocałował w czótko.

Ale córce nie może wybaczyć do dziś, że zrobiła mu coś takiego.

Przepaść między resztkami polskiej inteligencji, która kocha Różnicę i ma-łomiasteczkowo-wiejskim polskim ludem, który Różnicę nienawidzi? A korpo? A nauczyciele? A urzędnicy? Przecież oni tak samo boją się Różnicy jak pierwszy z brzegu wiejski obywatel z Inowrocławia, Pabianic czy Ustrzyk Dolnych, wsłuchujący się pilnie w głos Świętego Radia!

21 października. Pisarz, czas i śmierć

Czujemy, że schodzimy w dolinę chorób. Gdyby nie K., byłbym tam od dawna. Czasem mówię do niej: – Ty jesteś moja dusza wolicjonalna. Chcę żyć tylko wtedy, kiedy ty chcesz, żebym żył. Nie mam wyjścia – żebym żył, ktoś musi mnie wyciągać codziennie za włosy ze śmierci, ku której ciążę jak ołów ku ziemi.

Więc dzisiaj zabieg. W prywatnej klinice doktora S. na dalekich przedmieściach Warszawy, którą nam polecili Agnieszka W. i Roman B., znajomi architekci z Marymontu. W dzieciństwie wierzyłem, że ludzie na starość drewnieją, tracąc wrażliwość na ból. Ale nic z tego! Zupełny bezsens bólu na starość uderza we mnie z wielką siłą. Żadnego tam drewnienia, tylko wyostrzona, obezwładniająca wrażliwość na najmniejszy dotyk, poczucie pełnej bezbronności.

Siedzę w poczekalni z welflonem wbitym w wierzch dłoni. Pod skórą igiełkowate ukłucia, prawie przyjemne, jakby żyłami wędrowały gorące mrówki. A za ścianą?

Za ścianą krzyki torturowanej kobiety. Wyjąc z bólu, wybrała jedną spółgłoskę, bezbronną, dziecienną. – Ła, ła, ła! – krzyczy co chwila, to wyższym, to niższym głosem. Lekarze ją pogodnie uspokajają i karcą. – Żle się pani przygotowała do badania. Trzeba było wypić trzy litry wody przegotowanej, ale ona tylko wyje miarowo: – Ła, ła, ła! – Niech się pani uspokoi – mówi lekarz bez zniecierpliwienia. Siedzę pod drzwiami i wszystkie nerwy grają mi echem tego bólu zza drzwi. Odbrzmiwam bez żadnego współczucia, tylko w rosnącym strachu, że mimo znieczulenia może mnie to samo spotkać. Tak czuli się

pewnie mężczyźni, w których obecności Niemcy torturowali kobiety. Przez głowę przelatują mi obrazy męczarni, o jakich myślałem w dzieciństwie, czytając książki o Auschwitz i gestapo. Kobieta wyje coraz mocniej, czuję dreszcz na karku, skóra cierpnie na plecach, bo ból zza drzwi jest rozdzierająco dziecięcy.

Bardzo mi pomaga obecność K. Bez tej obecności przestaję istnieć. Ubrała się pięknie: śliwkowa sukienka płytko wycięta pod szyją, na głowie czerwony toczek z woalką, twarz, od której nie mogę oderwać oczu od czterdziestu pięciu lat, usta, ciepłoczerwone, wypukłe, delikatne, pięknie wykrojone, delikatne gesty, łagodne i stanowcze, sama jej obecność jest uzdrawiającym ciepłem, bez którego życie wycieka ze mnie jak woda z pękniętego dzbanka.

Wycie za drzwiami milknie. Słyszę jakieś pomrukiwania, brzęk lekarskich narzędzi, z lekarskiego gabinetu wychodzi kobieta. Ma pewnie z sześćdziesiąt lat, krótko ostrzyżona, zaczesana do góry, pod okiem gruba, sina brodawka, oczy czerwone od płaczu. Jest w ciasnych spodniach, chwieje się na nogach, podchodzi do krzesła, siada, mówi ni to do nas, ni to w pustkę: – Wypiłam tylko trzy saszetki, tylko tyle wypiłam. Tej wody to nie wypiłam. Nie może dojść do siebie, jak pijana kiwa się na krześle, wyciągnięta z bolesnego wycia, głęboko oddycha z dłonią przyłożoną do piersi.

Wychodzi lekarz. – Proszę, niech pan wejdzie. – Zaprasza mnie do przechodniej łazienki. Rozbieram się, czekam chwilę, wchodzę do gabinetu, lekarze mili, uśmiechnięci. Siadam na długim stole. – Proszę niech się pan położy na wznak, a teraz na boku. Wykonuję wszystkie polecenia. Pielęgniarka zakłada mi na palec kardiologiczny spinacz. Jednym okiem widzę zielony ekran monitora, po którym wędruje świetlista kropka rytmu uderzeń mojego serca.

Ale strach nie ustępuje. Pielęgniarka wtyka w welflon igłę strzykawki, przezroczysty płyn wlewa się do żyły, przysmykam oczy, pytam lekarza: – Powinno mi się kręcić w głowie? – Właśnie tak – mówi lekarz z uśmiechem. Jest bardzo uprzejmy i miły.

Otwieram oczy. Nade mną nachylona twarz pielęgniarki. Pytam: – Kiedy zaczniecie państwo zabieg? – Kiedy? – śmieje się pielęgniarka. – Jest pan już po zabiegu. – Po zabiegu? – Rozglądam się po pokoju. – Już po wszystkim. Jak się pan czuje? – Oddycham głębiej, z obawą, że śnię. – Czuję się dobrze – odpowiadam. – A wstać pan może? – Mogę. – To niech pan spróbuje. Opuszczam nogi na zielone linoleum. Powoli się ubieram, ale świat widzę jak przez szybę z falistego szkła. Trochę mi słabo.

Zaraz... Gdzie ja byłem przez te piętnaście minut, bo rzucam okiem na zegarek i widzę, że minęło piętnaście minut? Czy te minuty liczą się do mojego



życia? Czy wtedy żyłem, czy nie żyłem? Nie pamiętam nic. Żadnych obrazów. Tylko zamknięcie i otwarcie oczu. Nagła nieobecność, krótka jak mgnienie?...

To mnie utwierdza w moim bezstrachu. Nigdy nie bałem się śmierci. Jeśli śmierć jest takim stanem, w jakim właśnie byłem przed chwilą, to nie ma się czego bać. Przecież wszyscy znamy ją doskonale, tylko sobie wmawiamy, że jej nie znamy. Ileż to razy w życiu zdarzają się nam chwile nieistnienia. Dobra nazwa: przerwa w życiorysie. Czysta nieobecność, tak bezbrzeżna, że nie do zauważenia? Dopiero po przebudzeniu wyobraźnia buduje ciągłość naszego „ja”, która jest poza wszelkim odczuciem i doświadczeniem? Mamy za sobą wiele śmierci, więc czego tu się bać, skoro śmierć, która nas czeka, znamy na wylot, równie dobrze jak życie? I wiele razy ją zwiedzaliśmy ciałem i duchem?

Więc przez te piętnaście minut nie żyłem? Byłem w stanie śmierci? Jakże to bać się śmierci, jeśli jest taka?

K. odwiozła mnie z kliniki do hotelu literatów. Położyłem się szybko w małym pokoju z widokiem na Stare Miasto i plac Zamkowy, nakryłem głowę kołdrą, zasnąłem. Sny miałem gęste od obrazów, mocne jak życie. Ale ileż to razy śnimy bez żadnych snów, zasypiając i budząc się właściwie w tej samej, jednej chwili? Czy ten bezzczas, w który co jakiś czas wpadamy ciałem i duchem, to właśnie śmierć, zupełnie bezzasadnie nazywana Nieznanym?

Kolacja u ateistów, 26 listopada 2015

Dzisiaj od rana lekkość w otwartej duszy, światło, coraz częstsze momenty spokojnej, rozjaśniającej radości, że już niedługo nie będę musiał oglądać świata. Pustka przyciąga mnie jak magnes, nic w niej nie widzę przerażającego, przeciwnie: mój brak strachu przed śmiercią łączy się z nadzieją na intensywny wypoczynek w czarnej kołysce nicości, a poza tym duża to jest przyjemność nie być podobnym do ludzi, którzy od rana do wieczora pompują się strachem przed śmiercią, niskim i paskudnym. Ich egzystencjalny egoizm, kurczowe trzymanie się życia pazurami zawsze mnie brzydziły. Zawstydzająco podobni do spłoszonych zwierząt, wyjących ze strachu na widok zbliżającej się śmierci?

Ale czy tylko ja tak to odczuwam?

Czy raczej gra we mnie membrana czasu?

Wczoraj kolacja u Andrzeja R., architekta po studiach we Frankurcie i Lyonie, w tonacji dziwnej, krwawo-zabawnej, niespodzianej w przeskokach od zdziczałej

powagi do arlekinowych wybuchów śmiechu. Zaprosili nas do siebie po piętnastu latach milczenia. Mieszkanie duże, pod samym dachem, wyremontowane, z ukośnymi oknami, w starej, poniemieckiej kamienicy, dobre miejsce, brukowana ulica, górny Sopot, pod lasem, estetyka wewnątrz angielskich barów ze sztychami na ścianach i terakotową podłogą, tysiące książek, kuchnia jak z programów telewizyjnych o dobrym jedzeniu. Gospodarze zabawni, inteligentni i lekko przerażający w swoim jawnym, autoszyderczym ateizmie, który uważają za naturalny jak oddychanie. – A po wszystkim czarny dół i koniec! – śmieje się Andrzej R. i nie ma w tym wyznaniu nic wymuszonego czy prowokacyjnego, lecz raczej łatwość od dawna przemyślanej konstatacji, złączona z prawdziwym wstrętem do ludzi Kościoła. Janka, jego żona, szydzi na całego ze wszystkiego, aż jej łzawią oczy z radości, bo – jak mówi – klechów nie cierpi równie mocno jak mąż.

Czego się boją? Czyż to pytanie nie mówi o nich najwięcej? Więc czego się boją najbardziej? Ona miała kiedyś jakąś nowotworową przygodę, on – nie znam jego dolegliwości, ale czuję, że on panicznie boi się naturalnej śmierci. Czyż nie jesteśmy w tym podobni? Miał ojca, który zmarł po wylewie, przez całe miesiące widział go sparaliżowanego, powraca do tamtych chwil z przerażeniem, bo ten długotrwały paraliż ojca wisi nad nim jak projekt jego własnego umierania?

Podczas rozmowy – nad pieczoną kaczką z buraczkami – żarty z Alzheimera. Ileż to już razy, w iluż to domach słyszałem już żarty podobne. Przerazenie autentyczne przerobione na groteskową opowieść, która śmieszy, mroząc krew w żyłach? A u Andrzeja R. nagle autoszydercze prośby do żony, namolnie parodystyczne, błagalne: – Słuchaj, jak ja popadnę w Alzheimera, wrzuc mi truciznę do herbaty! Na co ja z ledwie skrywanym rozdrażnieniem: – Nie wrzuci na pewno, bo wie, że grozi jej prokurator. Więc ten jego strach wcale nie jest strachem przed śmiercią, lecz raczej przed obrzydliwością końcowego upadku? Mówię do niego: – Byłoby pięknie, gdyby Alzheimer był łagodnym, pogodnym zbydłęcieniem. Po prostu tracimy świadomość siebie, pogrążając się w nastroju roślinnej wegetacji i koniec. Ale nie ma tak dobrze. Janka, żona, z wykształcenia psycholog, po praktyce w zakładach psychiatrycznych w Szwajcarii, rozwiewa wszelkie nadzieje. Opowiada o Alzheimerze bez złudzeń, odsłaniając całą ohydę tego stanu. Mówi o gwałtowności, niepokoju, furii i agresji alzheimeryków, którą widziała na własne oczy w zakładach zamkniętych. Alzheimer to nie jest żadne pogodne odchodzenie w łagodnym zidioceniu.

To właśnie ta strona Alzheimera przeraża Andrzeja R. najbardziej – i mnie także. Janka, krojąc nożycami kaczkę, mówi o przypadku, gdy ojciec

alzheimeryk rzucał się z nożem na własną córkę, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, co robi.

– Więc mam – pyta Andrzej R. – wstępować w to piekło, bo tak chcą katoliki? Zgadzać się na ohydę takiego umierania, bo katoliki mają obsesję, że wszyscy muszą umierać śmiercią naturalną? Jak katoliki chcą umierać w taki sposób, proszę bardzo, niech sobie umierają. Ale dlaczego mnie zmuszają do tego, żebym tak umierał? – Jedyne wyjście – to jakoś takiej obrzydliwości uniknąć.

– Ale jak? – pyta Andrzej R., który widzi sprawy konkretnie. Jak wyczuć moment, w którym już się zaczęło wchodzenie do brudnej rzeki Alzheimera? Kiedy, w jakiej chwili odebrać sobie życie, by zdążyć przed degrengoladą? – Trzeba to zrobić dziś albo jutro rano! – śmieje się Andrzej R., ale pod tym śmiechem wyczuwam prawdziwy strach. Bo kiedy alzheimeryk traci zdolność decydowania o sobie, traci równocześnie możliwość odebrania sobie życia. Przecież już teraz – gdy tak sobie siedzimy nad kaczką pieczoną z buraczkami w pięknym mieszkaniu w górnym Sopocie – może się w nas zaczynać wstępna faza Alzheimera. Co zrobić, żeby nie wejść w fazę drugą, najgorszą?

– Chory na Alzheimera w fazie drugiej – mówi poważnie Janka – traci kontrolę nad własną higieną, robi pod siebie, bawi się własnymi ekskrementami i wkłada je sobie do ust. – Oto perspektywa, która nas czeka. Dla Andrzeja R. jest tylko jedna sprawa, do której uporczywie powraca: co zrobić, żeby tego uniknąć?

Ja sam modlę się wieczorami, żeby śmierć zdążyła mnie dopaść jeszcze przed Alzheimerem. Niech Bóg zrobi mi tę uprzejmość i zabije mnie przed obrzydliwym upadkiem. Ale jeśli tego nie zrobi? Jeśli zignoruje moje modlitwy i prośby? Jak wyczuć moment, kiedy należy powiedzieć „dość!”?

Andrzej R. śmieje się zaczepnie w stronę żony: – Jak zapadnę na Alzheimera, wsyp mi truciznę do herbaty! – Truciznę? Masz truciznę? – pytam go nad stołem z sałatkami i kieliszkami – Skąd masz? – Andrzej R. śmieje się jeszcze bardziej, aż mu łzawią oczy. – Mam arsenik. A skąd? Ze szkoły. Jak byłem w szkole podstawowej w Olsztynie, wyniosłem arsenik, sól i potas, szklane buteleczki, z pracowni chemicznej. – To pewnie już zwietrzał. – Nie, nie zwietrzał. Ma dobry szklany korek. Sprawdzałem.

I nad aromatyczną kaczką z buraczkami zaczynamy rozmawiać o tym, jak działa trucizna, bo chodzi nam o szybką, bezbolesną śmierć, a nie jakieś obrzydliwe skręcanie się w bólach brzucha. A K. dorzuca z boku: – Nasza znajoma podobno niedawno kupiła sobie cyjanek.

A więc jest nas już całe stadko? Gdzież się podziała moja dumna różnica, która mnie wyodrębniała ze świata? Więc wszystkim chodzi po głowie to

samo, lecz tylko niektórzy odważają się o tym powiedzieć głośno? Z wysokiej dumy mojego wyodrębnienia nagle spadam w błoto banalności powszechnego strachu przed obrzydliwością końca?

Patrzę na Andrzeja R. Zrobimy to kiedyś? Odważymy się? Zdążymy zrobić to przed Alzheimerem?

26 grudnia 2015

W Drugi Dzień Świąt staliśmy nad grobem matki. Cmentarz na Ujeścisku, tuje, świerki, jałowce. Padał deszcz. Grób przechylił się i zapadł od majowego pogrzebu. Pochyleni, stawialiśmy w deszczu znicze, zapalaliśmy. Na płaszczach i kurtkach krople, bębnienie w parasole. M. w sportowej kurtce, z czerwonym zniczem w palcach, mówił do matki żartobliwie i czule, nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. Lekkość żartu nad grobem, prawdziwa powaga uśmiechu. A. w kurtce z kapturem dorzucał swoje. Stali w deszczu obok nas nad zapadniętym grobem i mówili do niej tak, jakby ich słuchała spod ziemi. Jej obecność nagle stała się rzeczywista. Prawdziwa rozmowa z kimś po tamtej stronie.

– Babciu grób zapadł się, krzyż przechylił, ale nie martw się, na wiosnę wszystko naprawimy. Wiesz, na ziemi wygrało PiS, pewnie się cieszysz, ale u nas cienko idą sprawy. I nie zrzucaj, proszę, obrazków ze ścian, nie chodź po nocy po mieszkaniu na Ujeścisku, tylko powiedz nam, jakie numerki wygrają w totolotka w przyszłym tygodniu. Przecież możesz to zrobić. Wystarczy parę słów.

Ta żartobliwa współobecność, ta rozmowa z kimś, co leży pod ziemią, była piękniejsza niż wszystkie modlitwy. Oczyszcziliśmy mokry grób z jesienno-zimowego śmiecia, powyrywaliśmy zeschnięte kwiaty, wyrzuciliśmy zbutwiałe liście, włożyliśmy do wazonika gałązkę uciętą z naszej domowej choinki i zawiesiliśmy dwie bombki. – Widzisz – mówił do matki M. – takie kolory, jak lubiłaś. Jedna bombka złota, a druga niebieska. Patrzyliśmy na to wzruszeni. K. w białym płaszczu, w wełnianej, kremowej czapce, pod białym parasolem, ja w czarnym płaszczu, w szyprówce, pod parasolem czarnym. A. w czarnej kurtce z kapturem, M. w kurtce czerwonej, nieprzemakalnej, z kropelkami deszczu na policzkach. Magdalena w kurtce granatowej z futerkiem przy kapturze. Malutka O., w różowym kombinezonie, biegła między grobami, dwuletnia, nasłuchująca, uważnie patrząca na nas.

A wszystko to dzięki K., która jest światłem naszej rodziny. Bez niej nie byłoby nic.

26 grudnia 2015, po południu pojechaliliśmy  
do kościoła obejrzeć Stajenkę

Przed wejściem do świątyni ustawili drewnianą stodołę, w drewnianej stodole zamknęli zwierzęta. Z dziećmi idą uśmiechnięci do Stajenki, po drodze wchodzi do ciemnej budy, w której w drewnianych zagrodach: brudny, osowiały konik, drżące z przerażenia króliki, wciśnięte do niskiej klatki, kury szarpające się rozpaczliwie w ciasnym kojcu z zardzewiałego drutu.

Lęk zwierząt na widok ludzi. Kwaśny zapach odchodów i sierści. Śmiechy dzieci, pokrzykiwania, wytykanie palcami, drażnienie, znudzenie, marudzenie. Wstrętne przyjemność oglądania żywych, czujących stworzeń zamkniętych w klatkach jako zabawa wędrowców do Stajenki.

Tak to wyglądało, gdyśmy wchodzili z wnuczką do kościoła Świętej Trójcy w Gdańsku w Drugi Dzień Świąt.

Do budy tylko zajrzałem. Od razu się cofnąłem. Dwuletnia wnuczka też – mimo zachęt – nie chciała tam wejść.

Miała na sobie różowy kombinezon, czapkę z kokardą i ciepłe wygodne buty. Mżył szary, świąteczny deszcz. Niebo było czarne.

I moja w tym wszystkim półobecność, oddalenie, jakby zza zamglonej szyby. Niby obecny, a nieobecny. Więc gdzie ja jestem naprawdę, skoro tylko częściowo jestem tutaj? Gdzie jest prawdziwa łódź mojego istnienia? Moje ślady i głosy, odcisnięte na śliskim szkle powietrza jak próbki krwi na szkiełku?

W nocy sny odnawiające. Wchodzę nagle do dużej sali. Zatrzymuję się przed ławkami, w których siedzi trochę ludzi. I nagle, przygryzając wargę z wysiłku, zaczynam powoli, krok po kroku, wchodzić po niewidzialnych stopniach powietrza coraz wyżej, wyżej... Ludzie patrzą na mnie przerażeni, a ja trzymam się niewidzialnej poręczy i po kolejnych zgęszczeniach powietrza wchodzę coraz wyżej i wyżej... Potem miękko opadam w dół, znów stoję mocno na podłodze, podchodzę do człowieka w pierwszym rzędzie, obejmuję go w pasie i razem z nim wznoszę się powoli, powoli... On przerażony, zeszywniałe ze strachu, zimny w moich objęciach, jak trup... Razem unosimy się dwa, trzy metry nad podłogę... i zawisamy w powietrzu...

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

## Małe szkice

Niebo gwiaździste

„Widząc szczyt nieba, gwiazdami zasłany”  
(Juliusz Słowacki)

Kiedy w latach sześćdziesiątych znalazłem się na krótko w wielkiej zachodniej metropolii, w pewnym momencie spostrzegłem, że gwiazdy są niewidoczne, nawet gdy niebo było idealnie czyste, chmury niczego nie zasnuwały, a pogodę także w środku nocy można było określić jednym krótkim przymiotnikiem – „piękna”. Po chwili zrozumiałem, że o tym, co mogłoby się wydawać zanikiem, decyduje bogate miejskie oświetlenie. Księżyc wprawdzie ono nie eliminuje, ale gwiazdy czyni niewidocznymi. O tym, że w wielkim mieście nocą nie warto zadzierać głowy do góry i kierować spojrzenia w przestworza, niewątpliwie decydował cywilizacyjny postęp i dbałość o wygodę mieszkańców, bo ważne stało się to, co się widzi na poziomie oczu i poniżej. Kiedy „wiek XIX gasł, jak gasną gazowe latarnie” (kto dzisiaj należący do młodszej generacji zidentyfikuje cytat i wskaże autora tych słów?), gwiazdny spektakl na niebie postrzegało się zapewne bez trudności. Po powrocie do Warszawy przekonałem się, że również pod tym względem różni się ona od miasta, w którym spędziłem przed półwieczem dwa, a może trzy tygodnie. Uliczne latarnie, niewątpliwie już nie gazowe, rozmieszczone w sporej od siebie odległości, świeciły słabo, w niewielkim stopniu zatem ułatwiały życie nocnym wędrowcom, ale niczego nie zasłaniały. Pod tym względem stolica nasza upodobniła się do innych wielkich miast europejskich trochę później.

Nie ma już, przynajmniej z pozoru, nieba gwiaździstego nad nami, czy pozostało prawo moralne – w nas?

20 X 2015

## Upadek Paryża

To oczywiście zapamiętałem dobrze, mimo że nie miałem jeszcze pełnych pięciu lat: byliśmy w śródmieściu, wokół padały bomby, z wielkim hukiem waliły się domy, chroniliśmy się w piwnicy, zbiegaliśmy do niej po usłyszeniu alarmu. Było to bezpośrednie doświadczenie, łączyło się z grozą i lękiem, uczyło dziecko, co znaczy słowo „wojna”. Zastanawia mnie rzecz inna: jakie było pierwsze wydarzenie, które działo się gdzieś daleko, a więc różniło się od niemieckich bombardowań Warszawy i – jak mogłem naiwnie sądzić – mnie nie dotyczyło. Sięgając pamięcią w odległą przeszłość, jestem prawie pewien, że był to upadek Paryża. Zapamiętałem, że mówiło się o tym jako o czymś strasznym, wręcz niewyobrażalnym, jakby stało się coś, co stanowi zapowiedź końca świata, a może już nim jest. Nie mogło to do mnie nie dotrzeć, nie mogłem nie usłyszeć tego tonu, którego przecież na co dzień się nie używa nawet w marnym czasie, rozpaczliwego, żałobnego. Czy już wtedy wiedziałem, co to jest Paryż? Chyba jeszcze nie, choć niewątpliwie pojmowałem, że to coś ważnego i że wiąże się z nim nieszczęście; z tego właśnie powodu wszyscy wokół boleją i są w jeszcze gorszym nastroju niż zwykle. Może zapamiętałem formułę „upadek Paryża”? Świadom jestem, że natrafiłem na nią znacznie później, kiedy w latach licealnych wpadła mi w ręce głośna wówczas powieść Ilii Erenburga. Przeczytałem ją, ale nic z niej obecnie, poza tytułem i okładką przedstawiającą w miniaturze słynne paryskie budowle, nie pamiętam. Bez porównania lepiej utrwaliła się w pamięci ponura wieść, usłyszana we wczesnym dzieciństwie.

2 X 2015

## Rue Jacques Mawas

Zapamiętałem ją doskonale, niewielka, mieści się na poboczu i jest w istocie nieprzejezdna, stanowi zatem raczej zaułek niż ulicę w ścisłym sensie. Zabudowę ma jednak wybitnie miejską, stoi na niej kilka potężnych gmachów mieszkalnych w stylu międzywojennego funkcjonalizmu. To w jednym z nich wynajmowałem przed półwieczem pokój w czasie trwającego parę miesięcy pobytu w Paryżu. Po wielu dziesięcioleciach wybrałem się w te rejony Piętnastej Dzielnicy, by zobaczyć, czy coś się tu zmieniło. Rue Jacques Mawas prezentowała się tak, jakby zastygła w niezmienionej postaci, a czas jej się nie miał. Dotyczyło to także domu, w którym przez kilka miesięcy mieszkałem. Pomyślałem: niewątpliwie inna jest *madame la concierge*, bo ta, którą znałem, była już wtedy starą kobietą, wybitnie zresztą antypatyczną, a przy tym prezentującą się tak, że można byłoby jej powierzyć bez uprzedniej charakteryzacji rolę czarownicy w baśni dla niegrzecznych dzieci; przybysz z Polski wydawał się jej figurą podejrzaną. Wspominam tę uliczkę z innego powodu, natrafiłem na nią niedawno całkiem niespodziewanie w literaturze, a mianowicie w książce Paula Austera *Dziennik zimowy*, którą przeczytałem z dużą przyjemnością. Ten znakomity pisarz kojarzy się przede wszystkim z Nowym Jorkiem, jednakże w tej autobiograficznej opowieści sporo miejsca poświęca pobytowi w Paryżu, a mieszkał na rue Jacques Mawas, on pod trzecim, ja pod siódmym. Dzieliło nas chyba dziesięciolecie, ja znalazłem się w tym miejscu, plasującym się w połowie drogi między stacjami metra Convention i Boucicaud, wcześniej (w roku 1963). Ten czasowy dystans nie miał dla mnie w trakcie lektury większego znaczenia, poczułem się tak, jakbym wszedł w przestrzeń dobrze mi znaną, osadzoną w oczach i w pamięci, bliską. Relacja Austera o tym, co dalekie i nieznanne (nigdy nie byłem w Ameryce), stała się opowieścią o tym, co znane i osobiście przeżyte, oswojone i przyswojone. Podobnie reaguję, gdy w radiu słyszę nagranie koncertu sprzed wielu lat, na którym byłem, jest ono dla mnie czymś więcej niż dokumentem wyciągniętym z dźwiękowego archiwum. Kiedyś zainteresowałem się, kim był Jacques Mawas. Dowiedziałem się, że wybitnym lekarzem, profesorem medycyny, okulistą.

8 X 2015



## KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

### Addenda (40)

Z Beauvais do Porte Maillot, spotkanie z M. i razem na rue Mandar.

Róg rue Montorgueil – wejście obok Café du Centre, czwarte piętro.

Droga do M.: z rue Montorgueil prosto w rue des Petits-Carreaux i przecinając rue Réaumur, rue d'Aboukir i rue de Clery w rue Poissonnière, z lewej mijając rue des Jeûneurs i w prawo w rue Beauregard, mijając z lewej rue Notre-Dame de Recouvrance, rue de la Ville-Neuve i rue Thorel i w lewo w rue Notre-Dame de Bonne-Nouvelle do zielonych drzwi numer 3, naprzeciw kościoła Notre-Dame de Bonne-Nouvelle, do którego wejście jest za rogiem, przy rue de la Lune.

Krętymi schodami na drugie piętro – mieszkanie numer 7.

Trzy wejścia i za nimi M. – w środku. Okno z widokiem na wieżę i mur kościoła; po rewolucji odbudował go niejaki Godde.

M. porusza się zygzakami. Wiedząc, gdzie będzie siedł i idąc w jego stronę po liniach prostych, nie mogą go spotkać.

Do Les Halles i w stronę rzeki. Z rue du Roule w rue de Rivoli i na Pont Neuf. Z prawej Luwr, w dali wieża Eiffla.

Promienie, kamienne przęsła, maszkarony, barki, ruch statków.

Szczyt wyspy. Maszty żaglowców, zielona woda, jezdnia i bruk.

Do Barbary Bray – na rue Séguier. Brama z łukiem, na podwórku kamienna kostka i bluszcz. Wejście na wprost: strome schody, okna i drzwi na pierwszym piętrze.

Tak mówiła o Becketcie: „Był wyczulony na punkcie chrześcijaństwa, miał słabość do Chrystusa. Niektóre religie wytworzyły jakieś modele, wzory i dlatego pociągnęły za sobą ludzi. Chrześcijaństwo przyciągało, ponieważ trafiło w sedno – dotarło do serca. Dla tych, którzy nie mają serca, było pretekstem do mordowania, tortur, palenia na stosie, prześladowań i magii, ale dla innych stanowiło obraz do naśladowania. W 1 Liście do Koryntian w rozdziale 13 Paweł, który był bardzo niepopularnym wśród wielu świętym, między innymi z powodu jego stosunku do kobiet – ale tak naprawdę to przesłanie przeszło przez tyle rąk, angielskie tłumaczenie tak jak i niemieckie jest bardzo piękne – wskazuje model, daje opis doskonałej postaci. Ten rozdział to jest dokładny jego [Becketta] opis”.

Na bulwarze Saint-Jacques – aleja platanów, popękany asfalt i gołębie.

Róg rue Jean-Dolent i rue Messier. Wysoki szaroczarny mur i kraty w oknach. Pod daszkiem ławki dla czekających na widzenie.

Słońce, niebieskie niebo i bezwzględność tego muru i gmachu.

Naszpikowany ostrzami, z czarnych i szarych kamieni, z zalepionymi pęknięciami, które powtarzają się co kilka metrów.

Cienie drzew i domów z drugiej strony ulicy.

Oddzielone i zamknięte.

Na rue de la Santé brama wjazdowa i tablica, która upamiętnia wojenne egzekucje.

Mostek nad metrem, które nagle wynurza się spod ziemi.

Widok na dom – wysoki, biały, dwa pierwsze z lewej okna na ostatnim dziewiątym piętrze.

Po drugiej stronie kawiarnia „La Vie d’Ange”, do której chodziła Suzanne.

W „Le Moderne Saint-Jacques” M. opowiada o spotkaniach z nim tu obok, w hotelowej restauracji, do której zaglądamy przez szybę.

Pod platanami i przy schodach przed przejściem nad torami. Słoneczny blask odbija się w jego oknie.

Przed drzwiami wykopy z pękami kabli. Hol, z prawej na dole skrzynka z napisem: „38 BECKETT”, z lewej duże lustro.

Kosz na śmieci, drugie drzwi i wejście do windy.

Z alei Général Leclerc w lewo w rue Rémy Dumoncel, pod numer 26, gdzie w domu starców spędził ostatnie tygodnie i dni. Jeden z pensjonariuszy łądząco jest do niego podobny. Jego zdjęcia wiszą na korytarzu i w pokoju poświęconym jego pamięci.

Cmentarz Montparnasse. Ożywiony zielenią mur, w tle wieżowce. Od wejścia idzie się prosto i przy kole z figurą w lewo – grób jest po lewej stronie, mniej więcej w środku.

W dywizjonie 12, w pierwszym rzędzie, między starym grobem rodzin E. Petit i Raymond a nowszym Drulhe i Boulet. Suzanne (1900–1989) i Samuel (1906–1989). Po drugiej stronie w drugim rzędzie grób z napisem A. Roth.

Marmurowa szaro-czarna płyta z sygnaturą 192 P 1989. Za nim grób rodziny Jacques Chopin de Janvry Née G. H. Kham Nollin.

Nasze cienie na płycie.

Trzy kamienie i skrzynka z zielonym wrzosem.

Ta aleja przypomina aleję przed jego domem – wysoko zielone korony.

Już trzeci dzień jasnoblękitne niebo bez jednej chmurki.

Musisz mieć kod i klucz – jeśli nie masz jednego lub drugiego, nie wejdziesz do środka.

Kamienie spod jego grobu: jeden szaroczarny i drugi mniejszy – jasny.

Rue Mandar ma 199 kroków.

W nocy na rogu rue Montorgueil głośna muzyka i tańce: półnaczy biali i czarnoskórzy, poruszają się zwinnie i z jakąś desperacją.

Zapis z *Dziennika paryskiego* Jerzego Andrzejewskiego z dnia 13 kwietnia 1960 roku: „W piątek, w kościele św. Eustachego koło Hal, pełne wykonanie *Pasji według św. Jana*, nie wiem, czy uda mi się dostać bilety, ale bardzo bym się chciał znaleźć tam w ten piątek, to dobry tytuł powieści i wiele można powiedzieć, jako monolog człowieka słuchającego w Wielki Piątek muzyki Bacha, w starym kościele, w rozpustnej dzielnicy, o dziewiętej wieczorem”. Początek inspiracji.

Na rue Montorgueil i w prawo, na wylot – do Świętego Eustachego. Szare surowe i zimne wnętrza, kamienne płyty, kraty, kaplice, filary, mrok i światło, które przenika przez okna na dole i na górze. Siedzenie tam – w ciszy i w spokoju.

W południe bicie dzwonów w Notre-Dame de Bonne-Nouvelle – czysty i jasny dźwięk.

Luwr. Chrystus Fra Angelico – jak molekuła światła.

W sali 6 – *La Joconde* (Mona Lisa). Przechodzenie, a właściwie przeciskanie się w jej stronę – i przed nią.

Białoszarym tunelem wzdłuż muru z kamieni i cegieł do niszy, w której jest Grand Sphinx.

Wieża, mur i w lewo, do wejścia.

W dzień Aniołów Stróżów na pasach, na zielonym świetle nagle z prawej strony wyskoczyło pędzące auto, śmigając przed kobietą, która szła tuż przede mną.

Z M. w ogródku w „La Mère Lachaise” i potem na Père-Lachaise.

Ceremonia pogrzebowa w krematorium.

Kwatery, groby i domki. Krzyże, cokoły i kopuły.

Aleje, drzewa i cienie.

Grób Totha.

Głowy, anioły, postacie, płaskorzeźby i kwiaty.

Rodzinny grób Prousta – czarny marmur, trzy róże w szarym wazonie, kamienie, kasztany i na serwetce magdalenki.

Kamienie, piasek i mech.

Apollinaire de Kostrowitzky i Jacqueline – wysoki postument i serce ułożone z kamieni.

W Centre Pompidou: Bram van Velde, *Bez tytułu*. Anonim. Vassily Kandinsky, *Z czarnym łukiem*. Kasimir Malewitsch, *Czarny krzyż* i *Czarny kwadrat*. Seria Paula Klee, Giacometti, Picasso i Braque.

Z tarasu widok na zachód słońca. Po lewej wieża Eiffla, rue du Roule, kościół Świętego Eustachego, z prawej strony Montmartre i z drugiej – Montparnasse. Z tyłu La Défense, Łuk Triumfalny, przed nim Pola Elizejskie, egipski obelisk na Placu Zgody, ogrody i piramida Luwru.

Tuileries. Białe i szare posągi wśród krzewów i drzew, chmury, promienie i piach.

W Lasku Bulońskim na pniu wśród suchych liści i bujnej zieleni, jedząc kuskus z krewetkami i jarzynami w towarzystwie M. i kruka.

Fondation Louis Vuitton: szklane maszty i kręgi Gehry’ego. Schody, korytarze, promenady, tarasy i grotty.

Biała ściana z metronomem. Pięć razy tik-tak i tak w kółko, bez końca. Przez szklany sufit widać niebo i słońce.

Piony i poziomy, linie. Wchodzenie, schodzenie, wjeżdżanie i zjeżdżanie. Widok na drapacze chmur, na Lasek Buloński i na stary Paryż.

Studia, galerie, fontanny, staw, trawniki, drzewa i kwiaty. Otwarta przestrzeń i ruch.

W Le Marais na rue des Rosiers i okolicznych uliczkach – jak w labiryncie.

Domy z cegły, park i fontanna na placu des Vosges.

Pokój Prousta: mosiężne łóżko przykryte niebieską kapą, na stoliku lampa z ciemnozielonym abażurem, kajet XV, pod nim jedenaście innych, szezlong, czarny sekretarzyk, portret ojca, porcelanowa figura, lustro, dwa złote lichtarze ze świecami, szczotka ze srebrnym uchwytem z monogramem, szpilka do krawata, taca z posrebrzanego metalu, laska, nocny stolik, oszklona biblioteka, fotel i parawan. To meble i rzeczy z jego kolejnych mieszkań: na bulwarze Haussmanna (od XII 1906 do VI 1919), na rue Laurent Pichat (od VII do IX 1919) i rue Hamelin (od X 1919 do 16 XI 1922).

Wieczorem o dziewiątej na koncercie w kościele Świętego Eustachego. Wejście od rue du Jour. Kamienna posadzka, szarość i mrok. Ciemne witraże i okna. Kręgi i smugi blasku, śpiew chóru, gra organów – BACH.

Organista siedzi w nawie głównej, chór jest po prawej, ja w nawie południowej, naprzeciw północnej rozety. Czyste dźwięki szybują do góry i wirują wśród nas.

Zarysy rzeźb, ciemne obrazy, krzyże, świece, zapalone i zgaszone lampiony. Reflektory umieszczone są obok organów i organisty. Chór stoi przy głównym ołtarzu. Ludzie siedzą na krzesłach i w ławkach.

Skryte w mroku stalle i konfesjonały. Rozety z czarnymi witrażami. Chór śpiewa przed głównym ołtarzem lub za nim, w kaplicy Najświętszej Panny,

przed i pod lampionami, pod krzyżem, pod organami i przy reflektorach, przy organiście.

Ludzie chodzą dokoła, krążą w nawach, wchodzą i wychodzą na zewnątrz i nie ruszają się z miejsca.

W zakrystii jest kawa i ciasto.

Białe światło oświetla ołtarz główny, organy oświetlane są na zielono, niebiesko, czerwono i żółto.

Na zewnątrz są kawiarnie, bistra i restauracje – ludzie jedzą, piją, rozmawiają i śmieją się. Tu są skupieni, zasłuchani, milczący, niektórzy coś cicho mówią do siebie.

W tym kamiennym wnętrzu, które rano ożyje kolorami promieni i blasków.

Na ołtarzu biały obrus, kwiaty i ascetyczny krzyż.

Siła tej architektury, siła dźwięków i siła światła. I ludzie, którzy są jak drobiny – dla Boga nieoceniony skarb.

Rytm filarów, łuków i rytm muzyki. I smuga światła wychodząca z okna na górze. Cienie na filarach i ścianach, na sklepieniu i posadzce.

Potęga i moc rosnącego dźwięku, który zagarnia przestrzeń i przenika do wnętrza, brzmi w środku i rozbrzmiewa w górze, na wysokości.

Ciemność, mrok i światło. Szare smugi, pasma i głos chóru z lewej strony, spod organów.

Chodzenie w północnej i w południowej nawie – tam i z powrotem. Ruch jest mniejszy, ale dużo miejsc jest zajętych.

Rozeta z szarym światłem i z jej prawej strony dwa krótkie promienie.

Siedzenie tam do północy.

Na Pont Neuf i w stronę Notre-Dame. Kolorowy targ z ptakami i kwiatami. Gwar, dźwięki, głosy. Wejście do Hôtel-Dieu i krążenie tam po korytarzach pod wysokimi łukami.

Szpital dla ciężko chorych i umierających.

Plac przed katedrą – i w środku. Pięknie scalona przestrzeń. U Świętego Eustachego jest jakby podzielona, rozłączna w tej niespokojnej formie. Tu jest w całości. Szare i szaro-beżowe kamienie. I rozeta, która jest w ruchu, który tworzy się z jej unieruchomienia, z trwania w miejscu. Kolory i światło są w niej złączone jak jej *stasis* i ruch. Jej części zrobione i umieszczone są tak, jakby nie było w nich nic nieruchomego.

Chór w niebieskich szatach śpiewa psalmy, kapłani ubrani w białe ornaty i biskup z drewnianym pastorałem. W rozecie rój światła i w oknach z witrażami po jej bokach.

Gra błysków i barw, śpiew i słowa czytań.

Przejście chóru i kapłanów w procesji.

Nade mną taka sama rozeta jak ta z naprzeciwka i światło w niej i wokół niej i po bokach.

Ludzie idą wzdłuż naw w niekończącym się korowodzie.

Kolory tych kamieni: zimny – niebieski i czarny z popielatym, z ciepłym komponentem żółtego i brązowego.

Brzeg, rzeka i blaski na wodzie. Białe konie, tancerze i statki.

Na rue Saint-Denis czarno- i białoskóre prostytutki z ostrym makijażem, w różnym wieku, ale jakby w jednym typie, chociaż bardzo od siebie różne. Bogate wystawy sklepów. Z lewej strony rue des Degrés – uliczka trzynastu stopni.

Wejście na szczyt Montmartre. Z rue Martyre, w rue Lalicer i do góry rue Dancomt i rue Chappe po wysokich schodach – do Sacré-Coeur.



Magdalenki w cukierni Stohrera na rue Montorgueil.

W dół i nagle zatrzaśnięty w ciemności, między jednymi a drugimi drzwiami, bez wyjścia ani w jedną, ani w drugą stronę, ale jednak szczęśliwie wprowadzony – na zewnątrz.

## LESZEK SZARUGA

### Nowa Polska (5)

13.

Po wyborach, prasę sobie przeglądam.

Wybory, i po wyborach – rzeczywistość polityczna uległa zmianie, Prawo i Sprawiedliwość ma w parlamencie większość pozwalającą na rządy samodzielne, zaś wywodzący się z tej partii prezydent Andrzej Duda zapewne, jak można domniemywać, utrudniał rządowi życia nie będzie. Takiego komfortu żadna władza dotąd po roku 1989 w Polsce nie miała. Zważywszy zaś, że Prawo i Sprawiedliwość w kampanii wyborczej posługiwało się hasłem „dobrej zmiany” i zapowiada radykalną przebudowę kraju, zaś ustami swego prezesa, Jarosława Kaczyńskiego, wskazuje na konieczność wyeliminowania z życia politycznego tego, co nazywa postkomunistycznym układem, można się spodziewać zmian radykalnych, co oczywiście w wielu środowiskach budzić musi poczucie zagrożenia – tym bardziej że pierwszą zmianą było przejście przez partię rządzącą pełnej kontroli nad resortami siłowymi, przede wszystkim zaś służbami specjalnymi, i ubezwłasnowolnienie na tym polu parlamentarnej opozycji. To wszystko, rzecz jasna, znajduje swoje echa w wypowiedziach prasowych.

Proponuję zacząć od felietonu *Powtórka z targowicy* (tygodnik „Wsieci” nr 50–51/2015) znanego satyryka i kabaretowego kombatanta Jana Pietrzaka, autora słów do piosenki *Żeby Polska była Polską*, która stała się w roku 1980 niemalże hymnem „Solidarności”. Tak oto charakteryzuje on ustępujące ekipy władające Polską: „Po tegorocznych wyborach, kiedy pojawiła się wizja pożegnania się z władzą na długie lata, strach i nienawiść odebrały im resztkę godności. Wściekają się na sali sejmowej, plują z telewizorów, ślą donosy w świat na demokratycznie wybrany rząd. Donosiciele rzucili się do CNN, do europarlamentu, do wpływowych gazet [...]. Żalą się na »głupich Polaków« w Berlinie, Moskwie, Brukseli, Nowym Jorku. To szczególnie paskudne zachowanie, o znamionach zdrady narodowej. [...] Nie wahają się szkodzić Polsce pod hasłem zagrożonej demokracji, byle tylko nie utracić swoich przywilejów i możliwości wyzyskiwania »miejscowych chamów«, jak ujął to pewien profesor UJ”. A komu się skarżą przede wszystkim? Na to pytanie odpowiada inny

profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, europoseł Prawa i Sprawiedliwości Ryszard Legutko, który w wywiadzie zatytułowanym *Czeka nas zderzenie* na łamach tego samego numeru pisma demonstruje swoje postrzeganie Unii Europejskiej: „Strategia Unii jest prosta: rządy narodowe mogą robić w swoich krajach wszystko, co chcą. Pod trzema warunkami: że będą rozszerzały prawa homoseksualistów i aborcję, będą pokornie przyjmowały dyrektywy i nie będą kontestowały polityki coraz większej integracji europejskiej. Jeżeli te warunki są spełnione, wolno przeprowadzać wszystko. I z opozycją, i z mediami. Można gwałcić demokrację, wprowadzać cenzurę. Byle nie mącić”.

Nie wiem, który z profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego zaliczony został przez Jarosława Kaczyńskiego do grupy Polaków „gorszej kategorii”, a który do tej lepszej, nie ulega jednak wątpliwości, że prezes Prawa i Sprawiedliwości tropiący u tych, co „ślą donosy w świat”, coś, co określił jako „gen zdrady”, takiego podziału swych rodaków dokonał w wywiadzie udzielonym 11 grudnia Telewizji Republika, w przeddzień wielotysięcznej demonstracji w Warszawie, w trakcie której uczestnicy marszu wyrażali swe zaniepokojenie i obawy o los demokracji w Polsce. Język, jakim posługuje się Pietrzak – podparty kłamstwami i niedomówieniami (w końcu nie wiadomo, kto miałby „śląć donosy” akurat do Moskwy i kim jest tajemniczy „pewien profesor UJ”) – nieodległy jest od klasycznej nowomowy. Mowa Legutki zdaje się być odrobinę bardziej elegancka, skażona jest jednak kłamstwem – Unia nie domaga się „rozszerzania praw homoseksualistów”, wymaga jedynie przestrzegania praw mniejszości, zaś kwestia aborcji pozostaje w gestii prawodawstwa krajów członkowskich; dyrektywy Unii obowiązują wszystkich i są przez wszystkich wypracowywane (każdy ma prawo weta i wówczas trzeba negocjować od początku), zaś kwestia „coraz większej integracji” jest przecież przedmiotem wspólnych ustaleń – w końcu nikt nie może zmusić kraju członkowskiego, by, jeśli mu ta integracja nie odpowiada, w Unii pozostawał. Natomiast cenzury wprowadzać nie wolno i nie wolno gwałcić demokracji. Obawy, że do tego ostatniego może dojść w Polsce, wyrażają nie tylko sami Polacy, lecz także przedstawiciele wspólnoty, do której kraj nasz dobrowolnie wszak przystąpił. Aż się prosi, by przypomnieć profesorowi filozofii Ryszardowi Legutce definicję prawdy Arystotelesa: starą, ale dobrą. I w ogóle: warto ją przypominać politykom w imię starej zasady głoszonej przez Sołżenicyna, by żyć bez kłamstwa.

Ta właśnie zasada przyświecała polskiej opozycji w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy słowa prawdy przeciwstawiano czołgom. Jeden z najbardziej znanych przywódców solidarnościowego podziemia, Władysław

Frasyniuk, tak mówi o obecnej sytuacji w wywiadzie zatytułowanym *Brońmy prawa i sprawiedliwości* na łamach „Gazety Wyborczej” (nr 290/2015): „Nam, ludziom dawnej opozycji »Solidarności«, wydawało się, że cena, jaką zapłaciliśmy za pół wieku życia w komunizmie, jest tak wysoka, że nowej, pięknej, demokratycznej Polsce nic nie grozi. Że nikt o zdrowych zmysłach na nią się nie zamachnie. Byliśmy głęboko przekonani, że żyjemy w kraju demokratycznych wartości i autorytetów. I nie zauważyliśmy, jak sami zamordowaliśmy te autorytety, jak w polityce zaczął królować populizm, jak zapomnieliśmy o budowaniu struktur społeczeństwa obywatelskiego. I teraz – o ironio – to nasze zaniechanie uświadomił nam właśnie Jarosław Kaczyński. [...] mam taką pracę, że się przemieszczam. I w różnych miejscach widzę, że ludzie z własnej inicjatywy pokazują, że im się nie podoba, co robi Kaczyński. Rozumieją, że w istocie on idzie po władzę absolutną. Nie trzeba być profesorem czy sędzią, ba, nie trzeba mieć wyższego wykształcenia, by pojąć, że na naszych oczach dzieje się historyczny zamach na instytucję, która miała strzec wolności i praw obywatelskich”.

To, oczywiście, nawiązanie do sporu, jaki rozgorzał wokół zasad funkcjonowania Trybunału Konstytucyjnego, mającego za zadanie orzekanie w sprawach zgodności stanowionego w Polsce prawa z konstytucją. Działania Prawa i Sprawiedliwości w tej sprawie traktowane są przez opozycję jako zamach na niezależność tej instytucji i próbę jej podporządkowania władzy ustawodawczej oraz wykonawczej, a tym samym jako dążenie do zakwestionowania trójpodziału władz. W imię czego? Frasyniuk ma w tej sprawie pogląd wyrobiony: „Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby Kaczyński budował IV RP pod warunkiem, że powie, na jakich wartościach chce ją budować. [...] A tu nie ma nic. Ani wartości, ani ideologii. Jest żądza władzy i odwetu za lata poniewierki. I głębokie poczucie krzywdy, że śmierć brata nie jest wynikiem wypadku lotniczego, tylko zamachu na prezydenta RP. Kaczyński sięgnął po władzę, żeby zrekompensować olbrzymie poczucie wielu krzywd”. I warto przy tym zauważyć, że jest to władza *de facto*, ale nie *de iure* – prezes Kaczyński nie pełni żadnych funkcji państwowych, a jednocześnie jego decyzje wykonywane są przez prezydenta i panią premier. To, można powiedzieć, innowacyjny wkład Polski w funkcjonowanie struktur władzy: nawet samodzierżawie nie jest równie sprytnie pomyślane. Komentując rzecz w wywiadzie *Powiedzmy PiSowi stop* dla „Newsweeka” (nr 49/2015), Leszek Balcerowicz podkreśla: „Nie należałem do osób, które uważały, że skoro Kaczyński się mniej pokazuje i pojawiły się nowe, młodsze twarze, to poprzednie hasła i zapowiedzi prezesa PiS stały się nieaktualne. Raczej uważam te zastępcze postaci za marionetki”. I dopowiada: „Nie ma co dywagować,

trzeba robić. Za dużo mamy kawiarnianego intelektualizmu, za mało działania. Każdy musi się zastanowić, jak zmobilizować własne środowisko. Masowe akcje przez Internet i inne działania wykorzystujące wolności obywatelskie to nasze instrumenty. Wciąż mamy wolność słowa, wolność zgromadzeń, wolność organizowania się. To trzeba wykorzystać”.

Czy będzie to wykonalne, zanim owych wolności zabraknie lub zostaną drastycznie ograniczone? Wszystko zdaje się zależeć od mentalnego usposobienia. Mówi o tym w wywiadzie zatytułowanym *Czuję się tutaj chory*, przeprowadzonym dla „Newsweeka” (nr 50/2015) wybitny reżyser teatralny Krystian Lupa: „Eks-tremalna cecha polskiego patriotyzmu – potrzeba wroga, bez niego nic się nie trzyma kupy. Tyle, że to teraz nienawiść zwrócona w stronę siebie samych i to nie daje mi spokoju. Bo jest w takim patriotyzmie jakaś chęć ofiary, gotowość do spazmów. W gruncie rzeczy demokracja nas unieszczęśliwia. Wszystkie nasze narodowe mity nie mają nic wspólnego z demokracją. Jak można mieć w sobie mentalność demokracji i jednocześnie myśleć o Chrystusie królu Polski. W dodatku ten demoniczny wykwit, mistyczne: mord na Lechu Kaczyńskim w Smoleńsku! Długie trwanie poza władzą doprowadziło ten obóz do jakiejś gorączki, temperatury wariactwa. Wydawało się, że zwyczajstwo ich uspokoi. Ale napięcie z nich nie zeszło – odwrotnie – Kaczyński z całą zaciekłością swoich największych wariatów [...] wystawił na pierwszą linię. [...] Ci ludzie w gruncie rzeczy są żywymi trupami, po ośmiu latach w opozycji mają w sobie tyle trupiego jadu, są skupieni na poczuciu krzywdy, odrzucenia, spiskach. Nie są w stanie wejść w rozmowę z drugim człowiekiem, wysłuchać innego zdania, są opętani swoją narracją. [...] To nie są ludzie sukcesu, każdy z nich nosi w sobie załążek klęski. To nie jest tak jak Orbán, który wskoczył na konia w odpowiednim momencie. Oni spadli z konia osiem lat temu i w tej chwili robią wszystko, żeby pokazać, że mogą wskoczyć ponownie i biorą natychmiast tak fantastyczny rozbieg, że zaraz wylądają na ziemi po drugiej stronie konia”.

Ach, ta wyobraźnia artysty! Tymczasem w katolickim „Tygodniku Powszechnym” sytuację w artykule *Kto zatrzyma pisowski taran* podsumowuje Michał Szułdrzyński: „Plan Kaczyńskiego jest prosty: do końca roku podjąć wszystkie trudne decyzje dotyczące przejmowania instytucji państwa od ludzi związanych z PO. A potem rozsznurować worek z socjalnymi prezentami, dzięki którym Polacy pokochają nową władzę. [...] Współpracownicy Kaczyńskiego twierdzą [...], że wszystko idzie zgodnie z planem. – Zwycięzców nikt nie sądzi. Jak się uda, nikt nas nie będzie rozliczał – mówi obrazowo jeden z rozmówców »Tygodnika«. Z naszych informacji wynika, że Jarosław Kaczyński jest bardzo

zadowolony z przebiegu wypadków. – Ma znakomity humor – mówi jeden z ministrów”.

I tak to się kręci...

14.

Rękopis w kiblu znaleziony

w ogrodzie w Milanówku jak w krzaku pokrzywy  
ukrywa się głęboko żywy lecz nieżywy

piewca wieprzowatości zdrajca Króla-Ducha  
pięknie słowa układa ale Złego słucha

i truciznę swych wierszy w mózgi ludziom sączy  
cynizmu już nie kryje w gąszczu wersów kłączy

nienawiścią sycony nigdy jej niesyty  
toczy po kraju okiem półdzikiego Scyty

Polska mu niepotrzebna bo jego ojczyzna  
w nowogrodzkim powiecie zaorana blizna

by żubra w dupę kasał przynagla idola  
ten żubr to jego Polska ten idol to Polak

a idoli swych zmienia raz Adaś raz Jarek  
po latach nikt nie zgadnie każdy zgubi miarę

reszta to zwykli zdrajcy których kiedy trzeba  
obdarzy swym plugawym „idźcie pies was jebał”

ja idoli nie miewam poza poetami  
lecz i to się nie sprawdza mówiąc między nami  
wspomniał niegdyś Słowacki że wiersze-nonsensa  
czasem pisze wśród których się język wałęsa

temu słowo wałęsa jeśli z pióra spłynie  
to jako inwektywa możliwe jedynie

katastrofy smoleńskiej sztandar krwawy trzyma  
apel poległych składa w okrwawionych rymach

niech po najdłuższym życiu na Wawelu leży  
lecz niech już nie znieprawia umysłów młodzieży



PIOTR SZEWC

## Z powodu i bez powodu (41)

### Bez tytułu i daty (XXXIV)

„Porzucanie nie było zresztą nigdy moją mocną stroną / wszystko co napotykałam noszę w sobie / jak depozyt czekający na zapóźnionego właściciela” – Julia Hartwig w *Wahaniu nad książką młodego poety*.

Ten sam zbiór wierszy, tę samą powieść czytam inaczej w innym, nie „moim” egzemplarzu. Brakuje mi książek, które mi się zapodziały. To trochę tak, jakbym się sam w swojej części zapodział.

Z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pamiętam monstery, filodendrony, fikusy. Od podłogi po sufit zajmowały kąty pokoi, były takim samym wyposażeniem schludnego mieszkania jak meble na wysoki połysk, kryształowe cukiernice i flakony, białe, szydełkowe obrusy. W ówczesnym, skromnym rozumieniu podkreślały status materialny właścicieli i były chlubą gospodyń domu. Ukradkiem, jakbym popełniał profanację, dotykałem skórzastych, dużych liści tych roślin jak eksponatów w muzeum. U nas takich nie było albo nie chciały tak bujnie rosnąć. Na językowy i lokalny margines zasługuje zamieszanie w nazewnictwie roślin doniczkowych. O tym zamieszaniu, pomyłkach i błędach nie mogę inaczej teraz myśleć, jak z czułością. Jeszcze były tak zwane szable, czyli sansewierie. Donice z szablami stały zwykle na korytarzach, w pomieszczeniach biurowych, w pokojach nauczycielskich. Biedne były te szable, często poszarpane i połamane, ale niezmiennie dzielne. A w donicach pełno było popiołu i petów.

Małgorzata Gierszon, sędzia Sądu Najwyższego. A dla mnie też Gosia Gierszonówna. Miała kilka, później kilkanaście lat – ja jestem pięć lat od Gosi młodszy – gdy przychodziła do Babci poświęcić koszyk w Wielką Sobotę. Gierszonowie mieszkają niespełna kilometr za Dziadkami w stronę Sitna, Gosia ma dwóch starszych braci, żyje jeszcze jej mama. W latach siedemdziesiątych



Gierszonowie prowadzili bodaj najnowocześniejsze w Czołkach gospodarstwo, hodowali krowy mleczne.

Rok 1966, może 1967. Na podwyższeniu w remizie w Czołkach – można je nazwać sceną, zajmowała je zwykle w czasie zabaw orkiestra – kilkunastoletnia Marysia gra Lucyllę w *Mieszczaninie szlachcicem*. Sztukę reżyserowała kierowniczką szkoły pani Tarańczukowa. I ja byłem na przedstawieniu z Marysią, ale czy nie przesadziłbym, mówiąc, że je pamiętam jak przez mgłę? Mgła jest bardzo gęsta i prawie brak w niej prześwitów. Co zatem i jak pamiętam?

Marysia w wieku podlotka któregoś wieczoru przyszła ze złą wiadomością: u Kawów pohukuje puszczyk, pewnie umrze Babunia Kawowa. Nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem u Kawów o puszczyku i tym, co według Marysi jego pohukiwanie miało wieszczyć. Sprowadziłem słuszny gniew Babuni, długo była na Marysię i na mnie obrażona. Sprawdziła się jednak przepowiednia puszczyka: sędziwa Babunia zmarła, nim Marysia wzięła ślub w 1968 roku, ale dokładnej daty śmierci Babuni nie pamiętam.

„Modlitwa nie jest płytsza niż intelektualne spekulacje. Tak zwane »intelektualne pogłębienie katolicyzmu« jest właściwie redukcją do dyskursywnego myślenia, a więc zapoznaniem jego istoty, czyli niebывałym spłaszczeniem i strywializowaniem” – Bronisław Wildstein w *Cieniach moich czasów*.

„Nie uznaję w poezji tego, co krytycy nazywają wyrażaniem siebie jako celu twórczego wysiłku. Albo kreowanie siebie. Nie siebie się tworzy, ale zapisuje się żmudne jakieś konkretne prawdy, myśli. Nawet liryka, najgłębsza liryka powinna obnażać prawdę o człowieku i świecie, a nie autora. J. używa zawsze w swojej poezji zaimka »ja«, ale nie obnaża się, przekazuje poprzez »ja« swoje doświadczenie, swoją prawdę” – z *Notatnika* Anny Kamieńskiej.

Od dzieciństwa został mi nawyk wypatrywania ptasich gniazd – na drzewach, w krzewach, w trawie. Późną jesienią i zimą, gdy drzewa ogołocone z liści ułatwiają obserwację, nietrudno o zdumienie, że tak blisko mojego domu i miejsc, przez które chodzę, pośród gałęzi zawisło gniazdo, na przykład sroki. Teraz opuszczone. A opuszczone i uszkodzone gniazdo to zawsze przykry widok. Budzi banalne, acz usprawiedliwione skojarzenia z opuszczonymi czy porzuconymi miejscami mojego życia. I nie ma w tym skojarzeniu żadnej pociechy.

Moja prababka Maria Jaworska stoi w ciemnym płaszczu; z lisa kołnierz i obszyte lisem rękawy. Ma kapelusz z szerokim rondem, ale czym kapelusz jest ozdobiony? Piórem? Sztucznymi kwiatami? Palcami dotyka ramion stojącej przed nią trzyletniej córki Wandy (ciotka Wanda Seniowa w przyszłości miała zostać matką chrzestną Mamy). Po lewej stronie prababki siedzi jej mąż, pradziadek Tomasz Jaworski. Nie mniej elegancki – dobre buty, krawat, płaszcz, kapelusz. Na lewej nodze pradziadka siedzi ich trzecia w tym czasie córka, roczna Władysława (po mężu będzie się nazywała Żytkowska). Uśmiechnięta, w białej pelerynce i białej czapeczce. A przy niej – i na pierwszym planie przed rodzicami – stoi Janka, najstarsza, bo już pięcioletnia. Jak Wanda, ma obszytą futerkiem czapkę. Janka to ciotka Belinowa, przez długie lata mieszkała w Kornelówce, po czym przeniosła się pod Sandomierz, do syna. Nazywaliśmy ją Jańcia. Nawet teraz, gdy już nie żyje, Marysia wspomina swoją matkę chrzestną jako Jańcię. Zdjęcie wykonane zostało w sierpniu 1920 roku w Ameryce, przed powrotem Jaworskich do Polski. Babcia jako czwarta ich córka urodziła się w 1921 roku już w Kornelówce, gdzie pradziadek Jaworski kupił duże gospodarstwo. Na zdjęcie natrafiłem w Boże Narodzenie u Marysi, miała je od Babci, a ja zobaczyłem je pierwszy raz. Zdjęcie jest właściwie odbitką, ale kto i kiedy ją wykonał? Cała piątka patrzy odważnie w obiektyw fotografa. Nieodgadniona przyszłość za Oceanem, a z nią wojna, zbliża się nieodwołalnie. Ciotki Wanda Seniowa i Władka Żytkowska po wojnie wyemigrowały ze swoimi rodzinami do Ameryki, tam umarły.

ARTUR SZLOSAREK

## Fragmenty (5)

Leśne jezioro

Każda myśl, każde skojarzenie, każde poruszenie umysłu i ciała dają nam do zrozumienia, razem i osobno, tylko jedno. Że jesteśmy – w lęku. A skoro mowa o lęku, to jedno wydaje się pewne – lęk, chociaż posługuje się własną, przebiegłą i chwiejną logiką, nie toleruje nieszczerości. Pozbawiony szczerości zaczyna być strachem.

Nie zapominajmy jednak, że chociaż pozbawiony szczerości staje się strachem, to jednak ani nie funduje, ani też nie gwarantuje niczego poprzez szczerość. Lęk jest lustrem ze spoconymi stopami i dłońmi, z którym się rozstajemy, gdyż obnosimy go wszędzie. Jest protagonistą w tragedii, w której chórzyci opowiadają, przekrzykując jeden drugiego i trzeciego, sprośne dowcipy, będące bolesnym komentarzem do najważniejszych wydarzeń w naszym życiu. Jest fascynującą powieścią o nas samych, lecz bez kilku ostatnich, niemożliwych do przeczytania i zarazem – najważniejszych stron. I nie jest ważne, że lęk („nie lękajcie się!”) może zostać wzięty za żywy język należący do repertuaru diabła; bardziej istotne, że o lęku nie można powiedzieć, że nie istnieje. Bo lęk jest. We wszystkim. I wszędzie. Także w tym, co się o nim w tej chwili mówi. A jednak z pewnego punktu widzenia – „od pewnego punktu nie ma już odwrotu; ten punkt należy osiągnąć” (Kafka) – i mimo tego, co powiedziane, pisanie o lęku to przyznawanie się do życia.

Jeśli, jak to z niezwykłą swadą pisał Josif Brodski (w Mowie Noblowskiej), „w poezji, jak wszędzie indziej, wyższość duchowa zawsze napotyka na sprzeciw na poziomie fizycznym”, to można odnieść to zdanie również i do lęku. I zdefiniować lęk jako taki *stan ducha*, któremu ulegające i podległe ciało próbuje się przeciwstawić. Bo czy nie jest dalekie od prawdy, że w stanach choćby najbliższego jego nasilenia nie porzucamy pracy, polegającej na osłabianiu jego działania poprzez racjonalizację i nadawanie zwięzłej formy wszechogarniającej nas *bezprzedmiotowości*? Ale czym najczęściej w praktyce życiowej

jest ten dobrze retorycznie osadzony „sprzeciw na poziomie fizycznym”? Przygotowaniem sobie połówki czarnej kawy z miodem i odrobiną whisky, takiej małej i nieortodoksyjnej *caffè coretto*? Zrobieniem dziesięciu pompek? Decyzją o rzuceniu palenia za tydzień, zamiast wzięciem ciepłej kąpieli? Lęk ma wiele z ducha – nawiedza nas i opuszcza wedle innych reguł i potrzeb niż nasze własne reguły, potrzeby, lokalne wizje. Wreszcie: odczuwać lęk to wiedzieć, że się jeszcze nie straciło nadziei. Rozpacz, a więc brak nadziei, nie zna lęku. Albo ściślej – już go nie zna. A mieć nadzieję to być nastawionym do świata aktywnie. W tej aktywności lęk pozwala zachować naturalną i nieprzesadną czujność. Pozwala nie żywić nam rozpisanej na zbyt słabe głosy nadziei.

W takim kontekście, jak w skrócie przedstawiony, można się światu z należąca uwagą przyglądać. Ale świadomie uczestniczyć w tym, co widać w jego szklanej kuli, choć zdaje się, że wyłania się tam z oparów i dymów wiele, już nie do końca. Na przykład całe dotychczasowe i nieuważne życie Piazza Campo dei Fiori wyobrażałem sobie inaczej, niż pokazało doświadczenie. Być może dlatego, że po raz pierwszy dane mi było ujrzeć to miejsce przez pryzmat słowa. Potem – przyrzeć mu się na ekranie telewizora. A wyobraźnia, wspomnienie, typowe dla ludzkiego umysłu *wishful thinking*, i dalej: szklane oko filmowej kamery czy aparatu fotograficznego bezkarnie nadużywają relatywnej przestrzeni. Więc kiedy się tam we własnej osobie (i we własnym mniemaniu dobrze do tego przygotowany) zjawiłem, a zdrowy byłem i cały, to myślałem z uporem maniaka ku mojemu utrapieniu (albo raczej – myślało mi się z uporem maniaka ku mojemu utrapieniu) o jednym. Bez wytchnienia i przerwy. Żebym tylko nie spotkał przypadkiem mieszkającej nieopodal, urodzonej w Breslau niemieckiej poetki, którą kilkanaście dni wcześniej poznałem w Stralena! Chore? Też tak myślę. A poszedłem tam skosztować (kultowego według nauk Baedekera) orzechowego chleba, pogapić się na pomnik heretyka i starożytne kocury, pokręcić się bez ładu, składu i bez celu po straganach z koszami owoców, warzyw i kwiatów, poznać przylegające do placu uliczki.

Ale zanim udało mi się znaleźć starą, niepozorną i jakże boleśnie zatłoczoną piekarnkę pod numerem 11 i przekonać się po wielu minutach stania w kolejce, że chleb orzechowy właśnie, dopiero co i nieodwołalnie się skończył; zanim zrealizowałem swoje dalsze plany dotyczące tego miejsca z bułeczką oliwkową w rękach, to jednak dane mi było wpaść na poetkę wypędzoną zimą 1945 w pieluchach z Breslau! Nikt mi pewnie nie uwierzy, ale tak było. I co?

Jakby naturalnie, odruchowo udałem, że jej nie widzę, albo udałem, że udaję, że jej nie widzę – równie odruchowo. I zrobiło mi się lżej na duszy, ba, było mi z tym odruchowym faktem, udawanym niewidzeniem dobrze. I rozlało się to po moim ciele jak zbawcze rozleniwie. A spotkanie to, które miało miejsce, lecz którego nie było – „Nie, na pewno mnie nie widziała! Mogła widzieć, ale cudem spod jej spojrzenia uszedłem!” – było wszystkim, co ten stary, głośny, niemy i symboliczny plac trzymał od wieków w niepojętym zanadru dla mnie. Tym mocniej było wszystkim – gdyż to nie mniej przecież w tym rozkładzie sił prawdopodobne – że to przecież ona mogła lepiej ukryć się przede mną niż ja przed nią, że niczego poza karczochami, po które sięgała, kiedy nieomal na nią wpadłem, nie widziała.

Odkąd intensywnie to wszystko spisuję, mój pies prawie wcale nie opuszcza legowiska. Ożywia się tylko wtedy, gdy podchodzę do niego, głaszczę go i zagaduję. Wtedy wybiega na środek pokoju, merda ogonem i zabiera się z pasją do gryzienia kości. Ale kiedy za chwilę znów wracam do pracy, wraca do siebie i zastyga, obrażony. Czytam wiersze oraz aforyzmy Nietzschego, w których można znaleźć cały legion inspirujących podpowiedzi. Można znaleźć u niego nawet i takie myśli, które podziwiałoby się u innych, uważając je za ich niepodważalny dorobek. „Co własne?” – spytajmy garbusa. „Garb” – odpowie. Oto przykład przenikliwości myśliciela i zadanie do rozważenia na mroźny i słoneczny dzień dzisiejszy: „Czym ktoś jest, poczyną się objawiać wtedy, gdy jego talent podupadnie – kiedy zaprzestanie on składać dowody na to, co może. Talent też jest strojem; strój zaś jest także kryjówką”.

Goethego, Schopenhauera i Nietzschego wcisnął mi do ręki przed wieloma laty dziadek, kiedy nie byłem jeszcze gotowy do lektury. Pewną strofę Henryka Heinego noszę jeszcze w oryginalnym brzmieniu od tamtego czasu w pamięci. Wyuczyłem się jej bez zrozumienia, akustycznie. Było to moje wielkie wtajemniczenie w poezję i przez brak zrozumienia niedościgły wzór. Co dziwniejsze, czar nie przysł po latach, jak się najczęściej zdarza, kiedy odkrywamy i przyswajamy sens znanych wcześniej ze słyszenia zdań w języku obcym. Kiedy się dowiedziałem, jaką treść powtarzałem w myślach przez stosunkowo długi okres, stanąłem przed właściwą tajemnicą, a więc przed tym, co prawdziwe. Stanąłem przed niejawnym i nie kryłem radości z odkrycia. „Z dziełami sztuki rzecz się ma jak z winem: lepiej nie potrzebować ani tego, ani tego, używać tylko wody i wodę mocą ognia wewnętrznego, wewnętrzną

słodczą duszy wciąż samemu przemieniać w wino” – mówi Nietzsche, który w innym miejscu powiada też, że już samo myślenie o samobójstwie pozwala niekiedy całkiem spokojnie przejść do porządku dziennego nad następnym dniem z „reszty życia” i utrzymać psychiczną równowagę. Mój dziadek, kiedy po przekroczeniu dziewiętego krzyżyka zaczął coraz silniej popadać w melancholię i tracić orientację w świecie, tak że na spacery musiał wychodzić z psem, aby się nie zgubić, wielokrotnie powtarzał mi w chwilach jasności, że nie zrobi tego, choć prawie bez przerwy o samobójstwie myśli. Uzasadniał własną decyzję prosto: nie chciał przynieść kłopotu – „wstydu”, jak mówił – swojej córce, u której mieszkał, odkąd przestał sobie radzić z codziennością. Kiedy zaś podczas tych rozmów dostrzegał smutek i dezorientowanie w oczach rozmówcy, uśmiechał się filuternie i ciepło, wskazując dłonią na leżącą na stoliku opasłą biografię Leonarda: „Kiedy będziesz w moim wieku – relacjonował – zobaczysz, że tak naprawdę potrzebujemy tylko jednej książki”. Chodziło o to, że mógł czytać tę biografię w nieskończoność, gdyż pod koniec rozdziału nie pamiętał tego, co było na początku. Jego dobry humor na starość ujawniał się także w tym, że prosił o filiżankę czarnej kawy (kolejną) i o to, by za niego zapalić. Przez całe życie, jak słyszałem, lubił zaszać. Palił jak lokomotywa (mnie wspominał o trzech paczkach), a kieliszek ostatni nierzadko zdarzało się mu mylić z pierwszym (do czego się przede mną już nie przyznawał). Miał prawo – prowadził inne życie niż swoje własne, choć właśnie z tego, jak mi się zdaje, uczynił cnotę.

Uczył się bardzo dobrze, ale gdy w wieku szesnastu lat zmarł mu ojciec, matka zdecydowała, że będzie po nim prowadził piekarnię. Wprawdzie dyrektor szkoły proponował, że podejmie się organizacji niezbędnych funduszy dla jego dalszej edukacji, którą uważał za bezwzględnie konieczną, w ostateczności chcąc zapłacić za szkołę z własnej kieszeni, ale moja prababka była nieprzejednana. „Obejmie schedę po ojcu – i już!” I tak się stało. Wstawał rano, to znaczy w środku nocy, i uczył się rzemiosła, odkładając wszystko inne na potem. Opowiadał mi później o tamtych czasach, ale z tych opowieści zapamiętałem jedynie strzępy, fragmenty, i sam dziś nie wiem, czy obrazy w mojej głowie są echem jego wspomnień, czy nałożonymi na jego wspomnienia obrazami, wyniesionymi z lektury *Sklepów cynamonowych*, *Sanatorium pod klepsydrą*, *Procesu* Kafki wreszcie, w przekładzie pięknej Szelińskiej. A jako że wyobraźnia z upodobaniem mitologizuje, ja widzę go najczęściej, jak zbudzony ze złego snu, w którym podejrzewa, że czeladnicy trzymają w chlebowniku

skrzydlatego szczura i nie mówią, że przyszło wezwanie z sądu – z głębokiego snu, zwracającego się do niego cesarsko-królewską niemczyzną o kwaśnym posmaku czerstwego wojennego chleba, może krzykliwie twarogowym pruskim o konsystencji piaskowca, którymi na starość będzie się naprzemienne próbował z czegoś przez sen tłumaczyć, strasząc tą obcą mową swego wnuka – jak właśnie zbudzony w egipskich ciemnościach, które kryją ziemię, wstaje i schodzi w dół po drewnianych schodach, świeci lampę gazową i sprawnie skleja sękatymi dłońmi żółtawe ciasto, zagniecione w trzech czwartych powierzchni razem z masłem, by upiec najlepsze pod słońcem ciasteczka półfrancuskie. Kiedy on miał czas wypalić te wszystkie papierosy? Kupić te książki i przeczytać? Jeździć w Tatry i zaznać „pruskiej depresji”, szlajając się po szynkach w Berlinie? Kiedy znalazł czas niezbędny do nauki języka obcego – polskiego? Jak odnalazł tę moją czarnowłosą babkę o migdałowych oczach i brzoskwińowej cerze, z którą był przez ponad pół wieku, a której wyciągnąłem na początku lat osiemdziesiątych igłą drzazgę ze stopy, gdy w chmurze siwych loków, coraz bardziej podobna do ptaka, siedziała w milczeniu pod piecem w fotelu, bo opłakała śmierć syna?

Jaki był mój dziadek? Kiedy przyglądam się jego portretowi, spoglądam na mnie zdecydowanie i ze skupieniem, które nie jest ani jednoznaczne, ani oczywiste. Ci, którzy go znali, mówią, że garbię się i łysięję tak samo, jak garbił się i łysiał on, ale inaczej niż ojciec, z listu którego dowiedziałem się jako młodzieniec, że dziadek umiał się cieszyć z rzeczy drobnych. Tak też zresztą, kiedy odbyliśmy zasadniczą rozmowę po śmierci ojca, sam mi mówił. „Rzeczy najważniejszych w życiu nie należy traktować całkiem poważnie, nadmierna chęć ich pozyskania oddala je, powaga należy do rzeczy małych, to one wymagają prawdziwego poświęcenia”. „Jeżeli będziesz w rozpacz, nic tak nie polepszy samopoczucia jak dobry uczynek”. „Kiedy się z sercem poświęcisz jednemu zatrudnieniu, skryształizują się z czasem wokół niego i wyjaśnią wszystkie istotne problemy, choćby nie wiem jak niepojęte były, złożone i odległe”. Nauczył się sam, studiując nuty metodą prób i błędów, grać na pianinie. Nie szło mu składnie, ale przyjemnie było patrzeć, jak w chwilach wyjątkowych otwiera klapę instrumentu i z załzawionymi oczami wkracza w królestwo dźwięków, uderzając palcami w kryte kością słoniową klawisze, z czego śmiała się pobłażliwie babka, o której się mówiło, że za żadne skarby nie chciała wyjechać za granicę, trzymając dziadka swoim postanowieniem w szachu. Cała pozostała rodzina ojca – łącznie z nim samym, ciotką Adą, siostrą babci, która

zatrzymała się w Wiedniu na zawsze, nieznanym mi wujkiem, który ukrywał się za okupacji w Krakowie, niedobrą Reginę, jej bratem Sebastianem, zbijającym fortunę – dawno gdzieś już była.

Wychodzę spod prysznic i łapię się na tym, że wycieram twarz ręcznikiem, którym po spacerach w błotnistą nie pogodę wycieram łapy i tułów psu. Budzę się i znów po chwili zasypiam, aby w dalszej części sennej sekwencji leżeć w łóżku i patrzeć z przerażeniem, jak spoglądam badawczo na siebie z drugiego pokoju – przez uchylone drzwi. To moja strona stanu, który Nietzsche określił mianem „obłądu duchów wyższych”, do których się nie zaliczam, bo nie zaliczamy się do tego zastępu pokutników sami, choć podobny stan zatrzymuje mnie w miejscu, unieruchamiając myśli. I przypominają mi się znów słowa Brodskiego o „wyższości duchowej, która napotyka na sprzeciw na poziomie fizycznym”. Czyżby nie wiedział, że według autora *Antychrysta* to właśnie „duchy wyższe z trudem uwalniają się od pewnego złudzenia: wyobrażają sobie mianowicie, iż wzbudzają zawiść w ludziach miernego ducha i że są uważane za wyjątki. W rzeczywistości jednak ci odczuwają je jako coś zbytecznego i czego brak nie dawałby się odczuć”?

„Człowiek zbyteczny” to przecież *zasługa* rosyjskiej literatury! Zbyteczny, czyli bez możliwości znalezienia się w miejscu, które będzie można egzaltować jako własne. Taki więc, który nie mieści się żadną miarą w zasadzie *amor fati* i świadomie ją uchyla, pozostając na marginesie czasu i zdarzeń; albo pozostaje poza zdarzeniami własnego życia, rozgrywającego się w czasie, który pędzi dla niego z zawrotną prędkością, choć nie ruszył wcale z miejsca, ani się nie zatrzymał; tak że w tej sytuacji, wyjątkowo nie swojej, chociaż ściśle osobistej, nieustannie postrzega siebie jako rzecz wystawioną na zewnątrz wszystkich innych rzeczy.

Najlepszym literackim modelem tego swoistego oraz błyskotliwie bezwzględego „zawieszenia”, ogłupiającej niemocy i braku wpływu na to, w czym nie można nie uczestniczyć, jest bez wątpienia *Proces*, choć dla niektórych akcenty rozłożone w tej powieści będą trochę inaczej. Cały pisarski wysiłek Kafki zdaje się być (w pewnym uproszczeniu) próbą budowania pożądanego kontaktu z obcym i bezlitosnym światem „na zewnątrz”, który jest nie tylko własny, ale i też – jak najbardziej jedyny. W jego powieściach i opowiadaniach naszkicowany został „negatywny projekt egzystencji”, którego najbardziej



poruszającą cechą jest paniczna potrzeba zaakceptowania, a w konsekwencji przekroczenia intuicyjnego rozpoznania, że wola życia jest koniecznym elementem powszechnej niewoli istnienia. Główny bohater Franza Kafki nie jest bierny. Bo chociaż postępuje wedle ograniczonych, ludzkich możliwości, to przecież ani na małą chwilę nie ustaje w wysiłku podporządkowania powszechnej niewoli istnienia swojej własnej woli życia. Nie przyjmuje do wiadomości, że wszystko, co czyni, mija się z celem, ale też dzięki temu nie czuje winy. Odczuwa z tego powodu męski wstyd. I wstyd ten, który według finalnej sceny *Procesu* ma go „przeżyć”, stwarza wrażenie zaczynu „pozytywnego programu egzystencji”, za którego zdumiewający wykład mogą być uznane jego aforyzmy. Oto jeden z nich: „Fakt, że nie istnieje nic ponad świat duchowy, pozbawia nas nadziei, ale daje pewność”.

To, co nie jest pełne u Kafki, nadal niepełne pozostaje, ale już w innym porządku; kieruje bowiem w stronę pewności, za którą może się kryć pełnia, której fakt istnienia ważniejszy jest od tego, jaki ma charakter. Dlatego można uznać autora *Przemiany* za pisarza głoszącego rodzaj „dobrej nowiny”. Jego wysiłek sprowadza się bowiem do mówienia przez przypowieści do tych, którzy „otwartymi oczami nie widzą i otwartymi uszami nie słyszą”. Co do nich mówi? Choćby to (jak w zakończeniu krótkiej prozy *Uczą przypowieści*): „Jeśli bylibyście posłuszni przypowieści, sami byście się przypowieścią stali, a przez to uwolnili się od codziennego wysiłku [...], bo sukces rzeczywisty to prawdziwa porażka”; albo to (w końcówce nieco dłuższego *Egzaminu*): „Kto nie potrafi odpowiedzieć właściwie, zdaje naprawdę”. Mówi więc *de iura*, tak to dziś rozumiem, że „ostatni będą pierwszymi”, a przez to, że „człowiek zbyt czyny” jest „potrzebny”, gdyż bez niego to, co najważniejsze, nie mogłoby w ogóle być do pomyślenia; albo że bez niego nie byłoby „dramatu istnienia”, zmierzającego, choćby na planie poetyki, do odczytania i rozwiązania, chociaż, jeśli się nie mylą, na ten temat nie poważy się powiedzieć *de facto* niczego więcej.



Tylko prenumerata zapewnia  
stałe i szybkie otrzymywanie  
„Kwartalnika Artystycznego”



## Wymieranie

Kolejny raz powracając do wierszy Jana Polkowskiego, mam z ich odbiorem coraz większy kłopot. Nie dlatego, by mi się mniej niż przedtem podobały – podobają się nadal, to utwory świetnie skomponowane, przejrzyste intelektualnie. Tym, co mnie w nich coraz bardziej niepokoi, jest odczucie schyłkowości, jak choćby to wyznanie otwierające jeden z wierszy najnowszego zbioru: „W mojej epoce już wymieram”. Przy czym sprawa jest, przynajmniej w moim odczuciu, niesłychanie delikatna. Wiersz, z którego pochodzi cytowany incipit, jest swego rodzaju magiczną formułą, w której przestrzeni ścierają się z jednej strony świadomość kresu „wymierającej” formacji zakorzenionej w innym czasie niż ten, jaki nadszedł, z drugiej przecucie, że, jak czytamy w puencie: „To ocaleje co zapomnę”.

Sprawą fundamentalną wydaje się tu stosunek do języka – tej kwestii poświęcone są w tomie dwa wiersze, w obu jest mowa o tworzeniu nowego człowieka. Język „z gliny cichnących

modlitw / stara się ulepić nowych ludzi” oraz „z wody gadatliwych dzieci / z piasku suchych słów stara się ulepić nowego Adama”. Język, jakim mówimy, jest zatem językiem martwym, przeciwstawia się mu „tłum stronników / milczenia”, ale też:

...w łuszczącym się gwarze podmiejskich  
śmietnisk  
w spalonym słowniku wschodnich prowincji  
w intonacji kilku niewypowiedzianych zdań  
tli się imitacja buntu  
Niektórzy myślą że wybuch jest bliżej  
niż następny oddech  
Gdyby mogli mówić krzyczeliby że nastąpi  
natychmiast po naszej śmierci  
I wtedy wstanie nad niemymi dachami  
kontynentów  
wzrośnie ponad pysznym pochodem świata  
śpiew wolnych słów

Wszystko zatem ma się zdarzyć po przeczuwanej apokalipsie, „po naszej śmierci”. Naszej – czyli czyjej? Zastanawia mnie, w imieniu jakiej zbiorowości wypowiada się narrator tych wierszy, o jakim „my” jest tu mowa?

Zgoda, przemija postać świata czy też, jak chciał Peiper, zmienia się jego skóra. Ale przecież jego istota pozostaje ta sama – to w świeckim wymiarze ludzki świat. To świat relacji tworzonych, i tu też zgoda, przez

język. Zajmowanie się językiem jest w oczywisty sposób zajmowaniem się człowiekiem, jego kondycją intelektualną bądź moralną. Najpełniej to widać w krytykowanej za „zabawy językowe” poezji określanej mianem lingwistycznej: Białoszewskiego, Karpowicza, Barańczaka czy Krynickiego. Tam wszakże diagnoza poprzedzona jest rozpoznaniem. Tymczasem w wierszach Polkowskiego co prawda diagnoza jest niesłychanie wyrazista, lecz rozpoznania – a zatem demonstracji funkcjonowania języka, który „lepi nowych ludzi” i chce „ulepić nowego Adama”, czyli dokonać jakiejś *pierekowki* dusz – brakuje. Dowiadujemy się jedynie, że „na ekranach komputerów i ajfonów / trzeszczy gruzlica ciszy”, bądź tego, że tworzywo języka powstaje „ze słów zniszczonych lub zranionych / z odpadów porzuczonych przez poetów i ideologów”.

Intuicyjnie można przyjąć te rozpoznania za trafne, jednakże są one dość ogólne, a zatem niedające możliwości ich weryfikacji w konkretnej materii językowej: „słowa zniszczone lub zranione” – a wiemy, przynajmniej niektórzy wiedzą, że takich słów nie brakuje w naszym świecie – to pojęcie zbyt enigmatyczne. Oczywiście: *aurea prima sata est aetas* – a później już zawsze było gorzej, o tym wiadomo co najmniej od czasów Owidiusza.

Później ideologowie przenieśli wiek złoty w przyszłość, która się zrealizuje „natychmiast po naszej śmierci”, zmieniając nasze życie w nawóz historii. To oni zapowiadają nadejście „nowych ludzi”, raj na ziemi.

Tymczasem żyjemy w świecie, jaki jest nam dany i którego nieustanny rozpad rejestruje czujność i wrażliwość poetów, daleko zresztą nie wszystkich. Polkowski należy do tych, którzy starają się zapisać to doświadczenie rozpadu, zakorzeniając je w realiach dziejowych ostatniego stulecia, w szczególności w odwołaniach do miążdzących tożsamość wydarzeń, które towarzyszą Polsce po roku 1939, jak choćby w wierszu *Ortografia*, relacjonującym kłopoty z odróżnianiem między *ch* (niemym) i *h* (dźwięcznym):

*H* chwieje się w ustach  
jak uroczysta podróż na ramionach Ojca  
mi życie niepowstrzymane  
cwałujące jak husarskie hufce pod  
chorągwiemi tajemnic  
Trwa twardo w spłowiących listach  
z sowieckiego łagru  
Drży jak kieliszki w serwantce  
gdy Szaulisi w ciszy otaczali dom  
a Zdrowaś Mario ze strachu mieszało się  
z Ojczy nasz

Te metamorfozy, w jakich uczestniczymy, sprawiają, że pojawia się przed nami „pustoszejący szlak polszczyzny”. Już nie tylko nie rozróżniamy między „ch” i „h”, lecz również zdajemy sobie sprawę z faktu, że:

Embrion Europy szepcze hymn  
Lecz jego śmierć jest już bezdomna

Poeta może jedynie „samotnie  
czcić spalone słowa”. Tymczasem  
konstatuje (*Aurea prima...*): „Był  
kiedyś w smętku rannych słów /  
i w głosie co kołysał losem / wspól-  
noty wiatr pętla wolności / szczodre  
szczęście i ból”. To przeminęło,  
wspólnota została utracona, pętla  
wolności pękła, uległa rozerwaniu.  
Nie ma powrotu i wniwecz się obra-  
cają wolnościowe sny:

Ojciec w litewskich lasach służył w zwiadzie  
by wykryć wroga na czujnej klaczy gnał  
wolny – uwieczniony na celowniku karabinu  
przez artystów z Berlina bogonośców z Moskwy –  
za pazuchą miał tylko bezdomny dym

Utracona przeszłość – heroiczna  
i pełna cierpienia (łagry i lagry, co się  
komu trafiło, a w gruncie rzeczy to  
jednak tworzyło wspólnotę) – i żad-  
nej nadziei na przyszłość (ów „pusto-  
szejący szlak polszczyzny”), wszystko  
to tworzy w tych (a także wcześniej-  
szych) wierszach Polkowskiego wizję  
katastroficzną, acz zarazem melan-  
cholią, naznaczoną rezygnacją.  
I ta wizja właśnie sprawia, że lektura  
tych wierszy sprawia mi kłopot. Nie  
chodzi mi przy tym o samo rozpo-  
znanie stanu rzeczy, jakiego w swych  
utworach dokonuje autor zbioru *To  
nie jest poezja* – tu w zasadzie pozo-  
stają z nim zgodny: o faktach nie da

się dyskutować. Natomiast owo za-  
nurzenie w przeszłości, eksponowa-  
nie, nawet tak dyskretne jak w tych  
wierszach, postawy martyrologicz-  
nej – która z reguły, jeśli cierpienie  
ma mieć sens, prowadzi do mniej lub  
bardziej ukrytego mesjanizmu czy  
choćby postawy misyjnej – budzi,  
delikatnie mówiąc, lęk.

Przy tym rzecz nie sprowadza  
się wyłącznie do sfery doraźności.  
Polkowski ponawia słynne pytanie  
Leibniza o to, dlaczego istnieje raczej  
coś niż nic:

Lekko jest żyć  
gdy Bóg się waha  
czy świat ma istnieć  
czy nic

Ten Bóg – tutaj wobec świa-  
ta zewnętrznego (świata jeszcze nie  
ma) – jest Bogiem, którego obecność  
zdaje się paradoksalna. Lecz jeśli  
świat już jest, to przecież jest takim,  
jakim został stworzony i wydany  
człowiekowi – jedni go używają,  
inni uznają za zadanie, lecz jeśli  
człowieczeństwo ma mieć pełny  
sens, obecność jednych i drugich jest  
równie usprawiedliwiona. Stając po  
stronie tych drugich i odmawiając  
próby rozumienia tych pierwszych,  
dokonuje się ich wykluczenia z tej  
wspólnoty, o której mowa, że losem  
ich – niegdyś – kołysał „wspólnoty  
wiatr”. Jeżeli ta wspólnota ufun-  
dowana była wyłącznie na więzi  
tworzonej przez tragizm historii, to

jest ona na swój sposób negatywna. W dzieje tej wspólnoty warto chyba sięgnąć głębiej niż tylko do doświadczeń tworzących romantyczny paradygmat. Może to pozwoli wydostać się z depresyjnej tonacji stanowiącej podkład tej poezji.

Leszek Szaruga

**Jan Polkowski**, *Gorzka godzina*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2015

## Wybrane fragmenty

Wybór listów Mikołaja Gogola (1809–1852), pisanych od końca 1844 roku, ukazał się pięć lat przed jego śmiercią i miał być przygotowaniem czy wprowadzeniem do dalszych części *Martwych dusz*, a stał się raczej, jak napisał Andriej Siniawski, „ratunkowym przedsięwzięciem”, „ochronną kompozycją”, „wybiegiem”. Gogol wiedział, że nie ma już sił na spełnienie tego wielkiego zadania. Drugi tom spalił i był to dla niego potężny cios i wyniszczająca tragedia. To, co ogłosił w tych *Wybranych fragmentach*, jest w większości skrajne i natchnione – mówiło się nawet o jego szaleństwie. Doszedł do punktu, z którego nie było odwrotu.

To kolejna książka Gogola ukazująca się w ostatnim czasie.

W roku 2009 w Bibliotece Narodowej zostały wydane dwa tomy *Martwych dusz* w przekładzie Władysława Broniewskiego i Marii Leśniewskiej, w 2012 roku poświęcony mu numer 1–2 „Literatury na Świecie”, a w 2014 *Martwe dusze* w nowym przekładzie Wiktora Dłuskiego (omówione w „Kwartalniku Artrystycznym”).

Gogol to pasja literacka i pasja religijna związane w jeden węzeł. Wywarł wielki wpływ na literaturę rosyjską i światową. Był mistrzem Dostojewskiego, którego styl jest jawnym powtórzeniem, wariacjami, parodiami i kombinacjami jego stylu. Pracę pisarską, której od początku wszystko podporządkował, połączył z obowiązkami i czynami chrześcijanina: miał naturę mnicha i żył jak mnich. Nie było w jego życiu innych poświęceń i namiętności: celem było napisanie dzieła, które według niego jest czynem religijnym, mistycznym przeżyciem i takim powinny być kolejne części *Martwych dusz*. Literatura miała dla niego ściśle związek z rozwojem wewnętrznym, z dążeniem do oczyszczenia i przemiany, do tożsamości z Chrystusem i zbawieniem duszy. W tych wielkich napięciach w sprawę wdały się demony.

Dążył do prawdy, do światła, a wokół niego kłębiła się ciemność.

Przez literaturę doszedł do objawienia. Chciał być świętym, bo tylko tak mógł zrealizować swój cel i tak niektórzy go postrzegali, ale byli i tacy, którzy widzieli w nim diabła (na przykład Rozanow). Uważał, że literatura, która nie dawała konieczności najwyższego duchowego pożytku, była bez sensu. Ale czy tak nie jest?

Życie powierzchowne, czyli pozbawione doznania *sacrum*, jest nedorzecznoscią i do tego prędkiej czy później dojdzie każdy prawy i wrażliwy człowiek. Jest to droga wielu wielkich pisarzy, chociaż nie tak otwarcie opisywana jak u Gogola czy na przykład Lwa Tołstoja (patrz na przykład jego *Wyznanie*). Często wiąże się z blokadą wewnętrzną, utratą natchnienia, a na jej końcu (lub w środku) jest odejście od pisania, zamilknięcie. To bardzo delikatna i ważna sprawa: doskonalenie talentu łączy się z doskonaleniem duchowym. Od pewnego punktu nie ma już odwrotu, mówi Franz Kafka i dodaje: ten punkt trzeba osiągnąć. Reszta to lepsze lub gorsze dykteryjki i dyrdymałki, mniej lub bardziej udane zagospodarowanie nie wiadomo czego.

Wobec śmierci jaki jest cel życia człowieka na ziemi? Po co się żyje?

Ten, kto nie myśli i nie pisze o rzeczach najważniejszych, to o czym myśli i o czym pisze? Odpowiedź jest prosta. Bez modlitwy nie ma wyjścia z duchowej bylejakości i mizერი. Gogol modlił się żarliwie i prosił o modlitwę: „Droga moja trudna; sprawa moja takiego jest rodzaju, że bez cominutowej, bez cogodzinnej, bez wyraźnej pomocy Bożej pióro moje nie poruszy się, a siły moje znikome, bez wspomożenia z góry nie ma ich wcale. Mówię Wam o tym prawdziwie. Na Chrystusa, módlcie się za mnie” (list do Filareta, mnicha Optyńskiej Pustelni, 1850). Widział związek modlitwy z natchnieniem twórczym, które zsyła Bóg – z działaniem wysokich duchowych energii. Iwan Turgieniew po spotkaniu z nim napisał: „Jakąż ty jesteś mądrą i dziwną, i chorą istotą!”. Turgieniew był sobą, a Gogol – sobą. Turgieniew miał swoje życie, a Gogol żył tylko literaturą. W 1847 roku napisał w liście z Neapolu: „Wśród wszystkich pisarzy, których biografie zdarzyło mi się czytać, nie spotkałem jeszcze ani jednego, który by tak uparcie drążył raz wybrany przedmiot. Tę wytrwałość moją poczytuję za oznakę Bożej miłości”.

*W Wybranych fragmentach korespondencji z przyjaciółmi przedstawiona jest, jak odpowiedział*

atakującemu go Wissarionowi Bielinskiemu, „sprawa duszy”. Listy te napisane są stylem wzniosłym i jednocześnie trywialnym, naszpikowane są pospolitymi wyrażeniami i pasażami, które stają się czynem religijnym, mistycznym przeżyciem.

W *Przedmowie* stwierdza, że jest to najbardziej pożyteczna i najgłębsza jego książka. Ogłasza, że wybiera się w pielgrzymkę do Ziemi Świętej, żeby u Grobu Pańskiego modlić się za wszystkich swoich rodaków i za siebie samego. Jako dobry chrześcijanin z pokorą przeprasza za zło, które uczynił, prosi o wybaczenie i o modlitwę.

W *Testamencie* nazywa siebie „najmarniejszą ze wszystkich dusz” i radzi, że powinniśmy surowo patrzeć na własną ohydę i nikczemość, a nie na ohydę i nikczemość drugich. Pisarz powinien pozostać po sobie jakąś „dobrą myśl”, coś krzepiącego i korzystnego dla duszy – taki jest według niego cel literatury, bez niego pisanie staje się jedynie zbiorem pustych i niepotrzebnych słów. Oświadcza, że wszystko, co było w rękopisach, spalił jako „twory pozbawione siły i martwe”. Siły ducha i rozwój łączą się z cierpieniem, nawet z tym najdotkliwszym, które osłabia z minuty na minutę.

W szkicu *O tym, czym jest słowo* mówi o powołaniu, o wewnętrznej sile duchowego ognia, o tworzeniu i o niszczeniu („ciśnięte w ogień”), o ostrożności w podejściu do wyższych prawd, żeby nie zamieniły się w ogólniki, o słowie, które jest najwyższym darem danym człowiekowi przez Boga i stwierdza, że pisarz, który nie ma tej świadomości, swoim pisaniem budzi tylko obrzydzenie. Zamieszcza ważny zapis o milczeniu: „Uważaj! Otocz posiadłość swą płótem z cierni, srebro swoje i złoto mocno zawiąż – powiada Jezus, syn Syracha – słowom twoim spraw wagę i ciężarki, a ustom drzwi i zasuwę! Uważaj, abyś się w nim nie potknął, i abyś nie upadł przed tym, kto ci gotuje zasadzkę”.

Pisze między innymi o znaczeniu choroby, o randze słowa i o publicznych deklamacjach wierszy, o pomocy biednym, o świętym i głębokim sensie nieszczęścia, o nowym przekładzie *Odysei*, którą uważa za najdoskonalsze dzieło wszystkich stuleci – przekład nie ma być „wiernym, ale miernym”, lecz ma być w nim „żywe słowo”, o jednostronności, o naturze i duszy człowieka, o poezji, o teatrze, o chrześcijaństwie, które według niego jest ponad wszystkim, o religijności i służeniu Bogu.



W związku z *Odyseją* mówi o wewnętrznym zwróceniu się ku sobie samemu, które jest modlitwą do Boga, i daje cenne rady dla pisarzy, dotyczące między innymi ducha treści utworu i jego wewnętrznej istoty, prostoty, jasności i porządku narracji, budowy poszczególnych części i całości, dbałości o dopracowanie każdego detalu („widoczny jest najmniejszy pyłek i wszystkim rzuca się w oczy”), rozumu i rozważgi przy używaniu słów i zwrotów i przestrzega, w co wynaturza się ich przeciwieństwo.

Kto dziś tak myśli i mówi o literaturze?

Wypowiada się o Cerkwi prawosławnej – „Cerkiew naszą winna święcić się w nas, nie w słowach naszych. My powinniśmy być naszą Cerkwią i poprzez nas trzeba by głosić jej prawdę” i o duchowieństwie – „Duchowni wychowują się dla świata nie pośród świata, lecz z daleka od niego, w głębokiej wewnętrznej kontemplacji, w badaniu własnej duszy, jako że tam są prawa dotyczące wszystkich i każdego”, o surowym liryzmie poetów rosyjskich z Aleksandrem Puszkinem na czele, który porównuje do najwyższego liryzmu z Biblii, którego źródłem jest Bóg; przypomina, że z czterystu proroków żydowskich,

którzy prorokowali w jednym czasie, zostawał jeden, który nie opowiadał rzeczy błahych i mówił rozumnie, trzeźwo i jasno (Gogol nie raz powtarza to zalecenie) i tylko to wchodziło do świętej księgi narodu żydowskiego.

Z niepokojem zauważamy, że jego uwagi i diagnozy społeczno-polityczne dotyczące Rosji, jak i Stanów Zjednoczonych Ameryki, Europy, sporów europejskich i słowiańskich są przerażająco aktualne.

W szkicu o teatrze mówi o roli i znaczeniu wielkich dzieł dramatycznych, czyli takich, w których zwraca się uwagę na naturę człowieka i jego duszę, przywołując między innymi Shakespeare’a, Moliera, Goethego i Schillera i karykaturalne ich wystawianie przez ludzi niemających ani rozumu, ani talentu, których stać tylko na „gnilne” inscenizacje: „Wpierw należy teatr oczyścić z wszelakiego chłamu, jakim jest zavalony i dopiero potem debatować i orzekać, czym jest teatr”. I dodaje, że wszystko to, co powiedział o teatrze, można by zastosować „niemal do wszystkiego”. To jest zadanie! – „Przyjacielu mój! – zostaliśmy powołani na ten świat nie po to, aby trzebić i burzyć, lecz by, na podobieństwo Boga, wszystko nakierować ku dobru – nawet to, co człowiek już popsuł i obrócił w zło.

Nie ma na świecie takiego narzędzia, którego przeznaczeniem nie byłaby służba Bogu. Te same trąby, tympanony, lutnie i cymbały, którymi poganie wysławiali swoich bożków, po pokonaniu ich przez króla Dawida jęły wysławiać prawdziwego Boga, i jeszcze bardziej uradował się cały Izrael, słysząc, że głoszą chwałę jego na tych instrumentach, na których dotychczas nie rozbrzmiewała”.

Wielkie wezwania znajdujemy także w listach do Nikołaja M. Jazykowa: „Wziąć zdanie z przeszłości i zwrócić je ku teraźniejszości – jakaż to mądra i bogata myśl! [...] odszukaj w przeszłości zdarzenie podobne do teraźniejszego, spraw, by ukazało się w ostrym, jaskrawym świetle, i ugodź go na oczach wszystkich, tak jak w swoim czasie było rażone gniewem Bożym: bijąc w minione, uderzaj w teraźniejsze, a słowo Twoje nabierze podwójnej mocy: wskutek czego żywiej wystąpi minione i krzykiem swoim zakrzyczy teraźniejsze. Otwórz księgę Starego Testamentu: znajdziesz tam każde z obecnych wydarzeń, ujrzysz jaśniej niż światło dnia, czym ono wykroczyło przeciwko Bogu, a odprawiany nad nim Sąd Ostateczny przedstawiony jest tak wyraźnie, że drgnie i ocknie się teraźniejszość”. Przestrzega, żeby nie dać się zwodzić tym wszystkim

„próżnym i płytkim nowinkarzom”, którzy pod szyldem oświecenia ciągną nas do jałowego i zwiędłego „światowego życia”.

Przypomina, że rozum zależy od stanu ducha i duszy człowieka, a nad nim jest mądrość, którą może dać nam tylko Chrystus. Na spotkanie z Nim trzeba się cały czas przygotowywać i wstępować coraz wyżej i wyżej.

W literaturze najważniejsze jest zespolenie talentu z wewnętrzną sytuacją duchową i własną duchową historią, która przenika w głąb struktury utworu i ujawnia, jaki jest jego wewnętrzny duch. Kto tego nie rozumie, niewiele rozumie z literatury, która jest po to, żeby przewycięzać własną marność i dawać ludziom natchnienie do tego. Mówi, że „bez modlitwy nie przystępuję do niczego”.

Wyznaje, że jego bohaterowie „dlatego bliscy są duszy, albowiem wzięli się z duszy; wszystkie moje ostatnie utwory – to historia mojej własnej duszy” i dodaje, przywołując rozmowę z Puszkinem, że jego główna zaleta polega na zespoleniu wewnętrznej sytuacji duchowej i własnej duchowej historii, na „pragnieniu bycia lepszym”. Mówi o świętej sile, która pomaga mu w rozwoju i dodaje: „A Tobie radzę, abyś nie puścił tych słów mimo

uszu, lecz po przeczytaniu tego listu pozostał sam ze sobą przez kilka minut, a odseparowawszy się od wszystkiego, porządnie przyjrzał się sobie, i abyś, przepuściwszy przed oczami całe swoje życie, sprawdził w praktyce istotę moich słów”. Tylko najwięksi pisarze mogą tak mówić.

Mówi, że „drogi i ścieżki ku świetlanej przyszłości” są ukryte właśnie w tej „ciemnej i zagmatwanej terażniejszości, której nikt nie chce poznawać”, a współczucie jest dla niego początkiem miłości. Opisując życie i pracę malarza Iwanowa, który przez dwadzieścia lat malował w Rzymie obraz *Chrystus ukazujący się ludowi*, pisze jakby o sobie, o swoim doświadczeniu i pracy i jest to wielkie przesłanie do artystów – opowiada o przemianie artysty, o pracy nad swoją duchowością i jej duchowych uwarunkowaniach, o związku duszy artysty z dziełem, o najwyższym poświęceniu i oddaniu swojej pracy i przekazaniu tego innym ludziom.

Są i tematy nie tak wysokie i wzniosłe, ale przecież ciekawe i istotne, na przykład o postępowaniu kobiet w świecie, o dobrych radach, o miłości do Rosji oraz o jej strachach i okropnościach, o tym, kim jest gubernatorowa, czyj udział na ziemi

jest wyższy i komu sądzona lepsza dola, o rosyjskim ziemianinie, o tym, czym może być żona dla męża, o sądzie wiejskim i rozprawie, o zajmującym ważne stanowisko.

Jest wyrazisty i pewnie wielu powie, że radykalny. Mówi na przykład, że wywody wprowadzone bez udziału Boga to zgnilizna i tak zwraca się do przyjaciela: „Nie widzę w Twoich projektach uczestnictwa Boga; nie słyszę w słowach Twojego listu, pominąwszy niewątpliwy blask Twojego umysłu i inteligencji, iżby Bóg był obecny w Twoich myślach w czasie, gdy go pisałeś; nie widzę na Twojej myśli niebieskiego światła”. Rozumiem to, chociaż wątpię, żeby podobnie odczuwał krytycznie nastawiony do tych zapisów Vladimir Nabokov (patrz jego *Wykłady o literaturze rosyjskiej*). Bez ducha nie zostaje nic oprócz jakiejś nędznej, skazanej na rozsypanie się skorupy (formy) oraz „terkotu i chaosu słów”.

Tom kończy artykuł o Niedzieli Wielkanocnej. Warto słuchać tego, co mają do powiedzenia genialni pisarze i współodczuwać z nimi, a nie zadawać się z tymi, których w obliczu natchnionych zapisów stać tylko na niedowierzenie, zakłopotanie i mędrkowanie. Gdy patrzę na niektórych, to widzę jak na przestrzał, że to ludzie nie tylko bez ducha, ale i bez rozumu. A Gogol

dalej przestrzega: „Diabeł już bez maski, wszedł do naszego świata. Duch pychy przestał już pojawiać się w różnych obrazach i straszyć przesądnych ludzi, pojawił się w swojej własnej postaci. Ledwie poczuł, że uznają jego panowanie, a już przestał krygować się przed ludźmi. Z aroganckim bezwstydem śmieje się im, jego wyznawcom, prosto w twarz; narzuca światu tak głupie zasady, jakich do tej pory nikt nigdy nie wymyślił – a świat widzi to, ale nie śmie odmówić posłuchu”.

Stawia przed nami lustro i pyta:  
„Z kogo się śmiejecie?”.

Krzysztof Myszkowski

**Mikołaj Gogol**, *Wybrane fragmenty korespondencji z przyjaciółmi*, wstęp, przekład i przypisy Feliks Netz, seria *Wielcy pisarze w nowych przekładach*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2015

## Posłuszna własnej tylko ciekawości

Na początku radość i zdziwienie. Radość, że oto mamy wreszcie wszystkie – jak zapewnia wydawca – w jednym tomie felietony o książkach Wisławy Szymborskiej. Zdziwienie, że książka, mimo że *Lektury z a w s z e*, czyli od pierwszego tomu z roku 1973, poetka

przeznaczała do edycji w Wydawnictwie Literackim, ukazały się gdzie indziej. W Wydawnictwie Literackim wychodziły kolejne tomy. Jak wiem, i ta edycja od paru lat czekała na ukazanie się w Wydawnictwie Literackim. Cóż, Wisławy nie ma, za to są spadkobiercy, ich decyzje. Dziwić też może na przykład nieobecność wstępu któregoś z badaczy, a może i przyjaciół noblistki – znakomitego felietonisty Tadeusza Nyczka (byłoby to całkiem sensowne, gdyż ostatni felieton Szymborskiej w tym tomie jest przyjaznym omówieniem książki Nyczka *Alfabet teatru – dla analfabetów i zaawansowanych*) czy równie kompetentnego w sprawach i twórczości Wisławy Bronisława Maja. Zamiast tego nota nieznanego bliżej Artura Czesaka. Choć obracam się ponad czterdzieści lat w środowisku wydawniczym Krakowa, nie słyszałem o tej zacnej rodzinie edytorów, którzy teraz potężną gromadką (bo Artur Czesak dziękuje w *Nocie wydawniczej* za pracę także „Pannom Annie i Marii Czesakównom i ich bratu Michałowi”) odkryli felietonową twórczość Wisławy Szymborskiej dla Wydawnictwa Znak.

Koniec końców, cieszymy się więc, że książka doczekała się wydania. Ona pozostanie, choć – można podejrzewać – że autorka w swojej skromności (i przy znanej bystrości widzenia spraw) nie zgodziłaby się

na przypomnienie „wszystkiego”, bo są tu – głównie z czasopism – teksty niewłączane do poszczególnych tomów *Lektur* w liczbie prawie dwustu, omawiające książki rzeczywiście mniej istotne, warte może jedynie jednokrotnego napomknienia. Niemniej, całość będzie cennym materiałem dla obecnych i przyszłych badaczy twórczości noblistki.

Zgromadzono w tym tomie pięćset sześćdziesiąt dwa felietony. Obejmują kawał czasu, między końcem lat sześćdziesiątych a rokiem 2002, ponad trzy dekady czytania, pisania, smakowania, rekomendowania. Choć przecież i tu znajdziemy sporo uwag krytycznych, dotyczących jakości dzieł, sztuki przekładu pewnych tekstów dawnych, braków, niekompetencji i zaniedbań redaktorów. Przy okazji ujawniane są sympatie, sądy, własne wyraziste poglądy. Nigdy jednak w formie jedynych prawd do uwierzenia, a artykułowane delikatnie, bez pedagogicznych pouczeń, raczej jako wyraz zauważonego braku, chęci pogłębienia wiedzy na jakiś temat, spodziewań i czytelniczego niedosytu. Na przykład w felietonie o książce *Kupcy w XVI wieku* Pierre’a Jeannina: „Może jestem karygodnie nieoświecona, ale doprawdy nie wiem, co to w gruncie rzeczy było 700 000 florenów, 300 dukatów, 95 000 liwów albo 50 soldów. Autor nie

wyjaśnia ani wzajemnego stosunku rozmaitych jednostek monetarnych, ani ich ówczesnej siły nabywczej. Sporządzenie małego choćby cennika – owszem, trudne, zważywszy chwiejność cen w tym burzliwym stuleciu – bardzo by pomogło wyobraźni. Nie wymagam przeliczenia na płaszcze ortalionowe – wystarczy mi opończe z flamandzkiego sukna. Chciałabym się dowiedzieć, ile kosztował koń, beczka soli, armatka skromna i armatka wystawna”.

A jakąż tu różnorodność zaciekawień, różnorodność tematyczna lektur! Tłumaczy swoje wybory autorka w następujący sposób: „Lubię książki, w których liczy się nogi stonogom. Czytanie wyłącznie literatury tzw. pięknej ma w sobie coś przerażającego. Traci się właściwą perspektywę. Po lekturze monologu wewnętrznego dobrze jest dowiedzieć się, jak np. kichają słonie”.

Czytanie „całości” to jednak inna lektura niż zapoznawanie się z tymi drobnymi tekstami, w większości wielkiej mądrości i urody, w czasopiśmie czy poszczególnych tomach. Znowu badacze będą mieli pole do popisu, bo ta księga zawiera gros sądów noblistki o życiu, sztuce, zainteresowaniach, jej przekonaniach, ulubionych autorach i literaturach, całościowym jej „światoodczuciu”. Można więc tu szukać sądów, można się uczyć mądrogo i szlachetnego

krytycznego spojrzenia. Można zasmakować w podobnym czerpaniu wiedzy i radości z lektury. Można z pomocą Szymborskiej dojść do wniosku, że warto znaleźć zawsze czas na lektury „niekonieczne”, bo z ich poznania przyjdzie kiedyś jakiś praktyczny pożytek. Oczywiście nie zapominając, że wypada – koniecznie – przyswoić sobie na przykład wiekopomne dzieła panów Montaigne’a czy Pepsya.

I wreszcie – jest to przegląd książek dość dawno wydanych, które w jakimś procencie i teraz warto poznać, bo w zalewie dzisiejszej szmiry mało znajdziemy lektur równie krzepiących. *Wszystkie lektury nadobowiązkowe* czyta się świetnie na różne sposoby, nawet długie ich czytanie – dzięki różnorodności tematycznej, humorowi i spostrzegawczości pisarki – nie jest męczące, a przynosi poczucie radosnej satysfakcji, sensu, bycia w kręgu ludzi i książek człowiekowi potrzebnych, życzliwych.

Krzysztof Lisowski

**Wisława Szymborska**, *Wszystkie lektury nadobowiązkowe*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2015

## Kabała Leca

Najgorzej ze świetnymi książkami, by zacząć od końca. Nie

wiadomo, od czego rozpocząć ich chwalenie, aby pochwały i komplementy zabrzmiały przekonująco. Myślę, że monografia Stanisława Jerzego Leca pióra Lidii Kości pochwały zgoła niepotrzebne. Kto bowiem już sięgnie po tę pozycję, będzie miał tylko dwie możliwości na jedną okazję: albo rzecz przyjąć (na warunkach przedstawionych przez autorkę), albo nie doczytać (na innych warunkach). Dlaczego nie przeczytać do końca, a nie po prostu – odrzucić? Bo, oprócz tego, co powiedziałem, rzecz jest kierowana do czytelnika zdolnego do introspekcji, ale nie żadnego łatwego intelektualnego łupu – i bardzo cierpliwego, a tych mało. Inni odpadną. *Lec. Autobiografia słowa* to, w skrócie, długa, powolna i stopniowo nawarstwiająca się wielowątkowa intelektualna epopeja. Zdaję sobie sprawę z tego, że nadużywam przymiotników, ale nie czuję, że idę w przesadę. Jednym z jej osiągnięć jest ukazanie z niezwykłą sugestywnością na przykładzie życia i twórczości autora *Myśli nieuczestnych* pokrewieństwa bólu i autoironii.

Jeśli do kogoś w sposób wyjątkowy ta książka została zaadresowana, to przyznam się z fałszywą skromnością – do mnie. Albo kogoś podobnego. Stanisława Jerzego Leca znałem bardzo słabo, gdzieś mi majaczył w szarej mgle jako autor nie do końca

poważny, którym to zachwycali się z nadania Dedeciusa i dwuznacznego poczucia winy Niemcy, niemający w moim przekonaniu do zachwytu, który wskutek ich ludobójczej pracowitości mógł nie mieć miejsca, żadnych praw. *Myśli nieuczesane* miałem w rękach, ale, jak mi to Lidia Końska wykazała czarno na białym, nie byłem ich uważnym czytelnikiem. I żeby było naprawdę ironicznie: gatunek uprawiany w wielkim stylu przez Leca nie był mi obcy. Czytałem Lichtenberga – z zachwytem. Heinego – z obowiązku. Karla Krausa z Benjaminem w rękę. I Kafkę – na kolanach. Ale, czego nie pominę, nie od końca do końca, gdyż nie wszystkie ich zdania były równie pewne, mocne i wieloznaczne. I tu być może jawi mi się słabość własna i równocześnie: porażająca siła interpretacyjna Lidii Końskiej – bo to ona posiadała umiejętność czytania aforyzmów od początku do końca i do końca od samego początku, bez ortodoksji i wyjątków, czego na normalnych warunkach uczynić się nie da, jeśli nie dostrzeże się w aforyzmie czystej poezji, która to poezja, jak to przenikliwie wykazuje strona po stronie, czerpie w przypadku analizowanego przez siebie twórcy *Rękopisu Jerozolimskiego* i *Spaceru cynika* równie pewnie z przeszłości gatunku, co jest w stanie przewidzieć przyszły kształt świata, skupiając się na tym, co *tu* i *teraz* w życiu teraźniejszym zapisywanego zdania.

W zasadzie książka Lidii Końskiej nie jest monografią Leca, raczej, by tylko lekko przystrzyc jej tytuł, *biografią* słowa powołanego do życia przez Leca, bo też czyta się tę solidną pracę tak, jak najlepszą biografię – przychodzi mi do głowy teraz nie kto inny, tylko Richard Ellmann jako rodzaj referencji, mam nadzieję, że autorka się za to nie obrazi. Książka Końskiej została podzielona na rozdziały, odpowiadające porządkowi biografii i bibliografii, które pozostały nam w spadku po Lecu – „autorze osobnym”. Jeśli zaś książka ta jest jednak monografią, to *Myśli nieuczesanych*, które stanowią centrum zainteresowania autorki i zarazem są niekwestionowanym opusem Leca. Lidia Końska z dużym wyczuciem omawia kwestie ogólne, fundamentalne, sporne i niewątpliwe, jak i te, które budzą litość i trwogę w biografii Stanisława Jerzego Leca. Mało tego, czyniąc tak, tworzy przy tym nostalgiczny i potrzebny portret szczególnej formacji intelektualnej, która doszła do głosu w kulturze polskiej, i ukazuje tę formację na szerszym tle wzajemnie się przenikających twórczych prądów, za ilustrację czego niech z braku miejsca posłużą jedynie *Myśli nieuczesane* w niemieckim przekładzie na półce z książkami u Paula Celana.

Książka Lidii Końskiej niezwykle też odważnie przedstawia kwestię

kluczową dla kultury dwudziestego wieku – *Shoah*, wplatając ją w tkanę nietrwałego słowa, które pozostało po ciebie poety. Zresztą, *tematy żydowskie* stanowią dla autorki źródło, z którego czerpie materiał dla swoich najśmielszych, a w moim przekonaniu najbardziej inspirujących interpretacji. Jeżeli można (a jak się okazuje – można!) czytać Leca w przestrzeni rozpiętej pomiędzy presokratykami, Kainem a Ablem, cieniem, który rzuca wieża Babel, *cadikim*, którzy są rybami pamiętającymi świat sprzed potopu, rozbitymi tablicami, kabałą luriańską,

Heinem, dzikimi hordami nadludzi, Adorno, Imre Kertészem, Canettim, Primo Levim i innymi niewymienionymi z imienia i nazwiska, to czego chcesz więcej? Można nawet w związku z tym z wielką przyjemnością wybaczyć autorce delikatną i pociągającą skłonność do nadinterpretacji... Każdy poeta życzyłby sobie takiej monografistki. A jeśli nie każdy, to na pewno podobny do mnie, nawet jeśli nie jest jej celem, Lecem.

Artur Szlosarek

**Lidia Końska**, *Lec. Autobiografia słowa*, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2015



*Fluktuacja kwantowa* to sto dwudziesty tomik Biblioteki „Toposu”. Ta seria powinna wzbudzać podziw dyrektorów wydawnictw i redaktorów pism literackich – ze względu na liczbę wydanych w niej książek i z uwagi na ich poziom.

*Fluktuacja kwantowa* to poemat (wcześniej drukowany między innymi w „Tekstualiach”), składający się z pięćdziesięciu części. Już ta okoliczność zmusza nas do poważnego traktowania słowa wiązanego Szarugi. Wiemy, że poemat w naszej powojennej poezji spełniał ważną rolę, by wspomnieć dokonania: Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Tymoteusza Karpowicza, Czesława Miłosza, Adama Ważyka, Tadeusza Różewicza. Ale warto też wspomnieć nazwisko innego pisarza. Kiedy Szaruga zastanawia się nad mechanizmami znaczenia, gdy sprawdza wiarygodność języka w wyrażaniu uczuć indywidualnych i nastrojów zbiorowych, to jego tom można umieścić na tle twórczości literackiej jego ojca, Witolda Wirpszy. Więcej, *Fluktuację kwantową* możemy uznać za komentarz (kontynuację i polemikę) w formie wersowej teorii

poezji i sztuki wyłożonej w eseju *Gra znaczeń Wirpszy* (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1965). Część trzydziestą pierwszą poematu rozpoczynają wersy: „błądzisz we mgle / znaczeń [...]”. To właśnie pomiędzy „grą znaczeń” a „błądzeniem we mgle znaczeń” rozwija się dialog o pojmowaniu poezji między ojcem a synem, a także pomiędzy sztuką nowoczesną i ponowoczesną.

Tom Szarugi jest ponadto interesujący poprzez napięcia, na których został skonstruowany. Najbardziej uchwytnie są one w wymiarze gatunkowym. Szaruga przedstawia poemat, lecz wypełniają go cząstki różnej długości, a niemało jest w nich miniatur lirycznych. Najkrótsza składa się z trzech wersów i liczy siedem sylab. Ponadto poemat zbudowany jest na opozycji słowo – obraz, bo wierszom przeciwstawia poeta utwory ikoniczne. Najwyraźniej czyni to w trzydziestej drugiej części poematu, w metapoetyckim erotyku.

Prócz tego *Fluktuacja kwantowa* wprowadza napięcie między słowem poetyckim a eseistycznym. W kilku cząstkach cyklu spotkamy

komentarze, w których poeta (ale i krytyk, badacz, tłumacz) zastanawia się nad statusem języka w opisywaniu świata i w wyrażaniu stanów wewnętrznych. Znajdziemy także cytaty: z literatury, z wywiadów, esejów. W poemacie podejmującym problematykę pisania wierszy po Auschwitz nie może zabraknąć wyimku z *Dialektyki negatywnej* Theodora Adorna. Niebagatelne jest też napięcie pomiędzy twórczością indywidualną a poezją innych. A są w poemacie Szarugi odniesienia do Tadeusza Różewicza, a także do twórców jego pokolenia, czyli Nowej Fali (między innymi Stanisława Barańczaka).

Wracam do trzydziestej ósmej części poematu, która wygląda tak: „co się stało / Bóg / wie co”.

Status tego utworu w poemacie jest intrygujący. Stanowi bowiem przykład miniatury włączonej do poematu, a jest także utworem ikonicznym. Ale ten „wierszoobraz” poświadcza trwale zainteresowanie Szarugi poezją konkretną oraz wyraża fascynację konceptyzmem, zwłaszcza w odmianie metafizycznej. Bo przecież liryk jest wariantem chiazmu. A ta figura składniowa ma niepoślednie znaczenie w tradycji chrześcijańskiej (występuje w ważkich miejscach Ewangelii), pełni też istotną rolę w judaizmie (ka-bała), a wreszcie ma niebagatelne

odniesienia w filozofii Emmanuela Levinasa (jest figurą spotkania z Innym).

Część trzydziesta ósma składa się (w jednej z wersji) z dwu zdań: „co się stało / Bóg wie co”. W tej odmianie mamy pytanie (ontologiczne) i odpowiedź (teologiczną). Oczywiście to pytanie i odpowiedź można ukonkretnić, umieszczając wiersz w historii wojennej i w kontekście Zagłady. Lecz przecież wiersz daje się czytać w innym porządku. Wtedy poważne zagadnienie: „co się stało” zbywamy frazeologizmem „Bóg wie co”, oznaczającym „nie wiadomo co”.

Gdyby ktoś chciał szukać, opierając się na tym wierszu, polemiki Szarugi z Różewiczem, miałby rację. Bo i ten liryk zawiera w sobie zamysł nierozstrzygalności, o której mówiono przy okazji rozpoznania poetyki Różewicza. A i Szaruga interesował się wrocławskim poetą, znał go zresztą osobiście i, by tak rzec, rodzinnie. Poświadczeniem tego jest między innymi tomik (i zamieszczona w nim fotografia) pod tytułem *Panu Tadeuszowi* (Wydawnictwo XIII Muz, Szczecin 2001; Biblioteka „Pograniczy”). Potwierdzeniem badawczych i krytycznoliterackich zainteresowań Różewiczem jest między innymi książka *Ludzki język muz. Czytanie Różewicza* (Oficyna Wydawnicza ATUT – Wrocławskie

Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2008).

A przecież Szaruga nasycy liryk dodatkowymi znaczeniami, bo wersy zaczynają się nie od linijki, lecz tworzą obraz:

co się stało  
Bóg  
wie co.

Taki zapis raz jeszcze przypomina chiasm. Jak wiemy, litera chi, od której pochodzi chiasm, w grece przypomina X. Trudno nie zauważyć kształtu tej litery w miniaturze Szarugi. A jeśli uwzględnimy temat utworu, nie możemy pominąć innych kształtów, które sugeruje utwór: ołtarz, kielich liturgiczny. I trzeba pamiętać, że część trzydziesta ósma poematu Szarugi wyzwała również obraz klepsydry. Tak, Szaruga jest wierny jednej z linii swojej poetyki i oferuje nam kolejny wariant *carmen figuratum*.

Jerzy Madejski

**Leszek Szaruga**, *Fluktuacja kwantowa*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”, tom 120, Sopot 2015

Wydawać by się mogło, że *Kartki* to poezja codzienności. Za bezpretenjonalnym tytułem najnowszego tomiku Jacka Gutorowa kryje się jednak przewrotna aktualizacja toposu Księgi. Przewrotna – bo zamiast wizji świata zintegrowanego, ufundowanego

na trwałym fundamencie kultury śródziemnomorskiej, poeta podsuwa czytelnikowi całość zdekompletowaną, „niewydarzoną”, marzenie o „nieosiągalnej pełni”. Dlatego właściwym obrazem literackiego uniwersum Gutorowa, choć wiersze te obficie czerpią z antyku (trafić tu można i na wyjątki z Pliniusza, i na wycieczki homeryckie czy wergilijskie), okazuje się nie Księga, lecz konstelacja rozrzuconych kartek, które nijak nie chcą skleić się w opowieść. To świat pozbawiony wyraźnych pryncypiów estetycznych i czytelnych drogowskazów etycznych, nie znaczy to jednak, że podmiot rezygnuje z ich poszukiwania. „Tyle poezji // Że w końcu chciałoby się być / Autorem jednego wiersza / Który nie daje spać / Choć nie jest piękny” – wyklada swoje *credo* w ironicznym *Caedmonie*. Sięgając do prapoczątków europejskiej kultury, Gutorow zarysowuje równocześnie kluczowe dla tomu obszary tematyczne: drogi i powrotu, przemijania i powtórzenia, wreszcie – ruchu myśli i zwątpienia w poznawcze możliwości literatury. „Niebo jest cierpkie, pełno w nim / niewygasłego śniegu” – obraz, który w różnych konfiguracjach powraca w kolejnych wierszach, wraz z symetryczną wizją spalonej słońcem ziemi, kreuje przestrzeń aksjologicznej pustki. Powtarzające się, nierzadko w tych samych utworach, motywy akwatywne osadzają zaś myślenie

poety w tradycji heraklityjskiej. Inaczej niż pierwiastki homeryckie czy sygnalizowane kolejnymi tytułami nawiązania do Wergilego, Pliniusza i Lukrecjusza, tradycja ta przywołana została nie wprost. Rozpoznanie źródła wymaga niejednokrotnie, jak w wierszu *Holandia w dwa tysiące piątym*, pewnej pracy interpretacyjnej, deszyfracji poetyckich omowni, za którymi kryją się obiekty zgoła prozaiczne. „Jeszcze jeden przedmiot o pięknej fakturze / budzący nas o poranku. // Żegluj wzdłuż lustra wody. // Odbija się / i odbija”.

Równocześnie jednak poeta wprowadza do przejętego z tradycji wzorca elementy obce, konfrontuje czytającego z demonami epoki, która wciąż żyje w kulturowej pamięci. „Wykopano dwa niemieckie karabiny, / o których można było dyskutować bez końca, / gdyby nie to, że należało kopać dalej, do samego dna, / aż [...] zostanie naga ziemia”. Spokrewnia to lekturę z odkrywaniem śladów, nadaje jej postać swoiście pojmowanej archeologii, zarazem jednak – jakby siłą kontrastu – skłania do pytania o trwałość dziedzictwa cywilizacji helleńskiej, możliwość wykorzystania homeryckiego idiomu jako modelu opowieści o krwawym szaleństwie dwudziestego wieku. Wydaje się bowiem, że lektura *Kartek* przebiegać może w dwóch, a nawet trzech różnych porządkach.

W pierwszym przypadku przybiera postać dekonstrukcji znaków współtworzących Księgę zachodniej kultury. W drugim – skłania do rekonstrukcji biograficznych tropów, które w tytułowych *Kartkach* pozwalają widzieć, *nomen omen*, kartki wydarte z dziennika (dialog z córką w *Ewolucji*). W trzecim wreszcie – ta ścieżka okazuje się najbardziej tajemnicza, gęsto najeżona interpretacyjnymi pułapkami – zmusza do podążania śladami wojennej przeszłości, które składają się na anty-Księgę historii. Jak pogodzić piękno i umiar heksametru z piekłem dwudziestowiecznych totalitaryzmów? Jak dopasować wędrówkę syna Laertesza do wykorzenia, które stało się treścią ponowoczesnego życia? Gutorow pytanie to formułuje inaczej, ogólniej: czy (a jeśli tak, to jaki) klasycyzm możliwy jest po końcu klasycyzmu?

Problem to, wbrew pozorom, nie tylko literacki, choć centrum owych rozważań stanowi refleksja o granicach poetyckiego wyrażania. Zespół odniesień estetycznych i intelektualnych tej poezji, nazbyt pochopnie włączanej w neoklasycyżny gorset, wykracza bowiem poza horyzont liryki „spekulatywnej”, „kulturowej”, o czym świadczą między innymi kontrastowe zestawienia „wysokiego” z „niskim” (*Syd Barrett spotyka Wittgensteina, piosenki Becka i kantaty Bacha*) czy

niby-cytaty z peerelowskiej kultury popularnej (*Jesień, panie sierżancie*). Wśród patronów wierszy Gutorowa, obok Greków i Rzymian, trafić można zresztą i na Antonina Artauda, jednego z ojców nowoczesnego teatru, i na Charlesa Reznikoffa, amerykańskiego obiektywistę, znanego polskiemu czytelnikowi z przekładów Piotra Sommera. *Legenda aurea*, utwór otwierający trzecią, liczebnie najskromniejszą część zbioru, nie odsyła zaś, wbrew tytułowi, do średniowiecznej hagiografii, lecz Szekspirowskiej *Burzy*. W *Burzy* też, jak sądzę, szukać należy źródeł stylistycznej niejednorodności *Kartek*, rozpięcia poetyckiego wywodu między biegunami powagi i ironii, cywilizacji i barbarii, wreszcie na poziomie organizacji tekstu – mowy związanej i prozy. Z utopii Szekspira Gutorow bierze jednak coś jeszcze. Metapoetycki wzorzec, którego nie mogły dostarczyć dzieła klasyków. Punktem dojścia *Kartek*, wbrew temu, co sugeruje początkowe odwołanie do Homera, staje się więc nie scena powrotu Odyseusza do Itaki, lecz wieńczący dramat monolog Prospera, w którym widzieć należy pożegnanie z wyspą rozumianą jako przestrzeń ideału. Inaczej niż w Szekspirowskim pierwowzorze Prospero nie opuszcza jednak miejsca odosobnienia. Wyspa staje się tu synonimem ludzkiego bycia w świecie,

określa sytuację egzystencjalną jednostki pozbawionej metafizycznych punktów odniesienia (przekonanie to pobrzmiwa już w *Barbarzyńcach*, błyskotliwej kontynuacji *Czekając na barbarzyńców* Kawafisa). Paradoksalnie, spokrewnia to poetycki projekt Gutorowa z „teologią insularną” Krzysztofa Lisowskiego. „Poszukiwanie swojej wyspy nie musi być wyłącznie ucieczką, ale też zgodą na redukcję: potrzeb, przedmiotów, dostępności” – pisał autor *Motyła Wisławy*. „Pewnego dnia zrozumiałeś, że odchodząc robisz miejsce innym. [...] To było ostatnie, największe pocieszenie, choć pozbawione jakiegokolwiek nadziei” – dopowiada autor *Kartek*.

Konrad Zych

**Jacek Gutorow**, *Kartki*, Wydawnictwo EMG, Kraków 2015

*Drożdżownia* Jakuba Kornhausera to zestaw krótkich, kilku-, czasem kilkunastozdaniowych próz poetyckich, niemal całkowicie afabularnych, w którym obok tekstów zdradzających fascynację bezpowrotnie minioną przeszłością, zanurzonych w świecie żydowskich sklepików i bóżnic, znalazło się miejsce dla wariacji na temat malarstwa europejskiego modernizmu. Podobnie jak przebijająca z *Kupca bławatnego*, *Zamłynia*, obydwu części *Domu melameda*

czy utworu tytułowego nostalgia, widoczna między innymi w „katalogowaniu” opuszczonych miejsc i skazanych na zapomnienie sprzętów: porzuconej menory, zgubionego dawno klucza, zakopanego w piachu roweru, tylko z pozoru wpisuje się w model prozy mitograficznej, tak nawiązania malarskie nie pozwalają się czytać przez pryzmat ekfrazy. Właściwie zaledwie kilka spośród przeszło dwudziestu utworów opatrzonych czytelnym adresem biograficznym (Soutine, Malewicz, Schiele, Klee, Ensor) przynosi próbę szczegółowego opisu dzieła sztuki. Większość, uwagę tę odnieść można zwłaszcza do cyklu miniatur osnutych wokół „kwadratów” Kazimierza Malewicza, traktuje obraz jako punkt wyjścia autonomicznej historii, załazek impresji z pogranicza realizmu i groteskowych, na poły sennych wizji. W tym sensie nie są to utwory czysto „plastyczne”, dokonujące przekładu środków malarskich na słowa. Paleta Kornhausera jest zresztą zaskakująco uboga, ograniczona do kilku dość schematycznie dobranych barw, które poza nielicznymi wyjątkami („czerwone sople” Ensora, zieleń „wody” i niebieskie „korony drzew” u Klee) nie mają wiele wspólnego z kolorystyką pierwowzorów. Między utworami „nostalgicznymi”, celebrującymi opuszczenie i stratę, a tekstami „malarskimi”, odwołującymi się do kompetencji kulturowych czytelnika,

trudno zresztą, przynajmniej na poziomie zastosowanych środków wyrazu, wskazać uchwytnie różnice. Z płócien mistrzów wypożycza poeta elementy świata przedstawionego: ministrantów Soutina, szkielety i maski Ensora, które włącza do prowincjonalnego uniwersum *Drożdżowni*.

Dostrzegam w tym pewną, dość czytelną w gruncie rzeczy, intencję, decyzję z zakresu etyki raczej niż estetyki. Nostalgia podmiotu, obcego zarówno doświadczeniu wykorzenienia, które stało się udziałem dziadków, jak i wzrastających w cieniu rodzinnej traumy ojców, u Kornhausera juniora, przedstawiciela roczników osiemdziesiątych, z konieczności musi posilkować się strzępami języka cudzego, odziedziczonego po poprzednikach. Poeta lepi więc swoje miniatury z klisz prozy „małoojczyźnianej”, „korzennej” (niemiecki napis na szyldzie piekarni, zbiór pożółkłych fotografii), umiejętnie wplatając w nie figury, których genezy szukać należy w estetyce wczesnego ekspresjonizmu, surrealizmu czy secesji. Jeśli więc, mimo wszystko, można w przypadku *Drożdżowni* mówić o nostalgii, to tylko z zastrzeżeniem, że jest to nostalgia „wypożyczona”, literacko „odegrana” czy wręcz „rozegrana” przez świadomego własnej pozycji twórcę, co oczywiście w żadnej mierze nie umniejsza wartości zbioru. Podmiot tych prozatorskich lapidariów skupia się bowiem tyleż na

przeżywaniu straty, co pielęgnowaniu nostalgicznych fantazmatów, które dla urodzonego czterdzieści lat po Zagładzie stanowią element niezbywalnego dziedzictwa, ale i swego rodzaju zadanie. Kreśląc mapę dzieciństwa, chłopięcych inicjacji w kulturę i przyrodę, kreśli zatem – siłą rzeczy – mapę dzieciństwa cudzego, przechowanego w opowieści, które próbuje po swojemu przeżyć i zrozumieć.

Kornhauser, i w tym tkwi wartość *Drożdżowni*, nie ogranicza się jednak do stylizacji. Szuka własnej formuły przeżywania przeszłości, różnej od nostalgii i możliwej do uzgodnienia z ponowoczesną niewiarą w możliwości przedstawienia. Dla „późnego wnuka” sekundowanie temu, co minione, jest bowiem nie tyle przyświadczeniem pamięci jednostkowej, daniem świadectwa, ile twórczym czerpaniem z pamięci rodzinnej i kulturowej. Kluczem do tego świata, zbioru niezrozumiałych znaków, staje się oniryzm, logika rządząca pracą marzenia sennego. To ona pozwala połączyć rozproszone przedmioty-ślad w całość, na nowo nadać im formę kolekcji, przy czym źródeł owego oniryzmu szukać należy tyleż w pracach europejskich surrealistów (ten trop kusi tym bardziej, że niemal równoległe z *Drożdżownią* ukazała się inna książka autora, *Całkowita rewolucja. Status przedmiotów w poezji surrealizmu*), co pewnych intuicjach

wczesnego ekspresjonizmu. Inaczej niż ekspresjoniści, Kornhauser, który daje się poznać jako zwolennik form ascetycznych, oczyszczonych z nadmiaru retoryki, zawiera nie metafory, ale prostej enumeracji. Ta ostatnia, obok rozluźnienia związków między składowymi wypowiedzi i budowania fałszywych ciągów przyczynowo-skutkowych („ktoś wywiózł do lasu worki z bobem, a potem ojciec opowiadał o dwugłowych jaszczurkach i szczekających wykrotach”), staje się podstawowym chwytem, wyróżnikiem pisarskiego idiomu autora. Przy czym nie tylko wyliczenia, lecz także poszczególne zdania, u Kornhausera zwykle łączone bezspójnikowo, podlegają regule „potrójenia”. „Przyszło nam się mierzyć z tragedią, proboszczem i orkiestrą z tubą”. „[...] żółędzie zmiądzły kościoły, młyn i sołtysa”. „Pochód przedmiotów: żelazka, kieliszki, buty”. „Mam do wyboru kapelusz, emaliowany garnek i piszczałkę z Bułgarii”. I na poziomie syntaksy: „Parzyło niebieskie drewno, dookoła roilo się od wnyków, a rower ugrzązł w błocie”. „W samochodzie jest gorąco, piły nie schodzą, chusteczka ociera pot i czas”. Czy jest to zabieg celowy, czy pewna (bynajmniej nieuciągliwa) maniera autora – nie umiem rozstrzygnąć.

Konrad Zych

**Jakub Kornhauser**, *Drożdżownia*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2015

Nie wiem, czy *Teatr Osobny* Mirona Białoszewskiego (1922–1983) można nazwać dramaturgią, bo są to raczej bardziej luźne partytury sceniczne niż teksty, do tego hybrydowe, gdyż współautorem i autorem niektórych z nich jest Ludwik Hering, a także malarka i aktorka Ludmiła Murawska, więc w istocie jest to „TEATR OSOBNY TRZECH OSÓB”.

Jak nazwać te utwory? Rzeczy sceniczne, metaforoplastyka, syntezы dramatyczne, inscenizacje, programy, kabaret, dialogi i monodramy, sztuki, sytuacje, może bajki, wypadki z gramatyki, retoryki lub lepy? To dziwne, nieraz dziwaczne zapisy inscenizacyjno-dramatyczno-poetyckie, zespolone mniej lub bardziej widoczną formą. Nawet wstęp sygnowany „M.B.” jest autorstwa Heringa.

Ten awangardowy teatr domowy rozgrywał się w Warszawie w latach 1955–1963, najpierw na dziesięciu metrach kwadratowych na Tarczyńskiej, potem gościnnie w „Hybrydach”, a następnie, już do końca, w mieszkaniu Mirona przy placu Dąbrowskiego. Występują w nim jako Osoby między innymi: dziesięć Palców obu rąk, Głosy, dwaj Sufitowi, Bohater i Heroina, Baldwin i Hybryda, trzy Osoby Czynności, Ten i Ta, Przedstawiacz i Pomagierska, Działaczka i Działacz, trzy Imiesłowy, Nawracacz Na Wą(trobę), Podejrzewacz Się i Jaktrupblada, Pani Koch

i Szpital, Szwagier i Europa oraz Jedno, Drugie i Trzecie. Daje to wyobrażenie, co to za teatr, co dobrze też pokazuje zestaw trzydziestu dwóch fotografii z przedstawień.

Tekst jest mniej ważny, na pewno nie pierwszoplanowy. Oto przykład, pierwszy z brzegu:

Jestem nie jestem  
białe niebieskie  
rozum czy maczek  
zwoje trzepaczek  
wracam do szpulki  
westchnienie ulgi  
złożoność akcji  
giętkość abstrakcji...

I tak dalej. „Wszystkie szpary wzburzone rzeką przeciwności, rzeką przeciw rozumowi!” – tak by to można podsumować (albo rozwinąć). Odprawia się Nieszpory do Grzebieńnia, cmoka się, mizdzy się, i ćmoka, Kciuk Prawy jest skazańcem, a lajkonikom brzuchy rzną (może miało być: drzą lub rzą?), jest pokój do góry podłogą i wiele takich słów i zwrotów, jak byśmy skakali po lepiej lub gorzej sparafrazowanych fragmentach *Finnegans Wake* – z kwiatka na kwiatek, raz tu, raz tu, umtaumtaumta i ti-ralala, w ogólnej harmonii, dysharmonii i rozkoszach harmonijnego funkcjonowania, ze spokojem, a także, stoickim, małą przekorą i zgrozą, w ogólnym zamęcie, w tył, wpoprz i w tył, tutti frutti, syp-syp-syp-syp, „orbi et urbi / łba nie urwi [...] da / albo nie da [...] ta / albo nie ta...”.



W ostatnim programie robi się klasycznie, bo są w nim: Gustaw Mickiewicza i Kordian Słowackiego, Kleopatra Norwida i Ofelia Shakespeare'a i Rachel z Poetą Wyspiańskiego (we wspólnym opracowaniu).

I jest przynajmniej tyle.

Krzysztof Myszkowski

**Miron Białoszewski**, *Teatr Osobny 1955–1963*, autorem i współautorem niektórych tekstów w tomie jest Ludwik Hering, *Utwory zebrane*, tom 2, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2015

Jedną z cech wyróżniających literaturę polską w sposób szczególny – a przez to nadających jej nieprzewidywalną dynamikę negatywną, która może być jej, nie zaprzeczę, wartością – jest wyjątkowo długi czas oczekiwania na przekłady, także najbardziej interesujących pozycji. Jesteśmy pod tym względem (na szczęście nie we wszystkich dziedzinach i nie we wszystkich), jeśli ten czas mierzyć jednostkami literatury współczesnej, jakies mniej więcej pół wieku do tyłu w stosunku do oryginałów. Dowodów na tę tezę nie trzeba szukać długo – wystarczy sięgnąć na przykład po niedawno ogłoszone drukiem w jednym tomie *Dziennik 1946–1949* oraz *Dziennik 1966–1971* Maksy Rudolfa Frischa, w przekładzie (nienaganym i godnym pochwał) dwóch znakomitych tłumaczy: Jakuba

Ekiera (część pierwsza) i Krzysztofa Jachimczaka (część druga). Gdyby się pokusić o średnią czasu, jaki upłynął od publikacji oryginałów, wyjdzie z tego naliczania jakies pięć dekad, choć równocześnie wypada lojalnie zaznaczyć, że wcześniej było, jeśli chodzi o czas ukazywania się Frischa po polsku, lepiej. Pojęcia nie mam, czy ktoś mógł czekać tak długo na ten właśnie przekład, gdyż mało kto już w kraju czyta ze zrozumieniem literaturę z prawdziwego zdarzenia, zaś ci, dla których jest ona sprawą zasadniczej wagi, jak dla – nie przy mierzając – samego Frischa właśnie, lubią intelektualne ekscesy, tak sobie tu przypuszczam, i sięgają po oryginały, kiedy brakuje im pod ręką kopii. Więc pewnie insteresująca nas rzecz obliczona została przez tłumaczy i wydawców na zapełnienie bolesnej luki i skierowana do żądnych poznania tego, czego jeszcze nie poznali. (Gdzieś w tle tego, o czym piszę, majaczy więcej nadziei, bo książka za osiemdziesiąt złotych musiała zostać dobrze skalkulowana i wsparta wystarczającą dotacją).

Forma dziennika jest dla Frischa najważniejsza i najbardziej dla jego literackiego myślenia, co podkreśla sam i towarzyszący jego twórczości pisarze i krytycy, charakterystyczna. Frisch nie ukrywa, że to właśnie ta a nie inna forma została mu dana na dobre i złe i to bez jego wyboru

i udziału – jak kształt nosa. Dziennik dla autora *Homo faber* (i utalentowanego architekta: chętnie popływałoby się w zurychskim basenie zrealizowanym wedle jego projektu) jest przede wszystkim polem, na którym dochodzi do – powtarzam za nim – „konfrontacji fikcji i faktu”. Albo inaczej, dziennik Frischa jest najpełniejszym świadectwem tego, co najbardziej Maksa Frischa w uprawianiu literatury intryguje, a mianowicie to, że „istotne jest niewypowiadalne dla języka” – stąd tyle w tych szczególnych dziurkach prób przełamania niemocy ludzkiej mowy poprzez jej ekscesywną eksplorację, przez opisy zdarzeń i miejsc oraz opisów tych interpretacje, wyróżniające się rzeczową intymnością. Frisch przywołuje i wywołuje różne i zarazem zawsze równorzędne sytuacje, relacjonuje odbyte i odbywane podróże, nie kryje się z refleksjami natury ogólnej, teoretycznymi rozważaniami, minitraktatami filozoficznymi i moralnymi. Przedstawia zarysy przyszłych fabuł, które zrealizuje, planuje przed naszymi oczami dramaty, porusza się wahadłowo od obserwacji do obserwacji. A wszystko to czyni na świadectwo dogłębnego przeświadczenia, że zadaniem pisarza jest poszukiwanie języka odpowiadającego na nieme wezwanie rzeczywistości tegoż

pisarza, szczególnie wtedy, kiedy – a mówi to zawsze we własnej osobie – żyje jako pisarz, który wie, że „nie ma języka, który byłby w stanie wyrazić [jego] własną rzeczywistość”. Wie przy tym także, by dokonać tu metaforycznego skrótu, że „umierający nie płaczą”, lecz wie, że ta wydaje mu się niepełna bez próby odpowiedzi na to, dlaczego właśnie tak się akurat w jego wizji świata dzieje. Ten dziennik to próba tej – i nie mniejszej – miary, choć nie jest to wyrażone przez autora *expressis verbis*.

Trzy wielkie tematy: relacja między wizerunkiem i tożsamością, wzajemne stosunki pomiędzy płciąmi, przemijanie i śmierć, a wszystkie trzy naraz i każde na swój sposób osobne, adresowane rzeczowo, łagodnie, z dystansem i bardzo elegancko podane – i do tego mała dawka rozsądnej polityki, ale też zawsze w poszukiwaniu znaczenia tej zalegającej „bieli pomiędzy słowami”, która nie wiadomo, co znaczy, ale wiadomo, że jest. Dziennik jako nieukształtowane przedpole dramatów scenicznych i domowych, jako powieść bez dna, pociągająco niedefinitywna hybryda. „Każda rzecz gotowa będzie zawsze trochę smutna, groźna, w żadnej umysł nie poczuje się jak w domu, jednak samo powstawanie czegoś to świetna sprawa, cokolwiek to jest”.

Dziennik nigdy nie jest gotowy, nawet po lekturze, i w żadnym razie nie jest formą skończoną, lecz otwartą, nawet po podwójnej śmierci autora: jako fakt i fikcja.

Artur Szlosarek

**Max Frisch**, *Dziennik 1946–1949, Dziennik 1966–1971*, przekład Jakub Ekier, Krzysztof Jachimczak, WAB, Warszawa 2015

Określenie „scena polityczna” oznacza traktowanie polityki jako teatr, polityków jako aktorów, zaś opinii publicznej jako widownię. Dziennikarze, jak wiadomo, stanowią w tej przestrzeni „czwartą władzę” – są sprawozdawcami i komentatorami, którzy wypowiadają swoje osądy kierowane do społeczności. Ale można też określenia „scena polityczna” użyć w jeszcze innym rozumieniu – jako określenie pewnego typu teatru zajmującego się problematyką polityczną. Konstantego Puzynę jako recenzenta teatralnego interesowało jedno i drugie, był bowiem „dzieckiem epoki”, o którym pisała w wierszu *Dzieci epoki* Wisława Szymborska:

Jesteśmy dziećmi epoki,  
epoka jest polityczna.

Wszystkie twoje, nasze, wasze  
dienne sprawy, nocne sprawy  
to są sprawy polityczne.

Owa polityczność w peerelii – Konstanty Puzyna zmarł w przełomowym roku 1989 – przenikała właściwie wszystko. Trudno zatem było być krytykiem teatralnym – a był Puzyna bodaj najwybitniejszym spośród nich – abstrahującym od problematyki społeczno-politycznej, niejako od antyku wpisanej w twórczość dramaturgiczną. Zważywszy zaś, że był autor *Półmroku* – obok Jana Błońskiego, Ludwika Flaszena i Andrzeja Kijowskiego – jednym z najważniejszych przedstawicieli stworzonej przez Kazimierza Wykę krakowskiej szkoły krytyki, te właśnie konteksty siłą rzeczy stanowiły najważniejszy punkt odniesienia w ocenie omawianych przez niego spektakli, którym towarzyszył od początku lat pięćdziesiątych. Jednym ze sposobów ich oceny była weryfikacja społecznej funkcjonalności przedstawienia, sprawdzenie jego współbrzmienia z tym, co można by nazwać odbiciem społecznej kondycji widowni, która wszak często pojawiała się wówczas w teatrze, by usłyszeć prawdę – wprost lub za sprawą cenzury nie wprost – komunikowaną ze sceny.

W prezentowanym w tym tomie wyborze pojawia się znacząca przerwa obejmująca lata 1980–1987, ostatni zaś tekst, poświęcony teatrowi Brechta, stanowi pracę seminaryjną podczas studiów doktoranckich na City University of New

York. W roku 1980 napisał natomiast Puzyna szkic *Zdumieni* – i to jest domknięcie jego wcześniejszych narracji dotyczących teatru (wśród których na odrębną uwagę zasługuje esej poświęcony Witkacemu, którego popularyzację właśnie Puzynie przede wszystkim należy zawdzięczać, choć nie bez znaczenia było też seminarium witkacowskie, jakie w roku 1965 prowadził na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego ówczesny magister, dziś zaś profesor Krzysztof Pomian): esej ten pozornie teatru nie dotyczy, poświęcony jest bowiem reakcji na strajk w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku, nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że ów strajk był dla Puzyny swego rodzaju spektaklem. Zwracając uwagę na powtarzające się w reportażach ze stoczni określenia o „zdumiewającej odpowiedzialności” czy „zdumiewającym spokojem” robotników, pisał: „Co trzeci artykuł z początku września zawiera zdanie tego typu. Zdumiewający jest w nich głównie bęcwał, który się zdumiał”.

Jak widać, bywał Puzyna w swych osądach kategoriyczny, a zarazem lapidarny. Tak też było w przypadku oceny dramaturgii Ernesta Brylla: „[...] wszystkim się zdawało, że wieszczę grają jeszcze, a to echo grało”. W zasadzie tylko te słowa wystarczą, by oddać wszystko,

co o Bryllu z tamtego okresu można powiedzieć – a windowany był on (który to z rządu – po Wyspiańskim – kandydat?; dziś mamy w to miejsce Jarosława Marka Rymkiewicza) na „czwartego wieszczę”. Przy tej okazji pisał: „*Rzecz listopadowa* na przykład krzyczy wielkim głosem, że Zachód nas nie rozumie, choć tacy jesteśmy bohaterscy i tyleśmy jako naród wycierpieli. Czy wyobrażacie sobie Serbów, którzy piszą rozdzierające narodowe dramy o tym, że nie cenią ich Duńczycy, a nawet Belgowie? Znam, znam te subtelne różnice sytuacji, ale i tak nie jest to problem, tylko wygłup. Znamienny jednak: podnosi do rangi sprawy narodowej kompleksy prowincjonalne, z całym bagażem poczucia niższości i kompensacyjnej wzgardy. Anglik czy Francuz oczywiście wżruszy ramionami, ale gorzej, że i rozsądny Polak skazany jest na to samo”.

Można tylko żałować, że w stanie wojennym nie opisał Puzyna wielkiego romantycznego spektaklu rozgrywającego się na deskach scenicznych wielu polskich, w szczególności zaś warszawskich, teatrów, w których występowali – bez względu na aktualny repertuar – aktorzy, którzy podjęli bojkot radia i telewizji: publiczność, często wcześniej nic albo niewiele z odwiedzinami w teatrach mająca wspólnego, waliła na spektakle

tłumnie, nie zwracając uwagi na repertuar – szli oklaskiwać bojkotujących partyjne media artystów. Piszę o tym, niejako uzupełniając opowieść o teatrze czasów peerelowskich zapisaną w recenzjach i szkicach Puzyry, gdyż wydaje się, że bez tego uzupełnienia byłaby to opowieść niepełna. Podobnie zresztą warto zwrócić uwagę na kolejne fazy tego opowiadania czy raczej krytyki towarzyszącej – pierwszą, trwającą do przełomu roku 1956, drugą zakończoną w okolicach 1968, gdy uznał Puzyra, że w teatrach państwowych nie ma czego oglądać i zwrócił się do dynamicznie wówczas się rozwijającego kontrkulturowego teatru studenckiego, i trzecią, której początek obwieścił w szkicu *Zmierzch kontestacji* z roku 1971. Pisał w jego zakończeniu, konstatuując zmierzch buntu w teatrach zachodnich: „To tylko Zachód trochę więc stracił oddech. Kontestacja się skończyła, ale przecież nie znikła. Sami nieraz nie zdajemy sobie sprawy, jak głęboko już przeorała nasze myślenie, jak trudno dziś – przynajmniej w kulturze – nawrócić do pojęć z wczesnych lat sześćdziesiątych”. Jak się okazało, była to diagnoza słuszna, zaś wpływ kontestacji kontrkulturowej, czasem tylko dyskretny, czasem zaś zdumiewająco żywy, trwa po dzień dzisiejszy nie tylko w sferze obyczajowej,

ale również w obszarach życia społeczno-politycznego.

Można powiedzieć, że ten wybór tekstów Puzyry to – spisana w skrócie, z punktu widzenia człowieka, dla którego sprawy publiczne stanowią istotną treść egzystencji – nie tylko historia peerelowskiego teatru, ale także, a może nawet przede wszystkim, zapis dziejów peerelowskiego życia. Ale jednocześnie jest to swoista autobiografia samego Puzyry, opowieść o człowieku, który próbował się odnaleźć we wspólnocie ludzi wolnych w zniewolonym kraju, który czuł się za ocalenie tej wysepki wolności odpowiedzialny dlatego, że kultywował ją nie tylko dla siebie. A że znalazł ją w teatrze? Każdy odnajduje ją tam, gdzie go los rzuci. Ale warto przy okazji zauważyć, że jak na recenzenta teatralnego stosunkowo niewiele uwagi poświęca autor temu, co dla „zawodowca” wydawać by się mogło sprawą podstawową: niewiele tu mowy o grze aktorów, ocen ich umiejętności profesjonalnych – ważny jest spektakl jako całość.

Leszek Szaruga

**Konstanty Puzyra**, *Czasem coś żywego. Teksty najważniejsze*, wybór tekstów: Tadeusz Nyczek i Małgorzata Szpakowska, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2015

Dwie ostatnie książki Ludwiga Wittgensteina (1889–1951) zostały wydane z rękopisów odnalezionych po jego śmierci.

*Uwagi o barwach* powstały w latach 1950–1951. Składają się z trzech części i są świadectwem intensywności i niezwykłego podejścia. Z barwami obcujemy prawie cały czas, ale raczej powierzchownie, bez głębszej ich świadomości. A przecież jest to bardzo skomplikowana sfera: oprócz barw głównych mamy barwy pośrednie i mieszane, ich ciągi, powinowactwa, wpływanie na siebie i przenikanie oraz różne odcienie, na przykład „czerwona zieleń” czy „żółtawy błękit”. Wittgenstein zwraca uwagę na nieokreśloność tkwiącą w pojęciu barw i ich jednakowości, mówi o zjawiskach „ślepoty barw”, ich logice pojęć i teorii, przezroczywości i nieprzezroczywości, opisach i wyobrażeniach, bezbarwności, świetlistości, blasku, widmach i charakterze, o bieli, czerni i szarości.

Mamy rozważania o czterech barwach czystych i barwach nieczystych, o ich kole, gradacjach, nasyceniu i nienasyceniu, ciepłe i zimnie, ostrości i mętności. Jest inspirujący zapis o formie: „Opis układanki za pomocą opisu jej elementów. Przyjmuję, że nie pozwalają one rozpoznać jakiejś przestrzennej formy, lecz jawią się nam jako płaskie jedno- lub wielobarwne kawałki. Dopiero po złożeniu coś staje się »cieniem«, »blaskiem«, »wklęsłą lub wypukłą jednobarwną powierzchnią« itd. [...] Wydaje się, że istnieje bardziej fundamentalne pojęcie barwy niż

pojęcie barwy powierzchni. Trzeba by je, nasuwa się myśl, przedstawić za pośrednictwem małych barwnych elementów pola widzenia lub za pomocą świetlistych punktów podobnych do gwiazd. Z tych punktowych barw lub z małych plam barwnych budują się większe barwne rozciągłości. Wrażenie barwne jakiejś powierzchni opisywałoby się wtedy, podając liczne małe plamy barwne wraz z ich położeniami. / Jak jednak np. porównać taką małą próbkę barwną z fragmentem większej powierzchni? Jakie otoczenie powinna mieć ta próbka”. Ten niezwykle fragment dotyczy tak formy dzieła muzycznego (przychodzi mi na myśl Lutosławski), malarskiego (na przykład *Nacht-Samborski*) jak i przede wszystkim chyba literackiego.

Mówi o „wewnętrznych cechach” danej barwy, o tym, co jest w nich „łśniące”, „połyskujące”, „błyszczące”, „odbłaskowe”, „świetliste”, o teorii harmonii barw, o ich wzorniku, geometrii, zmienności [na przykład barwa oczu, morza czy nieba, istnienie barw w kosmosie, w kalejdoskopie lub działanie barw ochronnych – przyp. K.M.] pod wpływem na przykład światła lub ciemności, ostrości lub nieostrości widzenia, ruchu, czasu, przestrzeni, zagrożenia i wielu innych czynników. Są ciekawe zapisy o grze językowej dotyczącej barw, o skomplikowanym

i złożonym ich istnieniu, subiektywności w obiektywnej otoczcze, „przypadkowości” zależnej od zmiennych, ciągle działających okoliczności. I nie tyle dotyczy to logiki czy psychologii, ale, w najważniejszym aspekcie, metafizyki, a nawet i mistyki.

Dla Goethego na przykład było zrozumiałe, że z mroków nie utworzy się nic jasnego, tak jak że z przyrostu cienia nie powstanie światło. Ale czy dla nas jest to również zrozumiałe? Czy potrafimy nazwać i zanalizować mieszane barwy, wiedząc, że „choć nazywa się barwą lila barwą czerwono-białoniebieską, a brąz czerwono-czarniawożółtą, to *nie* można bieli nazwać barwą żółtawoczerwonozielonkawoniebieską”, gdyż „w tym sensie biel nie jest barwą mieszaną”?

Raz po raz natykamy się na powtórki, rozpisywane warianty i puste miejsca, obserwujemy walkę o wyraz i sens i próby posuwania się dalej. Widzimy, co krąży w jego głowie, w jakim jest ładzie i nieładzie, na powierzchni i w głębi jego myśli, a są to przecież ostatnie miesiące jego życia. Widzimy to lub mamy takie wrażenie.

Biel biała, szara, matowa lub świetlista, dziesiątki jej odcieni i rodzajów, jej tożsamość, potencjalność, zmienność i przemiany. „Ten sam temat ma w *moll* inny charakter niż w *Dur*, ale zupełnie błędne

byłoby mówienie o charakterze *moll* w ogóle. (U Schuberta *Dur* często brzmi smutniej niż *moll*)” – stwierdza i dodaje: „Biel rozmywa wszystkie barwy”.

Czym innym jest opis barw, a czym innym ich malowanie, dążenie do osiągnięcia maksymalnej wierności. Jak oddać jednakowość barwy, jej odcienie, działanie światła, mroku lub ciemności? – pyta. I świetnie dopełnia uwagami o formie: „Wyobraźmy sobie obraz pocięty na małe, mniej więcej jednobarwne kawałki stanowiące potem elementy układanki. Także nie całkiem jednobarwny element nie ma oznaczać jakiejś przestrzennej formy, lecz po prostu płaską plamę barwną. Dopiero w zestawieniu z innymi elementami staje się fragmentem nieba, cieniem, blaskiem, wypukłą lub wklęsłą powierzchnią itd.”. To dotyczy także budowy tekstu!

Jest coś, co jest ważne, i coś, co jest nieważne, jest język i jest gra językowa, jest widzący i są niewidzący, są rozsądni i są tacy, którzy grają w szachy bez króla, są mający *widzenie* i są ci, którzy go nie mają: „Sens słowom nadaje *praktyka*” – mówi Wittgenstein – innych można przekonać tylko swoim zachowaniem.

Zapisy *O pewności* powstały w ostatnich miesiącach i tygodniach życia Wittgensteina, a ostatni dwa dni przed śmiercią. To ćwiczenia

umysłowe, językowe i duchowe, autentyczny ruch myśli bez poprawek i redakcji. Wrażenie robi gęstość, lapidarność i kondensacja tych zapisów. Trzeba pamiętać, że wyznał, że jest chrześcijaninem i że choć nie jest człowiekiem religijnym, to każdy problem widzi z religijnego punktu widzenia. Rudolf Carnap powiedział o nim, że jego punkt widzenia przypomina punkt widzenia biblijnego proroka. (Patrz: *Uwagi o religii i etyce*, Kraków 1995). Te teksty to właściwie poezjo-proza, a nie filozoficzny zapis.

Mówi o nadużyciu słowa „wiem” i wprowadza zwrot „sądziłem, że wiem”. Zastanawia jego radykalizm, na przykład: „Usuwamy zdania, które nas nie prowadzą dalej” lub: „Od warunków, które stawiam zdaniu, zależy, czy może okazać się kiedyś fałszywe”. Są gęste i napięte fragmenty, ale są i słabsze, kręcenie się w kółko, dzielenie włosa na czworo, jak na przykład rozważania o Księżycu, Ziemi, rękach czy mózgu. Mówi: „Tworzymy sobie fałszywy obraz *wątpienia*”. I dodaje: „(Moje) wątpienie tworzy system”. *Wiem* przeciwstawia *wierzę*. „Co wiem, w to wierzę” – stwierdza, ale pyta: „Czy wierzenie w to, w co wierzę, leży w mojej mocy?”. I dopowiada: „Gdy zaczynam w coś *wierzyć*, to nie w jakieś pojedyncze zdanie, lecz w cały system zdań (Światło wschodzi stopniowo nad całością.)”.

Snuje rozważania o opozycji prawdziwe – fałszywe, o świadectwie zmysłów, pamięci i tak zwanych faktów, o logice, o napięciu na linii rozsądek – szaleństwo (chwile czy pasma rozsądku – chwile czy pasma szaleństwa) i stwierdza: „Nasze mówienie czerpie sens z naszych pozostałych działań”. Przypomina, że są przekonania naukowe i przekonania mistyczne, a gra językowa zmienia się z biegiem czasu. Pokazuje warianty i mówi: „A oto rzecz osobliwa, że choć jestem całkiem pewien użycia słów, choć nie mam co do niego wątpliwości, to nie mogę podać żadnych *podstaw* swojego sposobu działania. Gdybym próbował, mógłbym podać ich tysiąc, żadnej jednak tak pewnej jak to właśnie, co miałyby uzasadniać”. I w świetle wcześniejszego: „Co znaczy prawdziwość zdania jest *pewna?*”, wyznaje: „Skłonny tu jestem walczyć z wiatrakami, bo nie mogę powiedzieć jeszcze tego, co naprawdę chcę powiedzieć”.

Luki w tym myśleniu już nigdy nie zostaną zapełnione. Kto inny napisałby na przykład takie zdanie: „Tak trudno znaleźć *początek*. Albo lepiej: trudno zaczynać na początku. I nie próbować cofać się dalej”. Trzeba go czytać z wielką uwagą i starać się z nim współ-myśleć.

W ostatnich tygodniach życia wraca problem: wiem – wierzę.



Rozważa cechy i granicę gry językowej. Wiele zdań jest niejasnych i niezrozumiałych. Czuje się dziwny zamęt i męczące staje się uważne brnięcie przez te zapisy, które raz po raz zaskakują i zbijają z pantafyku, na przykład: „Powiedziałem kiedyś komuś – po angielsku – że kształt pewnej gałęzi jest charakterystyczny dla wiązu, a on się sprzeciwił. Przechodziliśmy potem koło jesionu i powiedziałem »Widzisz, to są gałęzie, o których mówiłem«. On na to: »Ależ to jesion« – a ja: »Chodziło mi o jesion, gdy mówiłem o wiązie«”.

Zdanie: „Jeśli nie ufam *temu* świadectwu, dlaczego miałbym ufać jakiemukolwiek świadectwu?” – jest jakby zdaniem religijnym, metafizycznym. I zapis ostatni: „»Ale jeśli nie mogę się mylić nawet w takich przypadkach – czy *nie jest możliwe, że jestem pod narkozą?*« Jeśli jestem i narkoza pozbawiła mnie świadomości, to nie mówię ani nie piszę teraz naprawdę. Nie mogę poważnie przyjmować, że teraz śnię. Gdy ktoś we śnie mówi »śnię«, choćby nawet mówił to słyszalnie, tak samo nie ma racji jak wtedy, gdy mówi we śnie »pada«, nawet jeśli faktycznie pada. Choćby nawet jego sen wiązał się rzeczywiście z odgłosami deszczu”.

Reszta jest milczeniem, dociekaniem i dopełnianiem.

Krzysztof Myszkowski

**Ludwig Wittgenstein**, *O barwach*, przełożył Bogdan Baran, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2014

**Ludwig Wittgenstein**, *O pewności*, przełożył Bohdan Chwedeńczuk, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2014

Drugi tom rozmów Jana Kasjana (około 365–435) z Ojcami Pustyni składa się z relacji ze spotkań z mnichami Deltą Nilu: *abba Chereomonem*, *abba Nesterosem* i *abba Józefem* i tak jak w poprzednim, przewodnim jego motywem jest przekazywana nauka o doskonałości.

Mający ponad sto lat Chereomon omawia poszczególne stopnie doskonałości chrześcijańskiej, których podstawą jest strach przed piekłem, nadzieja na niebo i miłość do Ojca. Widzimy pokornego mnicha bardzo wzniosłego, ale i bardzo ludzkiego, silnie zakorzenionego w życiu. Mówi o trującej zarazie wad i grzechów, o oczyszczaniu siebie, o wrażliwości i łagodności, ale i, jeśli trzeba, ostrej stanowczości. Opisuje dary Ducha Świętego, a ciało nazywa „bydlątkiem”. Zagadnienie czystości jest jednym z najważniejszych w dążeniu do doskonałości. Pokusy cielesne mogą spychać w piekielną czeluść, ale mogą też być umocnieniem łączności z Bogiem i wyostrzać życie duchowe i każdy może sprawdzić to na sobie samym. Wyjaśnia, czym są części „ciała grzechu”: rozpusta, nieczystość,

lubieżność, zła żądza i chciwość i jaki jest ich związek z duszą. Są pragnienia cielesne i pragnienia duchowe i są one ze sobą w bezpośrednim związku. Dlatego tak trudne jest ich rozdzielanie, poznanie granicy między nimi. A niczego nie osiągnie się bez Bożej łaski, która jest podstawą wszelkiego dobra. *Abba Cheremon* zaleca „cichość” (czyli łagodność, opanowanie, cierpliwość), która jest owocem Ducha Świętego, wyciąga z „błota cielesnych namiętności” i daje siły do walki z demonami. Gdy czytamy o tym, że nieustannie atakują nas liczne pokusy, myślimy o przeżyciach i czynach Dawida (*Cheremon* często cytuje *Psalmy*), ale też, wspominając wypadki z własnego życia, myślimy o sobie. Zanurzamy się w plugastwie, a chcemy być czysti i łśniący. Jaki jest w tym sens? Widzimy, jak to wszystko jest trudne i skomplikowane (na przykład sześć stopni czystości, a między nimi wiele stopni pośrednich), ile wymaga pracy, dyscypliny, charakteru i męstwa. Ale co może być ważniejszego, gdy walka toczy się o zbawienie duszy? „Głupota człowieka niszczy mu drogę, ale on Boga oskarża w swym sercu”, przytacza słowa *Biblii*, uświadamiając, po jak kruchym lodzie idziemy. Omawia dziesiątki kwestii konkretnych i szczegółowych, takich jak na przykład: poruszenia ciała podczas snu, różnica między powściągliwością a czystością (tu:

walka *Jakuba* z aniołem), wybuchy gniewu, których wspólną podstawą jest to, że w walce ze złem nie na sobie trzeba polegać, ale na łasce Boga i na Jego miłosierdziu. Kilka razy jakby za bardzo zawierza siłom człowieka, stawiając się na skraju herezji semi-pelagianizmu. Rozprawia o wolnej woli (*liberum arbitrium*) i jej znaczeniu (tu na przykład: *Hiob*) i o pozornej czystości filozofów (*Sokrates*) i są to niezwykle, pokrzepiające rozważania. Na koniec przypomina, że to nie wiara pochodzi ze zrozumienia, ale zrozumienie z wiary (Iz 7, 9).

Drugim rozmówcą jest mieszkający na jednej z wyseppek pośród bagien *Delt* *Nilu* *abba* *Nesteros*. Jego wypowiedzi dotyczą wiedzy duchowej i Bożych charyzmatów. Rozróżnia on dwa główne rodzaje wiedzy związane z duchowością: wiedzę praktyczną, czyli ascezę, oraz wiedzę teoretyczną, czyli kontemplację, i poucza, jak osiągnąć doskonałość w jednej i w drugiej. Najpierw trzeba uporać się z rzeczami niższymi, żeby przystąpić do rzeczy wyższych: wiedza praktyczna jest wstępem do wiedzy duchowej, a „ten, kto nie pojmuje, co dzieje się w jego wnętrzu, nie zrozumie tego, co dzieje się wokół”. Więcej kosztuje wykorzenie wad niż zdobycie cnót, zachęca więc do wytrwałości i wskazuje na zmienność słabych. Wskazuje na wielorakie znaczenie *Pisma Świętego*, a my widzimy, jak *Ojcowie* wiernie się

go trzymają – ich monodialogi pełne są biblijnych cytatów. Nesteros przestrzega jednak: „Na cóż bowiem komu ozdoba w postaci znajomości Słowa Bożego, na co komu najwspanialsze piękno Pisma Świętego, jeśli później, rzucając nim na brudną ziemię, nurza je w błocie plugawych myśli i czynów i tarza się w bagnie swych namiętności”. Poucza, jak oczyścić pamięć z różnych naleciałości. W rozmowie o charyzmatkach mówi o cudach, których dokonują obdarzeni tymi darami, ale w konkluzji zaznacza, że ważniejsze od charyzmatów jest dążenie do doskonałości i święte życie mnicha.

Rozmowa z *abba* Józefem o przyjaźni jest pierwszym chrześcijańskim traktatem dotyczącym w całości tego zagadnienia. Według niego najważniejsza jest przyjaźń duchowa (*amicitia spiritalis*), której fundamentem jest cnota i wspólne dążenie do doskonałości. Mówi, że trwała przyjaźń może istnieć tylko między doskonałymi, że nie ma nic cenniejszego nad miłość i nic gorszego nad zagniewanie, że kto polega na własnym zdaniu, na pewno zostanie zwiedziony przez diabła, że ważne są nie tylko czyny, ale i zamiary, że trzeba być cierpliwym i panować nad gniewem, bo brak cierpliwości i gniew to cechy słabych. Ostatnia rozmowa tego tomu dotyczy dotrzymywania przyrzeczeń i ciekawe są w niej wypowiedzi o kłamstwie,

choć, co widzimy w przypisach, *abba* nie raz gubi się w swych wywodach.

Na końcu Kasjan pokornie wyznaje, że cokolwiek w tych pismach jest pięknego, to pochodzi od Ojców, a co marnego, to od niego i jest to bardzo sympatyczna uwaga.

Całość poprzedzają dwa eseje ojca Marka Sheridana OSB o tradycji monastycznej i metodach redakcyjnych Jana Kasjana. W zapowiedziach jest zamykający cykl tom trzeci.

Krzysztof Myszkowski

**Jan Kasjan**, *Rozmowy z Ojcami*, tom 2, Rozmowy XI–XVII, przekład i opracowanie ksiądz Arkadiusz Nocoń, wstępny Mark Sheridan OSB, seria *Źródła monastyczne*, tom 70, TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2015

To już siódmy tom *Pism apokryficznych* ukazujących się pod redakcją księdza Marka Starowiejskiego – pierwszy polski przekład wydanej po raz pierwszy w 1527 roku, a pochodzącej z roku około 70 *Księgi starożytności biblijnych* Pseudo-Filona. Jest to parafraza historii biblijnej od stworzenia świata do śmierci Saula w bitwie z Filistynami. Autorstwo przypisywano najpierw Filonowi z Aleksandrii, zestawiając ją z *Dawnymi dziejami Izraela* Józefa Flawiusza, które także zaczynały się od stworzenia świata i były doprowadzone do czasów współczesnych autorowi, ale szybko wykluczono ten wariant i Filona

zamieniono na Pseudo-Filona – nieznanego mieszkańca Palestyny, może północnej Galilei, a może Syrii. Nie ma też pewności co do gatunku literackiego – na początku określano ją jako midrasz, ale szybko popularniejsze stało się zaliczenie jej do *rewritten Bible* – „powtórnie napisanej Biblii”, rodzaju egzegezy typu *téxté continué*.

*Księga* dzieli się na pięć części, które odpowiadają pięciu etapom historii biblijnej: tak zwana prehistoria i dzieje Patriarchów, dzieje Mojżesza, dzieje Jozuego, historia sędziów i początki epoki królów. Badacze wskazują na podobieństwa między Flawiuszem a Pseudo-Filonem, szczególnie podkreślając ich dydaktyzm. W *Księdze* ani razu nie pojawia się termin mesjasz, który u Flawiusza użyty jest tylko raz i to w odniesieniu do Jezusa.

W poszczególnych częściach w centrum opowiadania znajduje się jakaś wybitna postać, która jest wykonawcą woli Boga i to na niej ogniskują się wydarzenia, przy czym najważniejsze jest, podobnie jak

w Ewangeliach, ich duchowe znaczenie. Opowiadana historia toczy się w napięciu, jakie jest między Bogiem a światem – to Bóg jest jej rzeczywistym głównym bohaterem. W toku tej uduchowionej narracji dokonuje się swoista reinterpretacja Biblii Biblią, co jest bardzo ciekawym i pożytecznym doświadczeniem.

Narracja urywa się nagle w czasie dialogu Saula z jednym z wojowników po klęsce w bitwie z Filistynami i chociaż pojawiły się hipotezy, że właśnie ta część tekstu mogła zaginąć, to jednak ten rodzaj zakończenia znany jest na przykład z *Księgi Jonasza*, z pierwotnej wersji *Ewangelii według świętego Marka* czy z *Dziejów Apostolskich*, a także z pism rabinicznych.

Ta niezwykle lektura toczy się w ciągłej korespondencji z Biblią i z naszym doświadczeniem obcowania z nią.

Krzysztof Myszkowski

**Pseudo-Filon**, *Księga starożytności biblijnych*, przekład i opracowanie ksiądz Łukasz Laskowski, seria *Pisma apokryficzne*, tom 7, Wydawnictwo WAM, Kraków 2015

**Zofia Beszczyńska**, ur. 1951 w Warszawie, autorka tomików wierszy, utworów fantastycznych i tłumaczka; ostatnio opublikowała minipowieść *Królowa Ptaków* (2015). Mieszka w Warszawie.

**Ewa Błońska**, ur. 1986 w Krakowie; absolwentka kierunku *Lingue e Culture dell'Asia e dell'Africa* na Uniwersytecie w Bolonii. Mieszka w Krakowie.

**Jan Błoński** (1931–2009), eseista, tłumacz, historyk literatury i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor m.in.: *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne*, *Biedni Polacy patrzą na getto*, *Miłość jak świat* i *Witkacy na zawsze* [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 1 (65)].

**Stefan Chwin**, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista; profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Samobójstwo i „grzech istnienia”* (2013) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67)]. Mieszka w Gdańsku.

**Aleksander Fiut**, ur. 1945 w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *We władzy pozoru* (2015). Mieszka w Krakowie.

**Michał Głowiński**, ur. 1934 w Warszawie, prozaik, eseista, historyk i teoretyk literatury polskiej, krytyk literacki, profesor IBL PAN; jako prozaik debiutował w Bibliotece „Kwartalnika Artystycznego” *Czarnymi sezonami* (1998), opublikował m.in. *Kręgi obcości* (2010) [patrz „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 2 (66)], ostatnio: *Car-ska filizanka* (2016). Mieszka w Warszawie.

**Renata Gorczyńska**, ur. 1943 w Warszawie, eseistka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała *Rue de Seine. Biografia paryskiej ulicy* (2014) oraz *Szkice portugalskie* (2014). Mieszka w Gdyni.

**Jacek Gutorow**, ur. 1970 w Grodkowie, autor wierszy i tłumacz, eseista i krytyk literacki; wykładowca na Uniwersytecie Opolskim; ostatnio opublikował tom wierszy *Kartki* (2015). Mieszka w Opolu.

**Julia Hartwig**, ur. 1921 w Lublinie, poetka, eseistka, tłumaczka; autorka m.in. kilkunastu tomów wierszy [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2011 nr 3 (71)]; ukazały się m.in.: *Wiersze wybrane* (2014), *Błyski wybrane* (2014) i *Dziennik, tom 2* (2014). Mieszka w Warszawie.

**Zbigniew Herbert** (1924–1998), poeta, dramaturg, eseista [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 1 (17), 1999 nr 2 (22) i dodatek do nr. 2/2008 (58)]; ostatnio ukazały się m.in.: *Barbarzyńca w podróży* (2014) i wznowienie *Króla mrówek. Prywatnej mitologii* (2014).

**Jerzy Jarzębski**, ur. 1947 w Bytomiu, eseista, krytyk i historyk literatury; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Natura i teatr. 16 tekstów o Gombrowiczu* (2007). Mieszka w Krakowie i w Warszawie.

**Joanna Jurewicz**, ur. 1962 w Warszawie, orientalistka, indolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikowała *Wędrówka za przestrzenią. Krąg drugi* (2015). Mieszka w Warszawie.

**Marek Kędziński**, ur. 1953 w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Samuela Becketta i Thomasa Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Thomasa Bernharda *Korekta* (2013). Mieszka m.in. w Paryżu.

**Ryszard Krynicki**, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria), poeta i wydawca; autor tomów poetyckich, tłumacz poezji niemieckiej, m.in. Paula Celana, Georga Trakla, Nelly Sachs; edytor tomów wierszy m.in. Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej; ostatnio opublikował *Wiersze*

wybrane (2014) i tomik pt. *Haiku. Haiku mistrzów* (2014). Mieszka w Krakowie.

**Krzysztof Lisowski**, ur. 1954 w Krakowie, poeta, prozaik, krytyk literacki; redaktor Wydawnictwa Literackiego; ostatnio ogłosił *Motyl Wisławy. Inne podróże* (2014). Mieszka w Krakowie.

**Jerzy Madejski**, ur. 1960 w Chlebówku, historyk i teoretyk literatury, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Szczecińskiego; opublikował m.in. *Deformacje biografii* (2004). Mieszka w Szczecinie.

**Piotr Matywiecki**, ur. 1943 w Warszawie, poeta, eseista, krytyk literacki; ostatnio opublikował eseje *Mysli do słów* (2013) i *Świadomość* (2014). Mieszka w Warszawie.

**Czesław Miłosz**, ur. 1911 w Szetejniach na Wileńszczyźnie, zm. 2004 w Krakowie; największy poeta polski XX w., eseista, prozaik, tłumacz; ostatnio w edycji *Dzieł zebranych*, ukazały się m.in.: *Życie na wyspach* (2014), *Wiersze wszystkie – wydanie uzupełnione* (2015) i *Przekłady poetyckie wszystkie* (2015) [patrz numery monograficzne jemu poświęcone: „Kwartalnik Artystyczny” 2001 nr 2 (30), 2004 nr 3 (43), 2005 nr 3 (42), 2008 nr 3 (59), 2011 nr 2 (70), 2014 nr 2 (82)].

**Piotr Mitzner**, ur. 1955 w Warszawie, autor wierszy i eseista; wykładowca Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego; ostatnio opublikował m.in.: *Warszawski 'Domek w Kołominie'* (2014) i *Warszawski krąg Dymitra Filosofowa* (2015). Mieszka w Warszawie.

**Krzysztof Myszkowski**, ur. 1952 w Toruniu, prozaik, eseista; autor m.in. powieści *Funebre* (1998); od 1995 redaktor „Kwartalnika Artystycznego”. Mieszka w Bydgoszczy i w Toruniu.

**Anna Nasiłowska**, ur. 1958 w Warszawie, autorka wierszy, prozaik, eseistka i krytyk literacki;

profesor IBL PAN; ostatnio opublikowała tomik *Żywioty* (2014). Mieszka w Warszawie.

**Krzysztof Siwczyk**, ur. 1977 w Knurowie, autor dziesięciu tomów wierszy i trzech książek eseistycznych; pracuje w Instytucie Mikołowskim; ostatnio opublikował: *Dokąd bądź* (2014) oraz esej *Koło miejsca* (2015). Mieszka w Gliwicach.

**Iwona Smolka**, ur. 1944 w Warszawie, autorka powieści, krytyk literacki; ostatnio opublikowała powieść *Skarpa* (2015). Mieszka w Warszawie.

**August Stramm**, patrz Nota na str. 124.

**Leszek Szaruga**, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej i rosyjskiej; profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował: *...zmowa kontrolowana* (2014) i *Dane elementarne* (2014). Mieszka w Warszawie.

**Piotr Szewc**, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy *Cienka szyba* (2014). Mieszka w Warszawie.

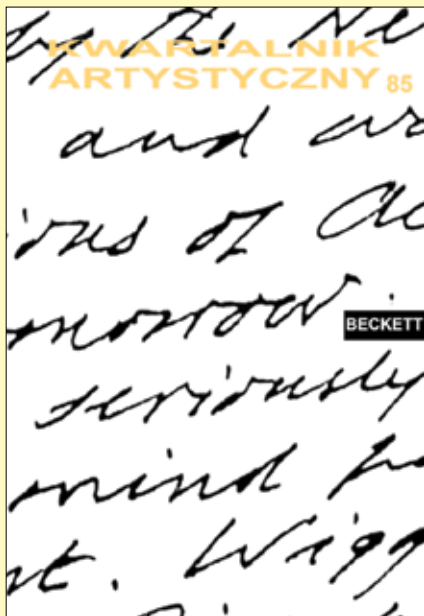
**Artur Szlosarek**, ur. 1968 w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio ogłosił *Ołówek rzeźnika* (2012). Mieszka w Berlinie.

**Janusz Szuber**, ur. 1947 w Sanoku, poeta; autor wielu tomów wierszy; ostatnio opublikował: *Tym razem wyraźnie* (2014) [patrz „Kwartalnik Artystyczny” 2014 nr 3 (83)]. Mieszka w Sanoku.

**Łukasz Tischner**, ur. 1968 w Krakowie, eseista i krytyk literacki; wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Sekrety manichejskich trucizn – Miłosz and the Problem of Evil* (2015). Mieszka w Krakowie.

**Konrad Zych**, ur. 1985 w Wołominie, krytyk literacki; redaktor portalu literatki.com. Mieszka w Strykach.

## „KWARTALNIK ARTYSTYCZNY” W 2015 ROKU



### 1/2015 (85)

Wspomnienia Antoniego Libery o Stanisławie Barańczaku i Julii Hartwig o Tadeuszu Konwickim.

Wiersz Zbigniewa Herberta pt. *Rozważania hagiograficzno-zwierzęce Pana Cogito* z notą Ryszarda Krynickiego.

**Wisława Szymborska** – wiersze i wyklejanki oraz poświęcone jej szkice Julii Hartwig i Leszka Szarugi.

Nowe wiersze: Julii Hartwig, Piotra Szewca, Artura Szlosarka, Jerzego Plutowicza, Jarosława Zalesińskiego, Roberta Hassa w przekładzie i z notą Renaty Górczyńskiej oraz Tomasa Venclovy w przekładzie i z notą Beaty Kałęby.

Listy Ksawerego Pruszyńskiego z Narviku do Julii Hartwig z notą Adresatki.

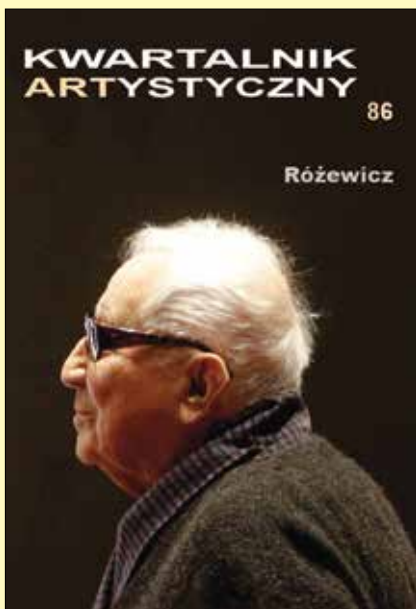
**Samuel Beckett** – siedem wierszy z różnych okresów w przekładzie Antoniego Libery; fragment powieści pt. *Nienazywalne* w przekładzie Marka Kędzierskiego; listy do Barneya Rosseta, Ethny MacCarthy, Alana Schneidera i Patricka Magee'ego w przekładzie i ze szkicem Marka Kędzierskiego; fotografie Barbary Bray przedstawiające Becketta w jego domu w Ussy-sur-Marne.

Ankiety: *Moi mistrzowie* – Krzysztof Myszkowski; *Po co literatura?* – Jerzy Plutowicz, Artur Szlosarek i Jarosław Zalesiński.

*Varia*: Stefan Chwin, Michał Głowiński, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc i pierwszy odcinek cyklu Artura Szlosarka.

*Recenzje*: Leszek Szaruga o wyborze wierszy Jerzego Kronholda, Arkadiusz Morawiec o *Barbarzyńcy w podróży* Zbigniewa Herberta, Renata Górczyńska o *Pod okupacją*. Listy.

*Noty o książkach, Noty o autorach, Nowe książki.*



2/2015 (86)

**Tadeusz Różewicz** – ostatnie wiersze i szkic o miłości małżeńskiej odnalezione w notatnikach Poety przez jego Żonę Wiesławę, rękopisy i zdjęcia; listy do Henryka Voglera i Krzysztofa Myszkowskiego; happening *Śmietnik* – Tadeusz Różewicz na zdjęciach Adama Hawałęja; *Głosy i glosy w 1 rocznicę śmierci Tadeusza Różewicza*: Julia Hartwig, Kazimierz Brakoniecki, Jacek Gutorow, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki, Arkadiusz Morawiec, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Artur Szłosarek, Andrzej Zawada; *Tadeusz Różewicz w „Kwartalniku Artystycznym”* i *O Tadeuszu Różewiczu w „Kwartalniku*

*Artystycznym”*.

Wiersz Zbigniewa Herberta pt. *Przypowieść o gołębiach* z notą Ryszarda Krynickiego.

Nowe wiersze: Julii Hartwig, ks. Janusza A. Kobierskiego, Piotra Sobolczyka, Michała Jagiełły i Michała Czoryckiego (debiut).

Rozmowa Renaty Gorczyńskiej z Adamem Zagajewskim pt. *Substancja poezji*.

Opowiadanie Michała Głowińskiego pt. *Carska filiżanka i inne truwaye*.

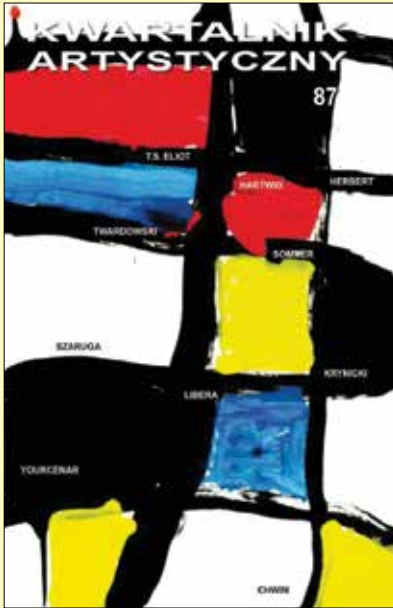
Ankieta: *Po co literatura?* – ks. Janusz A. Kobierski, Piotr Sobolczyk.

*Varia*: Stefan Chwin, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Artur Szłosarek.

*Recenzje*: Renata Gorczyńska o *Hiobie. Powieści o człowieku* Josepha Rotha, Piotr Łuszczkiewicz o tomach wspomnień o Wisławie Szymborskiej i Zbigniewie Herbercie, Jerzy Madejski o *We władzy pozoru* Aleksandra Fiuta.

*Noty o książkach, Noty o autorach, Nowe książki*.





**3/2015 (87)**

Thomas Stearns Eliot – *Wydrążeni* w nowym przekładzie Antoniego Libery.

Zbigniew Herbert – wiersze i fragmenty odczytane z rękopisów w opracowaniu i z notą Ryszarda Krynickiego.

Ks. Jan Twardowski – wiersz i szkic o nim Piotra Matywieckiego; *Trzy kartki* z notą Krzysztofa Myszkowskiego.

Nowe wiersze: Julii Hartwig, Leszka Szarugi, Bogusława Kierca, Krzysztofa Lisowskiego, Kazimierza Brakonieckiego, Stanisława Dłuskiego, Anny Frajllich, Anny Nasiłowskiej, Abła Murcii w przekładzie i z notą Krystyny Rodowskiej oraz Oli Hazzarda w przekładzie i z notą

Jacka Gutorowa, zapisy i reprodukcje prac Bogny Gniazdowskiej i Andrzeja Coryella.

Nowy wiersz Piotra Sommera i rozmowa z nim Zofii Zaleskiej pt. *Co robi zdanie?*

Esej Antoniego Libery pt. *O kim i o czym jest Towarzystwo Becketta?*

*Podziękowanie za Nagrodę* Ryszarda Krynickiego.

Opowiadanie Marguerite Yourcenar pt. *Uśmiech Marko* z notą Agnieszki Grudzińskiej oraz debiut prozatorski Karola Mrozińskiego.

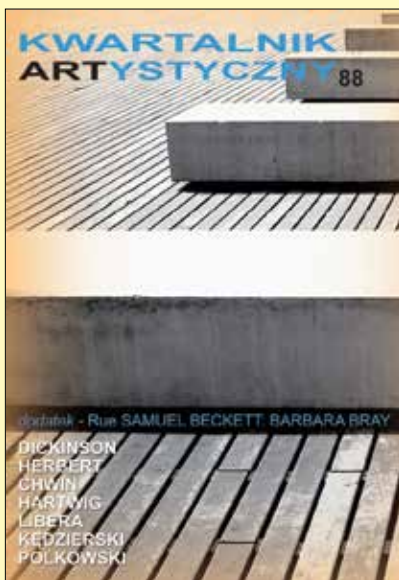
Wkładka ze zdjęciami Ryszarda Krynickiego pt. *Południk Czerniowce*.

*Varia*: Stefan Chwin, Michał Głowiński, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Artur Szlosarek.

*Recenzje*: Krzysztof Myszkowski o *Pismach krytycznych i publicystycznych* Stanisława Ignacego Witkiewicza, Krystyna Dąbrowska o *Listach i zapomnianych wywiadach* Jerzego Nowosielskiego, Piotr Matywiecki o Antoniego Libery i o. Janusza Pydy OP *Dialogach o teatrze Samuela Becketta*, Artur Szlosarek o *Miłoszu w Krakowie* Agnieszki Kosińskiej.

„Kwartalnik Artystyczny” w 2014 roku.

*Noty o książkach, Noty o autorach, Nowe książki.*



#### Nr 4/2015 (88)

Emily Dickinson – wiersze w przekładzie Andrzeja Szuby.

Prozatorski fragment Zbigniewa Herberta pt. *Ryszard albo logika młodości* z notą Ryszarda Krynickiego.

Nowe wiersze: Julii Hartwig, Krystyny Rodowskiej, Janusza Stycznia, Jarosława Mikołajewskiego, Mirosława Dzieńnia, Tomasa Hrynacza, Marcina Sasa, Pawła Tańskiego, Marcina Jurzysty oraz aforyzmy Vytautasa Karaliusa i Tatiany Michajłowskiej w przekładzie Leszka Szarugi.

Stefan Chwin – *Ars moriendi* (fragment powieści); Antoni Libera – *Kosmos*

w *Dolinie Pysznej* (początek większej całości); Marek Kędzierski – *Warszawa – Chiny (2)* (fragment powieści); Jan Polkowski – opowiadanie pt. *Maria i Józef*; szkic Renaty Górczyńskiej o *Soli ziemi* Józefa Wittlina.

*Pułapka Becketta (4)* – Marek Kędzierski w rozmowie z Krzysztofem Myszkowskim.

*Varia*: Stefan Chwin, Michał Głowiński, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Artur Szlosarek.

*Recenzje*: Krzysztof Myszkowski o nowych tomach *Dzieł wszystkich* Cypriana Kamila Norwida, Tomasz Mizerkiewicz o dwóch wyborach wierszy Tadeusza Różewicza, Leszek Szaruga o wyborze wierszy Juliana Kornhausera.

*Noty o książkach*,  
*Noty o autorach*,  
*Nowe książki*.



**Wydawca:**

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy  
przy finansowej pomocy Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.**

**Adres redakcji:**

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6  
tel. 52 585 15 01  
e-mail: kwartalnik@kpck.pl  
www.kwartalnik.art.pl

Prenumerata: Ewa Krupa, tel. 52 585 15 04  
Korekta: Hanna Borawska, Barbara Laskowska

Projekt okładki i stron reklamowych:  
Ewa Bathelier

**Warunki prenumeraty:**

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 20 USD / 15 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 43057874  
„Kwartalnik Artystyczny”

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje  
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu,  
Urzędowi Miasta Bydgoszczy i Urzędowi Miasta Torunia za pomoc finansową w wydaniu numeru 1/2016*



Województwo  
Kujawsko-Pomorskie



Miasto  
Bydgoszcz



Miasto  
Toruń

**Realizacja poligraficzna:**

Dom Wydawniczy „Margarfsen”  
ul. Białogardzka 13, 85-808 Bydgoszcz  
tel./fax 52 370 38 00

Biblioteka „WIĘZI”  
Jerzy Stempowski, Tymon Terlecki, *Listy 1941–1966*, tom 316, Warszawa 2015

Episteme  
Eda Ostrowska, *Eddesy. Poemat Sowizdrzalski*, Lublin 2015

Fundacja Terytoria Książki  
Stanisława Przybyszewska, *Cyrograf na własnej skórze i inne opowiadania*, Gdańsk 2015

Instytut Kultury Miejskiej, Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria

Ana Blandiana, *Moja ojczyzna A4*, przełożyła Joanna Kornaś-Warwas, Gdańsk 2015  
Lidija Dimkowska, *pH neutralna wobec życia i śmierci*, przełożyła Danuta Ciriłi-Straszńska, Gdańsk 2015

Daniel Jonas, *Częsty przechodzień*, przełożył Michał Lipszyc, Gdańsk 2015  
Anikó Polgár, *Archeolożka w czółenkach*, przełożyła Anna Górecka, Gdańsk 2015

Instytut Mikołowski  
Jerzy Jarniewicz, *Podśluchy i podglądy*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 122, Mikołów 2015

Krzysztof Karasek, *Wiedza radosna*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 121, Mikołów 2015

Arkadiusz Kremza, *Sterownia*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 123, Mikołów 2015

Jerzy Suchanek, *Wduszenie*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 124, Mikołów 2015

Instytut Wydawniczy „Świadectwo”  
Zdzisław Pruss, *Rozmowy z psem*, Bydgoszcz 2015

K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I w Brzegu

Adam Boberski, *Księgi*, Seria *Faktoria Prozy*, tom 2, Brzeg 2015

Maria Jastrzębska, *Cedry z Walpole Park*, Seria *Faktoria Poezji*, tom 5, Brzeg 2015

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego

Małgorzata Dobkowska, *Przełęcze*, Białystok 2015

Stowarzyszenie Pardes

André Neher, *Faust i Maharal z Pragi. Mit i rzeczywistość*, przełożył Rafał Perkowski, Kraków 2015

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Olsztyn

Erwin Kruk, *Nieobecność*, Biblioteka Autorów Warmii i Mazur, seria 4, tom 1, pod redakcją Krzysztofa D. Szatrawskiego, Olsztyn 2015

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu  
*Konstelacja Toposu. Antologia poezji*, Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”, tom 119, Sopot 2015

Wydawnictwo Literackie

Jan Potocki, *Rękopis znaleziony w Saragossie*, opracowanie François Rosset, Dominique Triaire, nowe tłumaczenie ostatniej wersji autorskiej z 1810 roku Anna Wasilewska, Kraków 2015

Wydawnictwo MG

Fiodor Dostojewski, *Idiota*, przełożyła Helena Grotowska, Warszawa 2016

Wydawnictwo Miniatura

Andrzej Szuba, *33 strzępy*, Kraków 2016

Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

Gustaw Herling-Grudziński, *Listy do redaktorów „Wiadomości”*, seria *Dokumentacja Życia Literackiego Kręgu Londyńskich „Wiadomości” (1945–1981)* pod redakcją Wacława Lewandowskiego, tom 8, Toruń 2015

Jerzy Lesław Ordan, *Z podziemia*, Seria Literacka WN UMK POZA, Toruń 2016

Wydawnictwo Nisza

Bożena Boba-Dyga, *Koniec sezonu*, Warszawa 2015

Wydawnictwo Sic!

Przemysław Dakowicz, *Ćwiczenia duchowe. Poematy*, Warszawa 2016

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

wszędzie a także na [www.kwartalnik.art.pl](http://www.kwartalnik.art.pl)



„Kwartalnik Artystyczny” jest pismem, na które zawsze czekam  
Wisława Szymborska

CENA 11 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1232-2105



0 1

INDEKS 36294

9 771232 210604